

MATEUSZ BAJAS

**DWIE
ŚWIĄTYNIE**

NOVAE RES

Mateusz Bajas
DWIE ŚWIĄTYNIE



NOVAE RES

Spis treści

DWIE ŚWIĄTYNIE

– Jak leziesz, łajzo?!

Wpadli na siebie zupełnie przez przypadek. Przecież nie chciał go przewrócić. Zamyślony wracał ze spaceru, słuchając ulubionych kawałków z wysłużonej empetrójki. Jak zwykle szedł po chodniku, biegnącym wzdłuż luksusowego hotelu. Sam mieszkał nieco dalej, po drugiej stronie ulicy – w starym familoku. Razem z rodzicami, babcią i bratem musieli pomieścić się w dwóch pokojach z kuchnią. Do niedawna mieszkał z nimi dziadek, ale biedny umarł pół roku temu. Nie narzekał na zdrowie. Dobrze mówią, że złych diabli nie biorą.

Piotrek nie widział powodów do użalania się nad swoją sytuacją. Ot, chociażby dlatego, że mieli przynajmniej normalną łazienkę. Nie wciśniętą na lewo prowizorkę, tylko oddzielne pomieszczenie z wanną i kibelkiem. Ciężko docenić coś, co ma się na co dzień, ale Piotrek wiedział, że niektórzy z jego sąsiadów mają znacznie gorzej.

Było im ciasno, niejednokrotnie, ale za dnia od tłoku można zawsze uciec poza dom. A w nocy i tak liczy się tylko dach nad głową. I to, że jest miękko. I ciepło. Są tacy, którzy nie mają nawet tyle...

Marcowy wieczór. Ciężko oprzeć się pokusie wystawienia głowy z domu po nużącej zimie. Chociaż na skromną godzinę, bo jest na tyle ciepło, żeby przejść się bez zniechęcenia, ale na tyle zimno, żeby wracać do domu szybszym krokiem. „To życie jest za krótkie, słyszysz?” – krzyczał Szad do słuchawek. Piotrek zamyślił się, planując swoją przyszłość. Wchodził w dorosłość i przychodził czas, żeby zacząć się martwić o jutro. Nie mógł sprawić rodzicom lepszego prezentu na dwudziestkę niż usamodzielnienie się. Zresztą, mieszkając na swoim, w końcu mógłby zająć się płytą. Kochał rap, próbował coś tworzyć, ale ciężko jest znaleźć wenę, kiedy nad głową biega cała rodzina.

– Przepraszam pana... to, to, to... przez przypadek... – wybełkotał zmieszany. Mógłby się jakoś odgryźć, ale pokora nie pozwalała mu na nieuprzejme zachowanie. Zresztą, było nie było, widział przed sobą elegancko ubranego mężczyznę, gdzieś koło trzydziestki. Przystojny, schludnie uczesany i ogolony wzbudzał respekt. Jakies przecucie kazało Piotrkowi traktować go z szacunkiem. Wyciągnął do niego rękę, chcąc pomóc mu wstać.

– Weź tę brudną łapę! – warknął biznesmen, odtrącając wyczekującą dłoń. – Wystarczy, że przez ciebie muszę wrócić do pokoju i się przebrać... – Zerknął na zegarek. – Już jestem spóźniony, do cholery! – krzyknął, po czym zwinnie podniósł

się z chodnika. Nawet nie zerknąwszy na Piotrka, odwrócił się i... – Pieprzona żulernia, powinni wam zabronić szlajać się poza waszym gettem – mamrocząc, wbiegł z powrotem do hotelu.

Młody chłopak stał jak wmurowany. Aż tak źle wyglądał? Może nie miał na sobie markowych ciuchów, ale wydawało mu się, że jest ubrany całkiem schludnie. O higienę dbał regularnie, bo czemu miałby nie korzystać z łazienki, skoro miał do niej dostęp?

Nawet nie miał na sobie nic takiego, żeby można było wziąć go za jakiegoś lumpa. Zresztą kto to jest lump czy żul? Znał wielu określanych tym mianem i większość z nich była bardziej wartościowa niż niejeden nagradzany, błyszczący w telewizji „bohater”. Różne rzeczy dzieją się w życiu i zawsze lepiej wyglądać źle, ale mieć czysto na sumieniu, niż na odwrót.

Całe to wydarzenie głęboko go dotknęło. Długo stał przed wejściem do oazy luksusu, pośród biedy Starego Polesia, nie dowierzając temu, co przed chwilą doświadczył. W końcu, nie bez trudu, otrząsnął się nieco, po czym ruszył swoje zeszywniałe nogi i powlókł się do domu. Zamyślony nawet nie wiedział, kiedy przekroczył Granicę. Tak nazywał ulicę Ogrodową. Oddzielała ich biedny świat od tego pełnego pieniędzy i sukcesu niewidzialną linią, nakreśloną społecznymi postawami, stereotypami i zwyczajną obojętnością.

Wciąż nie mógł zmyć sprzed oczu tego spotkania pod hotelem. Nie chodziło o to, że było mu przykro. Przełknął to. Przyszło mu to z trudem, ale nauczył się przechodzić obok takich zdarzeń. Tym razem jednak coś mówiło mu, że to spotkanie miało jakieś większe znaczenie. Jakie? Nie miał pojęcia. Mimo to czuł, że dzisiaj wydarzyło się coś rzeczywiście istotnego.

Przeszedł pod ciemnym sklepieniem bramy i w żalnym świetle ostatniej żarówki wszedł po klatce schodowej do mieszkania. Wszyscy już spali, więc musiał zachowywać się jak najciszej. Subtelnie zdjął swoje wyświechtane najki (dostał je dwa lata temu na Gwiazdkę; miały być tylko na chwilę, zanim kupi sobie kilka lepszych par) i odwiesił jedyną cieplejszą kurtkę. Przez kuchnię przeszedł do pokoju dla młodszych, w którym spał jego dziesięcioletni brat, Pawełek. Miał ochotę założyć słuchawki i rozmyślać, póki za oknem nie zobaczy świtu. Niestety, wiedział, że nawet cicho grający werbel obudziłby młodego, a to postawiłoby na nogi całą rodzinę.

Zrezygnowany położył się na swoim łóżku i przykrył kocem. Nie zdejmował ubrania, miał to gdzieś. Skoro nawet kiedy był zadbany i tak uważano go za żulę, czemu w zasadzie miałby o siebie dbać? „Bo twoja ocena w stosunku do samego siebie jest najważniejsza” – odpowiedziało mu sumienie.

Zsunął koc. Najciszej, jak potrafił, zdjął spodnie, bluzę razem z koszulką i skarpetki. Powiesił je na oparciu krzesła stojącego obok, przy zawalonym podręcznikami biurku. Z grymasem niezadowolenia położył plecy na zimnym

prześcieradle. Znów zawinął się w koc, tak dokładnie, jak tylko mu się udało i oparł głowę na puchowej poduszce.

Gapił się przez okno na rozgwieżdżone niebo. Miał ochotę polecieć w tamtą stronę, byleby tylko wyrwać się od tego łódzkiego piekła. „Ciekawe, co u tego faceta, który miał nieszczęście dziś mnie spotkać?” – pomyślał. Rozważał możliwe scenariusze – kim był ten nieznajomy i dokąd się tak spieszył?

Biznesmenem gnającym na spotkanie? Kochankiem pędzącym od jednej kobiety do drugiej? A może oszustem pragnącym okantować kolejnego współnika i mieć chociaż przez kilka sekund czyste sumienie? Nie umiejąc odpowiedzieć sobie na żadne z tych pytań, odpłynął w twardy, ale nieprzyjemny sen.

*

Nie pamiętał, kiedy ostatni raz był tak wściekły. Rozsuwające się automatycznie szklane drzwi miał ochotę potraktować kopniakiem, bo otwierały się zbyt wolno. Ludzi, którzy siedzieli przy barze w hotelowym patio najchętniej pozabijałby w jakiś wyjątkowo okrutny sposób.

Czemu tak się gapią? Co im przeszkadza w tym, że wyszedł stąd przed kilkoma minutami, a teraz wraca? Przecież mógł czegoś zapomnieć. Każdy ma prawo wrócić się do pokoju. Wystarczy, do diabła, przysiąc na chwilę i wszelkie złe uroki odchodzą na bok.

„Gapią się na mój garnitur. Widzą, że jest pobrudzony. Pewnie myślą, że wypieprzyłem się na schodach, jak jakaś sierota. A to wszystko przez tego pieprzonego gnoja. Nie ma gdzie się podziać, tylko szlaja się, brudas, pod hotelem?”

Trzeba było wyjść jeszcze wcześniej. Wyszukował się, jak zwykle, godzinę przed czasem. Nerwowo kręcił się po pokoju, próbując zająć się czymkolwiek, byleby zabić czas. Oczywiście każda minuta zdawała się trwać godzinę. W związku z tym, zamiast nastrojać się przed spotkaniem, ładował się pustą frustracją.

Uparł się, żeby koniecznie pójść na spotkanie pieszo. Rzecz jasna tylko i wyłącznie po to, żeby jego kontrahent zobaczył, że interesują go nowoczesne trendy. Ekologia jest w modzie, spaceruje się w modzie. W dobrym tonie jest dzisiaj przyjść na spotkanie luźnym spacerkiem, ewentualnie podskoczyć rowerem. Tym bardziej kiedy negocjuje się z firmą produkującą „czystą” energię.

Sam, prawdę mówiąc, najchętniej podjechałby wynajętym, luksusowym autem.

Teraz musiał wziąć taksówkę, jeśli chciał zdążyć przynajmniej na umówioną godzinę. Było to rozwiązanie ostateczne i, prawdę powiedziawszy, sugerowało, że po drodze coś poszło nie tak. Etykieta nakazywała przyjść chwilę wcześniej – w końcu to on sam zaaranżował spotkanie. Tym bardziej jeśli nie chciał, żeby

kontrahenci dowiedzieli się, w jaki sposób dostał się na miejsce. Wbrew pozorom był zdania, że pośpiech jest złym doradcą, ale tym razem nie miał wyboru.

Z trudem udając, że ignoruje liczne spojrzenia znad barowych stolików, podszedł do recepcji. Miejsce zostało tak zaprojektowane, żeby stanowiło wyraźną, choć sztuczną barierę. Oddzielała lepszy świat gości hotelowych od pracowników, których trafniej byłoby określić mianem służących. Frazesy o rzekomej domowej gościnności nie miały wiele wspólnego z rzeczywistością. Gość istotnie czuł się komfortowo, jednak w żaden sposób nie można było powiedzieć tego samego o gospodarzu. Relacja była wyraźnie jednostronna i nie było wątpliwości, która strona była nazbyt uprzywilejowana. Zapłać słono, a my zrobimy ci dobrze. To znaczy nasi kiepsko opłacani pracownicy.

Za blado oświetloną białą ladą stały dwie osoby. Na oko dwudziestosiedmioletnia kobieta i dużo młodszy od niej chłopak. Dziewczyna wyglądała na pewną siebie, ale znudzoną osobę, za to młody sprawiał wrażenie przestraszonego i zde gustowanego. Nie ulegało wątpliwości, kogo wybierze wściekły, szalenie zdeterminowany biznesmen. Bez wahania zdecydował się wystawić na próbę słabszą jednostkę. Postanowił podjąć gierkę, w której zwycięzca był znany od samego początku. Czyż nie tak gra się najprzyjemniej?

Marcin błyskawicznie złapał kontakt wzrokowy z chłopakiem. Młodemu nie wolno było uciec ze spojrzeniem na bok, nawet pomimo to, że nie miał ochoty patrzeć w te płonące wściekłością oczy. Procedura nie pozwalała. I kazała, rzecz jasna, idiotycznie, bez ustanku uśmiechać się do gościa.

W związku z tym Marcin z każdym krokiem widział, jak dzieciak staje się coraz mniejszy i niepewny, zaś on sam czuł się cholernie silny. Szczur musiał wleźć w zastawione sidła. Rozweseliło go to i pozwolił sobie na delikatny, ironiczny uśmiech. Jeśli recepcjonista miał jeszcze jakiegokolwiek resztki pewności siebie, ten gest stopił je do końca. Biznesmen poczuł się absolutnym zwycięzcą, kiedy usłyszał drżący głos młokosa.

– W czym mogę panu pomóc?

– Pomóc? Heh. Wie pan co? – parsknął Marcin, ostentacyjnie rozglądając się w lewo i w prawo. – Najchętniej wysłałbym PANA na spotkanie, na które sam się wybieram. Nie mam najmniejszej ochoty przebywać w tym mieście, w sumie nawet w tym kraju. Tym bardziej nie widzi mi się gnać na złamanie karku na spotkanie z tymi starymi dziadami, których jedynym atutem jest duży stan konta – kontynuował, dysząc ciężko z wściekłości. Opierał się przy tym o ladę, powoli zbliżając swoją twarz do twarzy recepcjonisty.

– W związku z tym, że pewnie nie masz ochoty wybierać się teraz do Esplanady, wystarczy, że zadzwonisz po pieprzoną taksówkę, która przyjedzie tutaj za najpóźniej dziesięć minut. Nie chcę być w twojej skórze, jeśli taryfa przyjedzie chociaż minutę później! – nawet nie zauważył, kiedy zaczął krzyczeć.

Dzieciak za ladą stawał się na przemian blady jak ściana i czerwony jak rozżarzony węgiel. Marcin oddychał z trudem i kiedy skończył swoją tyradę, zawiesił wzrok na ladzie.

Dopiero po chwili dotarło do niego, że zwrócił na siebie uwagę chyba całego hotelu. Na gości nie miał wpływu, ale tych pracowników, którzy wyglądali zza każdego rogu, żeby spojrzeć, co się dzieje, zamierzał uwalić na amen.

– Z przyjemnością zamówię panu taksóweczkę, potrzebuję tylko pana godność – powiedział drżącym głosem recepcjonista, z trudem podtrzymując uśmiech. W zasadzie był na granicy płaczu.

– Słuchaj. Powiem ci szczerze – odpowiedział sucho Marcin, nie podnosząc wciąż spojrzenia z lady. – Nie po to płacę grube pieniądze za pokój w tym hotelu, żeby jakiś gówniarz nie był w stanie zapamiętać mojego nazwiska. Zostało osiem minut do przyjazdu taksówki, której nawet jeszcze nie zamówiłeś. – Skierował rozpalone do białości oczy na chłopaka i dodał: – Marcin Pieniążek. Pokój numer trzysta-kurwa-osiemnaście. Módl się, żebym po powrocie nie widział cię tutaj. I nie żyjesz, jeśli taryfy nie będzie pod wejściem – syknął na koniec i z lekkim uśmiechem odszedł od recepcyjnej lady. Tę rozgrywkę bezapelacyjnie wygrał, oby był to początek pasma jego dzisiejszych sukcesów.

Pewnym krokiem, już dużo spokojniejszy i w dużo lepszym nastroju, poszedł żwawym krokiem w stronę wind. Gdyby się odwrócił, zobaczyłby recepcjonistę krzywiącego się na jego widok. Nie zrozumiałby dlaczego inni też patrzą na niego z pogardą.

To już nie miało znaczenia. W tej chwili ważniejsze było dla niego zwycięstwo, które – jak mu się wydawało – odniósł przy ladzie. Dotarł do wind. Subtelnie nacisnął srebrny przycisk i pozwolił sobie na szeroki uśmiech, kiedy jedne z drzwi natychmiast się otworzyły i z głośnika zabrzmiało: „Poziom zero. Recepcja”. Zupełnie jakby winda czekała na niego.

Wszedł do środka, włożył hotelową kartę i zgiętym palcem stuknął w panel, wybierając trzecie piętro. Nawet nie poczuł, kiedy ruszył ku górze, co oznaczało, że jedzie strasznie wolno. Wspaniale...

Przejrzał się w ogromnym lustrze, które zajmowało całą ścianę. Wyglądał normalnie. Gdyby nie wiedział, co się wydarzyło kilka minut temu, pewnie nawet by się nie zorientował, że jego elegancko skrojony garnitur jest przybrudzony. W zasadzie to tylko w pierwszej chwili pomyślał, że wygląda tragicznie, stąd te nerwy. Spojrzał samemu sobie w oczy. Błysk wściekłości w zasadzie już wyblakł. W sumie to chyba niepotrzebnie tak wyżył się na tych chłopakach.

Z wątpliwości wyrwał go sztucznie brzmiący gong. „Piętro trzecie” – oznajmił kobiecy głos. Dobrze, że jego pokój znajdował się tuż obok windy. Wystarczyło skrócić w prawo, przejść kilka kroków po zielono-czarnej wykładzinie i już stał pod 318. Zanim włożył kartę do czytnika, zerknął na zegarek. 19.38.

Późno, zbyt późno. Nie wyrobi się na 20.00, nawet jeśli taryfa dowiezie go na miejsce w pięć minut. Otworzył z impetem drzwi i pobiegł do szafy. Zrzucił marynarkę i zaczął zdejmować spodnie.

– Kurwa mać! – przeklął głośno i runął z hukiem na podłogę. Próbował jednocześnie zdjąć spodnie i sięgnąć po czystą marynarkę. – Pierdolony pośpiech! – wrzasnął. Zaczepił butem o zdejmowaną nogawkę.

Podniósł się szybko i, już siedząc, niemalże zerwał z siebie spodnie. Niedawna wściekłość powróciła tak szybko, jak odeszła, ale ze zdwojoną mocą. Tym razem w oczach miał furię i gdyby ktoś teraz nawinął się pod rękę, najpewniej zostałyby zabity.

Łupnął rozsuwanymi drzwiami od szafy i wyciągnął pierwszy lepszy z trzech pozostałych mu garniturów. Nie miał czasu mierzyć. I tak żaden z nich nie był tak dobry, jak ten pobrudzony. Szybko wciągnął na siebie spodnie, poprawił przed lustrem krawat i już wychodząc, zarzucił na siebie marynarkę. Zapnie się już w windzie.

Dzięki Bogu drzwi zamykały się zatraskowo, wystarczyło tylko wyjąć z nich kartę. Wyszarpnął ją więc i łupnął drzwiami, żeby mieć pewność, że się zamknęły. Huknęły porządnie, więc wywnioskował, że osiągnął cel. Znów przycisk do windy, ale już widział, że pieprzona zjechała z powrotem na parter. Zegarek? 19.46. „Późno, późno, za późno! Dotrę na równą, może chwilę po. Będzie trzeba nadrabiać uśmiechem i wysokim napiwkami dla kelnera. Oby był tego wart”. Przytłumiony gong – „Piętro trzecie”.

Wcisnął się w jeszcze otwierające się drzwi i wdusił „0” na panelu. „Czemu te drzwi zamykają się tak wolno?!” Nerwowo tupał nogami, patrząc, jak oba skrzydła zbliżają się do siebie i gwałcąc przycisk zamknięcia. Zostało im dosłownie kilka centymetrów, kiedy w środku pojawił się elegancki kobiecy bucik. Drzwi poczuły opór i zaczęły się na nowo otwierać. „Kogo to, do cholery, niesie?” – pomyślał, próbując jednocześnie wykrzesać z siebie jakikolwiek uśmiech na widok wchodzącej damy. Chyba się udało, chociaż Marcin sądził, że był to bardziej nieudolny grymas.

– Udało się, co za szczęście! – skomentowała rozpromieniona kobieta. – Dzień dobry panu! Jak dobrze, że mi się pan trafił, nie muszę czekać, a jestem nieco... w pośpiechu – dodała, chichocząc cicho. Cała jej twarz w cudowny sposób pracowała na prześliczny uśmiech, jakim obdarzała swojego... wybawcę.

– Dzień... dobry. Mam przynajmniej nadzieję, że skończy się dobry... Bo póki co obawiam się, że nie jest najlepszy – odpowiedział Marcin, uśmiechając się blado i z rezygnacją. Zmierzył subtelnie wzrokiem towarzyszkę z windy. Była, na oko, w podobnym wieku co on – chwilę przed trzydziestką. Niska, z krótkimi, ciemnymi włosami, w zasadzie nie wyróżniała się niczym szczególnym. Ubrana w prostą, obcisłą, czarną sukienkę, prawdę powiedziawszy bardziej oficjalną niż

seksowną. Zresztą, nie była specjalnie obdarzona przez naturę, ani w biuście, ani w pośladkach. Zwykła dziewczyna. Jednak przez dłuższą chwilę nie potrafił oderwać wzroku od jej szerokiego uśmiechu i małych, ewidentnie zawadiackich, migoczących oczu.

– Chociaż muszę przyznać, że warto poświęcić te kilka cennych sekund dla takiego towarzystwa. Nawet mimo, iż podejrzewam, że jestem w dużo większym pośpiechu niż pani – dodał po krótkiej chwili milczenia.

Był ogromnie zaskoczony swoją szczerością, bo zazwyczaj starał się być powściągliwy w takich sytuacjach. To chyba z tych nerwów. Ostatni czas nie należał do najspokojniejszych i teraz odbija się to na jego nieracjonalnym zachowaniu. Chyba najwyższy czas odpocząć, ale dopiero po udanym spotkaniu.

Tymczasem kobieta roześmiała się głośno, a złośliwe chochliki w jej oczach zdawały się mnożyć w nieskończoność. Komplement, jakkolwiek odważny i niespodziewany, trafił do celu.

– Strasznie mi pan schlebia, sama nie wiem czemu. Czym taka rozchichotana wariatka może zaimponować takiemu eleganckiemu mężczyźnie jak pan? – wciąż uśmiechając się szeroko, puściła Marcinowi oko.

Otworzył usta, wciągając ze świstem powietrze. Robiło się gorąco, a nie był na to kompletnie przygotowany. Czemu akurat teraz? Co jej odpowiedzieć?!

Z problemu wybawił go znajomy gong – „Poziom zero”. Zanim zdążył się odezwać, kobieta już uciekała z windy i... „Do zobaczenia! Miłego wieczoru sympatycznemu panu życzę!” – wołając, gnała w kierunku wyjścia z hotelu.

Marcin w milczeniu stał przez dłuższą chwilę w windzie, jedynie durnie machając dłonią. Dopiero gdy drzwi zaczęły się zamykać, jego myśli wróciły do rzeczywistości. Spotkanie! Która jest godzina?!

Był przekonany, że minęły wieki i spieprzył interes przez jakąś dziewczynę z windy. Spojrzał na zegarek. 19.48. Minęła nieco ponad minuta. Nie było tak źle! Pognał do wyjścia, tak szybko jak to było możliwe, żeby nie ryzykować spocenia się czy, broń Boże, kolejnej wywrotki. Na podjeździe stały dwie taksówki, ale w jednej z nich siedziała na tylnym fotelu kobieta z ciemnymi włosami. Marcin bez zastanowienia pognał do drugiej taryfy.

– Dzień dobry – rzucił szybko do kierowcy. – Moje nazwisko Pieniążek, pokój 318, gnamy do Esplanady. Muszę dostać się tam na 20.00. Nie wiem, jak pan to zrobi, ale zapłacę sownie! – zawołał, klepiąc taksówkarza po ramieniu, chcąc go pospieszyć. Młody, zarosnięty mężczyzna w baseballowej czapce obejrzał się i mrugnął porozumiewawczo do Marcina.

– Dzień dobry – powiedział cicho, uśmiechając się do siebie. – Zobaczymy, co uda się zrobić! – zawołał i ruszył z impetem, jednocześnie zawracając.

Prawdę powiedziawszy, Marcin nie do końca był świadom, w jaki sposób i którędy dotarł w wyznaczone miejsce. Po pierwsze, dlatego że nie chciał

niepotrzebnie denerwować się wyczynami młodego kierowcy-rajdowca. Po drugie – całą drogę nie mógł przestać myśleć o niedawno spotkanej kobiecie.

Niesamowite, jak te istoty są skonstruowane, że wszystkie są na swój sposób atrakcyjne. Mówią, że tego kwiatu pół świata... i jak to właściwie z nimi jest?

Z częścią z nich można na poziomie porozmawiać. Pozostałe nie mają kompletnie nic do powiedzenia. W tajemniczy sposób dzielą się później na grupy – te są ładne, tamte niekoniecznie. O niektórych powiesz, że są seksowne, a o sporej grupie, nawet tych obiektywnie ładnych, że w życiu i nigdy. Dalej szukając, znajdziesz i zaradne matki Polki, i kompletnie zagubione cukiereczki, nadrabiające urokiem wszelkie przywary. Można tak kombinować, dzielić, grupować... a koniec końców przyjdzie ta, która kompletnie zburzy twój światopogląd...

Co w takim razie, do cholery, sprawia, że o tych pojedynczych zjawiskach, o tych gwiazdkach na całkowicie ciemnym niebie nie da się przestać myśleć? Co w nich takiego jest?

Zupełnie jak w tej czaruli. Widział tego dnia przynajmniej kilkanaście ładniejszych i seksowniejszych od niej. Pewnie niejedna rozmawiała z nim równie swobodnie, w zależności od charakteru i jego nastawienia. Kogoś takiego jak on próbowałyby oczarować wszystkie.

Pomimo to ciągle myślał o niej... TYLKO o niej. Co gorsza, czuł, że myśl o niej była jedną z tych myśli, które wbiły mu się głęboko w podświadomość. Jedną z tych, które same nie uciekają, tylko irytująco zaprzatają głowę podczas wykonywania najważniejszych obowiązków. Wiedział, że jeszcze przynajmniej kilka dni spędzi na roztrząsaniu tej sprawy.

– Halo, proszę pana, dotarliśmy, ma pan jeszcze cztery minutki! – z zamyślenia wyrwał go podniecony głos taksówkarza. – Jak się panu tak spieszy, to ja bym gnał do środka, a nie siedział w mojej taryfie i gapił się w szybę! – głądził podniecony szaloną przejażdżką. Mądrała się znalazł.

– Przepraszam, bardzo się zamyśliłem. Ile się należy? – zapytał wciąż nieobecny Marcin.

– Wie pan, normalnie, według licznika, to piętnaście złotych, ale miało być szybko i chyba jest, nie? Prawdę mówiąc, to blisko rekordu. Chyba się należy coś ekstra, co? Za ryzyko? – rzucił chłopak, odwracając się i puszczając Marciniowi oko.

Taksówkarz był ewidentnie wkurwiający, ale słowo się rzekło. Miał dostać ekstra kasę za szybki dojazd, więc ją dostanie. Marcin bez słowa wręczył taksjarsowi pięćdziesięciozłotowy banknot i wysiadł z samochodu. Może karma zdąży wrócić jeszcze dzisiaj...

Wziął głęboki wdech. Zmierzył wzrokiem efektowną fasadę kamienicy, w której znajdowała się knajpa. W środku pewnie już czekali na niego zniecierpliwieni kontrahenci. Miał nadzieję, że ogromna witryna dziś

symbolizowała jego okno otwierające się na świat, a reliefowane skrzydła nad nią miały mu pomóc we wzniesieniu się na wyżyny retoryki.

Z wdechem wciągnął myśli o biznesie, z wydechem wyrzucił, przynajmniej na tę godzinę, myśli o tajemniczej kobiecie z windy. Spojrzał na zegarek – 19.58. Później niż powinien był być, ale i tak punktualnie. Przetarł dłońmi twarz i krótkie włosy, po czym pełen pewności siebie wszedł do restauracji. Adaptacja była jednym z jego atutów. Dzięki Bogu dzisiaj ten go nie zawodził.

Sympatycznie wyglądający kelner powitał Marcina szerokim uśmiechem od ucha do ucha. Poprawiło to jego samopoczucie, chociaż sam już wcześniej delikatnie się uśmiechał. Planował sprawić wrażenie pogodnego, ale stanowczego i silnego człowieka. Takim w zasadzie był, chociaż przez stres często zapominał o pogodzie ducha.

– Dzień dobry! – zagadnął, jeszcze zanim kelner zdążył się odezwać. Nie miał mu tego za złe, chociaż mógł to potraktować jako faux pas. Jednak – czy to dziś ważne?

Okaze się przy napiwku. – Miałem umówione spotkanie i zarezerwowany stolik. Na moje nazwisko – Pieniążek, chociaż... moi przyjaciele pewnie już na mnie czekają. – Uśmiechnął się z wyrazem lekkiej niewinności. Kelner od razu podchwycił, co jest na rzeczy.

– Och tak... dobry wieczór, panie Pieniążek! Zaprowadzę pana. Pańscy towarzysze przyszedli dosłownie kilka minut temu, dopiero zaczęli przeglądać menu. Dużo pana nie ominęło – napomknął kelner, kiwając porozumiewawczo głową.

Ulga była spora. Dzięki Bogu nie wpadli na pomysł sprawdzania go i przychodzenia pół godziny przed czasem. Wiedział, że ma do czynienia z wymagającymi ludźmi, ale miał nadzieję, że byli to wciąż ludzie. Nikt przecież nie jest idealny, każdemu mogło zdarzyć się parę minut obsuwy. Poza tym, litości! – umawiali się na dwudziestą!

Już z daleka widział swoich, miejmy nadzieję, kontrahentów. Byli dyrektorami polskiego oddziału brytyjskiej firmy Wanergy, z którą zamierzał nawiązać współpracę. Sam od lat zajmował się alternatywnymi źródłami energii. Na co dzień był reprezentantem Blueco – właściciela kilku elektrowni wiatrowych na Pomorzu. Firma niezbyt duża i bez wielkiej renomy, ale za to stabilna finansowo i bardzo dobrze płacąca. Akurat, żeby wpisać do CV, i akurat, żeby ją zostawić bez sentymentu.

Dlatego dzisiaj nie był tutaj w imieniu firmy, tylko swoim. Spotkał się z Brytyjczykami w celu wykorzystania ich patentu uzyskiwania energii na małych, ale wartkich rzekach. Całkowicie nieinwazyjna, a do tego szybko spłacająca się technologia. Złota kura, zdawać by się mogło, ale troszkę trzeba było napracować się nad samorządami, żeby zrozumiały, że to nie gryzie, jak na przykład atom... Poza tym węglowe i inne lobby robiły swoje, smarując gdzie trzeba i załatwiając

wycofywanie pozwoleń na działalność. Sympatyczne środowisko pazernych skurwysynów.

Brytole od początku postawili na rzeki w południowej Polsce, rzucając rękawicę czarnemu od węgla Śląskowi i dopchali się na przyzwoitą pozycję. Marcin znalazł swoją niszę w regionie łódzkim, gdzie poza Bełchatowem królowała energetyczna posucha. Tymczasem małych, bystrych rzeczek kryło się tu niemało. W sam raz na rozgrzewkę. Potem zamierzał ruszyć oczywiście na północ, gdzie miał rozległe kontakty i sporo do udowodnienia wiatrowym magnatom.

Wiedział, że uzyskanie licencji na tę technologię nie było problemem. Wanergy chętnie dzieliło się swoim dokonaniem – albo z poczucia misji, albo z chęci zysku. Najpewniej z obu powodów. Zrobili genialny projekt, wyprzedzając swoją epokę, mimo to zarabiali na nim niezłą kasę (bo pionierom przecież zawsze jest najgorzej), wiedzieli, jak trudno jest się gdziekolwiek wcisnąć. Idealna pozycja do odsprzedawania własnego dzieła mniejszym i często dzięki temu skuteczniejszym.

Problemem było jednak to, że Marcin miał stosunkowo niewielki kapitał i musiał nakłonić Wanergy do zainwestowania w jego biznes, a później wynegocjować takie warunki, które nie zedrą z niego większości zysków, kiedy przyjdzie pora na zbieranie plonów. Mówiąc najprościej – wycisnąć jak największy procent dla siebie, nie stając się jednocześnie niewolnikiem na długie lata, wiecznie splacającym „dług” ziarnko po ziarnku.

Od strony technicznej i merytorycznej był przygotowany perfekcyjnie. Miał dopracowany do ostatnich szczegółów biznesplan. Koszty, przychody, amortyzację – wszystko wyliczył na dziesięć lat w przód, w kluczowych miejscach z dokładnością do miesiąca. Chociaż pewnie gdyby zapytali go o konkretny dzień, odpowiadałby nadal ze snajperską pewnością.

Doświadczenie w branży to kolejny atut Marcina. Znał realia i często stykał się z podobnymi negocjacjami w swojej firmie. Tylko skala była dziś większa. Niemniej jednak to właśnie dzięki temu przygotował taką ofertę, która zostawiała dużo miejsca na negocjacje, a jednocześnie nie zostawiała choćby szparki na wpłynięcie niekorzystnych dla niego rozwiązań.

Oczywiście rozmowa mogła potoczyć się nie po jego myśli. Właśnie dlatego musiał wznieść się na wyżyny retoryki. Kilkukrotnie ćwiczył przed lustrem swoją prezentację, szykując się do życiowej roli nie gorzej od Johny’ego Deppa. Za każdym razem utrudniał sobie zadanie, wymyślając przeróżne scenariusze. Przewidział nawet, jak zareagować na paskudną kolację.

Fakt faktem – dzisiaj było to jedynie spotkanie wstępne, więc w razie potrzeby mógł liczyć na kolejne szanse. Mimo to zrobienie dobrego pierwszego wrażenia mogło procentować jeszcze przez długie lata.

Plan był więc taki – zrobić porządne entré, sympatycznie poprowadzić

rozmowę, przedstawić koncepcję w taki sposób, żeby nie zdradzić zbyt wiele, a jednocześnie wzbudzić dużo ciekawości i na koniec postawić efektowną pieczęć z wielkim logo „made by Marcin Pieniążek”. Owacji na stojąco nie będzie, ale jeśli publika wyjdzie z przedstawienia zadowolona i zaintrygowana, będzie można z czystym sumieniem przyklasnąć samemu sobie.

Po plecach Marcina przeszedł delikatny dreszcz. Uwielbiał tę grę – czytanie z cudzego głosu, jego postaw i reakcji oraz prowadzenie rozgrywki swoim przemyślanym zachowaniem. Już od momentu wypatrzenia kontrahentów uśmiechał się lekko, ale nie szczerzył jak głupek. Starał się zajrzeć jak najgłębiej w oczy swoich dzisiejszych ofiar. Nie tracąc kontaktu wzrokowego, zbliżał się do nich, niespiesznie drecząc, krokiem luźnym, ale diabelnie pewnym. Obaj mężczyźni wstali, kiedy znalazł się przy ich stoliku.

– Witam szanownych panów! – powiedział lekko podniesionym i wyraźnie rozradowanym głosem. Uśmiechał się szeroko i przyjaźnie, jak gospodarz szlacheckiego wesela. – Przepraszam, że musieliście czekać tę chwilkę. Cieszę się, że w końcu mamy okazję się poznać. Marcin Pieniążek – przedstawił się i wyciągnął dłoń do gościa stojącego po lewej stronie.

Odrobił pracę domową – wiedział, że człowiek po prawej, to „jedynie” menedżer do spraw rozwoju biznesu – Radosław Bolimowski. Rękę trzeba było podać wpieryw temu, który miał rzeczywisty wpływ na jego dalsze losy – Pawłowi Sulimie – dyrektorowi polskiego oddziału firmy. Grube ryby, potężni magnaci, ale jeden z nich mimo wszystko grubszy i potężniejszy.

Silny uścisk dłoni obu mężczyzn dodał Marcinowi pewności. Miał do czynienia z prawdziwymi fachowcami – takich lubił najbardziej. Sam się za takiego uważał i dogadywał się najlepiej z podobnymi sobie. Biznesmeni przedstawili się jeden po drugim. Marcin usłyszał dokładnie te nazwiska i nazwy stanowisk, których się spodziewał. Nawet rozbawiło go to nieco. Jakby oglądał premierę filmu, do którego scenariusz sam napisał.

– Obawialiśmy się, że to raczej pan nas skrzyczy, że jesteśmy tak wcześnie! – zagadnął z szerokim uśmiechem Sulima. Marcina uwagę przykuło niesamowite ciepło, jakie było od tego starszego pana. Zdawał się patrzeć na każdego z góry, ale w tym pozytywnym znaczeniu. Emanował spokojem, wyrozumiałością i ogromną wiedzą. Będzie z nim naprawdę ciężko. – My również bardzo cieszymy się na to spotkanie. Muszę panu przyznać, że dawno korespondencja z kimkolwiek nie sprawiała nam takiej satysfakcji, jak ta z panem. Czysty profesjonalizm! – powiedział, zacierając ręce.

– Jednak zanim o sprawach zawodowych, może zamówimy coś smacznego? Przeglądaliśmy już menu, ale z ostateczną decyzją postanowiliśmy poczekać na pana.

– W takim razie poproszę sekundkę na zapoznanie się z kartą i będziemy

mogli przedyskutować, które smakołyki są warte uwagi – odpowiedział Marcin, gestem ręki zachęcając kontrahentów do zajęcia miejsc przy stoliku. Chciał stworzyć pozory, że to do nich należy tego wieczora decydowanie.

Szybko przestudiował kartę, którą, prawdę mówiąc, znał dość dobrze już od dawna. Zamierzał zaproponować coś... ryzykownego. Uważał się za człowieka otwartego na wszelkie wyzwania i w ten sposób chciał zostać odebrany. Należało skupić uwagę na kilku konkretnych cechach faworyzujących Marcina jako osobę godną podjęcia współpracy. Obrócił kartki menu w tę i z powrotem i błyskawicznie znalazł coś, co odpowiadałoby jego preferencjom.

– Panowie, co powiedzielibyście na... kaczkę pieczoną z jabłkami? – powiedział, powoli podnosząc wzrok znad karty. Nie zaobserwował jakiejś szczególnej reakcji. Pudło.

– Panie Marcinie, ciekawa propozycja – odpowiedział Sulima, ale nawet nie próbował udawać zainteresowania. – My jednak skłanialiśmy się ku sprawdzeniu tutejszych steków. Męska rozmowa wymaga męskiego jedzenia, prawda? – zaproponował i wolno zamrugnął powiekami, podpierając brodę na dłoniach.

Wytoczyli ciężkie działa, skurwiele. Jeśli Marcin miał jakiegokolwiek wątpliwości co do tego, z kim ma do czynienia, to właśnie wyparowały. Nie chodziło o szczegóły propozycji. Osobiście sprawdził jakość tutejszych steków kilka dni temu, więc wiedział, że kolacja nie skończy się katastrofą. Gorszy był ton głosu i postawa Sulimy. Gość od początku wiedział, co Marcin powie, co zaproponuje sam, a przede wszystkim – jaka będzie odpowiedź. Zanadto przejmował inicjatywę, ale... to tylko kolacja! Marcin teatralnie rozłożył ręce w geście rezygnacji.

– Chyba nie będę podejmował polemiki. Jestem gotów podjąć wyzwanie. Proponujecie panowie „tutejszy” czy argentyński? – widział, że są zadowoleni z jego decyzji. Niech się cieszą, póki mogą.

– Panie Marcinie, sprawdźmy tę Esplanadę, skoro akurat tutaj zostaliśmy zaproszeni – pierwszy raz odezwał się Bolimowski. Mówił niskim, donośnym głosem, ewidentnie znudzonym. Klóciło się to z jego czujnym, rozbieganym spojrzeniem. Co mu mogło siedzieć w głowie? Zastanawiał się, co on tu robi i dlaczego Marcin zabrał ich akurat tu, w ten przepojony piwem zgiełk?

Nie zrobił tego przypadkiem. Nie zamierzał pakować się w elegancką knajpę dla nadmuchanych snobów. Tam ciężko byłoby sprawić, żeby kontrahenci rozluźnili się, a tego potrzebował. Zamierzał nieco uspić ich czujność, rozkojarzyć i dzięki temu poprowadzić rozmowę po swojemu. Zresztą tutaj było na poziomie, tylko bez szpilek przy kołnierzyku.

– W takim razie sprawdzamy – odpowiedział, zdecydowanym gestem zamykając menu. – Coś do picia? Osobiście chętnie pozostanę przy wodzie mineralnej. Akurat pod tym względem jestem tradycjonalistą.

– To zupełnie na odwrót niż my. Myśleliśmy o kieliszku czerwonego wina...
– odezwał się Bolimowski, wbijając wzrok w Marcina – ale jeśli nie życzy pan sobie alkoholu, chyba też zostaniemy przy mineralnej. – Chyba chciał sprawdzić reakcję Marcina na myśl o alkoholu. Nałogowca łatwo rozpoznać nawet bez słowa. „Niestety, panie Radku, ja nie mam problemu z tym tematem. Alkohol tylko osłabia reakcje, a ja dzisiaj potrzebuję siebie w najwyższej dyspozycji” – pomyślał Marcin i uśmiechnął się w duchu. Jego twarz została jednak niewzruszona.

– Myślę, że okazja do napicia się chociażby szampana jeszcze przed nami. To co, zamawiamy? – rzucił beztrąsko i nie czekając na reakcję, kiwnął na kelnera. Póki co robili mu na przekór, więc nie zamierzał pozostać dłużny.

Złożyli zamówienie, wszyscy trzej identyczne. Wyrównali swoje szanse. W pewnym sensie przy posiłku będą stanowić jedność. Miejmy nadzieję, że w interesach także.

– Jak, panowie, znajdujecie Łódź? – zagadnął Marcin, opierając się wygodnie na krześle. Mógł pozwolić sobie na rozluźnienie atmosfery i etykiety. Dopóki nie zjedzą, będą bardziej jak trójka kumpli ze szkolnej ławki niż trójka poważnych mężczyzn rozmawiających o interesach. Taki kontrast tym bardziej pozwolił Marcinowi przedstawić siebie jako rzeczowego i profesjonalnego człowieka, oddzielającego życie osobiste od profesjonalnego.

Rozmówcy uśmiechnęli się szeroko i sami poluzowali guziki swoich koszul.

– Bardzo nam się podoba. Jest zupełnie inna niż Warszawa czy Kraków. Dużo bardziej... nieułożona i tajemnicza. Zupełnie jak kobieta, która nie jest doskonała, ale ma w sobie coś, co przyciąga – odpowiedział, rozbawiony Bóg jeden wie czym, Sulima.

Marcina przeszył dreszcz, jakby przez jego układ nerwowy przemknął bardzo silny impuls. Mimo woli pomyślał o spotkanej dziś kobiecie. Błyskawicznie odwrócił się, udając, że zauważył coś za witryną. Chyba nie dał po sobie poznać, że został trafiony w słaby punkt? Szybko wrócił spojrzeniem na Sulimę i pokiwał głową.

– Oj tak, taka właśnie jest. Chociaż muszę przyznać, że ja jednak wolę to, co pewne i zorganizowane – nie miał pewności, czy udało mu się ukryć nerwowe drżenie w głosie. – Nie zmienia to faktu, że to stolica regionu, o którym dziś będziemy rozmawiać. I wydaje się być po temu idealną lokalizacją, bez względu na jej charakter. – Uff. Koniec z emocjami. Znow był zimnym profesjonalistą.

Do obiadu rozmawiali całkiem niezobowiązująco – o pogodzie, troszkę o sporcie i jakichś bieżących pierdołach ze świata. Gadanie na zapchanie czasu. Marcin nawet niespecjalnie przywiązywał uwagę do tego, co i w jaki sposób mówi. Nie miało to wielkiego znaczenia, bo im bardziej czas oczekiwania się wydłużał, tym bardziej wszyscy myśleli o nadchodzącej kolacji, aniżeli o rozgrywce, którą prowadzili. Na jedzenie czekali trzy kwadransy. Trochę za długo, ale zazwyczaj

lepiej nieco poczekać, niż dostać nedorobione paskudztwo.

Kelner przyniósł od razu wszystkie trzy dobrze wyglądające dania. Z życzeniami smacznego zabrali się do powolnego konsumowania. Żaden nie chciał pokazać, że gdzieś mu się spieszy, chociaż im bliżej końca, tym bardziej napięcie przy stoliku rosło, szczególnie po stronie Pieniążka i Bolimowskiego. Nie odezwali się do siebie słowem przez cały czas konsumpcji, nawet nie zerkali po sobie. Mimo to skończyli jeść niemalże równo. Podziękowali kelnerowi i dali sobie krótką chwilę na oddech.

Marcin postanowił jednak rozpocząć w momencie dogodnym dla siebie, czyli jak najszybciej. Nie zamierzał spędzić tutaj całego wieczoru – to raz, a dwa – liczył, że w ten sposób zwiększy swoje szanse. Czemu miałby dawać możliwość porozumienia się przedstawicielom Wanergy? Wziął łyk wody, odchrząknął cicho i wyprostował się, splatając dłonie na stoliku.

– Sądzę, że po tej naprawie zaczętej kolacji pora przejść wreszcie do tematu, dzięki któremu mamy przyjemność spędzać ten dzisiejszy wieczór – zaczął całkowicie rozluźniony. Powoli omiół spojrzeniem twarze Bolimowskiego i Sulimy. Czuł się jak pływak wskakujący tysięczny raz do tego samego jeziora – znał te wody doskonale, wiedział, jak ma po nich bezpiecznie pływać i gdzie może zanurkować głębiej niż zazwyczaj.

– Z ogromną radością, panie Marcinie – pałeczkę przejął Bolimowski. Tak jak się spodziewał, od gadania jest właśnie on. Chyba planowali wykończyć Marcina tą jałową paplaniną, bo pan Radosław pieprzył o radości, a mówił, jakby zaraz miał się rozpaść z apatii. Tak czy siak, kropkę nad „i” postawi Sulima i to na nim trzeba było zrobić najlepsze wrażenie.

– Myślę, że my swojej oferty przedstawiać po raz kolejny nie musimy. Wszystkie dostępne na tę chwilę informacje dostał pan przez e-mail, prawda? W związku z tym pozwolimy sobie poprosić pana o prezentację pana stanowiska, do ewentualnych negocjacji przejdziemy na koniec. Odpowiada panu taki układ? – zapytał i na twarzach rozmówców Marcina zagościły nieprzyjemne, zimne maski. Wypili słodki koktajl towarzyski, teraz serwowano już tylko kieliszki z wytrawnym biznesem.

– Jak najbardziej. Pozwolicie panowie, że wspomogę się elektroniką? – zapytał Pieniążek i nie czekając na odpowiedź, kiwnął na kelnera. Nie zamierzał ryzykować kradzieży czy zgubienia swojego komputera ze wszystkimi danymi. Ze sobą miał tylko mały pendrive z najpotrzebniejszymi informacjami przygotowanymi na dzisiejszy wieczór. Dlatego wcześniej dogadał wypożyczenie sprzętu z menedżerem lokalu.

Kelner przyniósł wypożyczony laptop i rozłożył go przed Marcinem. Ten sprawnie zainstalował się na obcym sprzęcie i po dosłownie trzech minutach maestro mógł rozpocząć swoje przedstawienie.

– Myślę, że możemy rozpocząć? – zagaił z szerokim, choć nieodwzajemnionym uśmiechem. Bolimowski i Sulima jedynie kiwnęli głowami. Miał to gdzieś. Realizował swój plan, a czy się okaże skuteczny – tego dowie się za kilkadziesiąt minut. Na szczęście maski obu panów nie zasłaniały wszystkiego – na ich twarzach rysował się bardzo delikatny ślad zaciekawienia.

Nad komputerową prezentacją spędził stosunkowo niewiele czasu. Zależało mu na tym, żeby przekaz był prosty i przejrzysty. Oprawił całość w niebieską tonację kolorystyczną (bo kojarzy się z wodą). Zawarł jedynie hasłowo rzucone informacje. W ten sposób łatwiej będzie je zapamiętać. Uruchomił pokaz slajdów i na tle tej eleganckiej scenografii występ rozpoczął teatr jednego aktora.

Najważniejsze informacje pozostawił na początek i koniec. Rozpoczął od zaprezentowania swojej, optymistycznej, acz nie oderwanej od rzeczywistości, wizji rozwoju działalności w tym regionie. Na początek Rawka i Ner, jako rzeki pilotażowe, dalej kolejne, takie jak Mroga, Bzura czy Widawa.

Następnie przeszedł do nudnych, lecz koniecznych drobiazgów – marketingu projektu (logotypu, wizerunku, koncepcji działań reklamowych i PR-owych), kwestii administracyjnych, organizacyjnych i tym podobnych. Na sam koniec pozostawił wisienkę na torcie – finansowanie. Prawdę powiedziawszy, wyłącznie dla tego tematu spotykali się tu dziś, cała reszta była, dla profesjonalisty na jego poziomie, formalną błahostką.

Do tego momentu nie zwracał uwagi na reakcje swoich rozmówców. Wystarczało, że skupiał się na tym, jak sam się prezentuje. Teraz poziom trudności rósł. Musiał jednocześnie przekazywać i odbierać informacje, żeby wiedzieć, jakimi kartami zagrać podczas negocjacji.

– Moja propozycja finansowania projektu zapewnia dużą elastyczność, a jednocześnie szansę na wyrównanie korzyści moich i Wanergy – zaczął, spoglądając to na Bolimowskiego, to na Sulimę. – Na chwilę obecną posiadam kapitał umożliwiający rozpoczęcie działania na obszarze dwóch pierwszych, pilotażowych rzek. W ramach pierwszej fazy projektu powstałyby cała struktura organizacyjna przedsiębiorstwa, a także podjęte zostałyby wszystkie możliwe działania marketingowe. W ten sposób, w przypadku odniesienia sukcesu, kontynuacja projektu byłaby oparta na gotowym fundamencie, z bazą doświadczenia i przynajmniej podstawową rozpoznawalnością marki. Dalsze działania byłyby dzięki temu łatwiejsze, a także mniej kapitałochłonne. Z umiarkowanym optymizmem obserwował zadowolenie na twarzach przedstawicieli Wanergy. To była ta łatwiejsza do przełknięcia pigułka.

– Otwieranie kolejnych projektów wymagałoby jednak nakładu finansowego z zewnątrz. – Brak wyraźnych reakcji. – Chciałbym do tego celu zaprosić Wanergy. Według moich prognoz, przy sukcesie projektu pilotażowego niezbędne byłoby sfinansowanie przez państwa trzech kolejnych inwestycji. Zakładam, że na

rozpoczęcie pierwszej fazy potrzeba roku do dwóch, a następnie około trzech lat, przy uruchamianiu jednej elektrowni rocznie. Po tym czasie konieczne byłoby przeprowadzenie analizy dotychczasowych osiągnięć i zaplanowanie kolejnych kroków. Zakładam jednak, że wówczas będę w stanie z bieżących dochodów przedsiębiorstwa finansować następne inwestycje i poprawiać strukturę organizacyjną przedsiębiorstwa.

Jednak aby było to możliwe, konieczne jest ustalenie podziału zysków z trzech elektrowni w proporcji 3:7, oczywiście na państwa korzyść. Zakładam, że po pięciu latach od rozpoczęcia działalności każdej inwestycji proporcje będą mogły zostać odwrócone, a po kolejnych pięciu – renegocjowane. Moim zdaniem daje to Wanergy możliwość zarówno odzyskania kosztów inwestycji, jak i czerpania zysków przez dłuższy czas, bez ponoszenia jakichkolwiek dodatkowych nakładów finansowych. Dlatego też składam tę propozycję państwu, a nie na przykład bankowi. Zależy mi na korzyściach dla obu stron, przez wiele, miejmy nadzieję, tłustych lat – zakończył z zarysowaną na twarzy pewnością siebie i stanowczością. Napił się wody i rozłożył dłonie, wskazując na kontrahentów. – Chętnie poznam teraz panów stanowisko.

Rozmówcy wymienili między sobą krótkie spojrzenie. Była to jedyna szansa na odczytanie ich aktualnych odczuć. Bolimowski wyglądał na raczej zadowolonego, ale Sulima zdawał się być ewidentnie rozczarowany. Marcin poczuł zaniepokojenie. Planował, że będzie na odwrót. Liczył, że Sulima złapie się na perspektywę długofalowej współpracy.

Tymczasem wyglądało na to, że tylko Bolimowski był zadowolony i to tylko ze złapania kolejnej rybki do akwarium. Wiedział, że Marcin z tego tematu już się nie wycofa. Ale co mogło nie podpasować Sulimie? Niestety, nie miał pojęcia.

– Dziękujemy za prezentację, panie Marcinie – zgodnie z przewidywaniami rozpoczął Bolimowski. – Myślę, że dla mnie ogólny zarys pana propozycji jest jak najbardziej możliwy do zaakceptowania. Oczywiście sądzę, że dogadywanie szczegółów pozostawimy na inny dzień, toteż na tym krótkim komentarzu poprzestaną – wymamrotał i spojrzał na Sulimę. – Natomiast, jak zapewne zdążył pan się zorientować, decydujący głos w całej sprawie ma pan Paweł. Toteż ja pozwolę sobie usunąć się na bok i dać panom możliwość swobodnej wymiany poglądów – zakończył z podejrzanym uśmiechem i niebezpiecznie rozedrganym spojrzeniem.

Robiło się bardzo gorąco. Nie dość, że prezentacja nie spełniła pokładanych w niej oczekiwań, to jeszcze okazuje się, że było to całkowicie wykalkulowane przez Wanergy. Na nic zdały się elegancko pisane maile, pieczołowicie dobrana restauracja i perfekcyjna prezentacja. Nie zaskoczył ich kompletnie niczym. W zasadzie cała sprawa mogła zacząć się dopiero teraz. Od nieprzyjemnych, twardych negocjacji, bez słodkiej otoczki miłych słów i ładnych obrazków.

Marcin chciał szybko zareagować na ostatnią uwagę Bolimowskiego, w jakiś sposób wprowadzić siebie w tę perfidnie zaplanowaną gierkę, ale nie zdążył.

– Dziękuję za ten wstęp, Radku – suchy i beznamiętny ton Sulimy działał elektryzująco, nieprzyjemnie kontrastując z jego wcześniejszą empatią. – Panie Marcinie, być może spodziewał się pan łatwej drogi do sukcesu, i w zasadzie słusznie. Planując, zawsze zakładamy, że wszystko pójdzie po naszej myśli, bo czemu miałyby być inaczej?

Marcin przyswajał każde słowo, każdą pauzę. Chłonał zarówno treść, jak i formę komunikatu Sulimy. Był niesamowitym mówcą. Jego wygląd – idealnie skrojony garnitur w ciemnogramatowym odcieniu, subtelnie siwiejące, chociaż wciąż w większości kruczoczarne włosy, wysoka, smukła postura, dodawały mu powagi i charyzmy wysoce ponad przeciętność. Marciniowi przez krótką chwilę zaświtała myśl, że chyba właśnie w ten sposób musi wyglądać diabeł.

– Niestety, współpraca z naszą firmą nigdy nie jest łatwa. Szczególnie na początku. Do pracy z nami zawsze i wszędzie dobieramy najtwardszych zawodników, elitę. Musimy mieć pewność, że w trudnej chwili, a taka zawsze się pojawi, nie pękną jak źle podparty strop. W ten sposób sami wywalczyliśmy sobie pozycję, którą zajmujemy teraz. Pozycję lidera. Według naszej filozofii zwycięzca zawsze może być tylko jeden – zrobił króciutką pauzę i z wyższością rozejrzał się po sali.

– W związku z tym, nawiązując do wstępu Radosława, dzisiaj o szczegółach rozmawiać nie będziemy. Dzisiaj porozmawiamy o pana rzeczywistym zaangażowaniu w ten projekt i linii współpracy z Wanergy. Nie wspomniał pan o kilku istotnych aspektach i zamierzam o nie teraz dopytać. Szczerze mówiąc, odpowiedzi na te pytania mają dla mnie... dla nas, większe znaczenie niż wszystko to, co do tej pory pan zaprezentował. Jest pan gotowy? – zapytał z nutą wątpliwości w głosie.

Marcin nie miał pojęcia, czego może się spodziewać. Ofensywne nastawienie Wanergy okazało się być bodaj jedynym scenariuszem, którego na dzisiejszy wieczór nie przewidział. Szybko uznał, że musi podjąć rękawicę i także nastawić się bojowo. Jeśli będzie trzeba wyszarpać ten deal zębami z trzewi Sulimy, zrobi to. Stawka jest tego warta.

– Tak, jestem gotowy – odpowiedział tak samo pewnym głosem, jak podczas prezentacji. To, że był zaskoczony i stracił kontrolę nad sytuacją, nie znaczyło, że stracił pewność siebie. Adaptacja, adaptacja, adaptacja.

– Znakomicie. W takim razie chciałbym zapytać, jak, oprócz wsparcia technologicznego i finansowego, widzi pan miejsce Wanergy w pańskim projekcie? – pierwsza bomba Sulimy okazała się raczej bombką z choinki. Punkt dla Pieniążka.

– Chciałbym działać pod własną marką, to jasne. Gdyby było inaczej,

proponowałbym współpracę na zupełnie innych zasadach. Zamierzam jednak w taki sposób prowadzić swoją działalność, aby udział Wanergy był widoczny i także promowany. Myślę, że pańska firma zasługuje na podkreślenie jej obecności w tym projekcie. Jesteście pionierami, twórcami rewolucyjnego projektu. Warto, żeby was zapamiętano, podobnie jak Tomasza Edisona – powiedział Marcin z błyskiem w oku.

– Sądzę także, że współpraca brytyjskiej firmy z polską, z wyraźniejszym udziałem tej drugiej, pozwoliłaby na ocieplenie wizerunku Wanergy w naszym kraju. W takiej branży jak energetyka przywiązuje się znaczną uwagę do tego, od kogo rzeczywiście pochodzi sprzedawany produkt – dokończył Marcin bez cienia zwątpienia w to, co mówi. Istotnie wierzył, że tak właśnie będzie. Sam chętnie promowałby się w ten sposób, gdyby działał za granicą.

Sulima kiwał powoli głową. Wyglądał na zadowolonego taką odpowiedzią.

– Znakomicie. W takim razie przejdźmy dalej. Czy gdybym w tym momencie zaproponował panu rozgrywkę szachową, której stawką byłby nasz udział w pańskim projekcie, zgodziłby się pan? – znów zaatakował Sulima. Nie mógł albo nie chciał się powstrzymać i uśmiechał się, wyczekując odpowiedzi.

Trudne pytanie. Pieprzony, jest dobry. Próbuje zbić z tropu kontrastowymi pytaniami. Raz konkretnie, raz od czapy. Do momentu, aż pytanemu powinie się noga.

– Zakładam, że pyta pan o to nie dlatego, że jest pan miłośnikiem szachów, choć nie mogę wykluczyć takiej ewentualności – odparł Marcin. – Sądzę jednak, że chce pan po prostu sprawdzić, czy byłbym gotów podjąć niebagatelne ryzyko, którego stawką byłaby znakomita korzyść. W związku z tym pozwolę sobie, wbrew etykietce, odpowiedzieć pytaniem na pytanie. Gramy pańskim kompletem szachów czy moim?

Sulima zaśmiał się głośno i niespodziewanie melodyjnie. Marcin czuł ogromną satysfakcję z tej odpowiedzi. Bomba za bombę. Piłeczka odbita, teraz ty się martw, przyjacielu.

– Myślę, że nie miałbym z panem szans w takiej rozgrywce, skoro już teraz dałem się rozgryźć. Poza tym wiek panu sprzyja – odpowiedział Sulima, wciąż szeroko się uśmiechając. Zerknął na zobojętniałego Bolimowskiego i błyskawicznie spowaźniał. Jego twarz nabrała surowych rysów, jakby stał się sędzią słuchającego zeznań świadka. – Kolejne pytanie. Tym razem osobiste – rzucił szybko. – Sam pan rozumie, że działania na dużą skalę wymagają całkowitego skupienia i nie pozostawiają miejsca na wiele innych aktywności. W związku z tym proszę mi powiedzieć, czy jest pan w stanie całkowicie poświęcić się temu projektowi, szczególnie na początku?

Robiło się coraz ciekawiej, a im było ciekawiej, tym bardziej Marcinowi taka zabawa odpowiadała. Adrenalina huczała mu we krwi, napędzając kolejne

odpowiedzi.

– Sądzę, że żadna inna kwestia nie jest w stanie przesłonić mi klarownego spojrzenia na sprawy zawodowe. Jeśli uda mi się osiągnąć sukces – wtedy będę w stanie pomyśleć o odprężeniu i przesunięciu uwagi na inne aspekty życia. Póki co liczy się tylko ciężka praca. Sulima wyglądał na niewzruszonego.

– Rozumiem... Wiem już o panu nieco więcej, wróćmy więc do kwestii związanych z projektem. Przyznam się panu, że mam do pana pewną słabość. Pana przygotowanie merytoryczne, kultura osobista, znajomość branżowej etyki, doświadczenie – to wszystko budzi we mnie ogromny szacunek. Ma pan doskonałe CV i w zasadzie nieskazitelny charakter – zrobił krótką pauzę, biorąc głębszy oddech.

– Jest jednak pewien element, który budzi we mnie ogromny niepokój. Ba! Właściwie tylko ten element sprawia, że jeszcze nie zaprosiłem pana do dalszej współpracy. Panie Marcinie, obawiam się o pana emocje.

Co?! Skąd ten stary pierd wyciągnął taką teorię? Marcin był w kropce. Jednocześnie fascynowała go rozgrywka Sulimy i doprowadzała do szału. Mimo to wciąż zachowywał zimną krew. Nic innego mu nie pozostało...

– Odnoszę raczej słuszne wrażenie, że jest pan perfekcjonistą – kontynuował Sulima. – Potrafi pan wszystko idealnie zaplanować. Ma pan znakomitą umiejętność obserwowania otoczenia i przewidywania różnych sytuacji. Wyciąga pan trafne wnioski w ułamkach sekund. Od początku naszego spotkania widzę, jak wbija pan wzrok we mnie i Radka, próbując odczytać nasze reakcje i natychmiast planując kolejne kroki.

Niestety, moim zdaniem, życie cechuje się tym, iż nie wszystko da się przewidzieć i czasem trzeba działać pod wpływem impulsu. Boję się, że TO właśnie jest element, który jest pana jedyną słabą stroną. Nie chcę, żeby mój współpracownik przez źle skalkulowane emocje zaczął, mówiąc kolokwialnie, zawałać robotę. – Sulima wziął głęboki, choć nierówny wdech. Chyba, pierwszy raz tego wieczora, okazał zdenerwowanie. Uciekł wzrokiem na salę i błyskawicznie wypluł z siebie kolejne słowa. – W związku z tym... Panie Marcinie... Uprzejmie poproszę pana o opuszczenie lokalu i udanie się w swoją drogę. Rachunkiem proszę się nie martwić, uiścimy opłatę. Wanergy nie podejmie z panem współpracy. Dziękujemy za prezentację i życzymy powodzenia w dalszej działalności. – Spojrzał na Marcina z wyrazem ulgi. Uśmiechał się od ucha do ucha, ale była to wyłącznie nieszczera, aktorska zagrywka.

Jak to, kurwa, nie podejmiecie?! Marcin gotował się w środku. Jak możecie tak, do chuja, powiedzieć? To z kim wy współpracujecie?! Kim trzeba być, żeby podpisać z wami ten pieprzony kontrakt?! Momentalnie opanowała go wściekłość i nienawiść do siedzących naprzeciwko mężczyzn. Miał ochotę napluć w twarz obu cwaniaczkom, zelżyć ich, zwymyślać, pchnąć na brudny chodnik i skopać, aż

stracą dech. Ostatkiem sił opanował frustrację i powoli wstał od stolika. Jakimś cudem przypomniał sobie o etyce i własnych zasadach.

– W takim razie dziękuję za miłe spotkanie – powiedział z szyderczym, bezczelnym uśmiechem, jeszcze bardziej plastikowym niż ten Sulimy. – Mam nadzieję, że jeszcze kiedyś będzie nam dane porozmawiać – dodał spokojnie, jakby nic się nie stało. Podał dłoń obu rozmówcom i rzucił najbardziej uprzejme „do widzenia”, na jakie był w stanie się zdobyć. Wyszedł z restauracji, ledwo powstrzymując się od łupnięcia drzwiami. Przy wejściu stała taksówka. Miał ochotę wybić w niej szybę i kazać kierowcy zawieźć się jak najszybciej do jego jebanego hotelu. Przystanął. Zamknął oczy. Wypuścił powoli powietrze z płuc. Skręcił w prawo i zdecydował się wrócić do pokoju spacerem.

Szedł szybko, starając się nie myśleć o niczym i czuł, jak powoli schodzi z niego pierwsza fala frustracji. Mijając mniej i bardziej pijanych mężczyzn, mniej i bardziej brzydkie dziewczyny, ale wszystkich po równo wkurwiających, podążał ulicą, która kiedyś zdawała mu się synonimem sukcesu, perłą pośród gówna Łodzi. Dzisiaj nienawidził jej, tego miasta, i całego świata. Na nierównej jezdni widział tylko śmieci i odchody, na paskudnych kamienicach kurz i pleśń. Przechodnie gapili się na niego jak ci debile w hotelowym barze kilka godzin wcześniej. Wścibscy i beznadziejni. Znowu zadawał sobie te same pytania – co ich to obchodzi? Po co w ogóle zwracają na niego uwagę? Niech zajmą się swoimi prymitywnymi problemami, a jego zostawią w spokoju.

Pochłonięty myślami, których nie udało mu się uniknąć, minął pomnik Kościuszki na wysokim postumencie i skręcił w lewo. Za chwilę musiał znowu odbić, tym razem w prawo, ale w zasadzie był już pod hotelem. Wystarczyło minąć ruchliwą arterię.

Zza pędzących samochodów widział już narożny pałac jakiegoś dawnego fabrykanta. Tamtemu się udało, jemu pozostało jedynie sypiać po hotelowych pokojach i nigdy nie osiągnąć prawdziwego sukcesu. Frustracja zamieniła się w smutek. Złapał doła, był przygnębiony, czuł się całkowicie zdeptany. Jego, wyjątkowo przecież wysokie, poczucie własnej wartości wyparowało. Nie miał pojęcia, co będzie dalej. W tym spotkaniu upatrywał swojej szansy na sukces w całym dalszym życiu. Chciał w końcu wziąć sprawy w swoje ręce, a nie tylko pracować dla korzyści innej osoby...

Minął pałac i zrewitalizowaną, efektowną bramę do centrum handlowego. Nie dążył do kontaktu z ludźmi, miał ich kompletnie dość. Zamierzał zamknąć się w pokoju i pójść jak najszybciej spać. Jutro chciał jak najprędzej uciec z tego miasta i nigdy tu nie wracać. Musiał wymyśleć nowy plan na życie, chociaż ten poprzedni wydawał się być doskonały.

W końcu dotarł do wejścia do hotelu. Przypomniał sobie, że nawet nie ma pojęcia, która jest godzina. Odruchowo sięgnął po telefon. Zaskoczony zauważył,

że dostał SMS-a. Dziwne... O tej porze? Kto? Jeszcze bardziej zdziwiło go nazwisko, które wyświetliło się na ekranie – Bolimowski. Czego jeszcze chce ta łajza? Chyba sobie kpi... „Panie Marcinie, jesteśmy pod ogromnym wrażeniem. Zachował Pan klasę, pokazał, że potrafi powściągnąć emocje niezależnie od sytuacji. Mamy nadzieję, że nie uraziliśmy Pana naszym «testem». W każdym razie – zapraszamy do współpracy. Jutro o dogodnej dla Pana porze prosimy o telefon, żeby ustalić szczegóły kolejnego spotkania. Z poważaniem, Radosław Bolimowski”.

Stał osłupiały, gapiąc się w ekran telefonu. Nie mógł uwierzyć w treść tej wiadomości. Czyli co, udało się? Jednak? Zaśmiał się głośno. Chcieli tylko sprawdzić moje zachowanie w ekstremalnej sytuacji... Co za ludzie... Świry! Nie... Prawdziwi gracze, lubię takich! Był tak zadowolony z siebie, że nie przeszło mu przez głowę, żeby oburzać się na tego typu zagrywkę. W końcu to on wygrał, mimo że grę prowadziło Wanergy. Osiągnął cel. – TAK! – wrzasnął. Kurwa, warto być perfekcyjnym! Trzeba trzymać fason. Mieć klasę. W każdej sekundzie. W KAŻDEJ pieprzonej sekundzie.

Po kilku chwilach powrócił na hotelowe schody. Z radości aż zakręciło mu się w głowie. Przetarł dłońmi twarz i z szerokim uśmiechem wszedł do budynku, tym razem pusząc się jak paw. Odbił ku windzie, ale kątem oka zauważył, że bar jest jeszcze czynny. Zaświtał mu w głowie dziwny pomysł. Nigdy tego nie robił, ale teraz miał nieopisaną ochotę napicia się wódki. Trochę dla uczczenia triumfu, trochę dla rozładowania napięcia. Po jednym kieliszku kaca nie będzie miał, a na pewno zaśnie mu się łatwiej.

Podszedł pewnym krokiem do baru. Barman, widząc jego zadowolenie, wyprzedził reakcją Marcina.

– Widzę, że wieczór był udany. Co dla pana? – zagadnął z nieskrywanym zaciekawieniem i szerokim, sympatycznym uśmiechem. Marcin spał tutaj od kilku dni, ale bar omijał z daleka za każdym razem. Teraz nawet trochę żałował.

– Wieczór pełen wrażeń, na szczęście z happy endem. Kieliszek jakiejś naprawdę dobrej wódki poproszę. – Barman pokiwał głową i obrócił się zwinnie w stronę galeryjki z butelkami.

– Coś dobrego do toastu? Myślę, że Belvedere się nada – powiedział pod nosem i nie czekając na reakcję Marcina, naszykował zgrabny, gruby i wysoki kieliszek. Wyjął flaszkę z lodówki. Kłęby pary uciekającej z chłodziarki dodały mistycyzmu całemu rytuałowi. Barman przechylił butelkę tuż przed Marcinem. Dobrze schłodzona, gęsta wódka apetycznie lała się do kieliszka. Marcin nieświadomie przełknął ślinę.

– Zapłacę od razu, OK? – spytał Marcin i przesunął kieliszek w swoją stronę.

– W takim razie poproszę osiemnaście złotych i niech panu na zdrowie idzie!

– odpowiedział barman, uśmiechając się delikatnie i zacierając z satysfakcją dłoń.

Marcin wyciągnął z portfela pięćdziesięciozłotowy banknot i wręczył mężczyźnie, porozumiewawczo mrugając okiem. Barman uśmiechnął się szerzej, wyraźnie ciesząc się z sowitego napiwku.

– Za ciężką pracę, która prowadzi do sukcesu! – zawołał głośno Marcin i podniósł wysoko kieliszek. Wziął głęboki wdech i powoli przechylił naczynie, wlewając trunek do gardła. Oj tak... alkohol był wart wydania i stu złotych! Marcin czuł, jak najpierw słodkie nuty głaszczą boki jego języka, a następnie delikatnie zaczynają mrowić go tylne kubki smakowe, przypominając o prawdziwej mocy wódki. Po pokonaniu przełyku alkohol zostawił subtelne i przez to bardzo przyjemne uczucie rozgrzania. Żołądek zareagował euforią na zastrzyk goryczy, dającej nieco ulgi w trawieniu ciężkiej kolacji z Esplanady. Dopiero wtedy Marcin wypuścił powietrze bardzo długim wydechem. Czuł, że ucieka z niego każdy miligram stresu i złej energii, a w ich miejsce rozlewa się czyste jak wypita przed sekundą wódka szczęście.

– Wręczył mi pan napój bogów! – podsumował zadowolony Marcin i głośno roześmiał się. Szczera radość zadźwięczała wesoło, odbijając się echem po pustym hallu. Podziękował barmanowi mocnym uściskiem dłoni i spokojnym krokiem poszedł do windy.

Jak to życie potrafi być różnorodne! Przecież poprzednio wchodził do tej samej windy pełen frustracji i nienawiści, a teraz był oazą szczęścia i spokoju. Bezszelestnie wysiadł z windy i wszedł do swojego pokoju. Nawet nie zapalał światła. Rozebrał się i z namaszczeniem odwiesił, jak się ostatecznie okazało, szczęśliwy garnitur. Będąc już w samej bieliźnie, położył się na szerokim i wygodnym łóżku. Dopiero wtedy dotarło do niego, jak bardzo jest zmęczony i obolały. Mięśnie powoli „odpuszczały”, a miejsce podekscytowania zajmowała senność.

Marcin, kładąc dłonie pod głowę, wyrztał przez ogromne okno. Widział cudownie rozgwieżdżone niebo. Było dzisiaj przepiękne, niezmaczone nawet jedną chmurą. Wesoło pomyślał, że pewnie każda gwiazda pojawia się, kiedy ktoś spełnia jedno swoje marzenie. Zastanawiał się, która z gwiazd jest w takim razie jego, która zapłonęła właśnie tego wieczora.

Przyjemnie było wreszcie odetchnąć. Szybko zweryfikował swoje plany na następny dzień. Już nie zamierzał nigdzie uciekać. Marzył o tym, żeby wrócić na Piotrkowską, zjeść tam pyszną kolację, może poznać jakąś cudowną kobietę. Łódź, chociaż przedziwna i nieznośnie przewrotna, wydawała się rzeczywiście ziemią obiecaną, jak ją nazywali...

Gwiazdy stawały się coraz mniej wyraźne, im bardziej kleiły mu się oczy. Nawet nie wiedząc kiedy, odplłynął w głęboki i spokojny sen.

*

Dzień nie mijał w dobrym tempie, chociaż tytuł kawałka, który właśnie słyszał w słuchawkach, mówił coś dokładnie przeciwnego. Spokój mówił do Emila Blefa tuż przed dotknięciem, a Piotrek marzył o czymkolwiek, co ukoji jego rozedrganie, gnębiące go od samego rana. Niespokojne sny zasnuwały mu umysł jeszcze długo po przebudzeniu. Chodził w nich po jakichś ciemnych i wilgotnych piwnicach, nie mając pojęcia, dokąd właściwie zmierza. Na końcu jednego z korytarzy miał dwoje drzwi do wyboru. Długo nie mógł podjąć decyzji, a kiedy już wydawało mu się, że wybrał te właściwe, obudził się.

Mało tego, od momentu kiedy tylko wstał, do ziemi docisnęły go obowiązki. Tu posprzątaj, tam zajmij się młodym, pomóż mamie z zakupami, pozmywaj, a w ogóle to zacznij w końcu szukać pracy. Codzienne czynności, nawet jeśli mało intensywne, najbardziej wysysają z człowieka siły fizyczne i mentalne. Napełniają frustracją przez swój brak sensu i jednoczesną nieuchronność.

Doprowadzony do skrajności Piotrek wreszcie doczekał późnego popołudnia i końca domowej tyraniny. Pewnie cieszyłby się na tę chwilę, gdyby nie to, że był kompletnie wyczerpany z energii. Wyobrażał sobie siebie jako kawałek mokrej, zmiętej, szarej gazety i nie miał nawet siły śmiać się z tego durnego porównania...

Ciasne ściany mieszkania zdawały się zbliżać do siebie, grożąc, że prędzej czy później rozgniotą Piotrka na papkę. Przytłaczały go, po całym dniu spędzonym w ich obrębie. Marzył o odrobinie przestrzeni i powietrza. Zebrał się na siłach, możliwie niezauważalnie spakował empetrójkę ze słuchawkami, wrzucił luźną szarą bluzę, założył najki i wyszedł z domu. Cel? Poszłać się po mieście.

Pogoda była równie niewyraźna, co jego samopoczucie. Gruba warstwa chmur skutecznie odbierała światu cały możliwy kolor, ale przynajmniej nie było zbyt zimno. No i jakimś cudem Piotrek załapał się jeszcze na światło słońca, a nie latarni. Szary dzień – w sam raz dla szarego człowieka w szarym mieście.

Bezwiednie wyławiał z losowo odtwarzanych utworów te najbardziej smutne i sentymentalne. „Dzień mijał w dobrym tempie”, mimo zachęcającej do optymizmu nazwy, zostawiał dużo miejsca na głęboką refleksję. Nadawał się.

Piotrek nie miał zbyt wielu sił na spacerowanie, więc wsiadł w tramwaj (Szóstkę? Szesnastkę? Któryś z nich...) i pojechał, aż do południowego krańca Łodzi – na Chojny. Utwory ze starych płyt Pezeta, Eldo i Molesty niechętnie wychodziły ze słuchawek, ale świetnie wtapiały się w przesuwające się za otagowaną szybą tramwaju biało-czarne kamienice. Ten warszawski, sentymentalny klimat bardziej pasowałby chyba tylko do deszczowego dnia późną jesienią, gdzieś w śródmiejskich studniach.

Dzisiaj nie interesowali Piotrka ludzie, chociaż o tej porze mijał ich wielu. Siedział na brudnym krzeselku, kompletnie ignorując marudnych współpasażerów. Skupiał spojrzenie na chodnikach i kamienicach, powoli odnajdując harmonię po

tym całym ciężkim dniu, ale...

...cały czas nie wiedział, co począć ze swoją przyszłością. Rzucił szkołę, bo wolał pomóc rodzicom, zarabiając chociaż na swoje potrzeby. Oboje ciężko pracowali. Tato miał szczęście, że po likwidacji zakładów, które od pokoleń żywiły rodzinę, udało mu się załapać do pracy jako zaopatrzeniowiec. Kokosów nie zarabiał, ale mógł trafić gorzej. Większość jego dawnych kolegów z pracy gniło kolejny rok na bezrobociu, z ciężkimi chorobami alkoholowymi na wątrobach.

Mama od niedawna znów pracowała jako szwaczka, była to jedyna rzecz, jaką umiała robić w życiu, i ze śmiechem mówiła, że umrze, szyjąc. Do tego dochodziła głodowa emerytura babci. To wszystko. Z tych środków musieli sobie jakoś radzić w pięć osób.

Dlatego Piotrek popracował trochę, dorywczo, ale kiedy udało się wyprostować finanse po znalezieniu pracy przez mamę, okazało się, że bardziej przyda się w domu. Prawdę mówiąc, nie chciał pracować. Bał się, że etat zabierze mu resztkę pasji z życia. Nie będzie miał już czasu i siły na swoje wędrówki, na książki i rap. Od roku walczył sam ze sobą, nie mogąc zdecydować się na żadną drogę. Wiedział, że rodzice będą chcieli, żeby w końcu się usamodzielniał, skoro nie chce podejmować dalszej edukacji.

Kiedy tramwaj z ogłuszającym zgrzytem zawrócił na krańcówce i Piotrek zajął to samo miejsce, było już ciemno. Patrząc na puste, zapewne cuchnące wilgocią bramy kamienic na Rzgowskiej, przypomniał sobie dzisiejszy sen. Na chwilę przeniósł się z powrotem do tych paskudnych piwnic i uspokoił się. Rozluźnił się pierwszy raz od rana! Jakie cuda potrafiły zdziałać samotne tripy po mieście!

Wreszcie zrozumiał znaczenie nocnej wiadomości. Jego życie było jak ten ogromny podziemny labirynt, w którym miotał się bez celu i koncepcji, widząc tylko brud i półmrok. Musiał w końcu podjąć jakąś decyzję, przejść przez jedne z drzwi, pozbywając się żalu, że nie zajrzał, by sprawdzić, co znajduje się za drugimi.

Momentalnie postanowił jak najszybciej podjąć decyzję – tworzenie rapu czy praca na etacie. Każda z dróg niosła za sobą dużo wad i zalet, które dokładnie analizował już od dawna. Przyszła pora na postawienie kroku na jednej z nich i wzięcie na własne barki ciężaru pracy i odpowiedzialności. Koniec z sentymentami, inaczej zmieni całe swoje życie w ohydną piwnicę, ale tym razem bez drzwi wyjściowych.

Nie zamierzał zmuszać się do podjęcia decyzji od razu. Miał przeczucie, że rozwiązanie przyjdzie do niego poniekąd samo. Zamierzał jedynie trochę pomóc losowi i popробować różnych rozwiązań. Pracy już posmakował i nie był zadowolony, więc trzeba było zagrać teraz drugą kartę. Póki miał dużo wolnego czasu, a ekonomia nie przystawiała mu pistoletu do głowy, mógł pobawić się

w rapowanie. Przyszła pora wyciągnięcia najlepszych tekstów z szuflady i utrwalenia ich jako dźwiękowej wibracji.

Uśmiechnął się, wyobrażając sobie siebie w ogromnych słuchawkach, naprzeciw plujki mikrofonu, w pokoju ozdobionym platonkami po jajkach. Pierwszy raz od bardzo dawna czuł się nieskrępowany sznurem, który wszystkich wiąże najmocniej – wewnętrznymi obawami.

Tramwaj w jakiś niesamowity sposób przestał szarpać się z przystanku na przystanek. Teraz płynął swobodnie przez asfaltowe morze. Światła nabrały ciepła, twarze nabrały pogody...

Nagle zerwał się na nogi i rzucił w kierunku drzwi. Tak bardzo dał ponieść się swobodzie, że prawie zapomniał wysiąść przy Mickiewicza! Łódzkie tramwaje to nie TGV, ale z Chojen do centrum jadą jednak dość zwawo. Nie dają szans bującym w obłokach myślicielom.

Na szczęście błyskawicznie otrzeźwiony Piotrek wcisnął się w zamykające się drzwi. Planował przejść się jeszcze Piotrkowską, zanim wróci do domu. Nie spieszyło mu się do tego nazbyt gwarne przybytku.

Zimny powiew wieczornego wiatru nieprzyjemnie przeszył lędźwie. Piotrek poprawił bluzę, żeby choć trochę odizolować się od chłodu. Było nie było, mieliśmy dopiero marzec, nie wszystkie wieczory bywały tak przyjemne, jak ten wczorajszy...

Przechodząc przez wyludnione skrzyżowanie, przypomniał sobie wczorajszy wypadek. Na myśl o tym przedziwnym zdarzeniu przeszyło Piotrka nieprzyjemne ukłucie. Nie była to sytuacja, do której chciał wracać. Myśl o tym, że został uznany za lumpa i brudasa nie dawała mu spokoju. Co miał na myśli ten gość, mówiąc takie słowa? Czym kierują się ludzie, wydając podobne osądy? Jakie w ogóle ktokolwiek ma prawo oceniać drugą, nieznaną osobę?

Dla Piotrka było to tym bardziej trudne do zrozumienia, że ani on sam, ani nikt z jego otoczenia nie oceniał nikogo w żaden sposób, a już na pewno nie po wyglądzie. Wielokrotnie debatował z kolegami, że każdy ma prawo do życia po swojemu i jedyną osobą mogącą oceniać Pana X jest sam Pan X. Widać nie każdy myślał podobnie...

Piotrek splunął mimowolnie tuż przed wejściem na Piotrkowską. W ciągu tygodnia ulica nie przedstawiała się specjalnie imponująco. Ludzi było na niej niewiele, a okazałe kamienice, choć kolorowe, szarzały w kontakcie z ciemnoszarą kostką brukową jezdni. Latarnie z trudem pokonywały mrok, produkując więcej cienia niżli światła. Królowa łódzkich, a może i polskich ulic dziś była raczej Kopciuszkiem. I to bez nadziei na spotkanie księcia w najbliższym czasie.

Piotrek spacerował powoli, chłonąc zmysłami miasto. Charakterystyczny zapach tłustego jedzenia niosący się z łódzkiego mini-Chinatown skłonił go do spojrzenia na posępne, wysokie mury dawnej fabryki Ramischa. Może sprawił to

przypadek, a może przeznaczenie, że jego uwagę przykuł wiszący na ogrodzeniu brązowo-bury plakat. Nie wyróżniał się spośród innych posterów ani efektowną grafiką, ani kolorem. Jednak to właśnie w jego treść wczytał się Piotrek, bo tylko na nim znajdowało się słowo „freestyle”.

Plakat banalnie informował o odbywającej się dzisiaj wolnostylowej bitwie w klubie Blak. Rzekomo były to amatorskie mistrzostwa Łodzi. Początek pierwszego starcia zaplanowano na 22.00. Wpisowe w sumie śmieszne – dwadzieścia złotych, plus wejściówka za dychę... Piotrek postąpił chwilę przed posterem. „Niech wygra najlepszy” – pomyślał i zostawił smutne ceglane ściany Ramischa za sobą.

Nie zdążył przejść przez Nawrot, kiedy zorientował się, że sięga do kieszeni po portfel. Zatrzymał się tuż przed skrzyżowaniem. Otworzył raczej pusty skarbiec i pobieżnie spojrzał, ile mu zostało pieniędzy. Dwadzieścia złotych i jakieś drobniaki. Całkiem nieźle, jak na jego możliwości. Schował portfel i już miał znów ruszać, kiedy ciekawość wzięła górę.

Tym razem otworzył kieszonkę na drobniaki i zaczął szybko liczyć bilon. Złotówka, druga, trzecia, dwa złote... to już pięć. Pomału przeliczał groszówki – tu pięćdziesiąt, tam dwadzieścia, dziesięć, nawet jakieś piątki. Uzbierało się tego prawie dwa zyle. Za mało... Zresztą nie będzie płacił takimi śmieciakami.

Nie wiedzieć czemu poczuł się zawiedziony. Nie planował iść na imprezę, a jednak żałował, że na bilet wstępu brakuje mu piąta. Przecież nie pójdzie błagać, żeby mu to darowali, bo mu nie styka. Może jeszcze zapyta, czy rozłożą na raty? Z niezadowoleniem pokręcił głową i rozgoryczony przeszedł przez ulicę.

Dopiero po kilku chwilach zorientował się, że w zasadzie na imprezę mógłby iść. Nawet starczyłoby mu na piwko, żeby nie stać z pustymi rękami. Brakowało mu na wpisowe, ale... jakie to miało znaczenie? Przecież ci kolesie, którzy będą tam startować, pewnie trenują od dawna, a on tylko raz na jakiś czas nawijał z kumplami na podwórku famuły. Fakt faktem, lubił to i sprawiało mu to przyjemność, ale nie przesadzajmy! Z czym do ludzi?!

Trzeci Wymiar nawijał o tym, że są inni niż wszyscy, a Piotrek wolno mijając kolejne przecznice, zbliżał się do placu Wolności. Zapomniał już o brakujących pięciu złotych, dał się ponieść rymowanej narracji wałbrzyskiego składu. Z daleka na całą Łódź zerkał ledwo widoczny z perspektywy ulicy Kościuszko. Walczył o wolność, stał się symbolem walki Polaków o niepodległość, ale fakt jest taki, że każdy musi swoją walkę o wolność staczać każdego dnia. To od nas samych zależy, czy postawimy swój postument na własnym placu Wolności.

Piotrkowska, chociaż długa, kiedyś się kończy. Z placu Wolności Piotrek poszedł prosto, Nowomiejską do Śledzia. Kościuszko znów stał się historią, Piotrek sunął dalej, tworząc własną. Uśmiechnął się gorzko, kiedy ze słuchawek poleciały „Pieniądze”. Goście, których nie znał, nawijali o kasie, siedząc w ciemnym parku.

On myślał o kasie, idąc przez ciemny park. Nie był sam ze swoimi rozterkami. Za to kochał rap.

Wszedł na Zachodnią, czując, jak rozlewa się po nim ciepłe światło latarni. Jakby ktoś wylał jakiś tajemniczy płyn, który płynie tylko ulicami, ale nie zagłębia się w zakamarki. Nie miał ochoty spotykać dziś kogokolwiek pod hotelem, więc odstał swoje na światłach i szedł już drugą stroną Ogrodowej. Kilka szybkich kroków i zniknął w cieniu bramy famuły pod numerem 24. Po cichu wskoczył na klatkę schodową (tu już nie docierała plama światła) i zmierzał do mieszkania. Dziś żadnych spotkań z kolegami. Chociaż miał ochotę na piwko, to niekoniecznie na pogawędkę. W ogóle nie miał ochoty na ludzi, dlatego do domu szedł jak na skazanie...

Nagle jego wzrok przykuł błysk na podłodze. „Pewnie gwóźdź, albo jakiś śmieć”, pomyślał, ale i tak się zatrzymał. Przyjrzał się uważniej i zobaczył, że przedmiot jest zdecydowanie większy i zdecydowanie bardziej użyteczny niż gwóźdź. Na podłodze leżała pięciozłotówka. Od razu pojawił mu się przed oczami plakat informujący o wieczornej bitwie. „Bingo!” – zawołał do siebie w myślach i szybko podniósł monetę z podłogi. Uśmiechnął się szeroko, tym bardziej że Trzeci Wymiar właśnie gadał do ucha: „Umiejętności? U mnie jest dość ich!”. Dobrze wiedział, że teraz nie ma wyboru – pozostało mu zgłosić się do klubu o wyznaczonej godzinie i zadebiutować na łódzkiej scenie. W zasadzie był już zdecydowany, żeby gdzieś w domu wykombinować brakującą piątkę, ale wobec takiej sytuacji był bezradny. Znaleziona moneta była kluczem do piwnicznych drzwi z jego snu. Dzisiaj już wiedział, za którym wejściem kryje się to, co kocha najbardziej – hip-hop.

Przez cały wieczór Piotrek był kompletnie nieobecny, myślał już tylko o tym, co czeka go w nocy. Dla świętego spokoju ostrzegł rodziców, że wychodzi i nie wie, o której wróci, wołał żeby pomarudzili teraz, niż żeby mieli marudzić po jego powrocie. Coś pogadali o obowiązkach na jutro, ale nawet nie zarejestrował, o co konkretnie im chodziło. Tylko kiwał głową, czekając, aż skończą głądzić. Nic nie było ważniejsze od dzisiejszego wydarzenia.

Minuta po minucie (bo oczywiście wlokły się bezlitośnie) nastawiał się coraz bardziej bojowo. Postanowił, że skoro zgłasza się do bitwy o mistrzostwo Łodzi, to powinien walczyć o zwycięstwo. Nie chciał zostawiać miejsca na kompleksy chłopaka z biednego domu. Rap nie pyta, skąd i kim jesteś, rap pyta, czy masz umiejętności i determinację. Od wpół do dziewiątej bębnił palcami w biurko, doprowadzając do szału brata, ale młody odpuścił, kiedy zobaczył, że jego pretensje trafiają w pustkę.

W końcu wybiła 21.00! Piotrek ubrał się w swoje najlepsze ciuchy i chociaż wiedział, że nie będzie wyglądać najlepiej ze wszystkich zawodników, nie zamierzał się tym przejmować. Zatrzasnął drzwi, a za nimi zostały skromność,

niepewność i strach. Zdecydowanym krokiem wrócił na ulice Łodzi. Do klubu szedł tą samą drogą, którą wcześniej przeszedł, rozmyślając o Kościuszcze i wolności.

Mimowolnie spieszył się. Droga, którą zwykle pokonywał w pół godziny, zajęła mu teraz niecałe dwadzieścia minut. Znów patrzył na plakat, wciąż nie wyróżniający się na tle posępnych murów dawnej fabryki. Nie zważał już na to. Bez refleksji przekroczył furtkę wprowadzającą w świat klubów, które zagnieździły się w dziedzictwie Ramischa. W sumie fabryka nie zmieniła się wiele, od kiedy otworzono w niej „Off-strefę”, tyle że wprowadzili się do niej młodzi – kreatywni. Nieme, groźne mury zerkały z zaciekawieniem w lokale, w które wprowadziło się życie.

Piotrek zagłębił się w to fascynujące królestwo i po chwili stał już przed wejściem do Blak. Kupił wejściówkę za uciulane drobniaki, śmiejąc się w duchu z samego siebie i wszedł w chmurę papierosowego dymu, za którą dudniła muzyka. Soczyste hip-hopowe brzmienia nastrajały go coraz lepiej. Miał przeczucie, że ten wieczór będzie należał do niego, chociaż nie mógł przewidzieć, co to właściwie będzie oznaczać. Ominął płatną szatnię jeszcze bardziej rozweselony – specjalnie nie ubierał kurtki, żeby nie płacić za możliwość jej odwieszenia.

Wszedł na główną salę. Gibało się na niej sporo wiary, wyglądali w większości na zajawkowiczów. Wymagająca publika. Spojrzał na zegarek – 21.30. Pewnie ostatni dzwonek, żeby zgłosić się do bitwy. Szybko rozejrzał się po sali i zobaczył dwóch typków siedzących na scenie.

Biorąc pod uwagę to, w jaki sposób patrzyli z góry na resztę towarzystwa, należało uznać, że to organizatorzy. Kiedy Piotrek wgramolił się na scenę, został przez nich fachowo obmierzony z góry do dołu. Nawet nie zwrócił na to uwagi, co wyraźnie nie spodobało się cwaniaczkom. Musieli się tym bardziej wkurzyć, kiedy ten bezczelny gnojek, na jakiego wyglądał Piotrek, walnął bez pardonu: – U was mogę zapisać się na bitwę?

Trudna codzienność nauczyła go być bezpośrednim i nie bawić się w żadne kurtuazje. Miał głęboko w poważaniu fakt, że mogło to nie pasować takim kozakom jak ci, którzy stali przed nim. Jeden z nich, trudno powiedzieć który, bo obaj wyglądali w zasadzie identycznie, uznał, że temu miernie odzianemu młokosowi trzeba odpowiedzieć.

– Ta, u nas. Masz zajebistego farta, że brakuje nam akurat jednej osoby do ósemki, bo inaczej kazałbym ci spierdalać w podskokach, szcurku. Wypadałoby zapisywać się wcześniej, nie sądzisz? – wysyczał, krzywiąc przy tym swoją niezbyt ładną buźkę.

Piotrek uśmiechnął się. Nie stracił ani krzty pewności siebie.

– Nie wiem, do której trzeba się zapisywać na wieczór z tobą, ale widzę po twoich oczach, że nie odpuścisz okazji przytulenia dwóch dyszek za mój udział

w bitwie... – odpowiedział. Drugi gość roześmiał się głośno. Piotrek wiedział, że celnie trafił. – Więc może zamiast mi ubliżać powiedz, na jakich zasadach walczymy i kiedy zacznę.

Luzak już luzakiem być przestał. Zesztywniał w moment, a grymas zdawał się wykręcać jego twarz na drugą stronę. Splunął na deski i sucho odpowiedział Piotrkowi:

– Zacznieś zależnie od losowania. Walczycie tak, jak wypadnie, ćwierćfinał, półfinał i finał, żadna filozofia. Każda bitwa to dwa wejścia po minucie, plus ewentualnie dogrywka. O awansie decyduje jury, tyle. Mam nadzieję, że coś potrafisz, bo widzę, że gębę masz raczej pyskatą. Dawaj kasę i czekaj na losowanie koło dziesiątej.

Piotrek bez słowa dał gościowi wpisowe i już miał schować się w gęstniejącym pod sceną tłumie, kiedy tamten zawołał...

– Czekaj, łajzo! Przydałaby mi się jakaś twoja ksywka, chyba że jesteś tak cienki, że wolisz występować jako bezimienny?

Znów słysząc rechot drugiego typka, najwyraźniej ogromnego wesołka, Piotrek odwrócił się i rzucił twardo: „Iwan Bezdomny”, po czym zniknął tak szybko, jak się wcześniej pojawił.

Rozmowa z tym nabzdyczonym lalusiem zirytowała Piotrka. O ile wcześniej myślał tylko o tym, żeby po prostu dać z siebie sto procent, teraz chciał atakować od początku. Skoro jako nikomu nieznaną płotką był niedoceniany, to zamierzał pokazać, że płotka też potrafi boleśnie ugryźć. Do tej pory zamierzał udowodniać coś tylko sobie, ale po zapisach zyskał kolejną porcję motywacji.

Podszedł do baru, chociaż wiedział, że nic nie zamówi, bo nie ma za co. Oparł się wygodnie o ladę i obserwował wesoło bawiących się w tłumie ludzi. Zastanawiał się, z kim przyjdzie mu się zmierzyć.

Niezależnie od przeciwnika zamierzał rapować inteligentnie. Wiedział, że agresywny styl nie oznaczał jedynie obrzucania przeciwnika stertą przekleństw. Najgorsze, co mogło się trafić, to wplątać się w bezsensowną wymianę bluzgów z tępym przeciwnikiem, który sprowadzi go do swojego poziomu i pokona doświadczeniem. Starał się pamiętać też o tym, żeby uważnie słuchać tego, o czym nawija rywal, i szukać słabych punktów. Wiedział też, że publiczność będzie kibicować znanym MC, jeśli takowi się tu pojawią. Pewnie większość z nich ma po grupce znajomych pod sceną. On mógł liczyć na poparcie tłumu tylko dzięki umiejętnościom.

Kilka chwil przed 22.00 na scenie pojawił się młody, luźno ubrany konferansjer. Muzyka ucichła. Publiczność, wyraźnie czekająca na wydarzenie, zareagowała całkiem konkretną wrzawą. Ludzie, którzy wybrali się dziś do Blak, kumali, o co chodzi w podziemnych turniejach freestyle'owych. To dobrze, bo im więcej ogarniętych głów, tym większa szansa na to, że w turnieju nie wygra

koleżka organizatora, a rzeczywiście najlepszy zawodnik.

– Cicho, cicho, cicho sza! – zaczął rozbawiony konferansjer. – Siemano wszystkim! Jestem Dobry MC, a ze mną jest DJ Konar, zróbcie dla niego hałas, bo później nie będzie okazji! – Publika łupnęła jeszcze większym hałasem niż na początku. Wodzirej znał się na robocie, podobnie jak DJ, który przywitał się z publicznością kilkoma dobrze sklejonymi skreczami. Impreza w takiej atmosferze zapowiadała się naprawdę obiecująco.

– Słuchajcie, jest dzisiaj temat do obgadania! – ciągnął prowadzący, nie zważając na tumult spod sceny. Wiedział, co robi, hałas ucichł po chwili. – Dzisiejszego wieczora ośmiu zajebistych freestyle’owców zaatakuje nas swoimi najlepszymi panczami, rymami i przekminami. Będziemy świadkami wypełnienia na świat najlepszego łódzkiego MC z podziemia. Nie wiem jak dla was, ale dla mnie zapowiada się to co najmniej tak zajebiście, jak darmowa dolewka coli w McDonald’s! – wykrzyknął na koniec Dobry MC, czym doprowadził spragnioną rapu publikę do wrzenia. Piotrek uśmiechał się, kiwając głową z aprobatą dla charyzmy typka.

– Dobra, starczy tego pierdzielenia, teraz pora na konkrety – nie przestawał nadawać gaduła, machając ręką i dając znak do uciszenia się. – Że będzie ośmiu MC, już wiemy. Ja już wiem i wy w zasadzie też, że walczyć będą ze sobą niczym Manchester United z Milanem w fazie pucharowej Ligi Mistrzów. Mecz i rewanż – czyli po dwa wejścia po minucie każdy. Będziemy mieć ćwierćfinały, półfinały i finał. Trzeciego miejsca brak, więc – panowie! – starajcie się w każdym pojedynku na maksa! A o tym, kto przejdzie dalej, decydować będzie legendarne w łódzkich kręgach „żuri” w składzie: Tronek, Hebel i Ó-kwiał! Już niejednego cienkiego MC odesłali do domu, czy to jako zawodnicy, czy jako sędziowie, zróbcie dla nich hałas! Przy akompaniamencie gigantycznej pompy na scenę weszło trzech względnie starszych gości. Każdy kiwnął ręką w stronę publiczności i zgodnie usiedli na sofie, z boku sceny.

– Oficjeli już znamy, każdy jak Pierluigi Colina, bo równie brzydzy, ale, moi drodzy, nie siadamy! Pora poznać ksywki naszych zawodników i dowiedzieć się, kto z kim skrzyżuje mikrofon! – Pod sceną zapadła pełna napięcia cisza. – Na początek poznamy naszych zawodników, ośmiu znakomitych, młodych MC, każdy z nich gotów podbić nie tylko łódzką scenę! Tłuc się ze sobą będą: Matys, GieTy, Krypton, Butek, KŻywy, Umlaut, Lotnik i Iwan Bezdomy.

Piotrek miał już pewne rozpoznanie. Matys, Butek i Lotnik dostali hałas od całej publiki, pewnie byli najbardziej znani. Na KŻywego i GieTa reagowały grupki znajomych. Na niego, Umlauta i Kryptona reagowali najciszej – to pewnie była grupa nieznanych. Miał nadzieję być najlepszym z całej tej paczki.

– Wiem już kto, ale teraz pytanie brzmi – jak w „Modzie na sukces” – kto z kim i dlaczego wszyscy z Ridgem? Mam tutaj fajnego full-capa znalezione

przypadkiem na backu. Ó-kwiał mówił, że jest gotów poświęcić swój hełm dla dobrej sprawy, więc maszyna losująca została zalegalizowana. Teraz pytanie tylko – kogo komu ześle los? – Dobry MC gadał jak nakręcony, chyba nawet barmani byli rozbawieni jego bajerowaniem. – Pozwolę sobie poprosić mojego dobrego kolegę, Konara, o losowanie kolejnych zawodników. DJ-e, jak dzieci i ryby, głosów nie mają, więc może wyciągać te karteczki, bez obawy, że coś wygada, zanim ja to ogłoszę. – Salwa śmiechu przetoczyła się pod sceną. – Także, moi drodzy, ladies and gentleman, rozpoczynamy losowanie! Konar – do dzieła! – Podczas wyciągania pierwszej karteczki panowała całkowita cisza. DJ zamieszał w czapce i podał zapisany skrawek papieru Dobremu. Ten rozwinął ją, uśmiechnął się i zawołał: – Na początek tajemniczy nieznamy – Iwan Bezdomny! – Publiczność zaszemrała cicho. Nikt nie miał pojęcia, kim jest wylosowany zawodnik. Piotrek uśmiechał się delikatnie. W sumie był zadowolony – to oznaczało, że będzie walczył pierwszy. Miał okazję zaskoczyć publiczność, jeśli oczywiście wystarczy mu umiejętności.

W międzyczasie DJ Konar wyciągnął drugą karteczkę. – Rywalem Iwana będzie... Lotnik! Szykuje się ciekawa walka! – Szmer podniecenia przebiegł po sali, jakby elektryzując powietrze. „Jeśli spadać to z wysokiego konia” – pomyślał Piotrek. Nie roztrząsał, na kogo trafił, nie miało to wielkiego znaczenia dla debiutanta. Zresztą jeśli chciał wygrać, musiał i tak pokonać wszystkich najlepszych. Zaczął skupiać się na walce.

Hałasy dochodzące ze sceny i gwar publiczności wydawały się coraz odleglejsze. Z całego tego szumu Piotrek wyłapał, że w dalszym losowaniu KŻywy trafił na Umlauta, co oznaczało, że ewentualnie z którymś z nich Iwan zmierzy się w kolejnej rundzie. Reszty już niedosłyszał, bo przepychał się pod sceną. Piotrek własnymi zmysłami odbierał to, co do tej pory było tylko wyobrażeniem – ogłuszający hałas, klubowy zapach alkoholu, papierosów i perfum, ścisk pośród wielu rozentuzjasmowanych głów i widok oświetlonej sceny... Serce łomotało, krew pędziła w tętnicach niczym górski potok po ulewie, w głowie szumiało – a z tego wszystkiego miało powstać rymowane słowo. Przerazające... – No to już pozamiatane, reklamacji nie uwzględniamy! – Dobry skończył losowanie i wziął się za rozkręcanie bitwy. – Wiemy, kto walczy z kim, więc pora rozpocząć tę słowną kanonadę! Na dobry początek bardzo ciekawe zestawienie – tajemniczy, chyba sobie tylko i własnej matce znany, ale na pewno waleczny i niebezpieczny Iwan Bezdomny, kontra już nieco otrząskany w łódzkich kręgach, dzierzący mikrofon nie po raz pierwszy w życiu, mówiący o sobie, że zjada słabych MC na śniadanie zamiast jajecznicy – Lotnik! Zróbcie zajebisty hałas dla obu! – wrzasnął Dobry, a tłum huknął potężnie.

Piotrek wziął głęboki wdech i wgramolił się na podwyższenie. W tym samym czasie z backstage'u wyszedł nieco wyższy od niego, szczupły i luźno

ubrany w ciuchy Massa zawodnik. Wyglądał na bardzo pewnego siebie, cały czas kiwając głową czy ręką do znajomych spod sceny. Czuł się jak ryba w wodzie, albo raczej – jak ptak w locie.

Zawodnicy przybili ze sobą piątki i spojrzeli sobie krótko w oczy. Żaden nie wyglądał na zestresowanego, chociaż obaj gotowali się od wewnątrz, przygotowani do bezlitosnej batalii. Serca dudniły, wbijając bojowy rytm niczym tam-tamy. Chociaż była to jedynie „podwórkowa” impreza, jej stawka wydawała się sięgać najwyższych szczytów. Dla jednego była to szansa na zaistnienie, dla drugiego – szansa na potwierdzenie umiejętności i wyrobienie nazwiska. Wygrać mógł tylko jeden i tylko jeden mógł osiągnąć swój wymarzony cel. – Część powitalną mamy za sobą, to miło – zagadnął Dobry i wręczył chłopakom mici. – Trzymajcie, panowie, po mikrofonie, ja przypomnę szybko, że macie dwa wejścia po minutce, pierwsze na temat, drugie całkowicie dowolnie. Mam do was jednak osobistą prośbę. Rozpierzdocie tę salę, bo dzisiejsza publiczność zasługuje na to ogromnie! – wrzasnął i ogromny hałas przetoczył się po sali. Lotnik uśmiechał się szeroko, Piotrek poczuł ciarki na plecach i mimowolnie uniośł kąciki ust do góry. To było to!

– Iwan, zaczniesz ty... – powiedział Dobry i ukuł palcem w pierś Piotrka – ...bo byłeś wylosowany pierwszy, a temat dla ciebie to... – prowadzący zamyślił się na chwilę – ...koślawe nogi! Jedziesz, bracie, powodzenia!

Przybił z Piotrkim piątkę i odsunął się na bok. W tym momencie z głośników poleciał bit do kawałka Nasa „Nas Is Like”. Piotrek pokiwał głową, czuł się, jakby to był finał, TEN finał, WBW 2004. Kto wie, może jego też kiedyś tam poniesie? Przełknął ślinę, poczekał do końca pętli, zamknął na chwilę oczy, a kiedy je otworzył...

...stał na środku sceny, nie dowierzając w to, co się dzieje dookoła. Kolejne osoby o identycznych twarzach podchodziły do niego, przybijały piątki, składały mu gratulacje, obsypywały propsami. Trafiło się nawet kilku, którzy mówili, że chętnie by go widzieli w swojej ekipie, cokolwiek to miało oznaczać. Piotrek uśmiechał się szeroko, chociaż nie miał pojęcia, jak odnaleźć się w tym galimatiasie. Na zaczepki odpowiadał tak, żeby zbyć pytającego, czasem przytakując, czasem jednoznacznie przecząc, zostawiając po tym wieczorze wielu typków z dużymi znakami zapytania w głowie – o co temu Iwanowi chodziło?

Piotrek niespecjalnie baczył na cokolwiek. Miał wrażenie, że każdy, kto był w najbliższej okolicy klubu, chce podejść do niego i przybić mu respekt. Poniekąd właśnie tak było. Rzeka gości, którzy chcieli chociaż chwilę ogrzać się w blasku fejmu nie miała ani źródeł, ani ujścia. Ot – ludzie kochają zwycięskie Kopciuszki.

W końcu frekwencja wokół niespodziewanego króla-elekta zaczęła maleć. Wtedy do Piotrka zaczęła powoli docierać świadomość osiągniętego przed chwilą

sukcesu. Trafił na te zawody zupełnie przez przypadek i... wygrał je. Bez treningu, bez przygotowania, bez grupy ziomali pod sceną, nawet bez imienia. Po prostu stawał na scenie i w każdej walce dawał z siebie maksimum możliwości. Najpierw w ćwierć-, później w półfinale, a na końcu w decydującej fazie był zwyczajnym gadaczem rymów, żadnym mistrzem. Chociaż... już po pierwszym wejściu czuł się zaskoczony, że jest w stanie wykrzesać tak dużo z freestyle'owej części swojego umysłu...

W Lotnika wjechał z poszanowaniem godnym megatonowej bomby, deklasując go w ciągu pierwszych sześćdziesięciu sekund. Wyjadacz z trudem kleił wersy, totalnie nie radząc sobie z presją, jaka urosła do monstrualnych rozmiarów podczas nawijki Piotrka. Iwan przeszedł dalej jednogłośnie, trafiając w „połówce” na KŻywego. Ten znowu tak bardzo podjarał się wygraną na starcie, że zdrowo przesadził z wódeczką i mimo starań popłynął na scenie równie skutecznie, co przy barze.

Za to finał... Piotrek wiedział to już dziś – był czymś, co wspomina się latami. Matys, który okazał się jedynym oprócz Iwana zawodnikiem bez problemów z psychiką i używkami, do finału wpadł z drzwiami, futryną i sporą częścią nośnej ściany, niemal furczał w bitewnym amoku. W decydującej bitwie oba wejścia pojechali konkretnie, każdy wspinając się o szczebelek wyżej od przeciwnika. Jury nie chciało jednoznacznie decydować, trzy razy prosząc o dogrywkę. Piotrek wpadł wtedy w jakiś trans, jakby z każdą przeszkodą dostawał ładunek mocy prosto do bani. Raz Matys się obronił, drugi raz pojechał może nawet nieco lepiej, ale nie na tyle, żeby wygrać, aż wreszcie... po prostu opadł z sił. Przez ostatnie trzydzieści sekund sprawiał wrażenie, jakby miał po prostu dość i mimo że pocisnął poziomem godnym finału, to na tle Piotrka wypadł miernie.

Dlatego właśnie to Iwan sterczał teraz pośród niedobitków widowni, zbierając ostatnie gratulacje i wciąż zastanawiając się, o co tu właściwie chodzi. Z zadumy wyrwało go głośnie, głośniejsze od wrzawy tłumu wołanie.

– Bezdomy! Bezdomy! – próbował przebić się przez solidny bas jakiś desperat. Piotrek odwrócił się w kierunku, z którego dobiegał głos, chociaż później zastanawiał się, czemu tak zareagował. Przecież pierwszy raz w życiu używał tej wymyślonej parę chwil temu ksywki... Zmrużył oczy i za papierosowym dymem zobaczył gościa, u którego wcześniej się zapisywał. Wywnioskował, że to coś ważnego... Nieco oprzytomniał i precyzyjnie się przez tłum. Podszedł do luzaka triumfalnie się szczerząc.

– Co jest? – powiedział. – Popracowałeś nad nastawieniem i postanowiłeś naprawić swoje grzechy? – spytał szorstko Piotrek, wciąż się uśmiechając. W sumie sam później zastanawiał się, skąd wzięła się u niego taka pewność siebie i opryskliwość...

Mniejsza. Ku swojemu zaskoczeniu nie usłyszał w odpowiedzi pyskówki, tylko głośny, szczery śmiech.

– Poniekąd, kolego, poniekąd – odpowiedział tamten. – Przede wszystkim moje gratki, pozjadałeś tych wszystkich pozerów, zanim zdążyli się zorientować, co ich podgryza. – Mrugnął okiem i wyciągnął do Piotrka dłoń. Ten uścisnął nieznanomego mocno, wciąż nastawiając się na konfrontację, chociaż... nie krył też zaciekawienia.

– Może nie okazałem ci tego na początku, ale liczyłem, że ktoś pokaże tym gwiazdorom, na czym polega prawdziwy hip-hop. – Kontynuował gość. – Oni tu przyszli, w większości, żeby móc później umoczyć jakieś nastoletnie panienki, ewentualnie żeby załapać się na kilka darmowych kolejek od koleżków łaknących znajomości z fejmem. Tak wygląda dzisiejsze podziemie... – skonstatował smutno. Piotrka zaskoczyła zmiana, jaka zaszła w nastawieniu jego rozmówcy. Chyba nie był takim gburem, na jakiego wyglądał.

– No cóż, nie zamierzałem nikomu poza sobą nic udowadniać – odpowiedział Piotrek, będąc wciąż bardziej kaśliwym, niż zamierzał być. – Poza tym, wiesz... chętnie podyskutuję z tobą na temat sytuacji hip-hopu i polskiego podziemia, ale najpierw wolałbym dowiedzieć się, kim jesteś i czego w sumie chcesz ode mnie?

Tamten znowu zaśmiał się dźwięcznie.

– Imponujesz mi bezpośredniością, Iwan. Mało jest teraz takich jak ty. Ja jestem Miński, ale wolę, jak znajomi mówią na mnie po prostu Michał. To już twoja decyzja, którą wersję wybierzesz. – Piotrek zauważył, że jego rozmówca jakby spoważniał. – Jestem organizatorem tego całego zamieszania, podobnie zresztą jak większości innych imprez w tym mieście. Staram się, żeby jakoś ta scena wyglądała, chociaż lekko nie jest, co sam pewnie z czasem zauważysz... Zresztą co ja ci zawracam gitarę, są ważniejsze sprawy. Chociażby nagroda dla ciebie – skwitował, nieśmiało spuszczać wzrok na ziemię. Gryzło się to z jego wcześniejszym wizerunkiem...

– Nagroda? – spytał Piotrek. Był nieco zaskoczony, zarówno podjętym tematem, jaki i postawą Michała. – Nawet nie wiedziałem, że jest coś do wygrania, poza... dyplomem i uściskiem dłoni prezesa – dodał i uśmiechnął się szeroko. Musiał w końcu odpuścić.

– Widzisz, kolego, jak Miński bierze się za organizację, to o pietruszkę się nie walczy! – zawołał, wyraźnie pewniejszy po rozluźnieniu atmosfery przez Piotrka. – Wiele tego nie ma, za pierwsze miejsce dwie stówki, za drugie Matys dostał stówkę, ale lepsze to niż nic. Chodź do kanciapy, to ci wypłacę kasę. W ogóle znajdziesz może chwilę na pogawędkę? Stawiam piwko zwycięzcy. – Spojrzał na Piotrka pytająco i chyba ze sporą nadzieją. Piotrek specjalnych planów nie miał, szczególnie po tym, jak dowiedział się, ile zarobił tego wieczora. Mama

chyba wybaczy mu, jeśli jutro się troszkę poobija, po tym, jak przyniesie do domu dwieście... no, sto pięćdziesiąt złotych.

– Chyba dam się namówić, w sumie nigdzie mi się nie spieszy – odpowiedział. – Zastanawiam się tylko, czemu zawdzięczam taką przemianę w twoim nastawieniu do mnie? Nie wierzę, że zaimponowałem ci umiejętnościami i stwierdziłeś, że z łajzy w magiczny sposób zmieniłem się w znajomego, którego zapraszasz na piwo do swojej kanciapy... Nie lubił niewyjaśnionych sytuacji.

Miński zmierzył Piotrka badawczym spojrzeniem i pokręcił z rezygnacją głową.

– Znasz się na ludziach, z tego co widzę. Potrafisz obserwować. Myślę, że znajdziemy wspólny język. A co do mnie i moich jazd... powiedzmy, że taki mam charakter, najpierw biję, a potem patrzę, w kogo wałęnałem. – Uśmiechnął się ponuro. – Przynajmniej wiem, że jeśli ktoś planuje się ze mną zaprzyjaźnić, naprawdę mu na tym zależy. Poza tym... Każdy ma jakieś przyzwyczajenia. – Skwitował i pospiesznie otworzył drzwi do kanciapy, wskazując Piotrkowi ręką, żeby wszedł do środka. – Tyle ci musi póki co wystarczyć. Właź i siadaj, ja skoczę po piwka. – Nie czekając na odpowiedź, odwrócił się i ruszył w stronę pustoszejącego już baru, a zaciekawiony Piotrek wyjrzał za nim. Wzruszył ramionami i wszedł do zawałonego papierami pomieszczenia ze stolikiem i dwiema skórzanymi kanapami po środku. Czekał dosłownie chwilę i Michał wkroczył dumnie, niosąc kilka solidnie schłodzonych butelek i dwie szklanki. Piotrek zaśmiał się w duchu, uświadamiając sobie, gdzie był i co robił jeszcze kilkanaście godzin temu. Plakat musiał być zaczarowany, bo fascynujący wieczór wcale się nie kończył...

*

Tak powinno się budzić. Naturalnie, łagodnie, z doskonałym samopoczuciem. Nawet bez spojrzenia na zegarek Marcin wiedział, że jest dość wcześnie. Mimo że dzień wcześniej położył się spać po północy, to już o ósmej leniwie przeciągał się w łóżku i cieszył oko widokiem nieskazitelnego porannego nieba. Jeżeli każdy człowiek posiada takie chwile w życiu, kiedy czuje się dosłownie idealnie, to Marcin znajdował się właśnie w tym stanie.

Nic go nie bolało, nic go nie martwiło. Miał przed sobą cały Boży dzień, kompletnie bez planów, a jednocześnie otwierający mnóstwo zachwycających możliwości. Trzymał w garści wolność, o jakiej marzy każdy. Pił szczęście prosto ze Świętego Graala.

Tuż po przebudzeniu pozwolił rozplynać się myślom po wszystkich zakamarkach jaźni. Jakby na życzenie nie pojawiały się żadne o skomplikowanych zadaniach, przed jakimi stanie po wczorajszym sukcesie. Widział oczyma wyobraźni śliczne kobiety zawadiacko uśmiechające się do niego. Widział

uspokajające bezkresne łąki, wzdłuż skąpanej w słońcu, pustej autostrady, pełne różnokolorowych kwiatów i beztrosko pasących się zwierząt. Widział miasto, jakby w pierwszy dzień wiosny, a do tego w niedzielę – leniwe, bez korków, pełne roześmianych, młodych ludzi zasiadających w eleganckich kawiarenkach i restauracjach. Czuł się po prostu dobrze.

Delikatnie przypominające o sobie uczucie głodu przekonało Marcina o tym, że warto szybko ogarnąć się i pójść na porządne śniadanie. Postanowił wziąć bardzo szybki prysznic, w zasadzie tylko splukać się pod przyjemnie chłodną wodą. Zaśmiał się głośno i szczerze, kiedy kłapek, niczym złośliwy chochlik, próbował uciec przed jego stopą. W innych okolicznościach dałby się doprowadzić do szału przez tego typu drobiazgi. A dziś?

Dziś pogroził palcem niesfornemu bucikowi i wesoło kłapiąc, udał się do łazienki. Nie miał ochoty zamykać drzwi, szczególnie że po drodze, jakoś mimochodem, włączył i nieco podgłosił radio. Wyjątkowo, zamiast wiecznie wymieniających się ze sobą reklam i paplających bez sensu głosów, leciało świeże, optymistyczne downtempo.

Zsunął z siebie bokserki i niczym Michael Jordan próbował trafić do pojemnika na brudną bieliznę. Trafił w sam środek w takim stylu, że gdyby koszykarski mistrz to widział, z pewnością zaproponowałby mu kontrakt z Chicago Bulls.

Wskoczył pod prysznic i zatrząsł się, parszkając głośno, czując ukłucia chłodu wody. Serce od razu mocniej zapompowało krew, budząc organizm lepiej niż mocne espresso. Temperatura wody sprawiała, że wciąż zastane mięśnie stawały się coraz bardziej chętne do współpracy. Jeśli czuł jakiegokolwiek zmęczenie po wczorajszym dniu, to właśnie spływało ono wraz z wartkimi potokami czystej i zadziwiająco miękkiej wody.

Marcin postanowił, że dzisiaj stawia na naturalność. W związku z tym nie skorzystał ani z owocowego żelu pod prysznic, ani sportowego antyperspirantu, ani nawet, co rzadkie w jego przypadku, z jednych z wielu markowych perfum, które posiadał.

Po szybkim prysznicu umył zęby odświeżająco miętową pastą i niemalże w podskokach pognął do pokoju w celu znalezienia odpowiedniego stroju na dzisiejszy poranek. „Na pewno nic oficjalnego...”, pomyślał i zaczął przeglądać swoją dość skromną kolekcję T-shirtów. Rzadko nosił cokolwiek innego aniżeli koszule i marynarki, nawet w wersji „po domu”, ale awaryjnie posiadał kilka luźniejszych ciuchów. Wybrał jeden z nich – przylegający, szary z niebieskimi napisami. Do tego dobrał błękitne spodnie i założył swoje ulubione na luźniejsze dni brązowe trampki. Wyglądał jak dwudziestolatek, co dzisiaj wyjątkowo mu odpowiadało.

Zamierzał wrócić do pokoju przed wyjściem z hotelu, toteż zabrał ze sobą

tylko portfel i kartę do pokoju. Telefon był zbędny. Niech sobie dzwonią, jeśli potrzebują. Jemu wystarczy świeżo zaparzona herbata, coś smacznego na talerzu i, ewentualnie, dzisiejsza gazeta – tak dla zajęcia wzroku. Energicznie wcisnął przycisk windy, wszedł do niej i z przyjemnością nacisnął przycisk „0”. Już nie pamiętał, że wczoraj ta sama winda była dla niego świetnym miejscem do wyładowania frustracji. Liczyło się tylko dziś, tylko tu i teraz. Co było wcześniej i co będzie dalej...? A czy to ważne w taki piękny poranek?

Zrelaksowany wyszedł z windy i udał się korytarzem w stronę restauracji. Już z daleka uśmiechał się do kelnerki, która weryfikowała nazwiska gości jedzących śniadanie. Powitał ją wesołym „dzień dobry”, szybko podał swoje dane i pozwolił sobie nawet na puszczenie oczka i komplement. „Tyle czasu się tu mijamy, a ja jeszcze nie powiedziałem pani, że ma pani bardzo ładne oczy i uśmiech”. Zadowolony minął zarumienioną kelnerkę i udał się do bufetu po śniadaniowe smakołyki. Miał ochotę poeksperymentować i skusić się na coś innego niż tradycyjne frankfurterki z bułką i sałatką.

Gdyby nie doskonały nastrój, jaki towarzyszył Marcinowi od rana, pewnie dopuściłby do siebie myśl, że cierpi na pewne schorzenie. Prawdę powiedziawszy, rechotał się w duszy, myśląc o tym, bo czy można nazwać schorzeniem fakt, że eksperymentuje się kulinarnie tylko wtedy, kiedy eksperymentalne danie ląduje na talerzu, prosto przed nami? Owa dolegliwość charakteryzuje się tym, iż choćbyśmy nie wiadomo jak bardzo mieli na coś ochotę, sami nigdy nie ugotujemy lub nawet nie zamówimy kuszącego, ekstremalnego dania. Natomiast jeśli postawić je przed nami i kazać po prostu spróbować, jesteśmy gotowi przełamać zwyczaj i zakosztować niecodziennego smaku.

W ten sposób, trudno powiedzieć kiedy dokładnie, na talerzu Marcina wyładowały: sałatka z awokado, ciemny chleb, w którym wyraźnie odznaczały się duże ziarna, kawałki jakiegoś owocu oraz kilka plasterków mocno wędzonej szynki i coś, co wyglądem nie przypominało nic, natomiast zapach najbliższy był rybie. Zasięgnąwszy języka u kelnera, iż ma do czynienia z odpowiednio przyrządzonymi krabami, Marcin uznał, że poziom ekscentryczności jego śniadania jest całkiem zadowalający.

Ukontentowany zarówno z siebie, jak i z zawartości swojego talerza, usiadł przy zacisznym stoliku, tuż przy ścianie, w końcu sali. Zazwyczaj siadał na środku, pozwalając swojemu ego także zjeść śniadanie, konsumując wszelkie spojrzenia osób przewijających się przez salę. Dziś zamierzał w całkowitym spokoju zamienić się w małą myszkę, po cichu zjadającą swoją porcję, jedynie od czasu do czasu zerkającą na otoczenie.

Jeszcze przed rozpoczęciem śniadania poprosił kelnera o filiżankę białej herbaty. Był to napój, który zostawiał zawsze na wyjątkowe okazje, a przecież taką był właśnie ten bajkowy, jak dotąd, poranek. Czekając na zamówienie, Marcin

pozwoił sobie na chwilę rozmyślań o dopiero przecież rozpoczętym dniu. Zamierzał spędzić go na powietrzu, najlepiej w którymś z miejskich parków. Żałował, że w tym mieście nie było żadnej rzeki, ponieważ miał ochotę rozluźnić umysł, obserwując delikatnie falującą wodę i odbijające się na niej słoneczne refleksy, ale nie można mieć wszystkiego. Perspektywa spędzenia przedpołudnia w ciepłym otoczeniu nieśmiało zazieleniających się drzew była równie kusząca. Planował posiedzieć na ławce i poobserwować przechodniów, razem z nimi próbując uciec od zgiełku miasta i codzienności. Postanowił zadzwonić do Sulimy dopiero po południu, będąc zrelaksowanym po same koniuszki palców.

Śniadanie zjadł powoli, delektując się dosłownie każdym kęsem. Tutejsza kuchnia stała na bardzo wysokim poziomie. Nie oszczędzali na zaopatrzeniu nawet na śniadanie, czyli, było nie było, na posiłek gratisowy do pokoju. Dał sobie chwilkę na ułożenie się jedzenia w żołądku i wciąż w doskonałym nastroju zaczął powoli opuszczać salę.

Kątem oka zauważył, że jest obserwowany. Odwrócił się i zobaczył parę oczu wbijających w niego spojrzenie. To była ta sama intrygująca kobieta, którą spotkał wczoraj w windzie. Patrzyła na niego nieruchomo, wyraźnie się uśmiechając. Chociaż nieczęsto mu się to zdarzało, poczuł się speszony. Na szczęście nie dał tego po sobie poznać. Odwzajemnił uśmiech i nie mogąc oderwać wzroku od hipnotycznych oczu nieznajomej, wyszedł z sali. Spojrzenie było bardzo ciekawskie, wręcz bezczelne i jednoznacznie wyzywające. Mimo to, gdzieś w głębi tych oczu tliło się ciepło i nieskazitelna, dziewczęca radość. Zniwalająca, fascynująca, frapująca, obezwładniająca.

Jeśli wczoraj dziewczyna zostawiła po sobie jedynie miłe wspomnienie, które wyparowało podczas szalonego spotkania z Wanergy, tak dzisiaj Marcin poczuł się zafiksowany jej osobą. Od razu zapragnął dowiedzieć się, kim jest, czym się zajmuje, gdzie mieszka na co dzień, porozmawiać z nią i odgadnąć, co skrywają te wyjątkowe oczyska. Był całkowicie zmieszany.

Całe życie niespecjalnie interesował się kobietami. Nie owijając w bawełnę – traktował je po prostu przedmiotowo. Owszem, potrafił z nimi rozmawiać, spał z wieloma, ale robił to tylko po to, żeby wyciszyć wrzeszczący popęd. Uważał, że baby jedynie odwracają uwagę od samorozwoju mężczyzny i ograniczają jego niezależność. Zaślepiają. Nie warto było poświęcać im zbyt wiele czasu, bo są na tym świecie ważniejsze sprawy...

Tym razem było jednak kompletnie inaczej. Miał ochotę zwyczajnie olać swoje dzisiejsze plany i wrócić się do tej kobiety...

Potrząsnął głową, próbując pozbyć się natrętnej myśli. „Przecież to absurd!” – pomyślał. „Widziałem ją dwa razy w życiu!” Postanowił jak najszybciej wrócić do doskonałego rytmu poranka, żeby nie dać się rozproszyć. Mógł sobie pozwolić dziś na odrobinę więcej luzu niż zazwyczaj, ale to nie był dobry moment na

wywracanie życia do góry nogami... przez kobietę.

Zdecydował się nie wjeżdżać do pokoju po telefon, skoro i tak nie zamierzał z niego korzystać. Potrzebował tylko paru groszy na coś do picia i informacji, gdzie znajdzie jakiś duży i ładny park. Całe szczęście miał ze sobą portfel, więc podszedł hallem prosto do recepcji.

Recepcjonistka – młoda, skromna blondyneczka, spokojnym głosem zaproponowała mu wizytę na „Zdrowiu” albo w parku Poniatowskiego. Marcinowi do gustu bardziej przypadła druga nazwa. Pozostało wymyślić, jak dostanie się na miejsce. Nie chciał brać taksówki w taki ładny dzień, ale na kilkukilometrowy spacer też nie miał ochoty. Pozostawała komunikacja miejska. Dziewczyna zza lady powiedziała, że może podjechać liniami 6, 11 i 16 z Zachodniej, a potem się przesiąść przy Mickiewicza w 8, 10 albo 14, ewentualnie przespacerować się kawałeczek, do ulicy Legionów, na 15 i dostać bezpośrednio do parku. Ogarnięta dziewczyna – wszystko mówiła z pamięci, ani przez chwilę nie tracąc pewności. Uśmiechając się delikatnie, Marcin podziękował i wyszedł z hotelu.

Całe szczęście, że było wyjątkowo ciepło jak na wczesną wiosnę, gdyż przez ciemnowłosą kobietę nie pomyślał o zarzuceniu jakiejś bluzy czy kurtki. Marzec okazał się łaskawy dla jego stroju. Szkoda, że krystalicznie czyste o poranku niebo zaczynały przykrywać chmurki, ale i tak nie było na co narzekać.

Wyszedł głównym wejściem i skręcił w lewo. W międzyczasie postanowił, że nie będzie się nigdzie przesiadać i pójdzie na ten bezpośredni tramwaj. Szedł spokojnie, nie zależało mu dziś na czasie, poza tym nie wiedział, gdzie w zasadzie ma iść na tę 15. Intuicyjnie odbił w Zachodnią w prawo, zachęcony szyldem sklepu spożywczego.

W delikatesach zaopatrzył się w wodę mineralną, paczkowane ziarna słonecznika i dwa bilety. Zasięgnął języka u sprzedawczyni. Podobno dwudziestominutowe powinny wystarczyć, chociaż już dawno zauważył, że w tym mieście komunikacja publiczna jeździ tak, jak jej wygodnie. Najważniejsze, że okazało się, że idzie w dobrym kierunku, bo Legionów to najbliższa przecznicza. Idąc na tramwaj, minął tłumek ludzi na przystanku autobusowym. Był pewien, że wygląda pogodnie i pewnie dlatego został nienawistnie obmierzony pustymi, smutnymi spojrzzeniami rozgorzyczonych Polaków.

Stojąc po drugiej stronie dwujezdniowej arterii i czekając na zmianę świateł przy dziwnych, ciemnych i śmierdzących wilgocią podcieniach, zobaczył powoli ruszający tramwaj. Nie musiał wyteżać wzroku – to była 15. Oczywiście razem ze zmianą światła dla pieszych na zielone prawo do przejazdu otrzymał również tramwaj. Przetoczył się z łomotem po skrzyżowaniu i dalej, klekocząc przeraźliwie, powłókł się dalej Legionów.

Marcin uśmiechnął się i wzruszył ramionami. Przecież nie ma o co się wściekać. Cały dzień należał do niego! Starając się powstrzymać smród uderzający

go obrzydliwie w nozdrza, przeszedł przez podcienia, ignorując wścibskie spojrzenia grubych bab sprzedających tam ciuchy z kartonów. Obejrzał się w prawo.

Ulica ciągnęła się w dół i w oddali skręcała zakosem w lewo. Przy następnym skrzyżowaniu tramwaj musiał mieć przystanek, bo biegło do niego kilka osób. Dziwne, że się spóźnili, jechał ten krótki odcinek kilka dobrych minut...

Nie chcąc tkwić bezczynnie na przystanku, Marcin podreptał dziarskim krokiem na następny. Ciężko mu było uwierzyć, że wreszcie widzi ulicę, która jest inna od pozostałych. Niestety jej inność polegała tylko na tym, że biegła ostro w dół i zakręcała w lewo, a nie była równa i prosta jak setki jej siostr w tym mieście. Ach, nie! Miała jeszcze coś wyjątkowego. Niedaleko za skrzyżowaniem, nieco cofnięty od ulicy, stał Teatr Powszechny. To ci dopiero atrakcja...

Rozmyślając o tym, kto tu chodzi do teatru, w tym mieście meneli, dotarł na przystanek. Obrócił się w lewo i uśmiechnął. W oddali rysowała się sylwetka kolejnego tramwaju z wymalowanym wielkim, jaskrawozielonym napisem „15”.

Kiedy pojazd stanął na przystanku, drzwi otworzyły się z metalicznym rumorem i ze środka wysypały się ze cztery osoby. Kilka kolejnych wspięło się po nieprzyzwoicie wysokich schodkach (jak wsiadają tu emeryci?!), a na końcu do wagonu wdrapał się Marcin. Drzwi znów zamknęły się, hałasując niemiłosiernie i tramwaj ruszył ze zgrzytem. Pieniążek skasował bilet i przesunął się na koniec wagonu.

Oparł się wygodnie o barierkę i zaczął bezwiednie obserwować pasażerów. Większość wydawała się zamyślona, oderwana od rzeczywistości. Nie uśmiechali się, nie rozmawiali, nie zwracali uwagi na nic. Tępo wpatrywali się w brudne, pobazgrane szyby tramwaju. Patrząc na nich, Marcin czuł pogardę. Domyślał się, że wszyscy żyją w taki sam beznadziejny sposób. Wsiadają do pojazdu jadącego znikąd, który wiezie ich donikąd, tylko po to, aby wrócić tą samą drogą kilka godzin później. I tak w kółko. Bez refleksji, bez emocji, bez sensu. Prowadzili życie bez życia.

Nie rozumiał takich ludzi. Sam od małego kreował swoją rzeczywistość. Wiedział, co i w jaki sposób musi robić, żeby osiągać zamierzone cele. Nie zdarzyło mu się jeszcze zaliczyć potknięcia. Kolekcjonował sukcesy jeden po drugim. Zawsze działał sam, współpracował tylko wtedy, kiedy musiał, i tylko na takich warunkach, jakie odpowiadały jemu. Tym bardziej poważnie traktował wyzwanie z Wanergy. Do tej pory nie miał do czynienia z tak twardymi zawodnikami. Powodzenie w tej operacji oznaczałoby, że już nic innego nie jest w stanie go zatrzymać. I że jest ponad szarą, bezkształtną masą całej reszty ludzi – przegranych.

Tramwaj szybko przejechał pięć przystanków, co było o tyle łatwe, że o tej porze nie ma korków. Marcin dumnie wysiadł z wysoko podniesioną głową.

Obserwacja przeciętniaków z tramwaju dodała mu pewności siebie i poczucia, że żyje lepiej niż inni. Zastanawiał się, czy nie powinien częściej obserwować zwykłych ludzi, skoro daje mu to tak dużą satysfakcję. Chwilę poobracał ten pomysł w głowie, ale ostatecznie uznał, że to kuszące, lecz mimo wszystko głupie. Dotychczasowa izolacja służyła mu bardzo dobrze i nie widział powodu, żeby to zmieniać. Mogło go to tylko niepotrzebnie rozpraszać i destabilizować.

Z przystanku wystarczyło przejść przez przejście podziemne, wyjątkowo czyste i spokojne jak na polskie, a tym bardziej łódzkie warunki, i wchodziło się prosto do parku. Rzadko kiedy Marcin decydował się na zwiedzanie, ale tym razem postanowił obejść cały park i usiąść dopiero w miejscu, które będzie mu odpowiadało najbardziej. Nie nastawiał się na wyjątkowe doznania estetyczne. Łódź raczej nie miała go czym zaskoczyć.

Minął duży tor dla bmx-ów, który wyglądał, jakby był zbudowany w miejscu po gigantycznej piaskownicy, i ruszył wzdłuż parku, idąc równoległe do dużej samochodowej arterii. To chyba była ta Mickiewicza...

Po przejściu kilkuset metrów Marcin skręcił w lewo, w bardzo szeroką, betonową aleję. Nie mógł jednak oderwać wzroku od wielkiej kładki dla pieszych przerzuconej nad arterią. Skąd i po co się tu wzięła, nie miał pojęcia, bo po drugiej stronie było kilka zabudowań, wyglądających na przemysłowe. Żadnych domów, żadnych bloków, nawet przystanku tramwajowego.

Wzruszył ramionami i zajął w głąb asfaltowej alei. Nie wydawała mu się specjalnie atrakcyjna na spacer, więc odbił w jedną z bocznych alejek, prowadzącą wzdłuż wielkiego, okrągłego kwietnika.

Po krótkiej, ale ostrej zimie miło było zobaczyć delikatnie zieleniejące pąki na drzewach i poczuć ciepłe, świeże wiosenne powiewy delikatnego wiatru. Marcin czuł, jak cały wręcz gotuje się w środku z entuzjazmu i radości, niczym rośliny wyczuwające nadchodzącą poprawę pogody. Zaśmiał się w duchu, pomyślawszy o ludziach, którzy sądzą, że mają lepszy humor, bo na zewnątrz jest bardziej zielono niż wczoraj. Gówno prawda. Swój nastrój zawdzięczał tylko i wyłącznie własnym sukcesom i ciężkiej pracy, która wreszcie przynosiła efekty.

Park okazał się być dużo ładniejszy, niż można było zakładać w tak paskudnym mieście jak Łódź. Minawszy wielki balon, przykrywający, zdaje się, kort tenisowy, Marcin skręcił w wąską alejkę między dwoma ogrodzeniami. Ze zdziwieniem zobaczył nastrojowy domek, wyglądający jak leśniczówka przycupnięta pośród drzew. Za ogrodzeniami wyszedł na szerszą przestrzeń. Po lewej stronie zobaczył fascynujący, rozległy żywopłot, po prawej stawy połączone ze ścieżkami mostkiem.

Skręcił w stronę mostków i postanowił jeszcze wrócić do żywopłotu, który był chyba à la labiryntem. Obszedł wodę i wszedł na klimatyczny, biały mostek. Pokręcił głową, widząc kilkadziesiąt kłódek powieszonych na barierkach. „Durny

zwyczaj...” – pomyślał. „Co jest głupsze – te zabawne związki oparte na romantycznej miłości czy jej manifestowanie w taki sposób?”

Z mostku przeszedł na wyspę w skali mikro, z niej na drugi mostek i zawrócił za rozległym krzewem już na „ładzie”. Wrócił do żywopłotu, ale ten okazał się... rozczarowujący. Labirynt polegał na tym, że była tam jedna główna alejka i kilka zapętlnionych, bocznych. Bez rozmachu, a szkoda.

Kilka kroków dalej biegła główna aleja parku, ale i tym razem Marcin tylko ją przeciął. Skusiła go długa aleja wzdłuż jakichś dziwnych monumentów. Kiedy przyjrzał się im z bliska, okazały się być... nagrobkami. Do tego opisanymi w cyrylicy. Cmentarz? W tym miejscu? Dziwna lokalizacja na tego typu obiekt.

Marcin wzdrygnął się. Nie zamierzał psuć sobie sielankowego nastroju, toteż szybko zawrócił i cofnął się do głównej alei. Skręcił w prawo, w główną aleję i doszedł na jeden z obszernych trawników w części parku bliższej wejścia. Znalazł wolną ławkę, przyjemnie odwróconą od samochodowej przelotówki, rozsiadł się wygodnie i oddał się rozmyśleniom, zgodnie z pierwotnym planem. W zasadzie nie miał od wczoraj chwili na poukładanie sobie w głowie swoich ostatnich doświadczeń, więc, rzecz jasna, to myśli na ten temat jako pierwsze zaczęły napływać mu do głowy.

Od razu pomyślał z satysfakcją, że odniósł gigantyczny sukces. Bardzo długo przygotowywał się do tej rozmowy i, nawet mimo przedziwnego jej zakończenia, zdawało mu się, że przeprowadził ją doskonale. Niczym sportowcy przed zawodami wizualizował sobie czekające go wyzwanie. Dokładnie, krok po kroku, słowo po słowie, wyobrażał sobie, jak będzie prowadził konwersację, jak będzie reagował w różnych wariantach. Teraz wiedział, że przepowiednia spełniła się. Nawet ta chora sytuacja na końcu nie wyprowadziła go z równowagi, jakby przewidział nawet takie cyrki. Zresztą wewnętrzny balans był tym, co uważał za bazę swojego sukcesu.

Poza tym nie każdy jest w stanie determinować swoją przyszłość w takim stopniu. Trzeba wyjątkowo mocnego, a jednocześnie chłodnego intelektu, żeby móc pozwolić sobie na planowanie tak nieprzewidywalnych sytuacji, jakimi są relacje międzyludzkie. Tylko rozległa wiedza, ogromne doświadczenie i niezachwiana pewność siebie gwarantowały tu powodzenie.

Marcin odnosił często wrażenie, że jest, jakkolwiek nedorzecznie to nie zabrzmiał, nadczłowiekiem. Nie chodzi o to, że naczytał się Nietzschego czy, broń Boże, Hitlera i zamierzał dominować nad słabszymi jednostkami. Po prostu miał świadomość, że dzięki odrobinie talentu i predyspozycji, połączonych z ogromną ilością ciężkiej pracy, był w stanie osiągnąć cuda niedostępne szarakom, takim, jakich spotykał w tramwaju.

Jak wytłumaczyć to, że on mógł żyć w ten lepszy sposób, a inni nie? Zastanawiał się nad tym, grzejąc się w już ciepłych, ale jeszcze dość kapryśnych

promieniach przedwiosennego słońca. Obserwował ludzi, którzy go mijali, a było ich coraz więcej, im późniejszy stawał się dzień.

Prawie wszyscy, ba, wszyscy! Wszyscy wpisywali się w banalny schemat – szli we dwoje, jako para albo jako dwójka znajomych. Ewentualnie (robiąc przy tym nedorzecznie wielki hałas) przemierzali się w grupie. Oczywiście trafiali się pomiędzy nimi soliści, ale po nich było natychmiast widać, że pędzą gdzieś przed siebie, goniąc za cudzą sprawą, albo spieszą się do kogoś. Im dłużej Marcin wpatrywał się w ten beznadziejny tłum, tym bardziej upewniał się, że nie ma w nim prawdziwych jednostek. Ludzi, którzy potrafiliby odciąć się od świata, odizolować od tej fali roszczeń i oczekiwań wokół nich i skupić się wyłącznie na sobie.

Bo co jest tak naprawdę ważne? Z punktu widzenia każdego z nas ważne jest tylko i wyłącznie to, co nas dotyczy. MOJE zdrowie, MOJE aspiracje, MOJE pasje, MOJE zachcianki, bo to jest zawsze MOJE życie. Mamy na tym świecie ograniczoną ilość czasu, przypisaną indywidualnie, na kreowanie swojej osobowości i otaczającej nas rzeczywistości. Jeśli zanadto poświęcimy swoje dni na płaszczenie się przed innymi i realizowanie ich planów, może nam zwyczajnie zabraknąć życia dla siebie. I wtedy co? Chyba nikt nie chce umierać, będąc obrażonym na samego siebie, pełen żalu, goryczy i wyrzutów sumienia...

Oczywiście patologią byłoby całkowicie odciąć się od otoczenia i zamykać się w pustelni. Po pierwsze, dlatego że są więzi, które wręcz należy pielęgnować i dla których czasami warto się poświęcić. Chodzi oczywiście o najbliższą rodzinę, a szczególnie rodziców. Marcin był dumny, że ma wyjątkowo zdrową relację z matką i ojcem. On rozumiał ich i pomagał im jak tylko mógł, oni, odkąd pamiętał, dawali mu nieograniczoną wręcz swobodę, jakiej potrzebował.

Po drugie nie można było zapominać o osobach, które poświęcały swoje życie, niosąc pomoc innym, bo właśnie w tym realizowały się najlepiej. Jeżeli tylko takie postępowanie stanowi wynik szczerzej potrzeby i jest tak samo sposobem wyrażania siebie jak, na przykład, dla podróżnika kolejna wyprawa, to należy to jak najbardziej pochwalać.

Marcin wiedział, że on jest mimo wszystko egocentrykiem i niespecjalnie się z tym krył. Jednak starał się nie wyrażać głośno swoich opinii na temat negatywnych, jego zdaniem, postaw innych ludzi. Nie widział ku temu zwyczajnie potrzeby – w końcu to ich sumienia i ich problemy. Wolał skupić się na sobie.

To była właśnie jego recepta na końcowy sukces. Samoświadomość, precyzyjnie zdefiniowana, wraz z zestawem równie szczegółowych rozwiązań, odpowiednich dla niego samego. Roześmiał się głośno, czym zwrócił uwagę przechodzących obok nastolatek. Uśmiechnął się do nich, ale te, zamiast odwzajemnić uśmiech, spłoszyły się i chowając się jedna za drugą, uciekły sprzed spojrzenia Marcina. Cóż, były jeszcze młode, miały czas na naukę. Z czasem załapią, jak stawiać czoła takim sytuacjom. Albo zostaną zaniedbanymi,

sfrustrowanymi babskami, wściekłymi na upływający czas i znikającą atrakcyjność. „Z czego tak właściwie się śmiałem?” – pomyślał Marcin i przypomniał sobie to górnolotnie brzmiące zdanie. Brzmiało mądrze i wydawało się mieć skomplikowane znaczenie, ale tak nie było. Czy może być coś prostszego niż zapytanie siebie o to, co jest dla nas dobre i w jaki sposób chcemy to osiągnąć? Pewnie, że nie. Tylko rozmawiając ze sobą, mamy pewność, że nasz rozmówca jest wobec nas całkowicie szczerzy i nie musimy się obawiać, że źle zrozumiemy to, co ma na myśli. Brzmi to trochę jak „gram w szachy ze sobą, bo to jest jedyna osoba, która dorównuje mi poziomem”, ale coś w tym jest. Zawsze najprostsze rzeczy wydają się najgłupsze, ze względu na swoją trywialność. Ale właśnie najprostsze rozwiązania są zawsze najlepsze!

Marcin pokręcił głową z niedowierzaniem, że ludzie komplikują sobie życie na własne życzenie i są jeszcze z tego dumni. No cóż, niech się każdy martwi o siebie. „Właśnie, pora zamartwić się o moje zdrowie, bo robi się chłodnawo, a przeziębienie jest mi teraz najmniej potrzebne” – pomyślał Marcin i wstał powoli z ławki, jednocześnie wyciągając już nieco zastane mięśnie. Tak pochłonęły go rozmyślenia, że nie zauważył, kiedy słońce zostało szczelnie przykryte przez chmury i przestało grzać na tyle mocno, żeby dało się wysiedzieć w krótkim rękawku. Dzień ze zjawiskowego zmienił się w bury i nudny. Ale nie dla niego! Pora wracać do hotelu i do rzeczywistości!

Luźnym, choć dość szybkim krokiem zaczął wychodzić z parku i kierować się w stronę przystanku tramwajowego. Ten w stronę hotelu był na szczęście bliżej. Na szczęście, bo Marcin coraz bardziej odczuwał chłód, mimo że dopiero niedawno minęło południe. Kaprysy wczesnowiosennej pogody... Zmęczenie zresztą też dawało o sobie znać. Nie pamiętał, kiedy gdziekolwiek łąził tak długo.

Wsiadając do tramwaju, na który, swoją drogą, musiał dość długo czekać, już nie myślał o filozoficznych aspektach życia. Swoje przemyślenia zostawił w parku, bo nie zamierzał nadmiernie rozczulać się nad sobą. Miejsce romantycznego rozmaślenia myśli na powrót zajęło skupienie i koncentracja na zadaniu. Złapał oddech po pierwszej części zawodów, teraz trzeba było wrócić do gry i doprowadzić ją do szczęśliwego zakończenia.

Nie wiedział, czego ma się spodziewać po telefonie do Wanergy. Po wczorajszej „akcji” nie zakładał żadnego pewnego scenariusza. Dlatego postanowił najpierw zajrzeć do jakiejś knajpki na obiad, następnie ogarnąć swój wygląd i dopiero zadzwonić. Wolał być gotowym, w razie gdyby jego kontrahenci poprosiliby go o spotkanie jeszcze dzisiejszego popołudnia. Poza tym wydawało mu się to bardziej profesjonalne – podzielić dzień na część odpoczynku i pracy.

Dopiero kiedy minął hotel i zmierzał już w stronę centrum handlowego, z którym sąsiedował jego tymczasowy dom, przypomniał sobie, że zostawił w domu kartę kredytową. Za darmo by za wiele nie zjadł. Wrócił się więc do

pokoju, zabrał co trzeba, zarzucił kurtkę i po chwili znów jechał windą na parter. Nie wiedzieć czemu do ostatniej chwili wpatrywał się w szparę między zamykającymi się drzwiami windy. Liczył, że znów zobaczy tam seksowny bucik tamtej kobiety? Przecież to niedorzeczne...

Nic takiego, oczywiście, się nie wydarzyło, winda zjechała spokojnie na dół, a Marcin, już nie tak spokojnie jak wcześniej, spacerował w stronę jednej z restauracji z włoską kuchnią. Rozdrażniła go jego wyobraźnia. Nie mógł sobie pozwolić na takie myślenie. Potrzebował używać umysłu do czegoś więcej niż wyobrażanie sobie wdzięków przypadkiem spotkanej kobiety. W tak poważnej rozgrywce każdy detal miał ogromne znaczenie.

Postanowił skupić myśli na czymś w danej chwili istotniejszym, a mianowicie na tym, co smacznego zjeść na obiad. Nawet nie poddawał w wątpliwość tego, że idzie gdziekolwiek indziej niż do Pepe Verde. „Hm, na pewno coś lekkiego i na pewno makaron” – pomyślał, idąc wzdłuż rzędu fontann. „Skoro tak, to odpadają wszelkie ciężkie sosy śmietanowe czy pomidorowe z mięsem”. W głowie odtwarzał sobie menu restauracji, które znał już w zasadzie na pamięć, tak często się tam stołował.

Kiedy dotarł do knajpki, już wiedział, jaki będzie jego dzisiejszy wybór. Kelner uśmiechnął się na widok stałego klienta i spojrzał pytająco na Marcina. Ten, szczerze rozbawiony, pokiwał głową przecząco. Nie musiał zaglądać w kartę. Usiadł przy stoliku tuż przy oknie i w tym samym momencie podszedł do niego kelner.

– Dzień, widzę, że dobry – zagadnął pogodnie. Marcin uśmiechnął się, szczerząc zęby z satysfakcją.

– Żebyś pan wiedział – odpowiedział. – Aglio olio i podwójne espresso proszę. Tylko mam prośbę. Wiem, że to barbarzyństwo, ale bez czosnku, tylko z chilli. Wolę nie ryzykować – dodał, puszczając kelnerowi oko.

– Jasna sprawa, czosnek dobry, ale niebezpieczny. Kucharz się nie obrazi – powiedział wesoło kelner i odszedł w swoją stronę.

Danie było równie smaczne, co szybkie w przygotowaniu, czyli, zdaje się, idealne. Piętnaście minut oczekiwania i kelner już przyniósł aromatyczny makaron z krewetkami. Akurat na wypicie znakomitej kawki i nabranie apetytu.

Tak powinno się gotować i jeść na całym świecie – szybko, ale skutecznie! Szkoda życia na spędzanie godzin przy garnkach. Marcin lubił czasem popichcić, ale do szału doprowadzały go potrawy, których przygotowanie zajmowało więcej czasu niż spokojne ich zjedzenie. Jeśli coś ma być smaczne, to będzie takie, niezależnie od tego czy w kuchni spędzimy kwadrans, czy półtorej godziny.

Z wyborem dania Marcin trafił idealnie. Czuł się najedzony, ale nie pękał w szwach. Zapłacił grosze jak za taki posiłek, w takiej knajpie, w takim miejscu. Kelner dostał, jak zwykle, sowity napiwek, więc kłaniał się nisko, aż do przesady.

Cały obiad zajął Marcinowi raptem pół godzinki, co oznaczało, że miał całe popołudnie na telefon do Wanergy. Była ledwo czternasta. Nie było potrzeby gdziekolwiek się spieszyć, ale chciał mieć za sobą tę sprawę. Podpisanie umowy oznaczałoby, że ma póki co święty spokój od tych stukniętych biznesmenów i może kierować dalszym rozwojem wydarzeń po torach, które sam wybierał.

Wrócił do hotelu i zanim rozpoczął przygotowania do wykonania telefonu, wziął jeszcze szybki prysznic i ubrał się w bardziej oficjalne ciuchy – niebieską, przylegającą koszulę i czarne, również obcisłe spodnie. Przeczesał też włosy, żeby choć trochę je ułożyć. Wyglądał nowocześnie, a przede wszystkim – sprawiał wrażenie pewnego siebie. Na biurku naszykował kartę i długopis, chociaż nie spodziewał się, że będzie ich używał do czegokolwiek.

Wziął kilka głębokich wdechów, znalazł na liście kontaktów numer do Sulimy. Wiedział, że może sobie pozwolić na tę odrobinę bezczelności i wykręcenie prywatnego numeru do najważniejszego z ważnych. Już wcześniej wiedział, że jego kontrahent ceni sobie osoby z charakterem, a wczorajsze wydarzenia tylko go w tym utwierdziły. Wcisnął zieloną słuchawkę i zaczął wsłuchiwać się w ciszę, a następnie kolejne sygnały. Pierwszy, drugi, trzeci...

– Paweł Sulima. Dzień dobry, panie Marcinie. Czekałem na pana telefon z niecierpliwością – głos w słuchawce był spokojny i zdawał się być chłodny i zdystansowany. – Rozumiem, że skoro pan dzwoni, to jest pan nadal zainteresowany współpracą – kontynuował Sulima, nie dając Marcinowi szansy na dojdzie do głosu. – W takim razie zapraszam pana do naszego skromnego biura przy Narutowicza 16, lokal numer 3, jak tylko pan będzie gotów. Dogadamy szczegóły, podpiszemy umowę i będziemy mogli napić się szampana za powodzenie inwestycji. Jesteśmy umówieni? – skończył wreszcie tyradę Sulima. Marcin przewrócił oczami, myśląc: „Wreszcie...”.

– Dzień dobry, panie Pawle. Oczywiście, postaram się być jak najszybciej – odpowiedział krótko. Był nieco zaskoczony faktem, że Wanergy ma swoje biuro w Łodzi. Spodziewał się kolejnego spotkania w restauracji albo w pokoju hotelowym. Nie stanowiło to jednak większego problemu. To ludzie, a nie miejsca, w jakich się znajdują, mają znaczenie przy robieniu interesów.

– Znakomicie! – odparł Sulima, choć jego głos nie zmienił się ani odrobinę. Nie brzmiał, jakby się cieszył. – Ma pan jakieś pytania?

– Myślę, że wszystko zdążymy omówić kiedy się zobaczymy – odpowiedział Marcin.

– Też tak sędzę. W takim razie do rychłego zobaczenia!

– Do zobaczenia – zdążył odpowiedzieć Marcin i telefon zamilkł.

Specyficzny ten Sulima, twardy gracz z ciężkim charakterem. Nie ma co się z nim pieścić, trzeba szybko zrobić swoje i mieć go z głowy. Nawet dobrze, że chce od razu załatwić wszystkie formalności.

Marcin szybko zarzucił marynarkę i udał się na postój taksówek. Już nie odczuwał potrzeby spacerowania, poranna wizyta w parku w zupełności wystarczała. Podał taksówkarzowi adres i zbierając już myśli przed nadchodzącą rozmową, bezwiednie wpatrywał się w przesuwane się za szybą widoki miasta. Budynek, w którym znajdowało się biuro Wanergy, usytuowany był niedaleko hotelu, toteż więcej czasu zajęło stanie w normalnych o tej porze korkach niż dojazd na miejsce. Marcin zapłacił taksówkarzowi za transport, zostawiając już mniejszy napiwek niż ostatnio i stał naprzeciwko kamienicy o numerze 16.

Zlustrował okazały budynek od góry do dołu. Całkiem ładny, szczególnie te liczne wąskie i wysokie okna. Tylko to kolejna kamienica... „Naprawdę nie mają tutaj nic innego?” – pomyślał Marcin i wzruszywszy ramionami, przeszedł na drugą stronę ulicy. Nie był turystą i nie zamierzał gapić się na detale architektoniczne.

Przyjrzał się za to liście lokali na domofonie. Co ciekawe, nie znalazł nazwy Wanergy. Był tylko numer, ten, który podał Sulima. Nietypowa praktyka...

Marcin zadzwonił krótko. Minęło dosłownie kilka sekund, a drzwi na klatkę schodową były już otwarte. Biuro znajdowało się na pierwszym piętrze, tak wynikało z rozpiski, na którą zerknął Marcin. Niewysoko, ale i tak szedł powoli, żeby niepotrzebnie się nie zasapać. Stał przed drzwiami, na których przybito tabliczkę z napisem „1-4”. Nacisnął klamkę. Tak jak się spodziewał, ukazał mu się korytarz z pięcioma drzwiami. Wejściowe, prowadzące do Wanergy (nawet tu opisanej tylko numerem), były uchylone. Marcin delikatnie zapukał i od razu wszedł do środka. Znalazł się w krótkim przedsionku i tylko kątem oka zauważył drzwi po prawej stronie, ponieważ naprzeciwko wejścia z otwartego pomieszczenia spoglądał na niego, wstając powoli, Sulima. Ten kiwnął zachęcająco głową, Marcin również odpowiedział kiwnięciem, co wywołało uśmiech u obydwu panów.

– Jeszcze raz dzień dobry, panie Marcinie! Trzeba przyznać, że błyskawicznie się pan do mnie dostał! – zawołał Sulima, który tym razem, dla odmiany, zdawał się być kompletnie wyluzowany i tryskający dobrym humorem. Nieodgadniony typ.

– Nie mogłem przecież dać na siebie czekać, panie Pawle – odpowiedział Marcin, podłapując wesołą konwencję rozmowy. – Dzień dobry – rzekł stanowczo, mocno ściskając dłoń rozmówcy. Rozejrzał się po pomieszczeniu. Musiało kiedyś być mikroskopijną kawalerką. Było niewielkie, mieściło zaledwie biurko, dwa regały na dokumenty i doniczkę ze sporych rozmiarów rośliną. Zdawało się być przez to przytłaczające.

– Rzeczywiście, skromne to biuro, czyżby tylko na specjalne okazje? Jeśli tak, to czuję się doceniony – zagaił Marcin, któremu uśmiech nie schodził z twarzy. Sulima roześmiał się głośno.

– Trafił pan w samo sedno! Używamy tego lokalu w zasadzie tylko dlatego,

że Łódź jest przelotowym miejscem, między innymi dużymi miastami. Czasem trzeba spędzić kilka chwil na papierkowej robocie podczas podróży, a u siebie zawsze przyjemniej niż w hotelu czy restauracji. – Widać było, że Sulima lubi to miejsce i dobrze się tu czuje. Stąd pewnie taka, dość niespodziewana, wylewność.

– Proszę usiąść, panie Marcinie. Miejmy już za sobą te biznesowe gadki, które czasami doprowadzają mnie do szaleństwa... – zaproponował Sulima, co bardzo ucieszyło Marcina. Nie cieszyła go za to tajemnicza poprawa humoru kontrahenta. Postanowił wzmóc czujność, żeby zza uśmiechów i żarcików nie dać zaskoczyć się jakimś nagłym atakiem. Swoją drogą, od kiedy to biznesmen, który słynie na cały kraj z długich i twardych negocjacji, uważa biznesowe gadki za męczące?

– Zgadnam się z panem całkowicie. Chciałbym w takim razie dowiedzieć się, co sądzi pan o mojej wczorajszej propozycji? – zapytał Marcin, zgodnie ze swoim zwyczajem zmieniając się w kilka chwil w zimnego profesjonalistę. Skoro szybko, to i bezpośrednio.

– Cóż ja mogę sądzić o takiej propozycji? – odpowiedział Sulima z uśmiechem, rozkładając ręce w geście udawanej bezradności. – Zgadnam się z nią w zasadzie w stu procentach. Myślę, że jest korzystna zarówno dla nas, jak i dla pana. Nie oszukujmy się – jest pan na tyle dobry w swoim fachu, że nie wydaje mi się, żeby był pan w stanie przygotować propozycję, która nie byłaby ciekawa – odpowiedział Sulima. Cóż ten facet krył za tą sympatią, za tym ojcowskim spojrzeniem? – Mam jednak dla pana kontrpropozycję. Proszę mnie wysłuchać i zastanowić się, która opcja wydaje się panu ciekawsza – dodał z błyskiem w oku.

Marcin mimowolnie ściągnął brwi, wyrażając zaciekawienie, ale też zaskoczenie. Zakładał, że Sulima zgodzi się na jego warunki, ewentualnie będą negocjować, może nawet twardo, ale kontrpropozycji się nie spodziewał. Sam niespecjalnie widział inne rozwiązanie, dzięki któremu obie strony będą potraktowane sprawiedliwie, chociaż głowił się nad tym problemem bardzo długo. Uśmiechnął się delikatnie, aby przykryć podenerwowanie, a brwi wróciły na swoje miejsce.

– Chyba nie udało mi się ukryć zaskoczenia. W związku z tym cóż innego mi pozostaje, jak poprosić pana, żeby przedstawił pan swoją kontrpropozycję, której wysłucham z niemałym zainteresowaniem – odparł kurtuazyjnie Marcin.

Sulima pokiwał głową jak wyrozumiały ojciec (znów!), który wie, jak wykorzystać swoją przewagę doświadczenia nad synem, żeby zaskoczyć młodego.

– Ja natomiast, panie Marcinie, nie zamierzam nawet udawać zaskoczenia pana reakcją. Nie będę trzymać pana dłużej w niepewności. Pańska propozycja opierała się na wkładzie finansowym Wanergy w trzy elektrownie w proporcji 3:7, czyli takiej, która pozwoli nam na szybkie odzyskanie włożonych środków i jak

najszybsze czerpanie zysków. Cała zabawa polega na tym, że nam nie zależy tak bardzo na zyskach, jak na rozwoju naszej technologii i zasięgu jej oddziaływania.

Wiem, że na pewno zrobił pan bardzo szczegółowy research na temat Wanergy, z pewnością pozyskując ciekawsze informacje niż te, które znajdują się w oficjalnym obiegu. Aktor ze mnie mierny, w związku z tym biedaka grać nie będę. Nasza technologia przynosi nam ogromne zyski na całym świecie. Południe Polski należy do nas i nie bierzemy się za północ tylko dlatego, że planujemy rozwijać się w kierunku Czech, Słowacji czy Rumunii. Sam pan rozumie – logistyka. Poza tym, to też jest dla pana oczywiste, bo to pana branża – na północy swoją łapę położyli Skandynawowie. Nam będzie ciężko się wcisnąć w ten ich szczelny uścisk, ale pan sobie poradzi. Reprezentuje pan Polskę, to raz, dwa – zna pan tamtejsze środowisko, trzy – mniejszemu łatwiej lawirować między gigantami.

Do czego zmierzam – chcemy całkowicie wyrzec się czerpania zysków. Zostaniemy przy pana propozycji podziału 3:7 tylko na czas zwrócenia się kosztów inwestycji. Później zadowolimy się dodaniem frazy „by Wanergy” wszędzie, gdzie to będzie możliwe. Będzie panu łatwiej szybko się rozwijać, a to skutkuje wzrostem naszej rozpoznawalności i korzyści wizerunkowe będą dla nas cenniejsze niż finansowe zyski. Brzmi ciekawie? Mam kontynuować? – Sulima cały czas mówił powoli, spokojnie i pogodnie, jakby roztaczał wizję idyllicznej przyszłości. Marcin chłonął każde słowo i błyskawicznie przetwarzał je w swoim umyśle. Nie odrywał wzroku od tego genialnego mówcy.

– Brzmi fascynująco, panie Pawle. Proszę kontynuować – wydusił z siebie Marcin.

Dyrektor znów pokiwał głową.

– Dobrze, cieszę się. Spodziewa się pan pewnie, że taka korzystna propozycja jest obwarowana jakimiś skomplikowanymi warunkami. Otóż nie. Takie zagrania nie są w naszym stylu. Lubimy być „na czysto” z kontrahentami. My stawiamy tylko jeden warunek, a nawet nie warunek, tylko propozycję, którą zapiszemy już teraz w umowie. Po prostu gdyby doszło do sytuacji, w której zażyczy pan sobie sprzedać firmę, będziemy mieli prawo otrzymać informację na ten temat jako pierwsi.

Co to będzie oznaczało w praktyce? Pan uznaje, że firmę należy sprzedać. Ogłasza pan to publicznie, jednak zastrzega, że czeka pan na propozycję z naszej strony, i dopóki nie zakończymy negocjacji, nie będzie pan rozpatrywał innych ofert kupna. Jeśli ostatecznie nie zdecydujemy się na zakup, będzie pan miał wolną rękę. Co pan na to? – Sulima wbił swoje spojrzenie w rozmówcę. W jego oczach było widać spokój i troskę. Nie był to wzrok pospieszający, naciskający, ostry. Rysowała się w nim otwartość, cierpliwość i wyrozumiałość.

Mimo to Marcin wiedział, że nie ma zbyt wiele czasu do namysłu. Czuł się tak, jakby stał na wysokiej skale, wokół której waliła się ziemia. Mógł zostać tu,

gdzie jest, ale ryzykując, że będzie tkwił w tym samym miejscu do końca życia. Wiedział, że stanowcze upieranie się przy swoim stanowisku będzie skutkowało zakończeniem współpracy z Wanergy po wypełnieniu warunków pierwszej umowy. Zostanie z pięcioma elektrowniami, które będą pewnie przynosić zyski, ale nie będzie mógł dalej rozwijać działalności. Utkwi w miejscu.

Mógł też puścić się pędem, ścieżką, która wydawała się być bezpieczna, chociaż nie było wiadomo, co kryje się na jej końcu. Właśnie – co mogłoby się za tym kryć? Przecież jeśli będzie chciał sprzedać firmę, nie będzie miało znaczenia, czy kupi ją Wanergy, czy inna firma. Szczególnie, że przecież ma prawo nie zgodzić się na niekorzystne warunki sprzedaży. Wypełni umowę, jeśli jedynie porozmawia z Wanergy wcześniej niż z innymi. Piłeczka będzie cały czas po jego stronie, kwestią będzie tylko to, z kim zagra pierwszy mecz.

– Heh, pana propozycja wydaje się bardzo ciekawa... – wydukał Marcin. Nawet nie zamierzał silić się na ukrywanie zdenerwowania. Nie toczyli już ze sobą gry, wszystkie karty leżały na stole. Wziął głęboki wdech. – Widzę, że nie kokietował pan, mówiąc przy naszym wczorajszym spotkaniu, że współpracuje tylko z najtwardszymi graczami. Nie jest łatwo pana rozgryźć i sędzę, że nie będzie łatwo nam współpracować. Co nie zmienia faktu, że uważam Wanergy za bodajże jedyną firmę, z którą będę miał szansę osiągnąć to, co bym chciał.

Najlepsi muszą współpracować tylko z najlepszymi, jeśli chcą stać się jeszcze lepszymi. Pan już wie, jaka będzie moja decyzja. Kości zostały rzucone już dużo wcześniej, Rubikon przekroczony, Rzym stoi otworem. Nie zawiedziemy tłumów czekających na nas na Forum Romanum. Wkroczymy tam razem i mam nadzieję, że na pamiątkę postawimy okazały łuk triumfalny. Panie Pawle – podejmuję z panem współpracę na zaproponowanych przez pana warunkach.

Marcin odetchnął z ulgą. Sulima był wciąż tak samo spokojny, ale Marcin odniósł wrażenie, że przez chwilę zobaczył szalony błysk w oku swojego kontrahenta. Tak jakby gdzieś w głębi przeszło go głębokie podniecenie. To pewnie efekt przemowy, jednej z najlepszych, jeśli nie najlepszej, jaką Marcin wygłosił w życiu.

– Znakomicie, wprost doskonale. Pozwoli pan w takim razie, że od razu podpiszemy umowy, które przygotowaliśmy wcześniej? – zapytał Sulima, leniwie otwierając szufladę z dokumentami.

– Oczywiście, załatwmy formalności i pora wziąć się do pracy! – Marcina nawet odrobinę nie zaskoczył fakt, że Sulima ma już gotową umowę. Prawdziwy profesjonalista jest zawsze gotowy na wszystko. Dyrektor wręczył mu dwie kopie i dał wystarczająco dużo czasu na zapoznanie się z ich treścią. Wszystko było dokładnie tak sformułowane, jak życzyłby sobie tego Marcin. Oczywiście najwięcej czasu wertował punkt dotyczący prawa pierwszeństwa do rozmów z Wanergy w przypadku chęci sprzedaży firmy. Przeczytał go kilkunastokrotnie,

ale nie znalazł nic, co budziłoby najmniejsze chociaż wątpliwości. Ostatecznie wziął głęboki wdech i na końcu każdej kopii umieścił swój zamaszty podpis. Sulima oczywiście zrobił to już wcześniej.

– Dziękuję, panie Marcinie. Mam nadzieję, że współpraca będzie nam się układać tak, jak byśmy sobie tego obaj życzyli. Teraz będziemy się widywać i kontaktować rzadziej, pora dać się wykazać moim podwładnym. W związku z tym – powodzenia, panie Marcinie. Obyśmy przy kolejnym spotkaniu obaj byli w jeszcze lepszych nastrojach niż teraz! – Sulima zaśmiał się głośno i wyciągnął dłoń w kierunku Marcina, wstając z fotela. Niepojęty człowiek. Marcin wiedział, że spotkanie należy uznać za zakończone, zresztą marzył już o tym, żeby wyjść i przemyśleć to wszystko, co zaszło przed chwilą. Uśmiechając się, z nieskrywaną ulgą uścisnął mocno dłoń Sulimy, spojrzał mu jeszcze raz głęboko w oczy i widząc w nich wciąż tylko niczym niezmacony spokój, wyszedł z biura Wanergy.

Gdyby odwrócił się w tamtej chwili, zobaczyłby Sulimę unoszącego wzrok wysoko, bardzo powoli wydychającego powietrze. Długo, jakby chciał pozbyć się go dosłownie z każdego pęcherzyka płuc. Zacisnął dłoń w pięść i uniósł ją wysoko, jakby złapał swoją mikroskopijną zdobycz i chciał pokazać całemu światu, że udało mu się ta trudna sztuka.

Nawet najdoskonalszy umysł nie jest w stanie zobaczyć lub chociaż domyślić się wszystkiego. Każdy kolos ma gliniane nogi.

*

Piotrek spał długo, głównie dlatego że późno wrócił do domu. Rozgadali się z Michałem, kończyli konwersację jeszcze po tym, jak impreza w klubie się skończyła. Mieli o czym gadać. Błyskawicznie znaleźli wspólny język i masę bliskich im obu tematów. Od rapu począwszy, przez muzykę ogólnie, życie w trudnych warunkach, rodzinę, na filozofii skończywszy. Po rozmowie Miński zaprosił Piotra na następną organizowaną przez niego imprezę o podobnym zasięgu, ale tym razem poza Łodzią, w Rawie. Oczywiście zaproponował też, żeby Iwan wpadał do Blak, jak tylko będzie mógł. Okazało się, że Michał jest tam kimś na kształt menedżera, chociaż oficjalnie chciał być po prostu uważany za bliskiego doradcę właściciela klubu. Nie lubił się z niczym afiszować.

Piotrek był podekscytowany perspektywami jakie się przed nim rozpościerały. Jeszcze wczoraj rano zastanawiał się nad tym, co znaczy jego nieprzyjemny sen, a dzisiaj miał otwarte przed sobą te drzwi, na których mu najbardziej zależało.

– Wstał, wstał! – mało dyskretny szept brata sprowadził go póki co na ziemię. Trzeba było zmierzyć się z codziennością, przeprosić mamę za to, że tak długo leniuchował, i wziąć się do roboty.

– Wstałem, wstałem, dzień dobry wszystkim! – chociaż nie chciał za bardzo emanować dobrym humorem, żeby nie zdenerwować matki, nie mógł powstrzymać się od szczerzenia zębów w baaaardzo szerokim uśmiechu. Wszedł do kuchni, gdzie siedziała jego rodzicielka, która... też się uśmiechała.

– Cześć mamó... – Piotrek był nieco zaskoczony reakcją matki i szybko opuścił wzrok na ziemię. Wczorajsza pewność siebie ustąpiła miejsca skromnej nieśmiałości. Matka to najbardziej wymagająca publiczność.

– Dzień dobry, Piotrze. – Mama próbowała udawać surową. – Wypałeś się?

Piotrek podniósł wzrok, spodziewając się spotkać parę wbijających się w niego złośliwych oczu. Tymczasem twarz matki promieniowała wesołością.

– Tak, mamó, wypałem się, chociaż za wcześnie nie wróciłem, jeśli mam być z tobą szczery. Zjem coś i powiesz mi, w czym mam ci pomóc, okej? – zapytał szybko. Mama zaśmiała się głośno.

– Pomogłeś mi dzisiaj już wystarczająco. Nie wiem, jak to zrobiłeś, ale twój prezent usprawiedliwia twoje błogie lenistwo. – Stała się poważniejsza, ale w jej oczach ciągle mieszkaly dwa chichrające się chochliki. – Jeśli chcesz, to możesz się pochwalić, gdzie zarobiłeś takie pieniądze, ale jeśli nie, to zrozumiem.

No tak! Zapomniał o tym kompletnie. Przecież zostawił jej pieniądze z wygranej! Był już tak zaspany, kiedy wrócił, że ten fakt kompletnie wyleciał mu z głowy. Głowy, po której drapał się teraz z zakłopotaniem.

Nie miał w zwyczaju okłamywać swojej matki. Już wiele razy ratowała go

z tarapatów, jeśli nie bezpośrednim działaniem, to szczerą rozmową i mądrym słowem. Od małego miał wpojony szacunek dla całej rodziny i to nie taki „przykazaniowy” – czcij ojca swego i matkę swoją (jakby byli bogami, wysoko ponad nim), ale taki... życiowy (bo byli ludźmi, jak wszyscy). Wiedział, że jeśli będą szanować siebie nawzajem i pomagać sobie w trudnych chwilach, to poradzą sobie z wszelkimi katastrofami. Nigdy nie zawiódł się na tym sposobie myślenia.

– Mamo... – zaczął, mimo wszystko, dość niepewnie – ...wiesz, że słucham rapu i parę razy widziałas albo słyszałas, jak próbujemy z chłopakami na podwórku swoich sił. Tak się złożyło, w zasadzie kompletnym przypadkiem, że wczoraj odbywały się jakby... nieoficjalne mistrzostwa Łodzi we freestyle’u. To takie rapowanie „na szybko”, prosto z głowy. No i mnie, nieopierzonemu, udało się wygrać tę imprezę... Ot, cała tajemnica.

Spojrzał na matkę. Była spokojna, spoważniała. Widać było, że musi to przemyśleć przez chwilę. Uśmiech pojawił się najpierw w jej oczach. Dopiero chwilę później cała jej twarz ukazała minę wyrażającą dumę matki z dokonań jej syna. Rzadko kiedy jej oblicze uzyskiwało tak subtelną, kobiecą urodę. Często troska i zaniepokojenie skryły pod grubą i twardą maską tę radosną lekkość.

– Widzisz, synu... – zaczęła mówić spokojnie, ale jej głos drżał z przejęcia.
– Każdy z nas chciałby w życiu zajmować się tym, co kocha. Budzić się każdego poranka, nie po to, żeby iść do pracy i sprzedawać swój czas za zawsze zbyt niską stawkę, ale po to, żeby rozwijać samego siebie i spełniać się we własnym życiu. Właśnie Bóg zesłał ci szansę, znak. Każdy z nas ją kiedyś dostaje. Większość nawet jej nie zauważa, reszta boi się ją wykorzystać, bo ta droga wymaga więcej od nas samych. Proszę cię, nie bądź jak my wszyscy. Stać cię na to, żeby być kimś. Wykorzystaj to. Jestem z ciebie dumna... – wyszeptwała.

Nie była w stanie powiedzieć nic więcej. Gdy wypowiadała ostatnie słowa, łzy gęsto płynęły po jej policzkach. Wstała z taboretu i objęła nie mniej przejętego Piotrka. Była to jedna z tych chwil, w których wiedział, że cokolwiek by się dalej nie stało, może na nią liczyć. Poczul, że teraz nie może zawieść jej oczekiwań. Chciał, żeby już do końca życia płakała tylko takimi łzami – łzami wzruszenia i szczęścia. Żyje się tylko dla siebie i na własne konto, ale jeśli wiemy, że nasze kroki mogą przynieść radość komukolwiek oprócz nas – to właśnie wtedy uprawiamy nasze dzieło w piękną ramę. Obraz, nawet najpiękniejszy, traci sens swojego istnienia, jeśli wisi w zapomnianym miejscu i nikt nie ma szansy nacieszyć oka jego widokiem.

Trwali w uścisku kilka chwil, a kiedy oddalili się od siebie, na twarz matki Piotrka wróciło surowe oblicze. Uśmiechnęła się, nieco złośliwie, jak to miała w zwyczaju ta charakterna kobieta.

– Nie myśl, że zapomniałam o twojej obietnicy. Zjedz sobie coś na śniadanie i pozmywaj naczynia. Jak skończysz, pójdziemy na zakupy. Wpadło nam dzięki

tobie trochę grosza, więc kupimy kilka rzeczy, których brakuje od dłuższego czasu – podsumowała plan dnia.

Rzeczywistości nie da się schować i o niej zapomnieć. Nawet po najwspanialszych uniesieniach wróci do nas, pomacha z daleka i zawoła: „Wróć na ziemię, cuda cudami, ale trzeba jeść i nie zarosnąć brudem!”. Toteż pozostało zakasać rękawy i wziąć się do roboty.

Piotrek był mimo wszystko w dobrym humorze. Sukcesy, realizowanie pasji, pozwalają na złapanie dystansu do codzienności. Dzięki temu godzina spędzona przy brudnych naczyniach przestaje być aż tak frustrująca, a czasem (byłe nie za często!) daje nawet radość i satysfakcję. Chwilę po czternastej Piotrek pakował torby wielokrotnego użytku do plecaka i wychodził z mamą na wizytę w markecie.

Dzień jak co dzień. Wyglądał tak samo szarawo jak wczoraj, przedwczoraj i tydzień temu. Jednak tym razem Piotrek miał wrażenie, że wszyscy zwracają na niego uwagę. Ba, najczęściej zerkwały na niego kobiety i nie były to bynajmniej pogardliwe spojrzenia. Część z nich była ciekawska, część wyrażała duże... zainteresowanie, niektóre nawet się uśmiechały. Piotrek czuł się nieco zmieszany, ale postanowił nie dać tego po sobie poznać. Odpowiadał uśmiechami i długimi, bezkompromisowymi spojrzeniami. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz zakupy niosły ze sobą tak ogromną dawkę emocji. Jeśli szukasz adrenaliny, nie musisz od razu skakać na bungee, duże jej dawki spacerują po ulicach, kusząco przeczesując włosy i kręcąc biodrami.

Piotrek nie zauważył nawet, że matka śmieje się ostentacyjnie, widząc zajęcie swojego syna. Postanowiła nie zwracać mu uwagi na to, że jest kompletnie roztertargiony i kompletnie z nią nie współpracuje. Jakoś udało jej się ogarnąć samodzielne pakowanie. Po prostu obwiesiła Piotrka torbami i zakomunikowała, że wracają do domu. Iwan poczuł lekkie rozczarowanie, że to już po wszystkim. W drodze powrotnej był już tak doszczętnie otępiony otaczającym go pięknem, że dopiero bardzo głośny krzyk: „IWAN, HALO!”, wyrwał go z zamyślenia.

– O kurczę, Michał, cześć... – odpowiedział tak tępo, jakby właśnie wysiadł z kolejki górskiej. Mama zorientowała się w sytuacji, kiwnęła Piotrkowi głową na znak, że idzie do domu, uśmiechnęła się do Mińskiego i błyskawicznie czmychnęła.

– No siema, chłopie. Co ty, aż tak bardzo dostałeś wczoraj ode mnie wycisk, że jeszcze nie możesz dojść do siebie? – zapytał, śmiejąc się wręcz szyderczo Miński.

– Nie, nie... byłem z mamą na zakupach i trochę się zawiesiłem – odpowiedział Piotrek, wyraźnie zmieszany, co błyskawicznie wypatrzył Michał.

– Hej, a ty co się tak zawstydziłeś? Że z matką na zakupy chodzisz? Dla mnie to akurat powód do dumy. Niewielu jest takich, którzy potrafią docenić rodziców i odwdzięczyć się swoją pracą. Większość to lojtki, które ciągną kaskę na

wódeczkę od mamusi i tatusia, a jak przychodzi co do czego, to wody w kiblu nie potrafią spuścić – skwitował Miński.

Piotrek nie mógł przyzwyczać się do jego bezpośredniości, ale wcale nie dlatego, że go denerwowała. Po prostu uwielbiał takich ludzi mówiących prawdę prosto z mostu, a była ich na świecie garstka. – Pobudka! – zawołał Michał, klepiąc Piotrka odrobinę za mocno w bark. Wycucia to on nie miał za grosz. – Dobrze, że cię widzę, bo mam do ciebie sprawę – ciągnął, zanim Piotrek zdążył chociaż wymyśleć, co mógłby odpowiedzieć. – Myślałem, że będę musiał poczekać z tematem do czasu, aż wpadniesz do Blak, ale w takim razie obgadamy to od razu. Mam dla ciebie propozycję nie do odrzucenia. Wydaję swoją EP-kę i potrzebuję kogoś, kto mi się dopisze do jednego z kawałków. Roboczy tytuł „Otwieraj!”. Chciałbym trzymać się tematu otwartej bani i unikania schematów. Powiem ci szczerze, że większość tych wielkich MC z naszego podwórka napisałaby pewnie stek przechwałek o tym, jacy to oni nie są i czego nie robią, a prawda jest taka, że gównie wiedzą o życiu. Sądzę, że będziesz miał na to ciekawszy pomysł, a nawet jeśli nie, to chociaż będę miał pewność, że nie ściemniasz w tekście. To jak, skleisz szesnagę? – wypłuł z siebie propozycję w kilku szybkich zdaniach.

Piotrek nawet nie zdążył poczuć zaskoczenia, był tak zachwycony propozycją. Miał szansę zrobić kolejny krok w grze, w której ledwo zdążył zaistnieć. Rap, którego słuchał, nauczył go, że na featuringach... na DOBRYCH featuringach można się wybić. Gdyby zajął się swoim projektem, o którym myślał już wczoraj podczas rozmowy z Mińskim, nie startowałby z pozycji no-name'owego freestyle'owca, który wygrał fuksem kilka bitew, ale poza tym to jest bezpłodnym tekściarzem. To duży przeskok, mimo wszystko.

– Skleję, czemu nie... – odpowiedział i zamilkł na chwilę. – Na kiedy mam być gotowy? Masz już jakiś bit do tego? Co z nagraniem? – Piotrek, jak tylko nieco otrzeźwiał, zalał Michała falą pytań. Lubił wiedzieć konkretnie, co, jak i kiedy ma robić.

– Hola, hola, wyluzuj, nie wszystko naraz. Przynajmniej wiem, że już nie bujasz w obłokach, chłopaku! – Miński zaśmiał się głośno, zwracając na siebie uwagę przechodniów, którzy spojrzeli na niego z ogromną pretensją. – Matko, w tym kraju nawet śmiać się nie można, bo to oznacza, że masz więcej niż inni – lepszy humor... – skwitował.

– Dobra, ja nie o tym. Słuchaj, mnie się generalnie nie spieszy, bo sam nie mam jeszcze wszystkiego, ale nie chciałbym czekać na ciebie wieczności. Dasz radę ogarnąć to w tydzień? Ja pewnie dopracuję swój materiał do tego czasu i będziemy myśleć o nagrywaniu. O studio się nie martw, wszystko ogarniam. Bit mam, nawet mam pendrive ze sobą, chcesz go od razu czy weźmiesz przy okazji? – zapytał.

– Bo ja wiem kiedy będzie okazja... – odpowiedział rozweselony Piotrek.

Coraz bardziej cieszył go temat ich rozmowy. – Daj mi go teraz, a jak wpadnę do Blak przy okazji, to ci go oddam. Może uda mi się ugryźć temat szybciej niż do końca tygodnia?

Prawdę powiedziawszy, Piotrek już myślał o wersach, jakie napisze na ten kawałek. Zamierzał wrócić do domu i zaatakować temat. Byle czego przecież nie nagra, a musi mieć czas na ewentualne poprawki.

– No to rewela. Trzymaj pendrive’a, tylko oddaj! – Miński zmierzył rozmówcę wzrokiem, trochę się przy tym zgrywając i podał Piotrkowi „gwizdek”. – W takim razie zapraszam do Blak, jak będziesz gotowy, zresztą jeśli nie będziesz, to też wpadaj. Powodzenia i do zoba!

Zbili ze sobą piątki i Miński poszedł w swoją stronę. Piotrek chwilę stał na środku chodnika, przypatrując się nośnikowi pamięci. Pokręcił głową z niedowierzaniem i niemalże w podskokach pognął do domu.

Planował wybrać się wieczorem do Blak, ale w takim razie zdecydował się na spacer po okolicy z nowym bitem na uszach. Chciał zebrać wenę z chodnika, a kiedy uzbiera jej wystarczający zapas, wróci do domu i siądzie nad kartką. Pierwszy raz będzie miał okazję napisać coś poważniejszego niż kilkanaście wersów, które i tak wylądują w szufladzie.

Popołudnie wlokło się niemiłosiernie. Piotrek nie mógł znaleźć dla siebie miejsca, czekając tylko na wieczór. Przerzucił sobie muzykę z pendrive’a na mp3 na starym rzęchu, z którego korzystała cała rodzina. Skubnął trochę obiadu, pomógł w zmywaniu tylko po to, żeby czas szybciej zleciał. Znalazł zeszyt z kilkoma czystymi kartkami i naszykował sobie działające długopisy. Nie chciał, żeby wena, którą tak pieczołowicie będzie łowił na łódzkich ulicach, uciekła przez problemy natury technicznej. Ach, ten perfekcjonizm...

Minutowa wskazówka wyjątkowo leniwie popychała do przodu tę godzinową. W końcu mniejsza z nich łaskawie doczołgała się do dziewiątej. Piotrek wyskoczył z pokoju jak sprinter z bloków startowych. Buty ubrał w kilkanaście sekund, ciuchy (te najzwyczajniejsze, „spacerowe”) miał na sobie od dwudziestej. Ku zdziwieniu brata przez ostatnią godzinę siedział na brzegu łóżka i zerkając na zmianę na zegarek i za okno, tupał nogami. W długich spodniach i szerokiej bluzie. „Starsi bracia są dziwaczni” – pomyślał młody i zajął się swoimi pierdołami.

Upewniwszy się, że ma ze sobą naładowaną mp3 i klucze do mieszkania, Piotrek wściubił tylko głowę do pokoju rodziców, „Wychodzę, nie wiem o której wrócę” – zakomunikował i wymieniwszy jeszcze porozumiewawcze spojrzenie z matką – zwał, na wolność wyczekiwaną od ładnych kilku godzin. Po powrocie miał nadzieję zastać domowników śpiących twardym snem. Nie chciał, żeby ktokolwiek mu przeszkadzał w procesie twórczym.

Kilkoma szybkimi susami zbiegł z klatki schodowej, przemknął przez

podwórko jak cień, tak żeby nie pozostawić nikomu ze znajomych wątpliwości, że nie ma ochoty na rozmowę, i w końcu wyszedł z bramy na ulicę. Nie planował konkretnej trasy spaceru, ale wiedział, że ma większą ochotę na towarzystwo bloków niż kamienic.

Skręcił w lewo. Mp3 grała tradycyjnie w losowym trybie. Piotrek czuł się trochę nieswojo, bo ruch na ulicach był dość spory mimo późnej godziny. Musiało minąć kilka minut, zanim złapał rytm. Minał famułę, bliźniaczo podobną do tej, w której mieszkał, i kolejną. Ślady dawnego miasta w mieście.

Za drugą famułą rozpościerała się ogromna przestrzeń bez zabudowań. Piotrka zawsze fascynowało, skąd taka wyrwa w środku szczelnie zabudowanego miasta. W końcu rozgryzł temat, odkrywając, że ceglany budynek na końcu imperium Poznańskiego (a dziś Francuzów) był magazynem bawełny. Specjalnie stał w oddaleniu, żeby zminimalizować ryzyko rozprzestrzeniania się ewentualnego pożaru. Miasto smakuje lepiej, kiedy je rozumiesz.

Widok nad prawym barkiem zmienił się. Nie było już nad nim centrum handlowego, lecz Stary Cmentarz, a w zasadzie okalający go mur. Tu już było znacznie spokojniej, jakby zmarli odpędzali przechodniów i kierowców, domagając się spokoju na wieczór. Piotrek coraz bardziej odpływał i dawał ponieść się krokom i myślom. Pokręcił głową, widząc groteskowo pomalowaną na różowo fasadę kwiaciarni, wkomponowanej w ogrodzenie cmentarza. Ludzie są niewidomi, bez kitu.

Niekończący się mur w końcu się urwał i znów zrobiło się jakby mniej spokojnie. Tuż za cmentarzem stała samotna kamienica, a za nią kompletnie z niczego wyrastało chaotyczne blokowisko. Wieżowce stały, każdy w inną stronę, jak klocki porzrzucone przez dziecko-urbanistę. Właśnie w tym labiryncie Piotrek zamierzał znaleźć klucz do rozwikłania koncepcji „Otwieraj!”. Odbił w prawo i zanurzył się w cieniu. Serce biło mu mocno od szybkiego marszu i poczucia bezradności wobec przytłaczającego ogromu, kompletnie odmiennego od stosunkowo poukładanych kamienic Polesia.

Z tego wszystkiego zapomniał przesłuchać bitu, który dostał od Mińskiego. Na szczęście „szufla” znów go nie zawiodła i poczęstowała słuchawki Piotrka podkładem – energetycznym i pozytywnym, ale z zębem. To znaczy, że kawałek ma być ostrzejszy, pewnie Michał chce pokazać pazur, a razem z pazurem wyprostowany środkowy palec dłoni. Sampłowana pętla szybko wkręciła się w uszy Piotrka, zachęcając do składania próbnymi wersów, które będzie mógł później wykorzystać przy pisaniu tekstu.

Kluczył bez celu między blokami i co chwilę odtwarzał podkład od początku. W pewnym momencie dźwięki powtarzające się niczym mantra wypełniły całkowicie jego umysł, zostawiając miejsce tylko i wyłącznie dla muzyki i myśli, które można przelać na takty głośno brzmące ze słuchawek. Osiągał stan

twórczej niezależności od całego świata, jakby cielesna powłoka zniknęła i całkowicie zmieniała się w niedotykalną, duchową istotę zdolną jedynie do kreowania. Spacerował kilkanaście centymetrów ponad chodnikiem.

Piotrek zagłębiał się w swoich myślach, tak jak to miał w zwyczaju podczas pisania. Rozpoczynał od hasła, myśli przewodniej, najczęściej składającej się z jednego słowa. Tym słowem, kluczem, otwierał drzwi do kolejnych korytarzy, które układały się w ciągi myśli, skojarzeń, wyobrażeń. Z całości powstawało pozornie niespójne dzieło, ponieważ pierwsze myśli najczęściej miały niewiele wspólnego z tymi końcowymi. Zawsze jednak łączył je jakiś, czasem ledwie dostrzegalny, wspólny mianownik. Detal, który sprawia, że z obserwacji ziarenka piasku kończymy na tworzeniu gigantycznych, majestatycznych witraży.

Dzisiaj temat narzucił mu Miński. „Otwieraj!”... To brzmi jak polecenie, jak rozkaz. Nie ma w tym zawołaniu ani krzty politowania. Czemu taki ton? Żeby cię obudzić. Wywołać w tobie reakcję. Żebyś zauważył, że masz przed sobą mur, który zabarykadowałeś solidnymi, kutymi wrotami. Zamknąłeś się w twierdzy, której nie zamierzasz opuszczać. Jeśli rzeczywiście tego nie chcesz, to zostań tam, ale najpierw zastanów się, czy w ogóle wiesz, że poza twoim bunkrem istnieje zewnętrzny świat. Jesteś świadomy swojego zamknięcia?

Dlatego krzyczę: OTWIERAJ! Hej! Dałeś się zapuszkować i nie ma znaczenia, czy zrobiłeś to sam sobie, czy ktoś ci w tym pomógł! Poza tymi ścianami, które oglądasz dzień w dzień, istnieje coś więcej! Nie musisz tego szukać, jeśli nie chcesz. Miej jednak chociaż tyle odwagi i uświadom to sobie, sobie...

Moment. A co tak naprawdę masz otworzyć? Drzwi od mieszkania? Brzmi to głupio, ale... też. Otwórz swój umysł, siebie, swoje życie na świat. Podnieś roletę i otwórz okno, wychyl się przez nie. Wciągnij nosem zimne powietrze. Popatrz na ludzi, popatrz na świat. Nie rozumiesz go? Dziecko też na początku nie rozumie niczego. Dlatego pyta. Zaczynaj pytać. Siebie, innych, nieważne. Pytaj – czemu tak a tak się dzieje, czemu to, co widzę, z okna wygląda, jak wygląda? Nic nie dzieje się bez przyczyny, a nie ma przyczyny, której nie da się wyjaśnić. Ćwicz umysł, wyobraźnię, a będziesz w stanie zrozumieć coraz więcej.

Brakuje ci pytań albo pomysłu na nie? Może ktoś inny ci je podrzuci? Zaczynaj rozmawiać. Nie na Facebooku, o tym, jak minął wczorajszy melanż, tylko w rzeczywistości. W cztery oczy. Poznaj ludzi i ich reakcje, a nie tylko wirtualne awatary, które pozwalają grać inne role niż te właściwe. Czytaj literaturę. Znajdź twórców, którym zależy na czymś więcej niż tylko przykuciu twojej uwagi do ich dzieła. Czasem warto przecierpieć lekturę napisaną siermiężnym językiem, ale niosącą ze sobą wartości, odpowiedzi lub same tylko pytania. Motywującą do wyczerpania umysłu aż do granic.

Chcesz być na szczycie? Każdy z nas chce. Otwórz klapę w suficie

i wyskocz przez nią! Brakuje ci sił? To potraktuj świat i to, co ze sobą niesie, jako trampolinę! Wzbijaj się do góry pomału, wtedy ćwicz też upadki. Nie stanie ci się krzywda, kiedy spadniesz z małej wysokości, a dzięki temu będziesz wiedział, jak masz się zachować, kiedy wzbijesz się nieco wyżej, a coś pójdzie nie tak. Doświadczenie jest twoją bazą na całe życie, nikt ci go nigdy nie zabierze, a nie wiesz, kiedy będzie mogło ci się przydać.

Obserwujesz teraz to wszystko wokół siebie, czego nie zauważałeś do tej pory. Za drzwiami czekają ludzie gotowi otworzyć się przed tobą, tak samo jak ty przed nimi. Zawierasz wspaniałe, magiczne wręcz znajomości, chociaż z każdym na początku wymieniałeś te kretyńskie uwagi o ładnej pogodzie. Za oknami widzisz góry, lasy, jeziora, rzeki, morza, wschody i zachody słońca. Kiedyś bałeś się ich, natura cię przerażała, dzisiaj czujesz coraz mniej lęku, a coraz więcej szacunku. Rozumiesz, skąd te cuda wzięły się na świecie, jak funkcjonują. Ciemny las okazuje się całkiem jasny, kiedy przyzwyczaisz oczy do mroku.

Cegiełka po cegiełce rozbierasz mur wokół siebie. Przestajesz obawiać się najazdu wrogów, bo okazuje się, że wrogów zwyczajnie nie ma. Uświadamiasz siebie, samodoskonalisz się. Im lepiej znasz swoje „ja”, tym łatwiej jest ci dogadać się z otoczeniem. Sam zaczynasz łupać w drzwi innych i drzeć się: „Otwieraj!”. Bawisz się życiem. Jesteś spełniony.

Z szerokim uśmiechem na twarzy Piotrek wyszedł z Kozin na Drewnowską i zaczął pomału kierować się ku domowi. Już wiedział, co i w jaki sposób będzie chciał napisać. Mówi się, że artysta musi czekać na wenę, wtedy dopiero może zacząć tworzyć, a to nieprawda. To wena czeka na artystę, będąc przy nim cały czas. Umiejętnością jest zaprosić ją do wspólnej zabawy, wtedy kiedy ona nie jest do tej zabawy skora. Najlepiej smakują kobiety, które najtrudniej zdobyć.

W końcu Piotrek zlitował się nad powtarzaniem w kółko bitem i dał popłynąć innej muzyce. Wyluzowany, pełen zapału i energii do pracy nad swoim nowym dziełem mógł wrócić do domu i przelać ten cały strumień na papier. Właśnie po to chodził na spacer. Jeszcze nigdy go nie zawiodły.

Zbliżał się już do domu, tak wyszło, że wylądował na ogromnym rynku galerii handlowej, z którą sąsiedował jego dom. Nie lubił tego miejsca – za dnia było zawsze zbyt gwarne, wieczorem świeciło zbyt jaskrawym światłem. A w nocy znów sprawiało wrażenie opustoszałego i przygnębiającego. Więcej życia miały w sobie zrujnowane kamienice niż te wyszorowane i zapchane komercją pozostałości fabryki.

Szybko przemknął przez rozległy plac, jakby chciał uniknąć zauważenia przez strażników, i szedł wąskim chodnikiem, tuż przy wyjeździe z hotelowego parkingu. Nie wiedzieć czemu cały podniosły nastrój szybko wyparował, w związku z czym Piotrek przyspieszył kroku, chcąc jak najszybciej dostać się do domu. Już prawie minął narożnik, prawie widział swoją bramę, kiedy poczuł się

obserwowany. Nerwowo zerknął za siebie, w prawą stronę, i zobaczył młodego mężczyznę siedzącego na trawniku, opierającego się o ścianę ceglanoego ogrodzenia odgradzającego hotel od Ogrodowej.

Obok niego leżały dwie puste butelki po piwie, w rękę trzymał kolejną. Mimo że był ubrany bardzo elegancko, w czarne buty, spodnie i marynarkę, pod którą nosił białą koszulę, wyglądał jak wrak człowieka. Był blady, jakby brakowało mu życia. Patrzył beznamiętnym spojrzeniem, zdawał się być do cna odarty z nadziei i godności.

Piotrek, sam nie wiedząc czemu, odwrócił się do chłopaka i zaczął iść w jego stronę. Tamten nie wyglądał na zaskoczonego, chociaż raczej wynikało to z bijącej od niego obojętności. Nie wiedząc, jak ma rozpocząć rozmowę, Piotrek złapał się pierwszej myśli, jaka przyszła mu do głowy.

– Czy wszystko w porządku? – zapytał, wpatrując się w mgliste oczy mężczyzny.

– A nie widać? Czego chcesz? – odpowiedział nieznajomy, nie wykazując chociaż odrobiny jakichkolwiek emocji, nawet złości. Piotrek chyba nigdy nie spotkał się z tak wyjałowioną emocjonalnie osobą. Czuł się trochę, jakby rozmawiał z kimś przezroczystym.

– Porozmawiać. Chyba, że nie życzysz sobie towarzystwa.

– Nie wiem, co ci do głowy strzeliło, żeby podejść akurat do mnie i akurat ze mną rozmawiać, ale jeśli odczuwasz taką potrzebę... Może mnie też dobrze zrobi, jak pogadam z kimś obcym... – Piotrek odniósł wrażenie, że delikatnie, tak ledwo wyczuwalnie, jego rozmówca ożywił się.

– Czemu tutaj siedzisz? Często spotykam tu pijących, ale jesteś pierwszym, który jest ubrany w garnitur... – zapytał. Bezpośredniość Piotrka zdawała się dodawać obcemu energii.

– Siedzę tutaj, bo mam wszystkiego dosyć i nie mam siły iść gdziekolwiek dalej. Pracuję w tym pieprzonym hotelu, dlatego noszę ten komiczny kubraczek dla konformistów. A ty co? Bezsensowność? – Chłopak może i był nieco żywszy, ale nie mniej opryskliwy.

– Można tak powiedzieć. Potrzebowałem się przespacerować, żeby dać trochę odetchnąć myślom. Mieszkam po drugiej stronie ulicy. Piotrek jestem, poznam twoje imię? – zaczynał czuć się jak terapeuta. Wyciągnął dłoń, którą mężczyzna uściśnął.

– Mateusz – na jego twarz zaczynały wracać kolory. Wyglądał, jakby czekał całe życie na tę rozmowę, bo z każdą sekundą w jego oczach pojawiała się coraz większe zaciekawienie.

– Miło mi poznać. Wiesz, wyglądasz jak wrak człowieka i zastanawia mnie bardzo, co sprawiło, że młoda osoba, bo na taką wyglądasz, doprowadziła się albo została doprowadzona do takiego stanu. – Mateusz w pierwszej chwili spojrział

krzywo na Piotrka.

– Kolego, znamy się kilka minut, a ty na dzień dobry wylewasz mi na głowę pomyje. – Na jego twarz wróciła wcześniejsza obojętność. Splunął na trawnik. – A najgorsze jest to, że masz rację. Zazdroszczę ci tej bezpośredniości. Ja całe życie wodzę za nos samego siebie i wszystkich dookoła. Chowam się za pięknymi słówkami, eleganckimi ubraniami, których nie znoszę, i za czterema gwiazdkami tego hotelu. Pięknie wygląda taka maska. Szkoda, że to, co jest w środku, zżera próchnica. – Spojrzał na Piotrka beznadziejnym, wołającym o pomoc wzrokiem. Oczy mu się szklily, trudno powiedzieć czy od alkoholu, chłodu, czy potrzeby płaczu.

– Rozumiem... to znaczy nie do końca – odpowiedział Piotrek. Poczul potrzebę otworzenia się przed rozmówcą. – Rozumiem, co chcesz mi powiedzieć, ale nie rozumiem, czemu tak postępujesz. W ogóle, czemu ludzie robią cokolwiek wbrew sobie, mając całkowitą wolność wyboru. Jestem prostym, bezpośrednim chłopakiem i w taki też sposób żyję. Mieszkam w klitce z całą rodziną, mam masę obowiązków na głowie, w domu bywało czasem ciężko, ale nie zważam na to. Mam czyste sumienie i to mi w zupełności wystarcza. Opowiesz mi swoją historię? Jeśli będziesz chciał, ja ci opowiem później moją. Może nauczymy się czegoś, a jeśli nie... to chociaż sobie porozmawiamy. – Uśmiechnął się spokojnie do Mateusza i usiadł obok, na mokrej i zimnej trawie. Tamten wyglądał, jakby już chciał wylać z siebie te wszystkie brudy, które zalegają mu na duszy. Potrzebował oczyszczenia.

– Chyba wiesz więcej o życiu niż ja, skoro mówisz takie rzeczy – powiedział Mateusz. – Chyba dobrze mi się trafiło, że się spotkaliśmy. Pewnie sam zdążyłeś zauważyć, że nie miałem do tej pory okazji, żeby porozmawiać z kimś szczerze na ten temat – ciągnął dalej temat. Błyskawicznie się rozgadywał.

– Rodzina chciałaby dla mnie jak najlepiej i według nich praca tutaj to spełnienie marzeń. Ładnie to wygląda, jest się czym pochwalić, a jakie perspektywy! Nic, tylko się rozwijać...

Oni mi nie pomogą, a przyjaciół zbyt wielu nie mam. Ci, którzy mnie rozumieją, są daleko stąd i ciężko mi z nimi chociaż dwa zdania przez maila zamienić. Mają swoje trudy na głowach. Reszta sądzi, że jestem w czepku urodzony, skoro trafiła mi się taka praca w tym wieku. Za kilka lat wezmą śluby, podpiszą umowy na czas nieokreślony, kupią duży telewizor, wygodną kanapę i będą cieszyć się mieszczańską nudą.

Obojętność zniknęła, Mateusz ewidentnie zaczynał się nakręcać. Oto chodziło Piotrkowi.

– W takim to otoczeniu dzieje się moja historia. Skończyłem studia, licencjat, z nienajgorszym wynikiem. Sądzę, że mam łeb na karku, znam dwa obce języki, czytam dużo książek, czemu więc mam się kisić kolejne lata na uczelni, na

której jedyne, czego się uczymy, to tego, jak kombinować, żeby przejść na kolejny semestr... Postanowiłem więc wziąć się za samego siebie, pójść do pracy i rozwijać na miarę swoich możliwości.

Widzisz, że do tej pory wszystko wygląda rewelacyjnie. Tak się składa, że całe życie szedłem swoją drogą i zawsze wychodziłem na tym najlepiej. Myślałem, że tak samo będzie i tym razem. Postanowiłem wrócić na studia po roku przerwy, kiedy ułożę sobie resztę życia. Dla bliskich to był strzał w stopę. Mało kto wierzył, że w ogóle uda mi się znaleźć jakąkolwiek pracę. Tym bardziej ciężko mi będzie wrócić na studia, skoro się od nich odzwyczaję. Postanowiłem zrobić na złość całemu światu i osiągnąć sukces za wszelką cenę, byle tylko poprzypiekać nosy obserwatorom.

Przy okazji, korzystając z większej ilości wolnego czasu, wziąłem się za siebie. Zacząłem trenować bieganie, szlifować języki, zainteresowałem się kursem przewodnickim. Zawsze miałem naturę podróżnika i chciałem ostatecznie doprowadzić swoje życie do ciągłego wędrowania po świecie. Ogólnie rzecz biorąc – ambitnie. Z boku mogło to wyglądać, jakbym nic nie robił, ale zaczynałem kolejne projekty, żeby czasem nie zmarnować chociaż jednego dnia. W międzyczasie oczywiście rozglądałem się za pracą. Aplikację do tego burdelu wysłałem od niechcienia. Nie byłem przekonany, czy w ogóle chcę tu pracować, ale dla czystego sumienia spróbowałem.

Ku mojemu zdziwieniu po pewnym czasie zadzwonił telefon. Szybka rozmowa wstępna, później jedna i druga kwalifikacyjna i już stałem w garniaczku pierwszego dnia pracy. Rodzina pękała z dumy, znajomi kiwali z uznaniem głową. Wyrastałem na wzorowego obywatela.

A ja? Bałem się. Byłem przerażony jak dziecko. Bałem się ludzi – wszystkich, pracowników i gości. Bałem się obowiązków, tych przyciasnych kubraczków. Bałem się odezwać, ale milczenie w niczym nie pomagało, nie wystarczało. Nie wiedziałem, co mam robić, co mam mówić, jak się zachowywać. Czulem się, jakby ktoś obciął mi głowę i kazał biec do celu.

Od początku to nie był mój klimat. Wiesz, wolę T-shirt, kolorowe buty i luźną gadkę. Tu musiałem zwracać uwagę na każde słowo, jakiego używam. Najgorsze jest to, że do dzisiaj nikt mi nie powiedział, co i jak mam robić, żeby wychodziło poprawnie.

Mamy marzec, czyli minęło już pół roku, od kiedy tu jestem. Z każdym dniem czulem, jak tracę zapał do robienia czegokolwiek. Brakowało mi siły na wszystko poza jedzeniem, spaniem i pracą. W związku z tym zacząłem wycinać w pień wszystko, co zacząłem przed pracą w hotelu. Przestałem biegać, kurs przewodnicki idzie sobie swoim torem, obok mnie, ostatnią książkę przeczytałem we wrześniu. Nie muszę chyba mówić, że o podróżach mogę zapomnieć? – gadał jak najęty, popijając co kilka zdań łyk piwa.

– Strach, stres, niszczą człowieka w każdy możliwy sposób. W głowie narastała mi pustka i beznadzieja, przestało mi zależeć na czymkolwiek i kimkolwiek. Zacząłem miewać potężne bóle głowy i żołądka. Żeby się choć trochę rozluźnić, zacząłem wlewać w siebie litry piwa. Kiedyś sącyłem je dla przyjemności, w wolnych chwilach. Dzisiaj nie usnę na trzeźwo, nie pozwoli mi sumienie, jeśli go nie wygłuszę.

Mam dość wszystkiego. Współpracownicy ciągle po mnie jeżdżą, że wszystko robię nie tak. Goście traktują jak najgorszego śmiecia. Oni mają kasę i płacą tę kasę, więc mogą cię traktować jak chcą. Nie masz prawa się odezwać, choćby zeszmacili cię jak tanią prostytutkę. Kiedy przebąkuję w domu o zwolnieniu się stąd, każą mi poczekać, zastanowić się jeszcze, może jeszcze troszkę i będzie mi lżej, lepiej.

I tak trwam w tym beznadziejnym położeniu. Dziś nie mam nawet siły wrócić do domu, wypiję to, co mam do wypicia i chyba usnę w tym miejscu. Mam to gdzieś. Nie tak to miało wyglądać. Wolałbym umrzeć niż żyć w ten sposób... – Mateusz spuścił wzrok i z oczu poleciały mu łzy. Zaczął płakać, jakby był na pogrzebie. Jakby opłakiwał samego siebie. Podniósł jeszcze na chwilę głowę i beznamiętnym spojrzeniem zerknął na Piotrkę.

– Ja już nawet nie mam siły ani motywacji, żeby się wściekać. Kiedyś zacząłbym w furii niszczyć wszystko wokół siebie, byle tylko wskrzesić w sobie jakąś iskrę do działania. Dzisiaj umiem już tylko patrzeć, jak biją mnie i okradają – załkał mocno i zamilkł.

Piotrek był zszokowany tym, do jakiego stanu doprowadził się jego rozmówca. Przez cały monolog Mateusza nie mógł uwierzyć, że ktoś mógł zdecydować się na takie kroki w swoim życiu. Gdyby to był jakiś mało rozgarnięty dzieciak! Ale nie – dorosły i, z tego, co zaobserwował, bardzo inteligentny i wrażliwy mężczyzna. Co poszło nie tak?

– Hej, przede wszystkim to nie załamuj się i nie poddawaj – powiedział Piotrek. – Łzy i kolejne butelki alkoholu niczego nie zmieniają. Jesteś w trudnej sytuacji, ale w życiu nie ma ślepych zaułków. Zawsze można znaleźć jakieś wyjście. Wiem, że to truizmy, ale tak zwyczajnie jest. Pozwolisz, że teraz ja opowiem ci swoją historię, tak jak obiecałem? – Piotrek spojrzał pytająco na Mateusza, jednak tamten nie podnosił wzroku z ziemi. Pokiwał tylko nieznacznie głową, zgadzając się na wysłuchanie rozmówcy.

– Wiesz, po co mówię ci te wszystkie banały? Bo ja jestem od małego nauczony, że do celu można dojść tylko najprostsza drogą. Wóz albo przewóz. Korzystasz z okazji albo przepadasz. Urodziłem się w biednej rodzinie. Tak jak ty nie dokończyłem szkoły z wyboru, chociaż ja akurat odpuściłem technikum, przed ostatnią klasą. W domu było wyjątkowo ciężko, pracował tylko tata, mama nie mogła niczego znaleźć, a emerytura dziadków... głodowa. Zostawiłem szkołę,

żeby zarobić trochę pieniędzy. W międzyczasie dziadkowi się zmarło, ale mamie udało się dostać pracę. Sytuacja pomału się poprawiała. Ostatecznie zrezygnowałem z roboty, bo bardziej byłem potrzebny w domu.

Wolnego czasu miałem więcej, ale nie wiedziałem, co z nim robić. Całe szczęście wśród moich znajomych pojawiła się zajawka na rap, a w szczególności freestyle. Spędzaliśmy całe wieczory na podwórku naszych familoków, rymując i szlifując swoje umiejętności. Żaden z nas nie wiedział, po co to robimy i co nam to w zasadzie daje, ale cały czas to robiliśmy. Nikt się nie chce przyznać, ale wszyscy zaczęliśmy pisać teksty. Pewnie dalibyśmy radę uzbierać tego materiału na całą płytę albo nawet dwie. Niestety, wszystko posypało się dosłownie jakiś miesiąc temu.

Było nas czterech, dwóch poszło do pracy, bo tym razem u nich zrobiło się ciężko, trzeci wylądował w kryminale. Za co? Jak zwykle – za nic. Znaleźli przy nim trochę ziola, a że jakiś czas temu był karany za pobicie (choć wtedy to on był pobity, ale zeznania całej grupy świadków były inne...), to go przyszpili, uznając za wielkiego bandytę. Nawet grama nie miał, eh... – Piotrek westchnął, myśląc z tęsknotą o kumplu.

– Zostałem sam. Cały czas dłużyłem teksty i próbowałem coś nawijać, ale samemu to jednak troszkę inna bajka. Ludzie dają energię i motywację do działania. Zaczęłem zastanawiać się, co zrobić dalej z tym życiem. Iść do roboty i harować jak wół, nie mając czasu na cokolwiek, jak moi kumple? Kasa by była pewna, ale co to za kasa... Sam wiesz, jak jest z pensjami w tym kraju. To może wziąć się za rap? Tylko jak? Nie znam nikogo, nie mam nawet imitacji mikrofonu, żeby nagrać chociaż zwrotkę i podrzucić ją komukolwiek – opowiadał, nie zwracając uwagi na to, że Mateusz nie podnosi wzroku znad ziemi.

– Pewnie zastanawiałbym się tak jeszcze ze sto lat, aż w końcu życie zmusiłoby mnie do porzucenia marzeń i zaprzęgnięcia się w kieracie. – Piotrek westchnął, spoglądając chwilę w pomarańczowo-czarne niebo nad miastem. Uśmiechnął się, kręcąc głową i kontynuował opowieść: – Ciężko jest mi uwierzyć w to, że to wszystko wydarzyło się w zasadzie wczorajszego popołudnia. Trochę ponad dobę temu obudziłem się z dziwnego snu. Łaziłem w nim po jakiejś ciemnej i brudnej piwnicy, próbując znaleźć wyjście. Kręciłem się w kółko, skręcałem w różne korytarze, bez nadziei, że dokądś mnie to doprowadzi. W końcu stanąłem przed parą drzwi i długo nie mogłem zdecydować, które powinienem otworzyć. Kiedy podjąłem decyzję i zacząłem wyciągać dłoń w kierunku klamki, obudziłem się.

Miałem paskudny nastrój. Potrzebowałem pobyć sam, porozmyślać, a wszyscy, cała rodzina, coś ode mnie chcieli. Milion spraw, pytań, problemów, obowiązków. Po południu czułem się w sumie tak jak ty. Byłem tak przytłoczony, że nie miałem siły nawet wściekać się na cokolwiek. Jednak zamiast siedzieć na

tylku ubrałem buty, założyłem na uszy słuchawki i wyszedłem z domu. Czuję, że muszę COŚ zrobić. Nie wiedziałem co, nie wiedziałem, od czego mam zacząć, ale wiedziałem, że tylko działanie doprowadzi mnie do celu.

Wsiadłem w tramwaj i pojechałem tam, gdzie akurat jechał. Trafiło się na Chojny. Dojechałem do krańcówki, zawróciłem i zatopiony w rozmyślaniach zrozumiałem znaczenie swojego snu. Dotarło do mnie, że cały czas zastanawiam się, czym powinienem zająć się w życiu, a jednocześnie nie podejmuję żadnej konkretnej decyzji. W tamtym momencie, jakby automatycznie, zdecydowałem, że biorę się za rap. Nie zastanawiałem się nad wszystkimi „za” i „przeciw”, po prostu wybrałem tak, jak podpowiadało mi sumienie – powiedział, uśmiechając się mimochodem.

– Natychmiast mi ulżyło. Zrzuciłem z siebie brzemię, które sam zarzuciłem sobie na plecy. Od razu zacząłem się zastanawiać, czemu nie podjąłem decyzji wcześniej, skoro wydawała się być oczywista. Nad czym się tu zastanawiać? Po co czekać? Czy nie szkoda czasu?

Z tramwaju wysiadłem przy Mickiewicza, bo nabrałem ochoty na spacer Piotrkowską. Kiedy chcę znaleźć inspirację, zawsze wychodzę gdzieś się poszłajać. Skoro już podjąłem decyzję, to nie widziałem potrzeby czekać z rozpoczęciem działania. Nigdy nie wiadomo, kiedy do głowy wpadnie jakiś ciekawy pomysł. Miałem dość melancholijny nastrój, więc leniwie rozglądałem się po kamienicach.

Kiedy mijałem OFF-a, zauważyłem plakat na murze. Nie mam pojęcia, czemu spojrzałem akurat na niego, bo był wyjątkowo nudny. Kilka burych literek, żadnego wyraźniejszego koloru. Nie ma to teraz znaczenia. Ważna była treść – plakat zapraszał na freestyle’ową imprezę, amatorskie mistrzostwa Łodzi we freestyle’u. Wstęp – dziesięć zyli, wpisowe – dwadzieścia. No cóż, sporo dla mnie, zresztą co ze mnie za freestyle’owiec. Poszedłem dalej, ale sam nie wiem kiedy zacząłem liczyć kasę w kieszeni. Brakowało mi niewiele, chyba piątaka.

Jak zwykle kasa decydowała o wszystkim. Przecież nie będę nikogo prosił o darowanie piątaka. Ja nie z tych. Albo mam, albo nie mam, koniec. Uda się innym razem. Troszkę przybity wróciłem do domu. Na schodach coś błysnęło mi przed oczami. Chociaż nie do końca mogłem w to uwierzyć, zobaczyłem pięciozłotówkę. Podniosłem ją szybko i wiedziałem, że los nie zostawia mi wyboru. Muszę spróbować swoich sił na scenie.

Wieczorem pognałem do klubu i zapisałem się na zawody. Trochę pociąłem się z gościem, który okazał się organizatorem, ale pozwolił mi wystartować. Nie oczekiwałem cudów, chciałem dać z siebie wszystko, żeby mieć czyste sumienie. Nawet gdybym odpadł po pierwszym pojedynku, byłbym fair w stosunku do siebie. Może po wszystkim uda się kogoś poznać, gdzieś zakręcić? Trzeba próbować w każdy możliwy sposób.

Rzeczywistość okazała się lepsza od najśmielszych marzeń. Wygrałem całą

imprezę. Pełen klub ludzi wiwatował na moją cześć, chociaż nie znałem ani jednej osoby z sali. Kopciuszek dał popalić wyjadaczom. Po wszystkim zaprosił mnie do siebie Michał – organizator, z którym miałem spięcie przed startem. Wyszło na to, że trafiły na siebie dwa mocne charaktery, które w pierwszej chwili zaiskrzyły, a później okazały się bratnimi duszami. Przegadaliśmy całą noc, dostałem zaproszenie na kolejną imprezę, do tego zarobiłem dwie stówki za zwycięstwo. Złapałem kontakt, którego potrzebowałem. Otwierając drzwi w sennej piwnicy, otworzyłem sobie autostradę do spełnienia marzeń. – Mateusz już dawno temu podniósł wzrok na Piotrka, nie dowierzając, ale tamten nawet tego nie zauważył, gapiąc się w przestrzeń – rozgadany i rozmarzony.

– I to nie koniec – ciągnął młody raper jak natchniony. – Pieniądze oddałem mamie, bo w domu nam się nie przelewa. Powiedziała, że czymkolwiek się nie zajmę, trzyma za mnie kciuki. Poszliśmy razem na zakupy i w drodze do domu spotkałem kogo? Znów Michała. Okazało się, że planował mnie znaleźć, bo chciał mnie zaprosić na gościnny występ na jego wychodzącej wkrótce płycie. Kolejna ogromna szansa! Nie czekałem nawet dnia na to, żeby zacząć pracować nad tekstem. Wyszedłem na spacer, żeby naładować artystyczną energię. Mam już pomysł, koncepcję, wszystko. Wracam do domu i biorę się do pracy. – Uśmiechnął się szeroko, spoglądając w końcu na Mateusza. Kipiał energią i entuzjazmem. Wyglądał jakby był nieśmiertelny, niezniszczalny. Mateusz patrzył na niego jak na cudowny obrazek. Miał wrażenie, że spotkał dokładnie takiego człowieka, jakim sam chciałby być. Nabrał głęboko powietrza wydychając je powoli.

– Trudno mi uwierzyć... w tę twoją... historię – mówił, przerywając co chwilę. Emocje wróciły do niego na dobre. – Niesamowite. Wychodzi na to, że to ty masz rację, a nie ja... – Wstał i wyrzucił do kosza butelki po piwie, po czym przecesał włosy, kręcąc głową. – Leć do domu i pracuj nad tekstem, nie chcę cię zatrzymywać. Po twojej opowieści mam ochotę natychmiast zacząć działać. Masz moje słowo, że wracając do domu, podejmę odpowiednie decyzje co do swojej przyszłości. Powodzenia, kolego, obyśmy się jeszcze kiedyś spotkali i opowiedzieli sobie, jak nam poszło! – powiedział szybko. Widać było, że nagle zaczęło mu się spieszyć.

Opowieść Piotrka ewidentnie wlała dużą dawkę wiary i energii w serce Mateusza. Jakby czekał całe życie na ten moment w uśpieniu i dopiero teraz obudził się do działania.

Piotrek nie zdążył nawet słowa wypowiedzieć, kiedy jego rozmówca ucisnął mu dłoń i pognął chyba w kierunku domu, a na pewno w kierunku lepszego jutra. Iwan uśmiechnął się tylko i pokręcił głową. Wiedział już, o kim będzie myślał, pisząc swój tekst. O ludziach takich jak Mateusz, zamkniętych nie w klatkach, ale w mentalnych pułapkach, które z wartościowych osób czynią pogrążone w depresji kukielki.

Piotrek przeszedł przez opustoszałą o tej porze Ogrodową i po cichu wszedł do domu. Usiadł przy stoliku w kuchni. Zapalił małą lampkę, która dawała niewiele światła, ale przynajmniej nie budziła wszystkich domowników. Wyjął delikatnie z szuflady wcześniej naszykowane kartkę i długopis, puścił bit ze słuchawek i z werwą zaczął pisać, kreślić, poprawiać, nucić... tworzyć.

*

Marcin zapragnął jak najszybciej wrócić do hotelu. Złapał taksówkę i przejechał ten niedługi dystans między Narutowicza a hotelem. Miał ochotę wypić kieliszek wódki zwycięstwa, tej samej, którą kosztował wczoraj, puścić głośno muzykę w pokoju i długo leżeć na łóżku, nie myśląc kompletnie o niczym. Wiedział, że potrzebuje troszkę czasu na ochłonięcie po całym tym szaleństwie z Wanergy.

Pracował nad tym projektem cholernie długo. Jeśli go pamięć nie myliła, to minęło piętnaście długich i pełnych ciężkiej harówki miesięcy od kiedy, czytając o sukcesach Wanergy w Małopolsce, wpadł na pomysł własnego projektu. Godziny wyszukiwania informacji, redagowania ich, przeprowadzania badań, tylko w celu napisania biznesplanu. Później długie dni wymieniania korespondencji z Wanergy i uaktualniania swoich zamierzeń w oparciu o uzyskiwane informacje. Wiedział o brytyjskiej firmie pewnie niewiele mniej niż Sulima. A może i więcej, bo patrzył z chłodną perspektywą.

Dzisiaj ten długi etap dobiegł do końca. Marcin miał w ręku umowę, podpisaną, ważną. Od teraz grał już sam. Niespodziewana propozycja Sulimy sprawiła, że w zasadzie ani przez moment nie będzie zależny od Wanergy. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, to błyskawicznie spłaci swój dług wobec Brytyjczyków i dalej będzie działał całkowicie po swojemu, tylko dodając „by Wanergy”, kiedy ktoś zapyta, skąd ma technologię. Pięknie, może nawet zbyt pięknie, ale z drugiej strony... tyle włożył w ten projekt pracy, że musiało to zaprocentować ponadprzeciętnie dobrymi efektami. Im więcej potu na treningu, tym mniej krwi w boju.

Żwawo wskoczył po schodach i przekroczył próg rozsuwanych drzwi. Z daleka uśmiechnął się do barmana, tamten tylko kiwnął głową na znak, że rozumie aluzję i kiedy Marcin podszedł do baru, czekał na niego pełny kieliszek.

– Dziękuję ślicznie, dzisiaj mam jeszcze więcej powodów do oblewania, szczególnie tak zacnym trunkiem – zagaił wesoło do barmana.

– Ooo, a można się dowiedzieć co to za powody? – odpowiedział tamten z typową, barmańską ciekawością. Zagadanego klienta łatwiej namówić na następną kolejkę.

– Można, można! Udało mi się podpisać umowę na finansowanie dużego projektu mojego autorstwa. Do tego na korzystniejszych warunkach, niż

zakładałem. Poszło jak po sznurku. Niby grube ryby, ale tańczyli, jak im zagrałem. Za sukces! – zawołał i podniósł wysoko kieliszek. Wypił wódkę z zamkniętymi oczami, żeby lepiej poczuć doskonały aromat i unikalny smak. Była zaiste doskonała. Ambrozja.

– To moje gratulacje! Może życzy pan sobie jeszcze jeden kieliszek? – Barman zwietrzył okazję na poprawę utargu.

– Nie, nie, dziękuję, przyjemność trzeba delikatnie dawkować, żeby nie spowszedniała – odpowiedział Marcin, wciąż mając zamknięte oczy. Relaksował się, w końcu.

– Jakie mądre słowa! A jeśli zaproponuję, że drugi kieliszek wypijemy razem? – niespodziewanie odezwał się kobiecy głos. Marcin nie zobaczył, ani nawet nie usłyszał, że ktoś inny podszedł do baru.

– Wtedy się zastanowię – odpowiedział, podnosząc powieki i powoli obracając głowę w stronę, z której dobiegał bardzo ciepły i radosny głos. Zobaczył tam dokładnie tę osobę, którą pragnął zobaczyć nade wszystko. Poczul wybuchającą z ogromną mocą bombę radości i podniecenia. Co za dzień! Obok niego stała i uśmiechała się najśliczniejsza kobieta, jaką spotkał w życiu. Ta sama, z którą jechał windą i wymieniał spojrzenia podczas śniadania!

Zaśmiała się głośno, urzekając tym dźwięcznym śmiechem zarówno Marcina, jak i barmana. Obaj gapili się na nią jak na cudowny obrazek.

– A nad czym się tu zastanawiać? Panie Arku, możemy na pana liczyć? – puściła oczko, tamten wyszczerzył zęby, wyraźnie zadowolony z rozwoju sytuacji. Wiedział, że chyba sobie dzisiaj i sporo zarobi, i sporo popatrzy. Właśnie dlatego lubił swoją pracę.

Marcin ani przez moment nie stracił rezonu, chociaż był zaskoczony pojawieniem się kobiety. Nawet czuł odrobinę gorzkości, że to ona jako pierwsza zainicjowała znajomość, a nie on. Nie lubił, kiedy inicjatywa nie należała do niego. Jednak ze względu na okoliczności zdecydował, że wybaczy zarówno sobie, jak i kobiecie.

– Widzę, że nie zostawiliście mi wyboru, mili państwo! – zawołał z energią i wszyscy w trójkę wybuchnęli śmiechem. Po chwili dwa kieliszki stały na ladzie. Kobieta zaczęła sięgać swoją drobną dłonią w ich stronę, ale Marcin delikatnie złapał ją lewą ręką, a prawą pokiwał ganiąco palcem.

– No, no, no, ładnie to tak? – Brunetka wydawała się być nieco zmieszana, patrzyła pytająco na Marcina, ale nie cofnęła swojej dłoni. Marcin uśmiechał się szeroko.

– Ładnie to tak, sięgać po kieliszek, kiedy nawet nie znamy swoich imion? Marcin, bardzo miło mi poznać. – Kobiecie wyraźnie ulżyło.

– Julia, również cieszę się, że w końcu możemy porozmawiać – odpowiedziała, a jej twarz znów przybrała wyjątkowo radosny wyraz.

Podawała Marcinowi dłoń i posłała mu pełne ciekawości, świdrujące spojrzenie. W jej brązowych oczach coś cały czas jakby migotało. Wyglądało to tak, jakby w jej wnętrzu płonął ogień i świetliste ogniki wyglądały spod jej zawadiackiego spojrzenia. Marcin delikatnie ujął jej rękę i musnął ustami. Potrafił robić wrażenie nie tylko na kontrahentach podczas negocjacji. Lubił bawić się z kobietami, bo w tej grze stawką były tylko relacje międzyludzkie. W razie niepowodzenia nic nie tracił, więc mógł eksperymentować, co prawie zawsze się opłacało. Jednak w przypadku Julii zdecydował się wykorzystywać najlepsze i najefektywniejsze rozwiązania. Klasyczna, dżentelmeńska postawa. Julia wydawała się być zachwycona jego gestem, a o to mu przecież chodziło.

– Teraz możemy się w końcu napić! – zawołał Marcin, który z każdą chwilą nabierał coraz większej energii. Był gotów zrobić wszystko, byle tylko spędzić z Julią jak najwięcej czasu. – Myślę, że bruderszaft będzie jak najbardziej na miejscu – dodał po chwili, puszczając oczko do barmana. Chwycili swoje kieliszki i splótnęli się ramionami, wypili alkohol. Po wszystkim mimowolnie spojrzeli sobie w oczy i przez kilkanaście sekund przypatrywali się sobie. Marcinowi wydawało się, jakby w tej chwili wytworzyło się między nimi jakieś niewidzialne połączenie. Było to nieco dziwnie, bo w relacjach z kobietami zdarzyło mu się coś takiego po raz pierwszy. Ostatecznie poszedł na kolejny kompromis ze sobą i sklasyfikował to zjawisko jako zdecydowanie pozytywne.

– Wyglądasz na wyjątkowo szczęśliwego, Marcin – przerwała milczenie Julia. – Założę się, że spotkało cię dzisiaj więcej szczęścia niż poznanie mojej osoby. – Tym razem patrzyła się z dziecięcą ciekawością. Marcin pomyślał, że odważna z niej kobieta, a nawet trochę beczelna. Widać, że ma charakter i... lubi tę grę.

– Och, chyba odczytałaś moje myśli! – zawołał, starając się ukryć onieśmielenie. – Właśnie się zastanawiałem, jak to jest, że po tak ogromnym sukcesie znów mam cudowne szczęście i spotykam ciebie! – pozwolił sobie na to spoufalenie się, widząc, że Julia oczekuje od niego bardziej zabawy niż nudnych opowiastek o jego relacjach z Sulimą. Zresztą – nie zamierzał rozpowiadać wszystkim dookoła swoich planów biznesowych.

– Rozumiem, że nie zdradzisz mi więcej? – zapytała, kompletnie zbywając jego uwagę. – Wiesz, ja jestem z natury ciekawska, więc musisz mi wybaczyć moje wścibstwo – powiedziała i zrobiła przy tym tak słodką minę, że Marcin prawie rozmyślił się ze swoim postanowieniem. Tym bardziej, że wypity alkohol rozluźniał jego zwykle zdyscyplinowany umysł.

– Bardzo mi przykro, ale niech to pozostanie moją tajemnicą, słodką jak twoje spojrzenie. Muszę mieć na ciebie jakiegoś asa w rękawie. – Uśmiechnął się delikatnie, starając się mimiką przekazać towarzysze: „nie tak łatwo, mała, ty dasz mi coś od siebie, ja dam ci coś ode mnie”.

Udała nadąsanie i skinęła barmanowi, żeby znów napełnił kieliszki. Marcin nie był przekonany, czy chce dzisiaj tyle pić, szczególnie że alkoholu praktycznie nie używał, więc nie miał specjalnie mocnej głowy. Uznał jednak, że dla znajomości z Julią może się nieco poświęcić. Znów wypili, tym razem za zdrowie barmana, i oddali się rozmowie.

Rozmawiali całkowicie niezobowiązująco, poruszając same błahe i powierzchowne tematy. Trochę o mieście, trochę o pogodzie, trochę o hotelu, kilka zdań o muzyce i tyle. Kiedy przypadkiem wkraczali na bardziej osobiste kwestie, zbywali rozmówcę (kryjąc to za szerokimi uśmiechami) i kierowali się na bezpieczniejsze wody. Żadne nie zamierzało otwierać się przesadnie przed ledwo co poznaną osobą, a poza tym – mogli dzięki temu cieszyć się samym faktem rozmowy. Oboje lubili rozmawiać i szybko znajdowali nić porozumienia. Tym bardziej błahe tematy były mile widziane, że mogli skupiać się na obserwowaniu siebie, a nie na tym, co paplają.

Julia jeszcze dwukrotnie puszczała oko do barmana, a ten odwdzięczał się napełnieniem kieliszka po same brzegi. Marcin po czwartym kieliszku uświadomił sobie, że czuje się... dobrze. Po prostu, zwyczajnie dobrze. Było mu przyjemnie ciepło, wygodnie, rozmawiał z jedną z najładniejszych kobiet, jakie spotkał w życiu. Endorfiny i alkohol działały na niego uspokajająco, wprowadzając w błogi stan relaksu. Pierwszy raz od dawna nie musiał się nigdzie spieszyć, nie miał nic zaplanowanego, nawet nie musiał o niczym konkretnym myśleć. Z każdym wypitym kieliszkiem czuł, jak trunek wypłukuje z niego każdą drobinę stresu. Był szczęśliwy.

– Masz jakieś plany na resztę wieczoru? – zapytała Julia, która pomału zaczynała wydawać się znudzona rozmową. To akurat nie zdziwiło Marcina – wyglądała na osobę, która najchętniej co pięć minut zajmowałaby się czymś nowym. Wódka pobudzała organizm i nie pozwalała zadowolić się byle czym. Marcin miał ochotę spędzić z Julią całą noc i zastanawiał się, co mu może zaproponować, skoro pyta go o plany.

– Prawdę powiedziawszy, dopóki nie spotkałem ciebie, zamierzałem leżeć w łóżku i słuchać głośno muzyki, ale teraz jestem otwarty na wszelkie propozycje. Wreszcie nie muszę się nigdzie spieszyć, jak w dniu, kiedy pierwszy raz się spotkaliśmy, więc mogę towarzyszyć ci przez całą noc! – powiedział dyplomatycznie. Zmartwił się, że wyjdzie na nudziarza, bez pomysłu na cokolwiek ostrzejszego.

Na szczęście nie było tak. Julia spojrzała na niego, zawadiacko marszcząc brwi. Zdawała się badać, czy Marcin sprostą jej wymaganiom. Oboje dobrze wiedzieli, w jaki sposób skończy się ten wieczór, jeśli postanowią spędzić go we dwoje. Westchnęła z zadowoleniem.

– W takim razie chciałabym zaprosić cię na bankiet, na który się wybieram.

Myślałam, że będę musiała iść sama, ale jeżeli dotrzymasz mi towarzystwa, odpłacę ci się zabawą, jakiej jeszcze nie znałeś... – Ogień w jej oczach zapłonął szalonym płomieniem. Dla samego tego spojrzenia Marcin byłby gotów pójść z nią gdziekolwiek, nawet jeśli zaproponowałyby mu spotkanie w cztery oczy z diabłem. Decyzję podjął w ciągu kilku sekund.

– Potrzebuję pół godziny na odświeżenie się i przebranie. Poczekasz na mnie? – spytał i spojrzał jej głęboko w oczy. Zależało mu na niej i wydawało mu się, że jej zależy tak samo na nim. W zasadzie nie mieli wątpliwości co do swoich uczuć, wszelka wątpliwość kryła się w niewypowiedzianych głośno słowach. Grzeczność i kurtuazja kazały obojgu trzymać język za zębami, zamiast wykrzyknąć tu i teraz: „Szaleję za tobą od pierwszego wejrzenia, spędziłbym z tobą cały wieczór, cały jutrzejszy poranek, a potem całe życie!”.

Uśmiechnęła się blado. Tak jakby nie była zadowolona, że musi czekać, tak przynajmniej wydawało się Marciniowi. W rzeczywistości była gotowa czekać nawet dłużej, ale bolało ją, że będzie ten czas musiała spędzić sama... bez niego. Każda minuta od wczorajszego wieczora wydawała jej się wiecznością. Zanim udało jej się porozmawiać z Marcinem, udawała każdy uśmiech, kłamała, że wszystko z nią w porządku, cierpiąc głęboko w środku. W tamtej chwili po raz pierwszy, jeszcze bez konsekwencji, nie zrozumiał jej tak, jak powinien.

– Mieszkam dwa pokoje dalej niż ty. W 320. Nie pytaj, skąd wiem, gdzie śpisz. Kiedy będziesz gotowy, zapukaj, proszę. Będę czekać. – Nie potrafiła wykrzesać z siebie nic więcej, więc wydawała się być bardzo oschła. Marcin poczuł się tak, jakby zaprosiła go na bankiet tylko po to, żeby nie iść w pojedynkę. Tylko po to, żeby go wykorzystać, skoro akurat się nawinał. Skoro tak – nie zamierzał pozostawać dłużny i traktować ją także oficjalnie i chłodno. Nawet trochę mu ulżyło, w pełnych dystansu relacjach czuł się pewniej niż w tych bliskich, osobistych.

– W takim razie do zobaczenia. – Ledwo na nią spojrzał, sięgając po portfel. Wyciągnął z niego dwieście złotych i położył na ladzie.

– Mam nadzieję, że wystarczy – powiedział, spoglądając na barmana, który szybko przeliczał, ile powinien otrzymać i jaki dostał napiwek.

– Wystarczy, z całą pewnością, panie Marcinie. Udanego wieczoru życzę! – zawołał, kiedy Marcin już oddalał się od baru. Robił dobrą minę do złej gry, bo zauważył napięcie między klientami. Marcin czuł paskudne klucie w boku, kiedy oddalał się samotnie od baru. Klucie, które kazało mu odwrócić się i chociaż uśmiechnąć się do Julii. Uznał jednak, że nie będzie okazywał emocjonalnej słabości i pokazywał, że kobieta ma prawo do jakiegokolwiek sympatii z jego strony. Skoro traktuje go z dystansem, on nie zamierza się wychylać. Kobiety zawsze potrafią wykorzystywać takie sytuacje na swoją korzyść, nie licząc się z kosztami.

Wrócił do pokoju i wziął szybki, zimny prysznic. Chciał chociaż w ten

sposób ugasić palące go od środka emocje. Całe jego doświadczenie, umiejętności, wszystkie wyuczone wzory zachowań stały w opozycji do tego, co chciał robić przy tej kobiecie. Wszystkie zawory bezpieczeństwa wybuchały, jeden po drugim, a jemu z każdym słowem było coraz trudniej grać rolę, którą sam sobie wykreował. Co gorsza – zaczynał mieć wyrzuty sumienia, że traktuje Julię przedmiotowo, jak kolejną zabawkę. Paskudnie mieszała mu w głowie. Plan tego nie obejmował.

Prysznic nie pomógł, ani trochę. Ba, otrzeźwił i orzeźwił go na tyle, że miał w sobie jeszcze więcej energii niż wcześniej. Niepohamowana fala endorfin zalewała jego umysł niczym tsunami azjatyckie wybrzeże, niszcząc wszystko, co napotkała na swojej drodze. Był podniecony jak piętnastolatek przed pierwszą wizytą na noc u koleżanki z klasy. Spojrzał na zegarek – miał jeszcze siedem minut. Błyskawicznie ubrał się w swój bardziej... rozrywkowy garnitur, założył efektowną, szkarłatną muchę, spryskał lacostem i całkowicie wbrew sobie pognął do windy. Pamiętał, że przy barze stały kwiaty, dosłownie kilka sztuk. Nie miał czasu na wizytę w kwiaciarni, a klucie w boku przerodziło się w tak przeszywający ból, że musiał go załagodzić jakimś, nawet drobnym, gestem. Chuj z zasadami, może jest nawet warta ich złamania?

Barman już z daleka szczyrzył się do Marcina, jakby wiedząc, czego tamten będzie potrzebował.

– Panie Marcinie, potrzeba pali, co? Jak ratować? – zawołał rozbawiony, zanim jeszcze Marcin minął recepcję.

– Arek, pieprzyć tych „panów”, poratujesz mnie kwiatkiem? – wydyszał, uderzając czołowo w blat jak bmw w citroena na starej „jedynce”. Barman zaśmiał się głośno, całkowicie rozbrojony szczerością klienta.

– Bierz, ile potrzebujesz, ale zerknij, czy na małej salce nie znajdziesz jakiejś ładnej róży, bo tu to same zdechlaki zostały, jutro miałem zmieniać. – Marcin nie zastanawiał się nawet przez sekundę. Pognął za bar i za chwilę z wyraźną ulgą na twarzy i z szaleńczym uśmiechem na twarzy przybijał piątkę z Arkiem.

– Jesteś wielki! Jak będziesz miał wolne, wyciągnę cię gdzieś na flaszkę belvedera, co wieczór ratujesz mi życie! – Spojrzał głęboko w oczy barmana. Wydawało mu się, jakby znali się od urodzenia i bez słów wiedzieli, czego potrzebuje drugi. Zajebisty człowiek na właściwym miejscu!

– Trzymam cię za słowo, a teraz spadaj na górę, bo nawet kwiatek nie uratuje ci dupy, jak się spóźnisz! – Arek puścił mu oko, a Marcin po kilku susach stał przed srebrnymi drzwiami do windy. „Co ja, kurwa, robię?” – pomyślał, stojąc w środku wielkiego pudła wiozącego go ku górze i patrząc na siebie z szaleńczym uśmiechem na twarzy i wielką czerwoną różą w ręku. Czuł się jak człowiek, który biegnie na autobus. Z jednej strony wścieka się, że wyszedł z domu za późno, ale z drugiej cieszy jak dziecko, jakby to była najprzedniejsza zabawa, takie wyścigi. Czyste, niczym nieskrępowane szaleństwo. Absurdalna radość z niczego.

W zasadzie – czy po tych latach pracy, sztywności, udawania, grania i innych pierdół nie miał prawa na chwilę życia bez wszechobecnej grawitacji, która sprowadzała go na ziemię? Ostatni raz tak wariował na początku studiów. Był wodzirejem wszystkich imprez, on znał wszystkich, wszyscy znali jego, popijał wódeczkę z najlepszymi zawodnikami i sprowadzał do łóżka najlepsze panienki. Jednak z semestru na semestr coraz bardziej odcinał się od tego, skupiając na nauce, pracy nad sobą, a potem – karierze. Tak dotarł do miejsca, w którym był teraz. Bez wódeczki, kolegów i pańienek, ale... dawny Marcin gdzieś z tyłu głowy pozostał. Dalej brylował na bankietach i różnych spotkaniach, ale już w inny sposób – bardziej wyważony, wyrachowany na zrobienie odpowiedniego efektu. Bez nawet kropelki szaleństwa czy niesubordynacji wobec siebie. Dlatego teraz, chociaż odzwyczaił się od tego uczucia, czuł się jak ryba w wodzie. Nie zapomina się jazdy na rowerze. „Piętro trzecie” – oznajmił głośnik i drzwi zaczęły się pomału rozsuwać. Spojrzał na zegarek. Niecała minuta. Idealnie, jak zawsze. Mimowolnie przetarł marynarkę na wysokości barku, jakby strzepując z niej kurz. Pewnym krokiem podszedł pod pokój 320 i delikatnie zapukał. Dopiero w tej chwili zdał sobie sprawę, że serce bije mu tak mocno, że chyba widać to przez śnieżnobiałą koszulę. A krwi nie widać tylko ze względu na kontrast ze szkarłatną muchą.

Drzwi otworzyły się po kilkunastu sekundach. Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że zwlekała specjalnie, żeby go zdenerwować. Powróciły do niego myśli sprzed pół godziny. Przez krótką chwilę poczuł się jak skończony idiota, wykorzystywany przez jakąś lalkę. Tym bardziej, że kiedy on stał z nieco głupkowatym uśmiechem przed jej drzwiami, Julia, otwierając je, miała obojętną minę, jakby robiła to z przymusu.

Wystarczył jednak ułamek sekundy, wystarczyło, że skierowała wzrok na kwiatek w dłoni Marcina, a maska z jej twarzy opadła, ukazując eksplozję radości.

– To dla mnie? – zapiszczała i rzuciła mu się na szyję. Runęły wszystkie bariery, jakimi do tej pory odgradzali się od siebie. Klucie w boku momentalnie ustało, obojgu serducho biło jak oszalałe. Przytulali się długo, jakby chcieli nadrobić czas stracony na udawanej obojętności. W końcu Julia odsunęła się delikatnie od Marcina. Ten wręczył jej kwiatek, w duchu dziękując Arkowi i dziwiąc się swojemu zachowaniu.

– Dziękuję, Marcin – zaczęła mówić, patrząc mu nieśmiało w oczy. Była drobną kobietą, a teraz wydawała się jeszcze mniejsza. Cała jej beczelna pewność siebie ulotniła się. Była cudownie skromna i urzekająco dziewczęca. – Wiesz, nie wiedziałam, czy mogę ci to powiedzieć, ale trudno, zaryzykuję. Miałam iść na ten bankiet z jakimś kompletnie obcym i pewnie paskudnie drętowym typkiem, którego sprowadził tutaj mój szef. Ale kiedy tylko spotkałam cię w windzie, wiedziałam, że muszę iść tam albo z tobą, albo wcale. Zawróciłeś mi w głowie, po prostu. Nawet nie wiesz, jak mi ulżyło, kiedy zobaczyłam cię przy barze! Chociaż troszkę się

przestraszyłam, kiedy tak obojętnie poszedłeś się szykować. Bałam się, że cię wystraszyłam... – wpadła w słowotok. Marcin nie miał pojęcia, jak ma się zachować, chyba pierwszy raz w życiu. Dać jej się wygadać? A jak się obrazi, że jej przerwie? Albo co gorsza – nie będzie potrafiła skończyć? Może powinien sam coś powiedzieć?

– Ach, jak zwykle! Rozgadałam się! Po co ja ci to wszystko mówię? – Zaczęła nerwowo się śmiać, a Marcin z nią, ciesząc się, że rozwiązanie przyszło samo. Postanowił natychmiast wykorzystać tę chwilę przerwy na swoją korzyść.

– Julio, zaczekaj. Spokojnie. Czym się tak denerwujesz? – Wolał sprowadzić rozmowę na bliższe jemu, mniej emocjonalne tory. – Przecież się zgodziłem, idziemy tam razem, cieszymy się tym, tak jak wcześniejszą rozmową. Mam ochotę pobawić się z tobą, lepiej cię poznać, dać ci poznać mnie. Nie róbnymy wszystkiego naraz, bo za dwadzieścia minut okaże się, że już się sobą znudziliśmy! Obiecuję, że nie będę ci uciekał... – powiedział.

Uśmiechnął się do niej delikatnie. Nie do końca wiedział, co i dlaczego robi. Nagle stał się wyrozumiały, opiekuńczy, spokojny. Postanowił zapamiętać z tego wieczora jak najwięcej, żeby później przeanalizować i spróbować zrozumieć swoje zachowanie. Nie żeby mu ono przeszkadzało, jednak należał do osób, które lubią wiedzieć, co tak w zasadzie robią.

Póki co był jednak wieczór, a on był elegancko ubranym dżentelmenem udającym się na bankiet ze śliczną kobietą. Podał Julii ramię, a ta delikatnie je objęła, dając do zrozumienia, że zgadza się z Marcinem i pora przejść od słów do czynów. Podeszli do windy, kiedy Marcin uświadomił sobie, że w tym całym zgiełku nawet nie zwrócił uwagi, w co jest ubrana jego partnerka...

Wykorzystał fakt, że wchodziła do windy pierwsza i błyskawicznie staksował ją wzrokiem. No cóż, dobrze że trwało to tylko chwilę, chociaż i tak musiał po wszystkim wziąć głęboki wdech. Już przy wcześniejszym spotkaniu w windzie zauważył, że chociaż Julia nie ma wydatnego biustu czy wyjątkowo krągłych pośladków, to potrafi ubrać się w taki sposób, że, hm... włosy stają dęba.

Ubrana była w zwiewną, ciemnoczerwoną sukienkę, która swobodnie spływała po jej ciele. Przy każdym ruchu przykrywający ją materiał delikatnie opinał ją w najseksowniejszych miejscach. Marcin był pewien (zastanawiał się tylko, czy zrobiła to specjalnie, czy przypadkiem), że Julia nie ma na sobie stanika. Rozważał, czy podobnie sprawa ma się z resztą bielizny. Stawiał, że tak. Całości dopełniały buty na dość wysokim koturnie, które sprawiały, że krótkie nogi Julii zdawały się nie kończyć nigdy. Poza skromnym naszyjnikiem i dwoma wręcz mikroskopijnymi kolczykami w uszach nie miała na sobie biżuterii.

Chyba właśnie ta prostota ubioru, dopasowana do zwyczajnej urody Julii, sprawiała, że działała tak silnie na psychikę Marcina. Miała w sobie mnóstwo klasy i smaku, a jednocześnie wydawała się być wyzywająca, a wręcz bezpruderyjna.

Mowa jej ciała dawała prosty komunikat, który prostą drogą trafiał do ceniącego najprostsze rozwiązania Marcina, któremu nie pozostawało nic innego, jak wyciągać z tego proste wnioski.

Czyli co? Cokolwiek. Czego by nie pomyślał i czego by nie powiedzieli, retoryka kazała na końcu zawsze wpisywać „= seks”.

Mimo nagłego rozluźnienia Marcin musiał chociaż stwarzać pozory dystansu między nimi. Choćby ze względu na towarzyską etykietę. Toteż, chociaż miał ochotę gapić się na Julię w jej seksownym ubraniu, skierował swoje spojrzenie tylko na jej oczy.

– Właściwie, to co to za bankiet, na który idziemy? – Marcinowi przyszło do głowy dosłownie chwilę wcześniej, że w zasadzie nie wie, w jakim wydarzeniu będą brać udział... Domyślił się, że ma to miejsce w hotelowej bankietówce, tym bardziej że jechali windą w górę. Julia zareagowała w swoim stylu – śmiechem.

– Ale ze mnie gapa, zapomniałam powiedzieć ci podstawowych rzeczy... Otóż, mój drogi, wybieramy się na bankiet z okazji dwudziestopięciolecia firmy, w której pracuję.

W międzyczasie wysiedli z windy. Powoli szli w kierunku sali, szerokim, delikatnie oświetlonym korytarzem. Zwracali uwagę wszystkich gości mijanych po drodze. Wyglądali olśniewająco, pasowali do siebie niczym para aktorów, których genialny reżyser osadził w doskonałych, uzupełniających się rolach. Julia mówiła powoli, półszepem:

– Nie chwaliłam ci się, czym zajmuję się zawodowo. – Zdawała się nie zwracać uwagi na wlepiające się w nią pary oczu. Za to Marcin z ogromną satysfakcją chłonał podziw, jakim ich obdarzano. Czuł się jak James Bond w „Casino Royale”, był graczem z numerem pierwszym. – Jestem zastępcą dyrektora do spraw sprzedaży w Intelligent Growth. Pewnie słyszałeś o nas, typowa, tysięczna firma konsultingowa. Nic nadzwyczajnego. Tyle że byliśmy jednymi z pierwszych w Polsce, stąd całe to dzisiejsze halo.

Marcin zastanawiał się, czemu Julia wypowiada się bez większego entuzjazmu na temat swojej pracy. Stanowisko wydawało się być rewelacyjne, w jednej z największych, a na pewno najlepszych firm w Polsce. Czego chcieć więcej w tym wieku?

– Nie wyglądasz na zbyt zadowoloną, zarówno z pracy, jak i bankietu – postanowił podrażnić nieco temat.

– Porozmawiamy o tym przy okazji – ucięła szybko Julia, ponieważ wchodzili już na salę. Przy wejściu stało dwóch mężczyzn koło pięćdziesiątki wraz ze swoimi kobietami. Julia uśmiechnęła się szeroko.

– Witaj Julio, widzę, że udało ci się znaleźć odpowiednie towarzystwo na dzisiaj! A tak bardzo martwiłaś się, że będziesz musiała przyjść sama! – zawołał pan stojący po prawej. Miał ciepły głos i sympatyczną aparycję. Siwiejący, co

dodawało mu powagi, ponieważ wyraz twarzy zdawał się wyrażać radość, a nawet pewną beztróskę.

– Tak, panie prezesie, udało się, dziękuję, że trzymał pan za mnie kciuki – odparła filuternie, puszczając rozmówcy oczko. – Miłe panie, panie prezesie, panie dyrektorze, poznajcie proszę Marcina. – Marcin przywitał się z małżonkami, delikatnie muskając ich dłonie ustami. Następnie podał rękę prezesowi i dyrektorowi, przedstawiając się i z przyzwyczajenia zaglądając obu głęboko w oczy. Nie mógł powstrzymać się przed szybkim ocenieniem pracodawców (tak wywnioskował) jego partnerki.

Prezes, Marek Adamiak, powitał go szerokim uśmiechem i ciepłym spojrzeniem. Jego uścisk dłoni był mocny i pewny. Powierzchnie wydawał się być „cieplą kluchą”, ale pewnie kiedy przychodziło do negocjacji, stawał się twardym, zdeterminowanym graczem. Tacy ludzie zawsze osiągają swoje i są lubiani przez wszystkich. To było widać po reakcji Julii na jego widok.

Tym bardziej że drugiemu z nich posłała tylko krótkie, zimne spojrzenie. Zresztą dyrektor do spraw sprzedaży (czyli rzeczywiście szef Julii), Jacek Kulawik, nie pozostał jej dłużny. Marcin także zetknął się przez chwilę z chłodem bijącym z oczu dyrektora, ale nie trwało to zbyt długo, bo tamten po chwili odwrócił wzrok. Za to uścisnął dłoń Marcina tak mocno, że ten aż syknął z bólu. Co to za koleś? Ewidentnie ma jakieś problemy ze sobą i próbuje zgrywać twardziela. Pozorant. Marcin lubił takich najbardziej. Szybko ich rozgryzał, a potem mógł atakować w niechronione miejsca, żeby osiągnąć cel. Tacy pękali po dosłownie kilku strzałach.

Wymienili w szóstkę kilka zdawkowych zdań, bo nie wypadało od razu odejść, po czym prezes, życząc udanej zabawy, zaprosił nowo przybyłą parę na salę.

Trzeba przyznać, że „balówka” imponowała rozmiarami. Pomieściłaby pewnie z tysiąc osób. Nieco więcej niż połowa sali zastawiona była czteroosobowymi stolikami, reszta przeznaczona była na parkiet do tańca. Wystrój był... zwyczajny. Białe krzesła i obrusy, ozdoby mające przypominać, że jest to impreza urodzinowa, i masa ludzi ubrana w różne kombinacje bieli i czerni. Na szczęście grający na żywo zespół nie przesadzał z głośnością, więc goście mogli pozwolić sobie na pogawędki. Bankiet dopiero się rozpoczął, więc wszyscy skupiali się póki co na jedzeniu, piciu i plotkowaniu.

Julia nachyliła się do Marcina i szepnęła mu do ucha:

– Powinam siedzieć w pobliżu mojego szefa, ale sam widziałeś, jaka to kanalia. Nie zamierzam psuć sobie humoru patrzeniem na niego. Siądziemy gdzieś w pobliżu zwykleszych, normalniejszych pracowników, OK? – Marcin skinął głową, nie dziwił się Julii. Jemu było wszystko jedno gdzie usiądą, i tak nie znał tu nikogo, a przede wszystkim – nie zamierzał poznawać, chyba że w celach

towarzyskich.

Wypatrzyli sobie, pusty poki co, stolik na uboczu, chociaż żeby się tam dostać, musieli poprzeciskać się między gęsto obsadzonymi miejscami – tymi najbliżej baru i parkietu. Właśnie w tej kolejności. Marcin zauważył, że Julia często kiwa głową czy ręką na powitanie wielu osób, ale z nikim nie zamienia nawet słowa. Postanowił ją o to zapytać, jak tylko dotrą na swoje wypatrzone miejsca.

Przy stoliku czekały na nich zimne przekąski i dwie butelki wina. Marcin dopiero teraz uświadomił sobie, że niewiele jadł od rana. Spojrzał na Julię pytająco, ale znał odpowiedź już dużo wcześniej. Uśmiechnęła się filuternie i – tak się Marcinowi zdawało – bardzo niegrzecznie. Znał już jej plan na wieczór – przegadać w swoim towarzystwie oficjalną część bankietu, a kiedy wszyscy z ulgą zdejmą krawaty i rozepną najwyższe guziki w koszulach, zabawić się bez ograniczeń, jak podczas trzydniowego festiwalu na opuszczonym lotnisku. Nalał im wina i stuknęli się kieliszkami.

– Toast, tak myślę, pozostaje ten sam. Za dobrą zabawę! – powiedział to dość poważnym tonem. Julia wydawała się być mimo wszystko nieco spięta, więc nie chciał irytować jej swoją przesadną swobodą. Upili po łyku trunku.

– Julio, mogę mieć pytanie?

Kobieta kiwnęła głową i nie czekając na to, co powie Marcin, zaczęła mówić:

– Wielu z nich to moi bardzo dobrzy znajomi. Jestem lubiana w tej firmie chyba przez wszystkich, od sprzątaczek po szare eminencje, które zdają się nic nie znaczyć, a mają do powiedzenia najwięcej w całej firmie. Lubię tę pracę i uwielbiam tych ludzi. Niestety, mój szef uważa, że prawdziwy profesjonalista traktuje współpracowników jako maszynki, które trzeba wykorzystywać do swoich celów. Żadnych przyjaźni, zażyłości, nawet dłuższych rozmów. Tylko praca. Nie muszę ci więc tłumaczyć, że to ja robię za niego całą robotę. Nie da się osiągnąć sukcesu w sprzedaży bez, paskudne określenie, czynnika ludzkiego. Widzę po tobie, że uważasz podobnie. Dla Kulawika liczy się tylko to, co jest w papierach, przepisach, regulaminach i statystycznych analizach. Niestety nie widzi albo nie chce widzieć, że gdyby nie moja praca, jego wyniki nie byłyby tak efektowne jak są teraz.

Nie patrzyła na Marcina, oczy skierowała gdzieś daleko w drugą stronę sali. Mówiła ze złością i trochę żalem.

– Co ja mogę na to poradzić? Czekać, aż Adamiak go gdzieś wywiezie albo jak go po prostu trafi szlag! – zawołała i zaśmiała się głośno, zwracając na siebie uwagę coraz liczniej siadających wokół nich osób. Spoglądali na nią z ogromną sympatią i szacunkiem. Musiała być złotym pracownikiem.

– Napijmy się za zdrowie tego fajfusa! – zawołała. Jej oczy znów zapłonęły z szaleńczą wesołością. Marcin cieszył się, że porozmawiali o tym teraz, bo Julii

wyraźnie ulżyło. Zaczęli nabijać się z jej szefa i podobnych jemu ludzi. Po kilku minutach dosiadła się do nich para menedżerów niższego szczebla. Jak się okazało, byli oczywiście dobrymi znajomymi Julii. Marcin był pod wrażeniem tego, w jaki sposób ta kobieta zjednuje sobie ludzi, przyciąga ich do siebie, nie robiąc w zasadzie nic poza byciem sobą. Imponowała mu, jako jedna z niewielu osób na świecie, a na pewno jako jedyna kobieta.

W międzyczasie zaczęły się nudnawe przemowy prezesa i dyrektorów o tym, jak to wspaniała jest ich firma i jak ma ogromne tradycje. Przez kilka chwil publiczność udawała, że słucha, ale niedługo później Marcin z Julią zaczęli tworzyć konkurencyjne przedstawienie, komentując głośno i złośliwie niezbyt autentyczne wystąpienia, przypominające oratoria pod tytułem „Intelligence Growth”. Efekt był taki, że większość „bossów” kończyła swoje przemowy wcześniej, zamykając je jakąś wesołą pointą, po czym posyłała rozbawione spojrzenia w stronę bardziej popularnego od ich mównicy stolika na uboczu. Każdy chciał już się zabawić. Każdy poza Kulawikiem, który musiał dociągnąć swoje pierdolamento do ostatniego słowa i zaczął się dalej uzewnętrzniać... Koniec końców prezes Adamiak zdjął dyrektora z mównicy przy pierwszej okazji i szalonej owacji publiczności.

Dzięki temu już po półgodzinie na sali zaczęli kręcić się kelnerzy podający ciepłe posiłki. Zapadła cisza, słychać było tylko koncert sztućców uderzających o talerze i kieliszków uderzających o kieliszki. Marcin z Julią jedli za czworo, wypity do tej pory alkohol zaostrzył ich apetyty. Kiedy większość gości skończyła posiłek, zespół wszedł na scenę i zaczął delikatnie podkrecać atmosferę. Prezes Adamiak po raz ostatni podszedł do mikrofonu, zakończył oficjalną część bankietu i zaprosił do wspólnej zabawy do białego rana. Szeroko się uśmiechając, zapowiedział premie dla najlepiej bawiących się pracowników i wśród burzy oklasków udał się do swojego stolika.

Marcin z Julią nie musieli się specjalnie umawiać, żeby wiedzieć, że oboje mają ochotę być pierwszą parą na parkiecie. Marcin wstał, ujął partnerkę za dłoń i ucałował, co spowodowało kolejną burzę oklasków na sali. Zwinnym krokiem minęli labirynt stolików i znaleźli się na środku parkietu. Kilkaset par oczu z zachwytem wpatrywało się tylko w nich. Można by odnieść wrażenie, że odbywają się tu nagrania do najnowszego musicalu, a oni są tą wymuskaną, najważniejszą, idealną parą, która swoją energią porywa za sobą do tańca całe tłumy ludzi. Perkusista odliczył cztery takty i po chwili potężna moc muzyki uderzyła w ogromną salę.

Nie znali się prawie wcale. Pierwszy raz rozmawiali dosłownie kilka godzin wcześniej. Jednak mimo to rozumieli się w tańcu, jakby ćwiczili razem od lat. Oboje, trudno powiedzieć czy dzięki tanecznemu doświadczeniu, czy jakiejś tajemniczej intuicji, wiedzieli, co za chwilę zrobi partner. Stawiali kroki tak, jakby

na bankietach takich jak ten już wielokrotnie prezentowali swój popisowy układ. Nikt z obecnych na sali nie uwierzyłby, że tak znakomicie może tańczyć dwójka ludzi, która poznała się przy kilku kieliszkach wódki w hotelowym barze, nie dalej jak dwie godziny temu.

Obojgu ten taniec sprawiał nieopisaną przyjemność. Grali ze sobą w grę, której reguły nawzajem ustalali. Żadne nie chciało pozwolić drugiemu do końca przejąć inicjatywy, dzięki czemu w ich tańcu wyrażały się wszystkie możliwe emocje. Szczęście, radość, złość, nienawiść, miłość, wolność, ból, cierpienie, chłód, ciepło, zazdrość, podziw. W rytm muzyki, kolejnymi krokami stóp, ruchami ramion, mimiką twarzy, wyrażali te wszystkie określenia, słowa, jakimi opisujemy na co dzień stany umysłu. Wystawiali pantomimę pod tytułem „Człowiek”.

Rozmawiając ze sobą w ten nieuchwytny, niewerbalny sposób, nie zauważali, że wokół nich gęstniał tłum. Porywali najpierw dziesiątki, a później setki ludzi do zabawy. I chociaż na parkiecie znajdowało się coraz więcej par i grupek, to nadal Marcin z Julią byli głównym obiektem zainteresowania. Zdawało się, że są w innym świecie, jak w narkotykowym transie. Potrzebowali dobrze ponad pół godziny, żeby zmęczyć się na tyle, aby wrócić z powrotem ze swojej orbity na salę balową łódzkiego hotelu.

Nie musieli sobie dziękować. Ich szerokie, euforyczne uśmiechy wyrażały dużo więcej niż jakiegokolwiek najpiękniejsze, najlepiej dobrane słowa. Ukłonili się sobie delikatnie, czym zapracowali na oklaski tej części gości, którzy mogli z bliska oglądać ich taniec. Julia chwyciła Marcina za rękę i oboje ciężko dysząc, pobiegli w stronę baru.

– Mam wrażenie, że kierowała nami jakaś nadprzyrodzona siła! – zawołała z dziką radością Julia, z trudem łapiąc powietrze między słowami. – Nie wiem, jak mam to opisać. Obiecywałam ci zabawę, jakiej nie znałeś, ale nie spodziewałam się, że przebije to nawet moje doświadczenia! – Jej oczy płonęły żywym ogniem, jakby wewnątrz jej ciała paliło się prawdziwe ognisko.

Marcin czuł się lekko otepiiony tym, co go dzisiaj spotyka. Nadmiar endorfin i adrenaliny sprawiał, że miał wrażenie jakby tracił kontakt z własnym rozumem. Zmęczenie też robiło swoje. Obrazy przed oczami wirowały mu jak karuzela, zamazując się w barwną rzekę.

Uśmiechnął się głupkowato, nie był w stanie wydusić z siebie słowa. Julia śmiała się głośno, podskakując z radości. Zamówiła wódkę, którą wypili w kilka sekund, później kolejną i jeszcze jedną, po czym zaciągnęła coraz mniej rozumiejącego Marcina z powrotem na parkiet.

Znów tańczyli jak opętani. Marcin zastanawiał się czy to przez alkohol, czy przez taniec traci resztki kontaktu z rzeczywistością. Widział tylko rozmazane kolory, słyszał tylko uderzenia werbla, głosy ludzi zlewały się w bezładną całość, głośniejszą przy refrenach popularnych piosenek. Wyraźnie widział tylko Julię. Jej

twarz, fanatyczny błysk jej oczu, jej ponętną sylwetkę wyginającą się w rytm dźwięku.

W zasadzie, poza kilkoma krótkimi przerwami na przegryzienie czegoś, bez przerwy tańczyli albo wznosili kolejne toasty przy barze. Marcin poznawał coraz więcej osób, a z każdą kolejną coraz mniej pamiętał te wcześniej poznane. Rozmawiali, krzycząc do siebie, przytulali się, jakby znali się setki lat, śpiewali razem i tańczyli. Przez całą, długą noc to on z Julią nadawali ton całej imprezie. Kiedy odpoczywali, oddech łapała cała sala, kiedy podkręcali tempo, tętno rosło wszystkim gościom.

Tańczyli w parze. Tańczyli w grupie. Tańczyli osobno, z masą mniej lub bardziej znanych im osób. Czasem jedno spoglądało zazdrośnie na drugie, kiedy tamto akurat przytulało się z innym partnerem przy „pościelówie” albo śmieiej niż zazwyczaj wykręcało piruety. Udawali, że nie widzą tych spojrzeń – w końcu nie byli żadną parą, zaledwie dwójką znajomych. Jednak każde z nich w głębi duszy oddychało z ulgą, gdy znów splatali swoje dłonie.

Ile wypili tego wieczora? Marcin stracił rachubę jakąś godzinę po pierwszym tańcu. Trzymali się prostej zasady – jeśli wódka, to tylko wódka, żadnych piw, kolorowych drinków i innych atrakcji. Dzięki temu mogli do samego końca rządzić tak samo przy barze, jak na parkiecie. Żartowali głośno, decydowali o toastach, kilkakrotnie stawali na barowej ladzie, żeby wygłosić jakąś podniosłą przemowę na aktualnie omawiany temat.

Marcin czuł się wniebowzięty. Dał się ponieść kolosalnej fali zabawy i rozpusty. Nie krępowały go żadne ograniczenia. Nigdy wcześniej nie miał okazji bawić się w taki sposób, z kompletnie nieznanymi i obcymi mu ludźmi, jednocześnie tak skorymi do zabawy i integracji. Zazwyczaj musiał przejmować się tym, jak jest odbierany przez towarzystwo, ale dziś nie czuł się oceniany przez nikogo. Dlatego pozwalał sobie na zdjęcie wszelkich blokad i nieograniczoną zabawę. „Ciekawe, co by powiedział Sulima, gdyby tu był?” – pomyślał po wypiciu kolejnej wódki, tym razem wlanej mu prosto do gardła z kieliszka sprytnie umieszczonego w dekolcie Julii. „Stary pierd myślący tylko o pieniądzach i biznesie. Co on może wiedzieć o prawdziwej zabawie...?” Zaczął tępo gapić się w tłum, z satysfakcją ponizając w myślach swojego biznesowego partnera. Rozmyślanie przerwała mu owacja wywołana tym, że Julia zaprosiła do tańca na ladzie barmana. Otrzeźwiło go to nieco i szybko zapomniał o gościu z Wanergy, przypominając sobie jakie cuda dzieją się tuż przed jego oczami.

W ogólnym tumultcie, w zbiorowej euforii tłumy gości, mało kto zauważał osoby siedzące przy stolikach, powoli sączące szlachetną whisky. Kto wie, może gdyby Marcin przyjrzał się uważnie podczas jednej z przerw na przekąskę, zauważyłby, że raptem trzy stoliki dalej od niego, w zacienionym miejscu zasiadają panowie Sulima i Bolimowski i nie bez rozbawienia obserwują całe to wariactwo.

Może gdyby wtedy, zamiast gapić się jak zwierzę na dekolt i płonące z pożądania oczy Julii, myśląc tylko o tym, w jaki sposób ją weźmie i w czym pokoju, rozejrzałby się w swoim stylu po sali, oceniając, kto i po co się tu pojawił, byłby w stanie podejmować bardziej racjonalne decyzje w przyszłości?

Wtedy liczyło się tu i teraz. Po raz pierwszy i chyba jedyny w życiu Marcina, nie miały znaczenia przyszłość i przeszłość. Nie miało znaczenia co, kto, z kim i dlaczego. Nie było analiz, rozważań i spokojnego stawiania kolejnego kroku. Były tylko emocje krążące w gorącej, pełnej alkoholu krwi, trafiające do ślepego na rzeczywistość umysłu, działającego tylko przez instynkty i dzięki instynktom. Liczyły się tylko ta jedna noc i ta jedna osoba.

Zespół skończył grać o czwartej, kiedy na parkiecie pozostali już tylko najwytrwalsi, czyli jakieś kilkanaście osób. Marcin z Julią pożegnali się z pozostałymi ostatnim toastem i rzucając sobie spojrzenie zapraszające do seksu, pobiegli do windy, trzymając się za ręce.

Ciężko dyszeli po całej nocy szaleństwa i nie odzywali się do siebie słowem. Patrzyli sobie głęboko w oczy, czekając, aż leniwa winda w końcu pokona te dwa piętra. W końcu drzwi rozsunęły się i oboje naraz zawołali: „Do mnie!”. Roześmiali się. Marcin nie zamierzał negocjować i po prostu pociągnął Julię za ramię w stronę swojego pokoju. Szybko przyłożył kartę do drzwi, niemalże wepchnął partnerkę do przedpokoju i już tam zaczęli całować się i rozbierać. Julia nago okazała się być nie mniej apetyczna niż w sukience. Jej skromne piersi sterczały zawadiacko, rekompensując tym niezbyt dużą wielkość. Miała śliczne, gładkie, doskonale proporcjonalne do jej wzrostu nogi, a nagrodą za ich obmierzenie był widok jędrnych pośladków. Marcin miał wrażenie, że tak doskonale pasująca do jego gustów kobieta nie może istnieć naprawdę.

Jednak ich seks był jak najbardziej prawdziwy. Za pierwszym razem zrobili to bardzo szybko i bardzo ostro. Adrenalina wciąż buzowała w ich krwioobiegu, więc nie mieli najmniejszej ochoty bawić się w podchody i hamowanie zapędów. Ze smyczy zerwali się już kilka godzin temu, teraz już nikt nie byłby w stanie przywiązać ich z powrotem.

Padli bez tchu i sił na łóżko, dopiero orgazm sprawił, że wykorzystali całą swoją energię do cna. Przynajmniej tak wydawało się Marciniowi, który mimochodem czuł, jak staje się coraz bardziej bezwładny. Zaczynał chyba usypiać z tym błogim uczuciem ogromnego, ale satysfakcjonującego zmęczenia. Jednak Julia czuwała na posterunku.

– Wiesz, skarbie, czuję się taka rozpalona, potrzebny mi jest zimny prysznic... – wyszeptła prosto do ucha Marcina, który będąc już w półśnie, uśmiechnął się błogo, nie do końca rozumiejąc, czego ta kobieta w zasadzie chce.

Julia zmierzyła go niezadowolonym spojrzeniem, po czym złapała za rękę i zaprowadziła pod ogromny prysznic. Lodowata woda na powrót podniosła obojgu

ciśnienie, a do tego odświeżyła ich po całej nocy tańca. Marcin wrócił ze świata snu do rzeczywistości, a gdy zobaczył twarde, sterczące sutki Julii, czuł się znów gotowy do działania.

Tym razem zwolnili tempo, masując się nawzajem, pieszcząc się dłońmi i ustami, wili się wokół siebie w kolejnym tego wieczora tańcu. Próbowali na sobie swoje najlepsze sztuczki, eksperymentowali, bawili się. Cieszyli się każdą sekundą, każdą najdrobniejszą chwilką, maksymalnie przedłużając sobie przyjemność. Kiedy w końcu pozwolili sobie znów dojść do kulminacyjnego punktu, na dworze już świtało. Wtulili się w siebie i leżąc długo w milczeniu, wpatrywali się w sufit, rozpamiętując wydarzenia ostatniej nocy. Kiedy oboje zaczął morzyć sen, pocałowali się w usta, wyszeptali do siebie: „Śpij dobrze”, i usnęli twardym, długim snem.

*

Ostatnie dwa tygodnie upłynęły pod znakiem „Otwieraj!”. Piotrek czuł, że wysmażył całkiem przyzwoity tekst, w związku z czym już dzień po rozmowie z Mińskim zajrzał do Blak i pochwalił się swoim dziełem. Michał długo wczytywał się w tych szesnaście linijek, które przyniósł mu nikomu (jeszcze) nieznanemu chłopak. Kiedy skończył, tylko pokręcił głową i wstał, więc Piotrkowi serce momentalnie podskoczyło do gardła. Iwan wpatrywał się pytająco w Mińskiego, ale ten nawet nie obrócił głowy w stronę rozmówcy, tylko podszedł do stojącej na półce miniwieży. Wcisnął play i wciąż nie odwracając się do Piotrka, powiedział: – Przewiń mi to.

Z głośnika poleciał znany już Piotrkowi doskonale bit. Przełknął ślinę i wziął głęboki wdech. Starał się uspokoić, nie chciał, żeby Miński zauważył jak bardzo się denerwuje. Odczekał kilka taktów, po czym poczuł potężny zastrzyk energii, który kazał mu zerwać się na nogi i zacząć rapować z rzadko spotykaną werwą. Skakał po kanciapie, wypluwając kolejne rymy, rozsiewając wokół siebie potężną dawkę pozytywnego mocy.

Michał nie mógł powstrzymać się i zaczął bujać się wraz z szalejącym Piotrkim. Kanciapa zdawała się dostać kosmicznego napędu rodem z NASA i wystrzelić w okolice Księżycy. Kiedy tylko Piotrek skończył swoją zwrotkę, momentalnie zaczął rapować Miński, nie mniej wybuchowo i nie mniej zaraźliwie. Mieli wrażenie, jakby słuchał ich cały świat, a słowa, które chcą przekazać trafiają do uszu dosłownie wszystkich siedmiu miliardów ludzi. Czuli się jak apostołowie, napełnieni tajemniczą mocą Ducha Świętego, cokolwiek to miało znaczyć. Z tego wszystkiego zapomnieli, że koncertują we dwóch w ciasnej pakamerze.

Dlatego obaj aż podskoczyli ze strachu, kiedy drzwi otworzyły się z hukiem, akurat w momencie, kiedy Miński krzyczał „OTWIERAJ” w ostatniej linijce swojego tekstu. W progu stało dwóch młodych, kolorowo ubranych typków.

Piotrek w stojącym z tyłu poznał gościa, z którym Miński siedział na scenie podczas zapisów na bitwę, drugiego kompletnie nie kojarzył. Obaj szczerzyli się, rozbawieni sytuacją, dobrze patrzyło im z oczu.

– Co tam? – krzyknął ten drugi. – Co to za urządzenie jamu bez informowania kolegów? Macie coś do ukrycia? Czy to randka i mamy sobie pójść? – Gość miał tak luźny styl gadania, że nie dało się nie cieszyć, kiedy tylko zaczynał coś mówić. Łączył ze sobą wyrazy i zjadał całe głoski, jak jamajski piewca marihuany. Cała czwórka wybuchnęła śmiechem.

– Ty, Johnny, już tak nie cwaniakuj, wiemy, po co tu przyprowadziłeś kolegę, myślałeś, że będzie wolne, a tu przykra niespodzianka! – odgryzł mu się, wciąż naładowany rapową energią Miński. – Poznaj lepiej nową gwiazdę łódzkiej sceny – Iwana Bezdomnego! – zawołał, po czym z ukłonem wskazał na Piotra. Johnny zagwizdał z uznaniem.

– No, no, to ten, który pokazał tym wszystkim wackom, na czym polega prawdziwy freestyle? Miło cię poznać, ziomeczku, tylko, kurczę, jak szukasz domu, to mam wolny pokój, będziesz mógł się wprowadzić na jakiś czas, zanim coś znajdziesz.... – ostatnie zdanie powiedział z tak przekonująco poważną miną, że Piotrek przez chwilę zaczął się obawiać, czy nie mówi serio. Wyglądał na niezłego świra, gotowego na wszystko.

– Chyba dam radę, teraz robi się cieplej, więc najgorsze mrozy już za mną. Poradzę sobie. Ale mam kilku kolegów z Fabrycznego, dam im namiary do ciebie, OK? – odpowiedział, również zachowując poker face. Johnny zarechotał jak krasnolud znad kufła piwa po rubasznym dowcipie i przybił piątkę Piotrkowi, kiwając głową z uznaniem.

– Hah, wyglądasz na niezłego grzbieta, typie, dobrze że wylazłeś w końcu ze swojej nory! Gdziekolwiek się chowałeś, potrzeba nam takich ludzi z jajem i charakterem – powiedział już teraz całkiem na poważnie. Drugi z kolegów Mińskiego ciągle stał trochę z tyłu i przyglądał się całej sytuacji z uśmiechem. Michał zauważył to i kiwnął mu głową, żeby podszedł bliżej.

– Piotrek, a to jest mój producent i DJ, mój imiennik Michał Krawiec – powiedział, zachowując charakterystyczną dla siebie, nieco przestarzałą etykietę. – To jego produkcję miałeś okazję okrasić swoim tłustym tekstem. Przybili piątki przypatrując się sobie z uwagą. Krawiec wydawał się najmniej otwarty i wyluzowany z całej reszty, ale Piotrek i tak miał wrażenie, że z każdym z tych trzech ludzi będzie w stanie znaleźć wspólny język. Już cieszył się na nowe inspirujące znajomości, jakie na niego czekają. Wiedział, że tylko w dobrym, nakręcającym się wzajemnie towarzystwie będzie w stanie rozwijać się i osiągać coraz wyższy poziom, a o to przecież chodzi w rapie!

Z głośników wciąż głośno leciały bity, toteż panowie wymienili ze sobą jeszcze dosłownie kilka zdawkowych zdań, po czym Johnny ni z tego ni z owego

zainauguował freestyle'owe jam session. Jak się okazało, wszyscy, łącznie z DJ Krawcem prezentowali wysoki poziom, co wyjątkowo ucieszyło Piotrkę. Po ostatnim sukcesie zamierzał kontynuować swoją przygodę z wolnym stylem, więc zdawał sobie sprawę, że będzie potrzebował porządnej ekipy do treningu. Za miesiąc Miński planował zorganizować trochę większą imprezę w Rawie Mazowieckiej i Piotrek miał zamiar potwierdzić tam swoje umiejętności.

Przy okazji Mińskiemu strasznie zależało, żeby do tego czasu mieć już ogarnięty temat z płytą. Chciał, w ramach rozgrzewki przed bitwą, zagrać premierowy koncert, a później móc posprzedawać albo chociaż porozdawać swój świeży towar. W związku z tym większość czasu spędzał w studio, na zmianę nagrywając i wisząc na telefonie, załatwiając okładki, nośniki, opakowania i inne irytujące drobiazgi. Piotrek na brak czasu nie narzekał. Odniósł wrażenie, że matka przymyka oko na jego wielogodzinne znikanie, wiedząc, że zajmuje się czymś bardziej perspektywnym niż zmywanie.

Spędzając masę czasu w studio z Mińskim, Piotrek zauważył, że poza nim, Johnnym, Krawcem i tajemniczą Magdą, która zawsze wpadała do nich na nie więcej niż piętnaście minut, Michał nie ma nikogo więcej. Nie zamierzał drażnić tematu, liczył, że tamten sam się przed nim otworzy, ale zachodził w głowę, jak to jest możliwe, że tak otwarty i kontaktowy człowiek, mający wtyki wszędzie, na co dzień obraca się w kręgu trzech, a po poznaniu Piotrka czterech osób.

Jednego wieczora, kiedy mieli już gotowy cały materiał i czekali, aż kolejne gotowe elementy płyty zaczną spływać z różnych źródeł, mieli w końcu okazję spokojnie porozmawiać, jak podczas pierwszego spotkania. Jak to zwykle, zaczęli od kilku luźno rzuconych haseł, o tym, że w końcu mają chwilę oddechu, a dotarli do momentu rozmowy o pracy. Miński, który wcześniej nie miał ku temu okazji, zaczął dopytywać się Piotrka, skąd w zasadzie ma tyle czasu i bierze środki do życia.

– Długo by opowiadać – zaśmiał się Iwan.

– Mamy trochę czasu – odpowiedział Michał, sięgając po zimne piwa do mini-lodówki, która zdawała się być najważniejszym punktem studia chłopaków. – Odpalimy po piwku i pogadamy, co? Przyznam ci się, że strasznie mnie ciekawi, co się dzieje za tą twoją fasadą beztróskiego uśmiechu i solidnie klejonych wersów – zapytał w swoim stylu, bez ogródek. Piotrek uniósł wysoko brwi, spojrzał na zegarek i na piwo w swoim ręku.

– Skoro tak stawiasz sprawę... Niech ci będzie – odparł, uśmiechając się szeroko.

Rozsiadł się wygodnie na krześle i opowiedział Mińskiemu całą swoją historię. Od problemów z pracą u rodziców, przez śmierć dziadka, freestyle na podwórku famuły, rozpad grupy znajomych, aż po szczęśliwy zbieg okoliczności i sukces w Blak.

Miński cały czas przyglądał się rozmówcy ze skupieniem i powagą. Piotrek szybko zauważył, że Michał bardzo wyraźnie oddziela zabawę i żarty od „poważnego życia”, jak to sam określał. Nie żartował z relacji z rodzicami, rodzeństwem, z ludźmi, którzy ciężko harują, żeby utrzymać rodzinę, czy z osób w stałych związkach. Rzadko spotykana postawa. Tym bardziej Piotrek szanował Mińskiego, był dla niego kimś mentalnie stojącym kilka stopni wyżej niż reszta.

– Dostałeś trochę w kość, co? – skwitował opowieść Michał, wciąż przetwarzając w głowie wszystko, co powiedział mu Piotrek.

– Nie da się ukryć. Tym bardziej cieszę się, że jestem tu, gdzie jestem, i mam ochotę pracować nad tym, żeby wejść na szczyt. Nie mam nic do stracenia, a wszystko do zyskania. Jeśli sam o to nie zadbam, to zostanę w tym bagnie do końca życia. A na to godzić się nie zamierzam. – Powiedział Iwan. Miński pokiwał głową i milczał przez kilka długich chwil.

– Zajdziesz wysoko, chłopaku. Już masz przewagę nad resztą – powiedział w końcu. – Masz inteligencję, chęci do pracy, nie wierzysz, że cokolwiek dostaniesz za friko. Szkoda, że tak niewielu to rozumie. Wszystkim wydaje się, że wystarczy mieć talent, koneksje i reszta przychodzi sama. Zapominają, że ideą hip-hopu, jak zresztą każdej dyscypliny, jest rozwój. Jeśli nie idziesz do przodu, to się cofasz. Nie przestawaj, Piotrek, nie przestawaj. Nie wiadomo kiedy drzwi, do których pukasz, się otworzą – skomentował smutnym, nie wiedząc czemu, głosem Miński. Przechylił butelkę w stronę Iwana i stuknęli szkłem, jakby potwierdzając, że się rozumieją.

– Tego nauczyła mnie codzienność – powiedział Piotrek. – Dlatego wielu mówi, że rap to pesymistyczna muzyka. Bo jest o problemach, o szarych dniach, niespełnionych marzeniach i strzaskanych nadziejach. Ja jestem jednak zdania, że nie da się zrobić dobrej muzyki czy literatury, bez przejścia przez jakiś syf. Niezależnie od tego, czy ktoś tworzy optymistyczne bangery w rapie, czy pisze psychodeliczne powieści, jeśli nie posmakował życia z każdej strony, nie będzie umiał wartościować. A jeśli nie będzie umiał tego, jego twórczość będzie płaska i nijaka. Nikt tego nie łyknie. Trzeba, jak Pelson, przetrwać zimę, żeby móc poczuć wiosnę. – Piotrek zgadzał się w stu procentach z rozmówcą. Wiedział, że obaj rozumieją, o co im chodzi, bo każda historia jest na swój sposób uniwersalna. Zmieniają się tylko dramatis personae i scenerie. Mimo to nie mógł jednak powstrzymać się od zapytania Mińskiego o to, skąd ON wziął się w tym miejscu, w którym są.

– To nie jest dobry pomysł, żebym o tym mówił – skwitował prośbę Michał. Ewidentnie zmieszał się w pierwszej chwili, co w moment wychwycił Piotrek.

– Bo co? Bo za dobrze cię poznam? – odpowiedział, nieco poirytowany. Miński spojrzał na Piotrka i błyskawicznie odwrócił wzrok od jego ostrego spojrzenia. Wziął głęboki wdech.

– Szlag by cię trafił. – Powiedział, uśmiechając się gorzko i zaciskając nerwowo zęby. – Za często masz rację, gnojku. – Piotrek zaśmiał się z satysfakcją. – Gdyby się nad tym zastanowić, to nigdy nie miałem okazji porozmawiać na ten temat z kimkolwiek. Zbywałem każdego, kto mnie pytał, i wszyscy odpuszczali. Ale ty przecież nie odpuszczisz... – powiedział, kręcąc głową z rezygnacją.

– Gdybym odpuszczał, to nie wpuściłbyś mnie do tego studio – odparł Piotrek, uśmiechając się złośliwie. – Nie chowaj się za tą twoją skorupą szorstkości i opryskliwości. Co było, to nie wróci. A ja i tak wiem, co ci siedzi w głowie, czekam tylko na szczegóły – skwitował, triumfalnie dopijając piwo. Miński też dopił swoje i sięgnął po kolejne.

– Może to... dobry moment, żeby... zrzucić z siebie chociaż część tego brzemienia. – Michał mówił powoli, starannie dobierając słowa. Jakby nie chciał się potknąć. – Nie znamy się zbyt długo, więc będziesz w stanie ocenić moją opowieść obiektywnie. Zdążyłeś pewnie zauważyć, że nie jestem specjalnie wylewny. Ach, w dupie z tym, nie ma się co rozczulać! – Podniósł wzrok dosłownie na sekundę i uśmiechnął się nerwowo. Piotrek odwzajemnił uśmiech i delikatnie skinął głową, chcąc uspokoić rozmówcę. Miński podjął opowieść.

Nie pochodził z Łodzi. Wcześniej mieszkał we Wrocławiu. Nie mógł narzekać na swoją sytuację – mieszkał z rodzicami, w domku, cieszył się wszystkimi przywilejami zamożniejszej klasy średniej. Dostał porządne wychowanie, uczył się w przyzwoitych szkołach. Kiedy chciał dostać parę groszy na kino czy wypad pod namiot, rodzice nigdy mu nie odmawiali. Jedyne, co mógł zarzucić matce i ojcu, to tę odrobinę nadopiekuńczości, przez którą w pewnym momencie poczuł się chowany pod kloszem.

Pewnie właśnie stąd wzięło się to wszystko, co go spotkało w liceum. Młodzieńczy bunt kazał mu wyrwać się z tego idealnego scenariusza, który czekał go w przyszłości. Podświadomie zaczął ciężać ku „odrzutkom”, czyli tym, którzy wyniki w nauce mieli niezłe, ale lubili chodzić swoimi drogami, słuchali undergroundowej muzyki i realizowali się w nietypowych pasjach. Problematiczna grupa. Szczególnie dla konserwatywnej dyrekcji, która najchętniej wbiłaby wszystkich uczniów w jednakowe mundurki, ustawiła w równiutkich szeregach i kazała myśleć według ściśle ustalonego schematu.

Tak się złożyło, że Miński wkręcił się w ekipę związaną z hip-hopem. Zaczął wsiąkać w temat, tym bardziej że wizje niezależności, jakie dawało współtworzenie tej kultury, działały odurzająco na jego znudzoną psychikę. Na początku zadowalało go freestyle’owanie w przerwach, na szkolnych korytarzach, tagowanie szkolnych ławek i toalet i wspólne wypadki na koncerty. Jednak z czasem chce się więcej i więcej.

A im więcej chciał Miński, tym mniej podobało się to jego rodzicom. Raz na jakiś czas pewnie przymknęliby oko na całodniowe wagary czy wyjścia z domu na

całą noc. Jednak towarzystwo bawiło się coraz lepiej i coraz częściej. W końcu doszło do tego, że Michał zniknął z domu na całe weekendy, a w szkole pojawiał się sporadycznie. Doszło rzecz jasna do konfliktu, a atak został przeprowadzony z dwóch stron.

Zaczął się od dyrekcji, która postanowiła drakońskimi zasadami utemperować młodzieńcze zapędy – zabraniając wychodzenia ze szkoły bez uzasadnienia na piśmie i stosując najróżniejsze formy represji wobec uczniów. Oberwało się wszystkim, chociaż tajemnicą poliszynela było, przez którą grupę tak się wydarzyło. Ze szkolnej elity stali się małą, ignorowaną grupką, której nie lubił nikt. Jak przyszło co do czego, każdy wołał równać do szeregu.

Z drugiej strony zaatakowali rodzice całego towarzystwa. Zaczęli limitować wyjścia z domu do minimum, pozwalając na przebywanie poza domem maksymalnie do dwudziestej drugiej. Gdyby cios został zadany jednostkom, rozeszłoby się to po kościach. Jednak grupa zareagowała tak, jak na grupę przystało. Rosnąca frustracja kumulowała się w całym gronie. Krótkie i nieczęste spotkania stały się katalizatorem dla nienawiści wobec dorosłych. Postanowili zamilknąć na chwilę, a gdy wszyscy skończą wymarzone osiemnaście lat, uciekną z tego więzienia i złączą życie po swojemu.

Ten ciężki czas zleciał szybciej, niż się każdemu wydawało. Postanowili wyprowadzić cios w wakacje, między drugą a trzecią klasą. Zdecydowali się wynająć mieszkanie dla sześciu osób, pracować tak długo, jak się uda w wakacje, a później podjąć decyzję, czy chcą dalej się uczyć, czy pracować i żyć po swojemu. Idylla, tym bardziej, że na początku wydawało się być doskonale. Znaleźli tani lokal, wszyscy załapali się do tymczasowych prac, więc potajemnie spakowali się i zwiali z rodzinnych gniazdek.

Co to były za wakacje! Robili, co chcieli i kiedy chcieli. Imprezowali, tworzyli, spacerowali, kochali się, wydawali swoje pieniądze, na swoje potrzeby. Postanowili nie wracać do szkoły, tylko żyć w tym towarzystwie po wsze czasy, nie zważając na nic dookoła. Słowa o wielkich marzeniach brzmią szczególnie mocno, kiedy wypowiada się je na pustej nadmorskiej plaży, w gorący wieczór, o zachodzie słońca. Czuli się jednością, żyli ze sobą i dla siebie, szybko zapominając o zrozpaczonych rodzicach, którzy próbowali nakłonić swoje pociechy do powrotu.

Wszystko, co zbudowane na wątłych fundamentach, ma szybko swój koniec. Najpierw zaczęła się szkoła. Okazało się, że po wakacjach już nie wszyscy są tak chętni rzucać naukę, tym bardziej w klasie maturalnej. Decyzję dwóch osób przyspieszyło wywalenie z pracy. Oczywiście z dnia na dzień i oczywiście bez podawania przyczyny. Wszystkim zajrzała w oczy perspektywa głodowania. Dawne frustracje zaczęły powracać. Znowu czuli się oszukani i siłą zamknięci w ciężkiej sytuacji. Jednak tym razem złość zaczęła kierować się do wewnątrz

grupy. Zaczęli szukać winnych między sobą, oskarżać się nawzajem o niepowodzenia. Dochodziło do awantur, z których nic nie wynikało, a czas uciekał. W końcu w Mińskim coś pękło. Uznał, że to nie ma sensu i zdecydował się wrócić do rodziców, chociaż wiedział, że w domu ma spalony grunt.

Pierwsi zawsze mają najtrudniej. Michał został oczywiście obwołany zdrajcą i skreślony w towarzystwie. Stracił prawie wszystko, co miał swojego, z konieczności wynosząc się z mieszkania w ciągu dosłownie kilku minut. Spakował tylko to, co zdążył złapać w rękę, i całkowicie samotny wrócił do rodziców.

Ostatni rok w szkole okazał się horrorem. Matka z ojcem oświadczyli mu, że udzielają mu schronienia do momentu, kiedy skończy liceum, później nie chcą go znać. Oznajmili, że zawiódł ich zaufanie, stoczył się i od teraz nie chcą mieć z nim nic wspólnego. W szkole stał się prawdziwym renegatem. Stracił wszystkich znajomych, co do jednego. Przez rok nie podał mu ręki na przywitanie dosłownie nikt. Czarnego PR-u, jaki zafundowali mu jego dawni przyjaciele, nie dało się wymazać.

Kiedy został sam, poświęcił się bezgranicznie nauce, dzięki czemu przeszedł przez ostatnią klasę i maturę jak burza. Czuł, że ma potencjał, ale nie ciągnęło go na studia. Pragnął realizować się w tym, co go kręciło najbardziej – w hip-hopie. Tym bardziej wierzył już tylko w siebie i tę kulturę. Odebrawszy świadectwo maturalne, wyniósł się z domu bez słowa i wsiadł w pierwszy pociąg, jaki akurat odjeżdżał z wrocławskiego dworca. Traf chciał, że wylądował w Łodzi.

Nie miał niczego poza torbą z kilkoma ciuchami i paroma złotymi w kieszeni. Wysiadł na Kaliskim, samotny w wielkim, brudnym i hałaśliwym mieście, ale był szczęśliwy. Miał możliwość zapisać swoją czystą kartkę w taki sposób, jaki jemu odpowiadał. Nawet gdyby miało mu się nie powieść i miałyby skończyć na ulicy, był gotów podjąć ryzyko. Szaleństwo, to fakt, ale kiedy jest się na dnie, każde rozwiązanie jest tym lepszym.

Musiał najpierw znaleźć nocleg. Wiedząc, że nie ma nic do stracenia, zaczął podbijać do różnych napotkanych ludzi, próbując dopytać się, czy nie daliby rady go przenocować przez jakiś czas. Większość patrzyła na niego jak na wariata, ale prawdziwa determinacja zawsze zostanie sownie wynagrodzona. Traf chciał, że w jednym z pubów samotnie sączył kolejne piwo nie kto inny jak jego imiennik, DJ Krawiec. Był w podobnej sytuacji co Miński, ale miał jeden plus – swoje mieszkanie. Mieszkał z babcią, babci się zmarło, w mieszkaniu został sam, rodzice już dawno mieli w poważaniu całą resztę rodziny, więc chałupa stała się jego własnością.

Ogromna chałupa. Osiemdziesiąt metrów w kamienicy przy Narutowicza. Nie było to mieszkanie marzeń dla młodego gościa, który ledwo wiązał koniec z końcem, ale dla dwóch młodych gości mających artystyczne ambicje? Jak

najbardziej.

Cud się zdarzył, a potem zaczęły zdarzać się kolejne. Dostali pracę w tym samym sklepie, więc układali sobie grafik tak, żeby pracować razem. W wolne dni kombinowali, jak zarobić swoją kasę na hip-hopie. Miński pomału skrobał teksty, Krawiec szył bity i szlifował sztukę djingu, ale kasy od tego nie przybywało. Postanowili ruszyć w miasto i tam poszukać szczęścia. Zaczęli bywać w Blak, który był wtedy dużym, ale opustoszałym klubem. Grali tam HH, ale co z tego, skoro mało kto przychodził się tam bawić.

Poznali tam kilka osób, ale to wciąż było nie to. Chcieli czegoś więcej, znajomości z kimś, kto ma możliwości, kontakty i kontrakty. Cóż można zrobić? Najlepiej wziąć sprawy w swoje ręce i zaprosić taką osobę do siebie.

Poszli więc, chociaż wyglądali jak dwa wychudzone szczury, do właściciela klubu i zaproponowali, że zorganizują tu koncert. Jeśli się uda – da im szansę pobawić się w menedżerów, jeśli nie – odpracują straty w taki sposób, jaki tylko wymyśli. Tamten, o dziwo, zgodził się bez mrugnięcia okiem. Był albo tak wielkim wizjonerem, albo desperatem.

Koncert okazał się strzałem w dychę, chociaż z dzisiejszego punktu widzenia to była totalna amatorszczyzna. Zaprosili pierwszych lepszych chłystków z podziemia, którzy zgodzili się wystąpić za dwa czteropaki, bo reszta kasy, jaką mieli, została na opłacenie... Molesty. Chłopaki z Warszawy dali się w to wciągnąć jako jedyni z legalnej sceny, reszta odmawiała, bo nie chciała się podpisywać pod grą w klubie bez marki i renomy. Po wszystkim przyznali, że przekonało ich tylko i wyłącznie to, że Miński z Krawcem pofatygowali się do nich osobiście i widać było w nich ogromną zajawkę. Oczywiście nigdy nie wydało się, że wpadli na ten temat całkiem spontanicznie, widząc Włodiego wchodzącego do jednego ze stołecznych skate shopów.

Później poszło z górki, chociaż pracy mieli od groma. Biznes zaczął się kręcić jak trzeba, oni zaczęli poznawać ludzi i zarabiać przyzwoitą kasę. Blak stał się ich drugim domem, drzwiami do sensownego życia na własnych zasadach.

– Ciężka praca przyniosła efekty. Dziś jestem ustawiony, mam swoje mieszkanie, chociaż nadal mieszkam z Krawcem, jestem współwłaścicielem studia, znam chyba całą łódzką scenę i sporą część polskiej, ale wiem, że każdy drobiazg okupiony był wylanym potem, okraszony solidną dawką przekleństw i opłacony setkami nieprzespanych nocy. Dzisiejsze pokolenie już tego nie kuma. Wszystko mają podane na tacy, wydaje im się, że sukcesy takie jak mój zbiera się jak rzodkiewki. A nawet jeśli tak jest, to i tak nie chciałoby im się po nie schylać, tylko czekaliby, aż zrobi się to samo – podsumował swoje opowiadanie Miński.

Piotrek spodziewał się, że Michał miał za sobą taką historię. Przeczynał, że jego dystans i izolacja nie wynikają z byle czego. Teraz upewnił się, że tym, co przyciągnęło ich obu do siebie, było ciężkie życie, pełne pracy i wyrzeczeń, choć

wynikające z zupełnie innych uwarunkowań.

– Szalona historia, aż trudno w nią uwierzyć. Chociaż wiem, że nie masz powodu, żeby ściemniać – przyznał Piotrek. – Obaj wiemy, że znaleźć się w miejscu, w którym jesteśmy, nie jest ani tak trudno, jak niektórzy mówią, ani tak łatwo, jak się niektórym wydaje. Tak czy siak, żeby znaleźć się gdziekolwiek, trzeba się ruszyć z miejsca. – Spojrzył na Mińskiego i uśmiechnął się.

– Powiedz mi, jak to jest, że jak wdepniesz w gówno, to uciekasz z tego miejsca, bo śmierdzi, a jak masz gówniane życie, to tkwisz w tym do oporu? – zapytał. Miński roześmiał się głośno.

– Bo strach śmierdzi bardziej od gówna! – powiedział. Piotrek pokiwał głową.

– I masz całkowitą rację, że dzisiaj już się o tych podstawach nie pamięta. Kiedyś wiązali ludziom ręce i zakładali kneble, żeby nie próbowali wyskakiwać przed szereg, myśleć inaczej. Teraz nie muszą. Teraz wystarczy stworzyć pozory, że wszystko już mamy w kieszeni albo chociaż na wyciągnięcie ręki, a lenistwo i pycha załatwiają resztę.

Długo milczeli, wpatrując się w ściany studia. Obaj potrzebowali chwili zamyślenia. Miński postanowił nie przyznawać się Piotrkowi, że jest pierwszą osobą, której się wyspowiadał. Nie wiedział, co ma myśleć o swoim otworzeniu się akurat przy nim. Czuł ulgę, jak zawsze w takich sytuacjach, ale też pewien niepokój. Związali się niewidzialnym łańcuchem tajemnicy. Wiedzieli o sobie więcej niż ktokolwiek inny. Mogło to ułatwić im relację, w końcu nie mieli już czego przed sobą ukrywać. Jednak mogli też wykorzystać swoje sekrety jako broń przeciwko drugiemu. Odślonili swoje słabe punkty. Nie wiadomo, co przyniesie czas, a czasem różnica skali z drobiazgów robi kwestię życia albo śmierci.

– No nic, zbieramy się, przyjacielu, do Blak. Naszą pracę w tym miejscu możemy uznać za zakończoną i pójść to oblać! – Miński uśmiechnął się, chociaż widać było, że myślami jest gdzie indziej niż przy butelce piwa w hałaśliwym klubie. Nauczył się udawać tak, żeby trudne myśli nie przeszkodziły mu w realizowaniu zadania. Dlatego osiągał sukcesy. Skupiał się na celu, wszystko inne zostawiał na spędzane w samotności wolne chwile.

Dopili piwka i prawie nic nie mówiąc, wymaszerowali do klubu.

Płyta pojawiła się na podziemnym rynku zgodnie z planem, to znaczy tuż przed wojewódzką bitwą w Rawie, współorganizowaną przez Mińskiego. Zrobiła sporo zamętu, chociaż raczej wśród wymagających słuchaczy, co tym bardziej ucieszyło Michała. Kiedy jechali do Rawy, cały czas powtarzał z dziką satysfakcją, że na koncercie, który zaplanował w ramach rozgrzewki przed bitwą, wszystkich gówniarzy i hejterów zaleje frustracja, że ktoś, kogo nie rozumieją, może robić wokół siebie tyle pozytywnego szumu.

Piotrka cieszyło całe to szaleństwo wokół Mińskiego i jego oderwanie od rzeczywistości. Mógł w spokoju przygotowywać się do tego, co było najważniejsze dla niego samego – czyli udziału w bitwie. Jechał tam w roli faworyta, wszyscy powtarzali mu, że jeśli zaprezentuje ten sam poziom, który pozwolił mu zatriumfować w Łodzi, to zwycięstwo ma w kieszeni. Nie do końca odpowiadała mu ta rola. Odczuwał, zdaje się, „syndrom drugiego razu”.

Pamiętał te wyczekujące spojrzenia publiczności, wzrok przeciwnika ostro wbijający się w głowę, niczym ogromna igła, tysiące emocji i myśli, jakie towarzyszą każdemu wejściu i, prawdę powiedziawszy, najzwyczajniej w świecie miał cykora. Za drugim razem człowiek stawia sobie poprzeczkę wymagań dużo wyżej, ale brakuje mu jeszcze doświadczenia, żeby całkowicie poradzić sobie z rzeczami, które przeszkadzały przy debiucie.

Michał po wydaniu płyty zdawał się cofnąć w rozwoju o kilkanaście lat i zachowywał się jak dziesięciolatek. Kiedy gnali do Rawy ibizą Krawca, krzychał do przechodniów, skakał na fotelu pasażera, śpiewał i opowiadał sprośne dowcipy na temat jego fanek. Piotrek słuchał jego wydurniania się i mimochodem śmiał się z tego wszystkiego, ale i tak przez całą drogę gapił się w szybę, tępo obserwując budzącą się do życia mazowiecką przyrodę. Też czuł, jakby niedawno zaczął kiełkować, a dzisiaj przyszedł dzień, żeby przebić twardą skorupę ziemi i pokazać się światu.

Do Rawy dotarli o piętnastej, Miński chciał zrobić szybką próbę koncertu w warunkach bojowych, to raz, a dwa – dojrzeć czy wszystko jest przygotowane tak, jak sobie to zaplanował. Momentalnie spoważniał. W jednej chwili stał się gospodarzem, który czeka na ugoszczenie całej, gigantycznej rodziny. Perfekcjonista. Sprawdzał wszystko – od ilości zapasu piwa w kegach, przez czystość toalet, aż po ilość wieszaków w szatni. Krawiec z Piotrkim obserwowali jego mistrzowski rytuał, trochę z rozbawieniem, ale też, mimo wszystko, z szacunkiem.

W końcu dał Krawcowi znak, że może rozstawiać swoje decki, a sam wgramolił się na scenę, złapał za mikrofon i wydarł się tak niespodziewanie, że Piotrek rozlał piwo, które chwilę wcześniej naląła mu wyjątkowo urokliwa pracownica klubu, szykująca już lokal na imprezę.

– Te, amant, cho no tu na scenę, a nie bajerujesz Kasię! Robota jest do zrobienia, na przyjemności przyjdzie pora po wszystkim!

Piotrek uśmiechnął się kretyńsko do barmanki i szybko uciekł na scenę, chociaż nie miał pojęcia, czego od niego oczekuje Michał.

– Co jest, ziom? Mieliście się próbować, a nie psuć mi pierwsze wrażenie! – warknął na Mińskiego. Tamten spojrzał krzywo, po czym pokiwał głową z dezaprobatą.

– Synek... – zaczął Michał, przyjmując pozę zdenerwowanego ojca. – Tyś

nie przyjechał się tu ożłopać piwka i pobłyskać twoimi cudnymi ząbkami do niewiast, tylko wykonać porządną robotę. Przecież potrzebuję hypemena, mam se go wyczarować z publiczności? – zapytał, niemalże krzycząc. Piotrką zamurowało.

– Że co? Mam z tobą zagrać koncert? Przecież ja raz w życiu na scenie stałem! Mało mam atrakcji na dzisiaj? – też podniósł głos, co nie zdarzało mu się prawie nigdy. Nieświadomie założył ręce i zrobił obrażoną minę, czym rozbawił zarówno Mińskiego, jak i barmankę, która z zaciekawieniem przyglądała się całej scenie.

– Jakoś przed chwilą nie miałeś obaw występować przed publicznością, kochany! – zawołała i ostentacyjnie posłała buziaka w jego stronę. Piotrek poczuł się tak, jakby pod jego skórą rozlewał się gorący barszcz momentalnie zrobił się czerwony. Gotowało się w nim z wściekłości. Nie lubił być stawiany w takiej sytuacji. A Miński nie zamierzał mu pobłażać.

– No widzisz, synek, poradziłeś sobie z jednoosobową widownią, to poradzisz sobie z kilkusetosobową. Jak bym ci powiedział wcześniej, to byś mi zwiął i z koncertu, i z bitwy, a tak nie masz wyboru. Nie zostawisz chyba kumpla w potrzebie? Zastanów się, kobiety patrzą. – Puścił oko do Kasi, która zdawała się być zachwycona rozwojem sytuacji.

Piotrek spojrzał z nienawiścią na ich oboje, a chwilę później posłał błagalne spojrzenie Krawcowi. Ten tylko wzruszył ramionami i dalej ustawiał coś w swojej aparaturze.

– Jezuuu, co ja z tobą mam! Trzeba było zostać w domu i spokojnie obierać ziemniaki z mamą – wymamrotał niepocieszony Iwan. – Niech ci będzie, głąbie. Ale następnym razem nie rób mi takich niespodzianek!

Miński podskoczył z radości i poleciał przybić piątki z Krawcem i Kasią. Szepnął jej na ucho, oczywiście tak głośno, żeby Piotrek wszystko usłyszał: – Daj później buziaka grzecznemu chłopczkowi, zasłużył sobie! – Barmanka kiwnęła głową z poważną miną, potwierdzając, że, zaiste – zasługuje.

– Dobra, koniec pierdolenia! Krawiec, jesteś gotowy?! – krzyknął. DJ zaskreczował i odpalił pierwszy bit, oczywiście do „Otwieraj!”. – To jedziemy z tym głównym!

Muzyka ostro wkręcała się w uszy, odbijając się od pustych jeszcze zakamarków klubu. Adrenalina zaczynała huczeć we krwi w rytm uderzeń grubego basu. Obaj raperzy czuli się na scenie jak ryby w wodzie, chociaż Piotrek uświadomił sobie to dopiero podczas próby. Przestał się dla niego liczyć cały świat, ważna była tylko muzyka, dająca ekstatyczną radość, rozsadzająca płuca, serca, a na końcu cały wszechświat. Niepojęta siła, wymykająca się wszelkim racjonalnym wytłumaczeniom.

Skończyli, dysząc ciężko, złani potem, szczerząc się idiotycznie do siebie.

– Petarda, normalnie, kurwa, petarda. Co będzie, jak przyjdzie publika?

Kaśka, nalej nam po piwku, bo zaschło w gardle! Atomówka, Boże, strach tu ludzi wpuścić! – nie mógł przestać nadawać Miński.

Wzięli browarki, Piotrek odebrał buziaka i po upewnieniu się przez nakręconego jak ruski zegarek Michała, że rzeczywiście wszystko jest dopięte na ostatni guzik – zwiali na backstage.

Ani się obejrzeni, a sala zaczęła zapełniać się ludźmi, aż w końcu zrobiło się pełno po same brzegi. Piotrek wychylał się z kanciapy i kręcił z niedowierzaniem głową. W Łodzi była może jedna trzecia tej wiary! To będzie dopiero impreza! Powinien zacząć się denerwować, albo nawet panikować, ale nie czuł nic z tych rzeczy. Z niecierpliwością przeskakiwał z nóżki na nóżkę. Miński zacierał ręce, czując, zdaje się, to samo.

Piotrek miał wreszcie szansę poznać swoich przeciwników z bitwy. Było ich siedmiu, w tym trzech już znał – Lotnika, Matysa i GieTa, którego rozwalil w finale w Łodzi. Pozostali czterej to Andrzej ze Skierniewic, Quack z Pabianic i dwóch piotrkowian – Grizzly i Gringo. Traktowali go z dystansem, raczej jako szurka, któremu raz się „fukło”, niż jako godnego uwagi przeciwnika. Miński dyskretnie zasugerował Piotrkowi, że każdy z nich ma jakieś sukcesy, ale poziomem nie przewyższają ekipy, która była w Łodzi. Plan był prosty – robić swoje i co ma być to będzie.

Jednak przed bitwą był koncert. Imprezę prowadził znany skądinąd świr Dobry MC. Kiedy zapowiedział występ Mińskiego, o dziwo, nie było jakiegś dzikiej wrzawy. Piotrka to trochę rozczarowało, ale Michał zdawał się nie tracić rezonu. Wszedł na scenę i głośno powitał nieco zdystansowaną publiczność. Widząc to, nie mógł się powstrzymać i zawołał: – Dobra, dzieciaczki, dzisiaj zobaczycie, co to prawdziwy rap, a nie jakieś gimnazjalne disco. Długo nie zapomnicie tego wieczoru! – Pomruku niezadowolenia nie dało się usłyszeć, bo Krawiec otworzył już kłapy i zrzucił na tłum pierwszą bombę...

Po wszystkim nikt nie był już niezadowolony. Publika gotowała się, domagając się więcej. Miński z Krawcem i Piotrkiem zrobili to, co należało – zarazili swoimi emocjami cały ten tłum. Wykopali z głów malkontenctwo, wypełniając pustą przestrzeń zajawką i kilogramami funu. Dobry MC miał dzisiaj wyjątkowo łatwe zadanie. Ledwo zaprosił na scenę gladiatorów dzisiejszego wieczoru, a Koloseum już ryczało z zadowolenia.

Piotrek nie zdążył ochłonać po koncercie, co działało na jego korzyść. Oswoił się z deskami sceny i wypluł do mikrofonu całą tremę. Przelotnie spojrzął na przeciwników. Większość wyglądała na takich, którzy dadzą sobie radę z presją, ale Grizzly i Gringo zdawali się zastanawiać, czy założyli dziś wystarczająco szczelne pieluchy... Najłatwiej byłoby trafić na któregoś z nich w pierwszej

rundzie, ale Dobry MC, korzystając z pomocy ludzi z pierwszego rzędu, skojarzył ich w pary z Lotnikiem i Quackiem. Trzecią parę stanowili Andrzej i Matys, co oznaczało, że szybko przyjdzie GieTemu szansa na zrewanżowanie się za łódzką porażkę. I szkoda, że walczą ostatni, bo adrenalina po koncercie zdąży zejść do tego czasu...

Dopiero wtedy pojawiły się obawy. Piotrek uświadomił sobie, że wciąż nie ma doświadczenia, a rzuca się na wodę głęboką jak Bajkał. Tym bardziej, że pierwsze walki stały na wybornym poziomie. Widać było, że wszyscy się spięli, nawet Piotrków trzymał poziom. Podczas trzeciej walki Piotrek całkowicie się wyłączył. „A co, jeśli zeżre mnie trema? Jeśli się zawieszę, albo GieT tak dowali do pieca, że będę wyglądał przy nim jak bezbronna dziewczynka? Nic nie potrafię, chyba trenowałem za mało. Trzeba było dać sobie więcej czasu. Fuck, fuck, fuck, fuck, FUUUUCK!”

Z zamyślenia wyrwał go dopiero wrzask Mińskiego: „Iwan, na scenę! Obudź się!”. Nadeszła jego kolej. Zagrali w kamień – nożyce – papier. GieT przegrał, Piotrek zdecydował, że rywal ma zacząć. Dobry MC przypomniał zasady – dwa wejścia po minucie, pierwsze na temat, a jeśli nie będzie rozstrzygnięcia – dogrywka, po minucie dla każdego. Przybili piątki z GieTem, Krawiec puścił bit i walka rozpętała się na dobre...

Łodzianin zaczął bardzo mocno, chociaż pod koniec wejścia nieco oklapł. Piotrek odpowiedział mu przyzwoicie, ale poniżej swoich możliwości. GieT postanowił to wykorzystać i spiął się tak bardzo na drugie wejście, że zaciął się na chwilę po czwartym wersie i później nie wrócił już do poziomu z początku. Rozczarowany kiwał głową, na co Piotrek niespecjalnie zwracał uwagę. Chciał poprawić swój level, nie zamierzał przejmować się tym, co robi przeciwnik. Drugi raz okazał się nieco lepszy od pierwszego, ale wciąż brakowało tego czegoś. Jury, razem z publicznością, zdecydowało o dogrywce.

– Panowie, chyba stać was na więcej? – krzyczał Dobry MC. – Weźta się do roboty, bo to nie przystoi dżentelmenom! Tyle kobiet chcecie rozczarować, o biednych dzieciach nie wspominając!? – Publiczność ryknęła śmiechem, co wyraźnie dodało energii GieTemu. W dogrywce przeszedł samego siebie, nie zostawiając na Piotrku suchej nitki. Iwan poczuł kluchę w gardle. Uświadomił sobie, że za chwilę może odpaść z tej zabawy. Poczul narastającą panikę.

Krawiec zagrał bit, ale Piotrek nie mógł wgrzyźć się w odpowiedni moment do wejścia. Rozejrzał się nerwowo po sali i zetknął się ze spojrzeniem luźno ubranej brunetki stojącej spokojnie przy ścianie, obok sceny. Uśmiechnęła się do niego i zamknęła oczy, jakby chcąc go uspokoić. Piotrek poczuł nagły skok adrenaliny i nie zastanawiając się nawet ułamka sekundy, wskoczył na bit niczym gepard na ofiarę. Po minucie było już pewne, że chociaż GieT osiągnął poziom absolutny, to Piotrek jakimś cudem znalazł się szczebelek wyżej i w końcu

udowodnił swoją wartość. Dobry MC skakał z radości po scenie, publika nie przestawała ryczeć z zachwytu, a Piotrek daremnie szukał w tłumie spojrzenia, które uratowało go z opresji.

Dalej poszło już z górki. W drugiej rundzie spotkał się z Andrzejem, który był pod tak ogromnym wrażeniem ostatniego wejścia Piotrka, że w zasadzie poddał się bez walki. Finał nieoczekiwanie odbył się między Iwanem a Grizzlym, który bronił się jak prawdziwy niedźwiedź, ale pękł pod naporem naładowanego jak duracell słowotoku Piotrka. Raz odblokowany strumień na końcu okazał się rzeką potężną i bezlitosną jak Missisipi.

Tego dnia Piotrek w końcu przeżywał swój sukces świadomie. Wielokrotnie kłaniał się publice, wziął udział w pobitewnym jam session, w którym wsparli go Miński z Johnnym. Wszyscy rywale przybijali z nim piątki, okazując wreszcie należny szacunek. Udowodnił swoją wartość w najlepszy możliwy sposób – pokazując zwyczajnie, że ma największego skilla. Czuł, że staje się częścią tej wielkiej rodziny, którą łączy czarne brzmienie i szukanie rymu na każdym narożniku ulicy.

Kasia, chociaż spełniła obietnicę już wcześniej, to zdecydowała się nie wyprowadzać Piotrka z błędu. Dała mu nawet dwa buziaki, a przy okazji swój numer na serwetce z odcisniętą czerwoną pomadką. Piotrek chodził dumny jak paw na sterydach, jakby to było większym sukcesem niż wygranie jakiejś tam bitewki.

Dwie godziny po bitwie klub zaczynał pustoszeć i zostawały tylko osoby, które chciały sobie pokonwersować w spokoju. Piotrek, wyluzowany jak nigdy, gawędził ze swoją paczką, obsypując w co drugim zdaniu komplementami Kasię. Nagle Miński zawołał wszystkich i uciekli szybko, zanim Piotrek zdążył się w tym zorientować. Poczuł, że z boku ktoś się na niego patrzy. Obrócił się i usłyszał szczyry i głośny śmiech.

– Patrzę na ciebie od dziesięciu minut! Zdążyłam dać Mińskiemu znać, żeby sobie na chwilę poszli, a ty nawet nie zauważyłeś, jak się z ciebie śmieję! – Obok niego stała brunetka, która „uratowała” go przy pierwszej bitwie. Miała pogodny wyraz twarzy, ubrana była skromnie, w luźne, szare dresy i granatową bluzę z kapturem. Była nieco niższa od Piotrka i, prawdę powiedziawszy, nie miała cudownej urody. Wyglądała... zwyczajnie. Jednak w oczach miała tyle radości i magii, że nie mógł oderwać od niej wzroku. Dopiero po kilkunastu sekundach uświadomił sobie, że milczy, a powinien coś odpowiedzieć. Dziewczyna czekała cierpliwie, chociaż nie mogła ukryć rozbawienia.

– Hej... matko, tyle dzisiaj się działo, że chyba przestałem kontaktować – wymamrotał. – Przepraszam cię najmocniej... Piotrek jestem, możesz mówić do mnie Iwan, ale wolałbym jednak Piotrek. – Ze zmieszaną miną podrapał się po głowie, po czym wyciągnął do dziewczyny dłoń. Uścisnęła ją z kobiecą delikatnością, co w jakiś tajemniczy sposób uspokoiło Piotrka.

– Gratuluję ci zwycięstwa, ale widziałam, że było ci ciężko się przełamać. Ja nazywam się Ania i możesz mnie uznać za swoją pierwszą zadeklarowaną fankę. – Urzekła spokojem, delikatnością i bezpośredniością. Jej subtelny głos, codzienny wygląd i spokojne usposobienie łagodziły wciąż rozdygotane emocje Piotrka niczym aloes.

– Ania... – powtórzył jej imię jak zaklęcie. – Dziękuję, że chciało ci się tu przyjść dzisiaj. Bez twojego wsparcia pewnie odpadłbym w pierwszej rundzie i zamiast laurów i radości miałbym tylko rozgoryczenie i złość. – Piotrek czuł się niewyobrażalnie wdzięczny. Tak bardzo, że nie wiedział, jak ma to okazać. Tyle by chciał jej powiedzieć, ale wszystko zdawało się bez sensu.

– Daj spokój, przecież tylko się do ciebie uśmiechnęłam, ty sam zrobiłeś całą resztę. – Ania pozostawała skromna, chociaż Piotrek czuł, że jest z siebie zadowolona, bo miała w tym wszystkim swój udział. – Słuchaj, ja muszę już uciekać. Mam nadzieję, że jeszcze kiedyś się spotkamy, w Łodzi. Wymienimy się numerami i pomyślimy co dalej, hm? – Jej rzęsy zatrzepotały jak motylki. Piotrek błyskawicznie wyjął telefon i zapisał numer do niej. Nie miał najmniejszej wątpliwości, że to nie będzie ich pierwsze i ostatnie spotkanie. Wychodząc, puściła mu oczko i chyba specjalnie trąciła swoją dłonią Piotrka. Ten patrzył za nią długo, nawet kiedy już zniknęła za wejściem. Czuł się jak czekoladka rozpuszczająca się przyjemnie w rondelku.

Kasia szturchnęła go boleśnie w ramię.

– No ładnie, ładnie, najpierw dałeś mi się obcałować, a potem podbijasz serce innej! – Piotrek poczuł, że się czerwieni. Nawet nie spojrzął w jej kierunku, tylko machnął ręką, wzdychając ciężko i odszedł od baru, co barmanka skwitowała głośnym śmiechem.

Stwierdził, że musi zajrzeć do łazienki i ochlapać się zimną wodą, żeby choć trochę schłodzić parującą od emocji głowę. Spojrzął na siebie w lustrze i zobaczył okropnie zmęczonego, ale pogodnie usposobionego gościa. Pokiwał głową z szacunkiem. Typek z lustra robił, mimo wszystko, dobre wrażenie.

Wychodząc z toalety, zobaczył parę wbitych w niego oczu. Ostro spoglądał się na niego dość wysoki, na oko trzydziestoletni mężczyzna, którego twarz kogoś mu przypominała.

– Co jest? – zapytał, spinając się niepotrzebnie. Tamten, nie zmieniając pozy, zmierzył go od stóp do głów i w końcu się odezwał.

– Moje gratulacje, młody. Tak się składa, że obserwowałem cię już w Łodzi. Robisz różnicę dla tej sceny. Może gdyby było więcej takich jak ty czy Miński, to to wszystko wyglądałoby lepiej.

Piotrek nie wiedział czemu zawdzięcza te uwagi. Zaczął mówić pewnie i buńczucznie:

– Dzięki, kolego. Staram się robić to, co lubię, jak tylko umiem najlepiej. Jak

widać nawet coś niecoś mi wychodzi. Zastanawia mnie tylko, kim... – dopiero kiedy zaczął wypowiadać głośno swoje pytanie, przypomniał sobie, skąd zna tę twarz. – O kuźwa, Zeus, to ty? Ale wtopa! Za dużo freestyle’u na jeden wieczór! Miło cię poznać! – Serce zabiło mu jak oszalałe. No to zaliczył efektowne pierwsze wrażenie, kuźwa jego mać... Na szczęście Zeus w moment rozpogodził się, zarażając tym Piotrka. Wyciągnął dłoń i uściśnił się konkretnie.

– To ja, we własnej osobie – powiedział, uśmiechając się przyjaźnie. – Też fajnie poznać kogoś takiego jak ty, Iwan. Wygląda na to, że masz wszystko, czego potrzeba, żeby odnieść sukces. Nie mam zamiaru prawić ci morałów, ale jeśli już się widzimy, to coś ci powiem. Uważaj na ludzi. Teraz jesteś jeszcze no-name’em, ale z każdym kolejnym sukcesem grupka osób, która będzie chciała ogrzać się w świetle twojego fejm, będzie rosła. Trzymaj się swojej ekipy, nawet jeśli nie będzie ci łatwo się z nimi dogadać. Na Mińskim możesz polegać jak na małym kim, ale już paru szurkom powiedział nara, kiedy sodowa walnęła im do głów...

Piotrek zmieszał się doszczętnie.

– Eee... dzięki? – wybąkał. – Nie wiem czemu zawdzięczam tę radę, ale w porządku. Zapamiętam. Tylko jak już rozmawiamy, zapytałbym cię o jedną rzecz. Jak to jest, że... – w tym momencie usłyszał potężny krzyk Mińskiego.

– IWAN, GDZIE TY SIĘ SZLAJASZ? – Po czym wesoła głowa Michała wychyliła się z zza rogu. – Aaaaa, tu jesteś, łazęgo! Widzę, że z byle kim się już nie zadajesz, poniżej legala nie pogadasz! – Wyszczrzył zęby i puścił oczko do Zeusa, przybijając piątkę. – Wybacz, Kamil, ale muszę zabrać tego gagatka, bo mamy parę pilnych tematów do obgadania. Pokonwersujecie sobie przy innej okazji. – rzucił pospiesznie Miński, po czym szarpnął Piotrka za ramię i pociągnął za sobą. Ten zdążył tylko kiwnąć głową na pożegnanie i już zaczął wściekać się na Michała.

– Kurde, nic mi dzisiaj nie dasz pogadać. Jak nie z Kaśką, to teraz z Zeusem... Szlag by cię trafił, uparta mendo. Po co żeś mnie stamtąd zabrał? – Piotrek z nerwów wpadł w słowotok. Miński zmierzył go, znanym skądinąd, wzrokiem surowego ojca i powiedział poważnym tonem:

– Synu, nie sprawiaj mi przykrości, gdyż twoje argumenty są po prostu z dupy wzięte – mówiąc to, ironicznie zniżył głos. – Gdyby nie moja bystrość umysłu, nawet byś nie zauważył dziewczyny, która dałaby się pokroić za rozmowę z tobą. Więc nie marudź, bo wychodzisz i tak na plus.

Piotrek prychnął i pokazał środkowy palec Michałowi, niechętnie przyznając mu rację.

– Niech ci będzie, gnoju, ale nie powiedziałaś mi, po co żeś mnie wyciągnął od Zeusa!

Miński pstryknął mu w ucho.

– Bo, kolego simpatiszny, nie mam z kim się napić piwa na backstage’u! –

Z miną wyrażającą niekwestionowany triumf usadowił się przy barze, filuternie uśmiechając się do barmanki. Kasia naląła im po piwie, a Miński uniósł wysoko szklankę i zawołał:

– Zdrowie Iwana, Krawca i Mińskiego. Panów, co nie mieli nic, a dzisiaj zbudowali swoją pierwszą fabrykę!

*

Marcin wgapił się w komputer, przeglądając arkusze kalkulacyjne, kiedy gwałtownie zaszcząkał klucz w zamku drzwi. Wzdrygnął się, metaliczny dźwięk przeszył jego wyciszony umysł, sprawiając niemal fizyczny ból. Momentalnie poczuł się spięty, ze złością obrócił się na krześle i spojrzał w oczy wyglądającej na zadowoloną Julii.

– Cześć, skarbie – zawołała, uśmiechając się szeroko i muskając ustami policzek partnera. Zdawała się nie dostrzegać zirytowanego spojrzenia Marcina. – Dzisiaj jest wielkie święto, wiesz?

Zmarszczył brwi. Jakaś durna rocznica?

– Taaak? A jakie? – udawał zainteresowanie tak bardzo, jak tylko mógł. Robota czekała, a czas płynął nieubłaganie.

– Mój drogi, dzisiaj w końcu rozstałam się z panem Kula-wikiem!

Marcin rozłożył ręce, w pytającym geście.

– To znaczy? – warknął zniecierpliwiony.

– To znaczy, mój miły, że nie pracuję już w IG! – zapiszczała Julia, podskakując z podniecenia.

– CO?! – krzyknął Marcin, nie dowierzając temu, co słyszy. – Chyba żartujesz!

Julia uśmiechnęła się jeszcze szerzej niż wcześniej.

– Wspaniała wiadomość, prawda? W końcu będę mogła skupić się na sobie, a nie na idiotycznych pomysłach tego imbecyla! I będziemy mieć więcej czasu dla siebie! – Cieszyła się jak nastolatka do plakatu z „Bravo Girl”. Marcin był osłupiały. Gotował się w środku z wściekłości. Julia nie widziała albo nie chciała tego widzieć.

– Tak sobie właśnie myślałam, że z tej okazji skoczylibyśmy do kina, a później na jakąś pyszną kolację, co ty na to? Stawiam! – zatrzepotała rzęsami. Marcin spojrzał na zegarek i westchnął ciężko.

– O której? Jest piętnasta, za chwilę będę się zbierać na spotkanie o siedemnastej. Wolny będę pewnie dopiero około dziewiętnastej, dwudziestej. Trochę późno na kino i kolację. – Nie ukrywał nawet, że pomysł Julii wydaje mu się beznadziejny. Spuściła wzrok i z rozczarowaną miną wyszła z pokoju. Marcin niechętnie wstał i poszedł za nią. Obrzuciła go pełnym pretensji spojrzeniem.

– Jak zawsze. Tylko praca, spotkania, interesy. Nie pamiętam, kiedy ostatni

raz poświęciłeś mi cały dzień. Tym bardziej, że ten jest dla mnie wyjątkowy... – powiedziała przygaszona i rozczarowana.

Niedługo po pamiętnym bankiecie zdecydowali się zamieszkać razem. Po części ze względu na związek, jaki zaczęli budować tamtego dnia, a po części ze względu na wygodę – Marcin nie mógł wiecznie sypiać w hotelu, a kawalerka Julii przestała wystarczać nawet na jej potrzeby. Wynajęli mieszkanie w kamienicy przy Gdańskiej i... niewiele się zmieniło w życiu obojga. Poza adresem zamieszkania, rzecz jasna.

– Do tego tematu to jeszcze wrócimy... – spojrzał na Julię ostro, chociaż serce mu miękło na widok tych cudownych, zwariowanych oczu. – Niech ci będzie, zamówię ci taksówkę na dwudziestą i zjemy coś na mieście. A do kina jeszcze pójdziemy, obiecuję. – Uśmiechnął się sztucznie i pocałował ją beznamyślnie w usta. Przez krótką chwilę poczuł, jak bardzo jest gorąca i jak bardzo musi być stęskniona. Szybko uciekł do łazienki pod pretekstem szykowania się na spotkanie, nie chciał zbyt długo rozpamiętywać tej myśli.

Spotkanie, rzecz jasna, przedłużyło się nieco, więc Julia musiała czekać na Marcina ponad pół godziny w restauracji. Kiedy w końcu wszedł na salę, nie wyglądał, jak by się spieszył. Leniwie podszedł do stolika, musnął ustami elegancko uczesane włosy partnerki i usiadł naprzeciwko, szczerząc zęby od ucha do ucha.

– No, maleńka, świętujemy dziś oboje. Zrobiłem pierwszy krok do założenia spółki. Coś czuję, że będzie to strzał w dziesiątkę! – Zmusiła się do uśmiechu. Nic! Żadnego przepraszam, dziękuję, kompletnie nic! Nawet się nie wysilił na kwiatka!

Już otwierała usta, żeby wygarnąć mu to wszystko, kiedy kelner cichuteńko zapytał z za jej pleców:

– Mogę już przyjmować zamówienie?

– Niemalże! – zawołał wesoło Marcin. – Prosilibyśmy na początek po kieliszku szampana. Resztę zdradzimy po toaście. – Puścił oko do kelnera, który błyskawicznie pognął zrealizować zamówienie. Czuł, że na tej dziwnej parze sobie zarobi, jeśli się postara.

Marcin wznosił toast „za sukcesy zawodowe” i złożyli zamówienie. Niewiele odzywali się do siebie przed posiłkiem, w trakcie zamilkli całkowicie. Dopiero przy deserze Marcin zagadnął Julię, co tak właściwie się stało, że zrezygnowała z pracy. Troszkę się rozchmurzyła, czując wreszcie zainteresowanie swoją osobą.

– Znasz mojego szefa i moje relacje z nim. Och, pardon, byłego szefa. Trzymał mnie tylko dlatego, że dobrze robiłam swoją robotę i kręciłam dupskiem, załatwiając jego interesy. Prezes chętnie wrzuciłby mnie na jego miejsce, ale to byłoby trudne do wytłumaczenia, w końcu pracują tam razem, od samego początku. No i rozumiesz, ten fiut wymyślił sobie, że zatrudni stażystkę. Zatrudni,

pfff! – prychnęła pogardliwie. – Dupy mu dała parę razy w biurze, co zresztą widziało kilka osób i uznał, że woli taką lafiryndę ode mnie. Bo ja, jak ci wiadomo, nigdy mu dupy nie dałam, chociaż miałam i takie propozycje.

Marcin zaśmiał się. Wyobraził sobie farfoclowatego Kulawika, próbującego zadowolić niezłą w te klocki Julię.

– Obmyślił sobie, że jak tamtej skończy się staż, to mnie przeniesie gdzieś indziej (czyli pewnie na jakieś gówniane stanowisko), a ją weźmie pod swoje... ptasie skrzydełko. – Parsknęli śmiechem, zwracając na siebie uwagę całej sali.

– No i rozumiesz, stwierdziłam że nie dam mu tej satysfakcji. Złożyłam rezygnację, mówiąc mu, że długo wakatu mieć nie będzie, i wyszłam, uśmiechając się uroczo. Nie muszę chyba mówić, że zrobił się malutki jak kasztanowy ludzik? Kutas! – zawołała z pogardą, trochę głośniej niż powinna, skutkiem czego starsza pani ze stolika obok oburzyła się na poziom słownictwa dzisiejszej młodzieży. Marcin schłodził jej temperament lodowatym spojrzeniem i zapytał, czy ma jeszcze jakieś uwagi. Pani nie raczyła udzielić odpowiedzi, zajęta mieszaniem fusów na dnie swojej herbaty.

Marcin puścił oko do Julii.

– Wiesz, dziś byłem zły na ciebie, a nie powinienem być. Trochę denerwowałem się przed tym spotkaniem z prawnikiem. A teraz to nawet cię podziwiam. Masz, dziewucho, charakter! – Złapał ją delikatnie za dłoń. Julia czuła, jak motyle w jej brzuchu budzą się z długiego letargu. – To był dobry pomysł z tą kolacją, masz jeszcze jakiś? – zapytał, wpatrując się z apetytem w jej oczy i zerkając, niby przypadkiem, na dekollet.

W jej oczach zapłonęły iskierki. Marcin uświadomił sobie, że nie widział ich od bardzo dawna. Zapomniał o ich uroku.

– Hm, butelka czerwonego wina i dużo świeczek w naszym mieszkaniu. – Zmieniała się w diabolicę. Nie czekając na odpowiedź Marcina, pobiegła do kelnera, szybko opłaciła rachunek i wybiegli razem z lokalu.

Nie wzięli taksówki. Pędzili jak szaleni przez miasto, tak jakby za chwilę miał im uciec ostatni pociąg do domu. Po drodze zajrzeli do sklepu i kupili dwie butelki wina. Na wszelki wypadek. Wpadli do wynajętego mieszkania w luksusowo wyremontowanej kamienicy i znieruchomieli. Zaczęli śmiać się w tej samej chwili. Bez słów wiedzieli, że pomyśleli to samo – brać się najpierw za siebie czy za wino? Zdecydowali, że połączą obie czynności.

Znów dali ponieść się chwilowemu szaleństwu. Ich ciała płonęły, rozpalane nagłym powrotem uczuć, które długi czas leżały zapomniane. Smakowali siebie jak za pierwszym razem, nie zastanawiając się nad niczym, nie spiesząc się, delektując terażniejszością jak pysznym daniem w designerskiej restauracji. Kiedy wreszcie padli wyczerpani na łóżko, ich umysły były czyste i spokojne.

Marcin wyciągnął się z zadowoleniu na łóżku, tuląc do siebie drobną Julię.

Ta delikatnie gładziła go po piersi, szczęśliwa, że ma ukochanego na wyłączność. Wreszcie. Bała się odezwać, żeby nie popsuć atmosfery jakimś banałem. W końcu nie wytrzymała.

– Marcin, śpisz? – szepnęła. Odpowiedział delikatnym potrząśnięciem głową i mruknięciem. Uśmiechnęła się.

– Wiesz, marzy mi się, żeby tak wyglądał każdy nasz wieczór. Stać nas na to... Jestem taka szczęśliwa przy tobie, nie uciekaj mi. Powtarzajmy to jak najczęściej! – wymruczała i oparła głowę o ramię Marcina, uspokojona jego subtelnym uśmiechem i miarowym oddechem. Usnęła, pełna marzeń i nadziei.

Tamtego wieczora Marcin nie słyszał albo nie chciał słyszeć tego, co mówiła mu Julia. Następnego dnia obudził się w takim nastroju, jakby nic nigdy nie miało miejsca. Znow zamienił się w lodowato zimną skałę. Zaczął skupiać się wyłącznie na firmie. Czasem tłumaczył się tym, że kiedy założy spółkę, będzie miał mniej obowiązków i więcej czasu na przyjemności.

Julia postanowiła zaufać partnerowi, chociaż z dnia na dzień coraz mniej wierzyła w to, że powinna dalej brnąć w związek bez jasnej przyszłości. Tym bardziej że coraz częściej zdarzało się, że Marcin wracał do domu późno i był zalany. Zdawał się być szczęśliwy, więc Julia nie wypytywała go o szczegóły jego codzienności. Zagryzała zęby, czekając, aż karta się odwróci.

Prawda była jednak trywialna. Marcin pracował długo, spotykał się z masą osób – potencjalnych inwestorów, doradców, urzędników, skupiając się na misji powołania spółki tak bardzo, że przestał specjalnie przejmować się aktualnymi problemami firmy, całość obowiązków scedował na swoją asystentkę. Kosztowało go to masę czasu i nerwów, więc gdy kończył dzień pracy, kierował się do Arka, po trosze po to, żeby się wygadać, a po trosze po to, żeby się porządnie napić.

Arek, ze swoim barmańskim darem do wysłuchiwanie przybarowych penitentów i sprytnego uzupełniania pustych kieliszków, stał się osobą bardzo bliską Marcinowi. Dużo rozmawiali o swoich problemach, służąc nawzajem radą i słowem otuchy. Arek podziwiał Marcina za umiejętność kierowania sobą i swoją karierą, Marcin podziwiał Arka za spokój i dystans do wszystkiego, co pozwalało mu obiektywnie oceniać każdą sytuację.

Szczególnie to ostatnie zdawało się potrzebne Marcinowi w tym czasie, bo zauważył, że zaczął zatracać swoją naturalną umiejętność do utrzymywania emocji na wodzy. Kiedy nie kierował swoim biznesem, umiał zatrzymać się i spojrzeć z dala na sytuację. Teraz angażował całego siebie, często bardziej, niż było to potrzebne. Ta zmiana wywoływała w nim poczucie niepokoju, tak jakby codziennie wchodził do obcego miasta i nie wiedział, jak ma się po nim poruszać. Nie do końca świadomie tracił grunt pod nogami. Tworząc podwaliny pod spółkę, przestał zauważać, że pękają jego osobiste fundamenty.

Przez to wszystko stracił Julię z punktu widzenia, chociaż przecież widywali się każdego dnia. Czasem zdarzało się, że Marcin kupił jej kwiaty, zaprosił do kina, później zabrał do łóżka, ale ona doskonale czuła, że robi to tylko dla świętego spokoju, odhaczając tę konieczność na jakiś czas. Doprowadzało ją to do szaleństwa, bo za każdym razem łudziła się, że w końcu coś się zmienia, ale kończyło się na pięknych słówkach i niespełnionych obietnicach. Wolałaby już zostać całkowicie opuszczona, wiedząc, że pora odejść w swoją stronę, bo ze strony tego dupka nie ma na co liczyć.

Wielki dzień długo nie nadchodził, chociaż Marcin pracował coraz dłużej, w końcu nie mając już czasu ani na Julię, ani na Arka. Przepadał na całe tygodnie, nie odbierając telefonów, nie odpisując na SMS-y i maile. Jeździł po całym kraju, szukając doskonałych rozwiązań. Chciał mieć absolutną pewność, że kiedy powoła do życia spółkę, będzie wiedział wszystko o współudziałowcach, będzie miał z nimi podobną wizję na rozwój firmy, a każdy członek zarządu będzie wnosił coś wartościowego, łącznie z dużym kapitałem.

Często zastanawiał się, jak to jest możliwe, że Wanergy nie próbuje nawet dopytywać się, jak radzi sobie jego firma. Nie działał w tajemnicy, ale były pewne detale, o których on chciałby porozmawiać ze swoim licencjobiorcą, gdyby takowego posiadał. Tak mu się przynajmniej wydawało. Tymczasem Sulima milczał. Ostatecznie Marcin uznał, że to nawet lepiej, bo może działać, mając święty spokój od wpływowego starca.

Po długich negocjacjach Marcin wybrał dwóch inwestorów, z którymi zamierzał podjąć współpracę. Zgodzili się włożyć duży kapitał do spółki, ale zastrzegli, że nie będą osobiście angażować się w jej działalność. Do zarządu mieli oddelegować swoich przedstawicieli – młodych, inteligentnych, ale jednak niezbyt doświadczonych. To nieco zbiło Marcina z pantałyku, ponieważ musiał na nowo przemyśleć strategię prowadzenia spółki. Zareagował błyskawicznie, zmieniając koncepcję ze spółki z ograniczoną odpowiedzialnością na spółkę komandytową. Pierwotnie miał stać się jedynym komplementariuszem, jednak chciał mieć obok jeszcze kogoś, kto wesprze go radą i doświadczeniem, nie tylko zasobnym portfelem.

To, rzecz jasna, wydłużyło czas powoływania spółki o kolejne długie tygodnie. Na rynku brakowało wykwalifikowanych menedżerów gotowych do podjęcia współpracy z tak młodą firmą. Nieopierzonych podlotków można było zbierać jak rzodkiewki – na pęczki. Niestety, osób gwarantujących wystarczający poziom było zaledwie kilka i stawiały absurdalnie wysokie warunki.

Wydawało się już, że Marcin będzie musiał radzić sobie sam z dwójką żółtodziobów u boku. Był zdecydowany podjąć ryzyko, byle tylko mieć już za sobą całe to zamieszanie. Wtedy, kompletnie niespodziewanie, zadzwonił telefon. Rozmówca przedstawił się jako Andrzej Skonieczny i zaproponował spotkanie.

Zapytany o to, skąd wie o tym, że Marcin nadal szuka wspólnika, odpowiedział tylko „poczta pantoflowa”. Dla dobra sprawy pozostało to tajemnicą.

Spotkali się w eleganckiej restauracji serwującej polską kuchnię. Wybór należał do Skoniecznego i trzeba było przyznać, że miał facet gust. Lokal spodobał się Marcinowi. Był miejscem spokojnym i pełnym klasy, ale nie nachalnie luksusowym. Tym razem Pieniążek dotarł do restauracji na czas, czyli kilka chwil przed Skoniecznym. Wybrał stolik na uboczu, nie chcąc zwracać na siebie uwagi. Rozglądał się leniwie po jasnym, biało-zielonym wnętrzu, kojarzącym się z czystą pościelą i wiosenną świeżością, kiedy do lokalu wszedł wysoki blondyn w beżowej koszuli, limonkowych spodniach i fioletowych, prostokątnych okularach. Prezentował się ekscentrycznie, ale wydawał się być całkowicie pozbawiony kompleksów. Szedł pewnie, zachwycając sobą całą salę jak bajecznie upstrzony ptak rodem z raj.

Poznali się od razu, tak jakby od zawsze było im pisane spotkać się tu i teraz. Andrzej szeroko wyszczerzył swoje perłowobiałe ząbki i wyciągnął swoją długą rękę w kierunku Marcina.

– Andrzej Skonieczny, bardzo mi miło cię poznać, słyszałem o tobie dużo dobrego. – Od razu przeszedł na „ty”, rzadko spotykana postawa. Marcin uściśnął mocno jego dłoń, która, o dziwo, była dużo delikatniejsza, niżby wskazywał na to jej wygląd.

– Marcin Pieniążek. Mnie również bardzo miło, chociaż o tobie słyszałem bardzo niewiele. Dobrze się ukrywasz przed researchem takich jak ja. – Roześmiali się.

Kelner przyjął ich zamówienie, ostrzegając, że mogą długo czekać na jego realizację, gdyż wszystko przygotowywane jest na bieżąco. Andrzej zatrzepotał jasnymi rękami, mówiąc wesoło, że mają dużo czasu i nie spieszy im się donikąd.

Rozmowa kleiła się od samego początku. Przy akompaniamencie delikatnego jazzu gawędzili swobodnie na wszystkie tematy, które były im bliskie. Szybko zorientowali się, że chociaż różnią się w kwestii niektórych poglądów, to ich zainteresowania są bardzo podobne. Tym bardziej dyskusja nabierała smaku, kiedy wkraczali na płaszczyzny, w których się nie zgadzali.

Marcinowi, i odniósł wrażenie, że Andrzejowi też, imponowało to, że żaden z nich nie starał się na siłę przekonywać drugiego do swoich racji. Parokrotnie udało się im wypracować wspólne stanowisko, które, jak sami uznawali, miało znacznie większą wartość niż zdanie każdego z osobna. A przecież rozmawiali tylko dwie godziny, z przerwą na, znakomity skądinąd, posiłek!

Ostatecznie dotarli do clue swojego spotkania – sprawy wykupienia udziałów w Strumieniu przez Skoniecznego. Marcin pozwolił sobie wyłożyć swój pogląd jako pierwszy.

– Strumień dotarł do takiego momentu, w którym ja, jako właściciel,

musiałem odpowiedzieć sobie – czy zostaję z tym, co mam, i w spokoju czerpię z tego korzyści, czy też staram się poprawić swoją sytuację kapitałową i postawić na rozwój firmy. Nie od dziś wiadomo, że ten, kto stoi w miejscu, ten się cofa, więc zdecydowałem się założyć spółkę. – Skonieczny w milczeniu obserwował Marcina swoimi żywymi oczami. Można było odnieść wrażenie, jakby patrzył na największy autorytet, jaki poznał w życiu. Chłonał każdą głoskę, którą wypowiadał bez zająknięcia Marcin. Łechtało to ambicję Pieniążka jako mówcy, chociaż z tyłu głowy zapisał sobie, że warto zweryfikować autentyczność zainteresowania Skoniecznego.

– Postanowiłem znaleźć trzech inwestorów. Zależało mi na ludziach, którzy wniosą do Strumienia coś więcej poza pieniędzmi. Niestety, rzeczywistość okazała się brutalna. Ci, którzy chcieli wyłożyć większą kasę, nie zamierzali osobiście angażować się w działalność firmy. Postanowiłem nieco zmienić strategię. Postawiłem na dwóch inwestorów, którzy wniosą bardzo duży kapitał, natomiast trzecią osobą miałyby być ktoś, kto może poprzeć mnie radą, merytoryczną dyskusją, a także wykazać się doświadczeniem. – Skonieczny kiwał z zafascynowaniem głową. Obaj dobrze wiedzieli, że Marcin podlizuje się rozmówcy. – Poza tym zdecydowałem się zmienić rodzaj spółki, jaką chciałbym powołać do życia. Postanowiłem powołać spółkę komandytową, w której ja i mój wspólnik będziemy komplementariuszami. Nie ustawałem w poszukiwaniach.

To jednak okazało się nie tak łatwe, jak sądziłem w pierwszej chwili. Rynek jest trudny. Co lepsi zawodnicy mają albo swoje działalności, albo siedzą u bardziej zamożnych graczy na odpowiednich stołkach. Byłem zdeterminowany porzucić poszukiwania drugiego komplementariusza. – Marcin ostentacyjnie rozłożył ręce w udawanym geście bezradności.

– Wtedy dostałem twoją ofertę. Nie będę ukrywał, że byłem zachwycony. Trochę poszperałem na twój temat i zauważyłem, że masz już niezłe doświadczenie, szczególnie na stanowiskach doradczych. Kogoś takiego było mi trzeba! – zawołał Marcin, uderzając pięścią w otwartą dłoń, jakby triumfował. Szybko uświadomił sobie, że znów wkłada zbyt wiele emocji w swoją wypowiedź. Spokojniejszym głosem dokończył: – Nie zmienia to faktu, że i tak wiem o tobie wyjątkowo mało. Mogę liczyć, że teraz usłyszę nieco więcej? – poprosił bez ogródek. Nie było czego udawać. Obaj wiedzieli, że albo się dogadają tu i teraz, albo wcale. Skonieczny uśmiechnął się. Marcin splótł dłonie pod podbródkiem i spoważniał, dając do zrozumienia, że teraz to on będzie słuchać.

– Jak zdążyłeś słusznie zauważyć, trudno znaleźć jakiegokolwiek informacje na mój temat. Nieprzypadkowo. – Andrzej zdawał się być całkowicie zrelaksowany. Rozsiadł się swobodnie na krześle i mówił spokojnym głosem, wręcz nieco usypiającym. Prawie w ogóle nie gestykułował. – Zastanawiasz się pewnie, z czego to wynika? Otóż ja zwyczajnie nie chcę dać się komukolwiek znaleźć. Uważam, że

posiadam na tyle dużą wiedzę i doświadczenie, że to ja mam prawo decydować o tym, z kim będę pracować. To dla ciebie duże wyróżnienie, że to akurat twój numer telefonu wykręciłem tym razem. – Marcin siedział niewzruszony, chociaż słowa Skoniecznego zszokowały go. Bezpośredniość bezpośredniością, ale to było wręcz bezczelne! Co to musi być za gość! Andrzej kontynuował:

– Dlaczego w takim razie nie zajmuję się własną działalnością? Odpowiedź jest banalna. Bo to zwyczajnie nie dla mnie. Nie lubię bawić się w te wszystkie urzędowe sprawy, nie lubię tego poczucia odpowiedzialności i przywiązania. Przyznam szczerze, że zapewne przyjdzie taki dzień, że zainteresuje mnie inna oferta i zakończę współpracę z tobą. Taka już moja natura. – Wzruszył ramionami, nieco parodiując wcześniejszy teatralny geścik Marcina. – Jednak nie obawiaj się. Nie ucieknę jak szczur, kiedy trafi nam się trudniejszy moment. Tym różnię się od tych wszystkich ambitnych, ale niemających klasy prostytutek. – Marcin nie mógł powstrzymać się od roześmiania się. Andrzej skwitował jego reakcję ciepłym spojrzeniem. Wiedział, że choć to, co mówi, jest kontrowersyjne, to podoba się Marcinowi. W istocie – zero kurtuazji, zero kalkulacji, czysta pewność siebie i znajomość własnej wartości.

– Imponujesz mi – skomentował krótko Marcin. Znów przyjął rzeczową postawę. – Widzę, że masz wyjątkowy charakter. Chciałbym jednak, żebyś powiedział mi coś więcej o konkretach – wykształceniu i doświadczeniu. – Skonieczny nawet nie mrugnął.

– Krótko – jestem magistrem ekonomii po SGH. W trakcie studiów dwukrotnie byłem na stażu w Sztokholmie. Po ukończeniu nauki pracowałem jako asystent dyrektora do spraw finansów w dwóch firmach w Warszawie. Następnie udało mi się awansować na wicedyrektora, ale nie zabawiłem tam specjalnie długo, bo dostałem propozycję pracy jako doradca-wolny strzelec w dużej korporacji z siedzibą w Poznaniu. To od tego stanowiska zaczęła się moja zabawa z karierą.

Miałem ciekawe zadanie – doradzać każdemu na stanowisku kierowniczym, kto miał jakąkolwiek styczność z ekonomią. Sufler i szara eminencja zarazem. Swoją drogą odjechana firma. Mieli kilka takich „płynnych” stanowisk. W praktyce szybko stałem się prawą ręką prezesa firmy i nie będę ukrywał, że zacząłem pociągać za sznurki. Spodobała mi się ta gra. Łowcy głów szybko zaczęli mnie napastować, żebym przeszedł do nich. Dlatego schowałem się w cień. Oczywiście miałem ochotę na inne wyzwania, więc pracowałem na podobnych stanowiskach jeszcze w trzech różnych miejscach. – W oczach Andrzeja zabłysnęła pasja.

– Pewnie zastanawiasz się, co to za firmy? Ściany mają uszy. Napiszę ci to na kartce. – Puścił oko Marcinowi i naskrobał coś szybko w eleganckim notesie, który wyjął z kieszeni marynarki. Marcin zerknął na nazwy i z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Poważnie?! – krzyknął. – Przecież to były trupy! Mówiło się, że stanęli na nogi dzięki znajomościom w rządzie!

– Bzdury – parsknął Skonieczny z pogardą. – Jedyne znajomości, jaką mieli, to ta ze mną. Działalem rzecz jasna w stu procentach legalnie. Żeby nie było, że rzucam słowa na wiatr, mam dokumenty potwierdzające moją pracę tam. – Spojrzał wyzywająco na Marcina. Ten pomachał ręką, dając znak, że nie jest to potrzebne.

– Wierzę ci, nie mam powodów, żeby wątpić. – Poprawił się na krześle, jakby chciał rozładować napięcie. Przeszył go dreszcz wściekłości. Znowu daje po sobie zbyt dużo poznać. Co jest?! – Moje warunki są takie – zostajesz drugim komplementariuszem, ale twoja odpowiedzialność będzie tak mała, jak to tylko możliwe. Spiszemy w umowie klauzulę, że w razie kłopotów przejmuję twoje zobowiązania wobec spółki i ewentualnych wierzycieli. Wezmę na swoje barki ryzyko niepowodzenia, ale chcę mieć w ten sposób pewność, że do mnie będzie należeć ostatnie słowo we wszystkich kwestiach. Ty będziesz udzielał mi potrzebnego wsparcia i na pewno nie ominą cię za to wymierne nagrody. Poza tym, w każdej chwili będziesz mógł opuścić spółkę, bez konsekwencji, po prostu oddając mi udziały. – Skonieczny przyjrzał się pytająco.

– Ach, tak! Udziały rzecz jasna dostajesz ode mnie, nie musisz wkładać ani złotówki. Specyficzny układ, ale myślę, że najbardziej optymalny. Nie widzę sensu zatrudniania ciebie jako jedynej osoby oprócz sekretarki. Wchodzisz w to? – Marcin wyciągnął dłoń. Wiedział, że Andrzej nie odmówi.

Skonieczny ostentacyjnie zlustrował wzrokiem rozmówcę, jakby miarkując, czy ten ktoś jest wart współpracy, po czym roześmiał się głośno.

– Oczywiście, że wchodzę. We dwóch zrobimy ze Strumienia potężną rzekę! – zawołał i uściśnął dłoń Marcina. Ten od razu poczuł, jak schodzi z niego powietrze, jak rozluźniają mu się wszystkie mięśnie. W końcu! Ale ulga! Dobrze, że już po wszystkim...

Porozmawiali jeszcze chwilę, omawiając plan dalszych działań. Marcin zamierzał nazajutrz zająć się kwestiami administracyjnymi, a także przygotowaniem sprawy od strony prawnej. W razie potrzeby mieli się kontaktować telefonicznie, a kolejnym spotkaniem miałyby być wizyta u notariusza.

Jeszcze chwilę zajęło, zanim Marcin dał się przekonać, że to jednak Andrzej zapłaci za kolację, po czym rozeszli się w swoich kierunkach. Dopiero na świeżym powietrzu do Marcina dotarło, jak potwornie jest zmęczony. Potrzebował chwili spaceru, żeby trochę dojść do siebie. W głowie nie miał żadnych myśli. Zbyt zaangażował się w rozmowę z Andrzejem, żeby teraz analizować to wszystko na gorąco. Oderwany od rzeczywistości, beznamiętnie włączył się po łódzkich ulicach, które zdawały się być tego dnia wyjątkowo ciche, jakby chciały dać Marcinowi wytchnienie.

Niespecjalnie zastanawiając się, dokąd zmierza, oprzytomniał dopiero w momencie, kiedy stanął przed wejściem do hotelu, w którym pracował Arek. Zaśmiał się do siebie. Szklane, rozsuwane drzwi zachęcały do wejścia. I chociaż nie planował tego, wszedł pewnym krokiem do dobrze znanego mu hallu i skierował się do baru.

Niestety, tego dnia nie było Arka w pracy. Mimo to Marcin zamówił kilka kolejek swojej ulubionej wódki i pograżył się w samotnych rozmyślaniach. Alkohol powoli rozpływał się po jego organizmie, dając uczucie jeszcze większego rozluźnienia ciała i pobudzenia umysłu. Myśli, jeszcze parę minut temu mętne, zaczynały nabierać wyraźniejszych kształtów.

Nie wiedzieć czemu, Marcin cały czas od wyjścia z restauracji odczuwał wewnętrzny niepokój. Zastanawiał się, co jest tego przyczyną. Przecież wszystko poszło zgodnie z planem, chyba nawet lepiej, niż mógł sobie to zaplanować...

Właśnie – zaplanować. Niewiele w tym wszystkim było planu. Zaczął uświadamiać sobie, że wszystkie decyzje, jakie podejmował ostatnio, były wynikiem spontanicznego impulsu, a nie wnikliwych rozważań i analiz. Dwóch inwestorów zwerbował, ponieważ chciał ich sobie „zaklepać”, zanim zrobi to ktoś inny. Trzeciego wspólnika pozyskał dzisiaj, chociaż było to ich pierwsze spotkanie, a jego rozmówca miał dużą przewagę wiedzy w porównaniu do Marcina. To on mógł grać i patrzeć, jak Pieniążek tańczy. Skąd ten irracjonalny skok emocjonalności?

W pierwszej chwili pomyślał o Julii. Pokręcił nieświadomie głową. Nieee, to nedorzeczne. Jaki miałyby wpływ na moje decyzje? Chociaż z drugiej strony... Może obudziła we mnie jakąś nadmierną wrażliwość? Albo przeciwnie – uświadomiła jakieś istotne cechy? Jak zwał, tak zwał, w każdym razie – zamydliła oczy!

To tłumaczenie wydawało się prawdopodobne. Pokiwał głową z aprobatą i szacunkiem dla siebie i swojego pomysłu. Zamówił kolejny kieliszek i postanowił, że to będzie ostatni na dziś. Wypił, delektując się ciepłem, jakie rozlało się po jego gardle i przełyku, na końcu przyjemnie łaskocząc żołądek.

Zamknął oczy i wziął głęboki oddech. Przez ułamek sekundy poczuł się tak, jakby unosił się wysoko w powietrze, jakby leciał w kosmos. Nagle doznał olśnienia. To nie Julia! To on sam! Jak mógł na to nie wpaść wcześniej! Nie wiedział, czy ma się cieszyć, że w końcu odkrył, co go tak bardzo dręczy ostatnio, czy denerwować, że tyle czasu przeleciało mu pomiędzy palcami. Zabębnił triumfalnie dłonią o blat baru i wstał, płacąc hojnie, jak zawsze z dużym napiwkami.

Poczuł, jak przyjemnie kręci mu się w głowie. Szedł uśmiechnięty opustoszałą Gdańską w kierunku domu. Łódź wydawała mu się wyjątkowo ładna tego dnia. Nadal uważał to miasto za prostytutkę, ale dzisiaj miała jakby ładniejszy makijaż i mniej bezpruderyjny strój. Miała swój urok, chociaż kurewskiego

spojrzenia wilgotnych bram nie była w stanie ukryć.

Opuściły go wyrzuty sumienia. Cieszył się, że wyciągnął nauczkę z ostatnich wydarzeń. Odkrył, że zwyczajnie zabrakło mu dystansu. Tak mocno zależało mu na Strumieniu, że zatracił umiejętność chłodnej kalkulacji. Dlatego właśnie spieszył się bez potrzeby i zachowywał się zbyt otwarcie w stosunku do przyszłych współników, głównie myśląc o Andrzeju. Trudno, co się stało, to się nie odstanie. Może teraz wykorzystać to na swoją korzyść, udając, że jego wcześniejsze zachowanie to był bluff, zaplanowana gierka. Nadal miał karty na rękę i mógł nimi grać, chociaż rywale wiedzieli już mniej więcej, ile ma atutów. Ważne, że on sam odzyskał świadomość tego, jak dobre trafiło mu się rozdanie.

Kiedy dotarł do mieszkania, nie dręczyły go już żadne niepokoje. Zaplanował swoje następne kroki, to, jak będzie je realizował i jaką będzie przyjmował postawę. Czuł się znów aktorem we własnej sztuce, pewnym każdej kwestii i interpretacji.

Wszedł do domu po cichu. Tak jak się spodziewał, Julia już spała. Szybko rozebrał się i wskoczył pod kołdrę, leżąc wzdłuż ciepłego ciała partnerki i opierając dłoń na jej biodrze. Alkohol i zmęczenie zrobiły swoje. Usnął błyskawicznie, nie mając szans zobaczyć łez, które płynęły po jej policzku.

Formalności poszły jak z płatka. Na nowo pewny swojego postępowania Marcin rozwiązywał wszelkie kłopoty przy pomocy uroku osobistego i wrodzonej inteligencji. Dokładnie tak, jak to odbywało się od zawsze. Urzędniczki, nawet te najbardziej zołzowate, w końcu ulegały jego subtelnym zalotom i raz po raz podkreślały administracyjne trybiki albo po cichu podpowiadały drogę na skróty.

Od strony prawniczej Marcin zdał się na specjalistów, z którymi współpracował od dawna. Słono liczyli za swoje usługi, ale przynajmniej mógł spać spokojnie, że nie zaatakuje go w żadnym momencie nawet najdrobniejszy kruczek prawny.

Sielanka trwała. Odpowiednio pociągnięte sznurki wprawiały w ruch całą maszynię, która działała bez zarzutu przy minimalnym udziale Marcina. Nie było nic, co sprawiałoby mu tyle satysfakcji, jak ponowne znalezienie się za sterami własnego życia. Na nowo był twardym, doświadczonym kapitanem statku, który zdawał się płynąć przez bezkresne morza ku wyspom pełnym złota i skarbów. Chichotał pod nosem, wyznaczając dzień podpisania aktu notarialnego i zarejestrowania spółki na rocznicę jego pierwszego spotkania z Wanergy. Zamierzał od tego momentu zbliżyć się, a później prześcignąć, pozycję „starszego brata” Strumienia.

Skonieczny, zgodnie z obietnicą, nie kontaktował się z Marcinem do czasu wyznaczenia terminu rozpoczęcia działalności spółki. Pieniążek sam wykręcił numer przyszłego współnika, kiedy ustalił najistotniejsze daty.

- Cześć Andrzeju.
- No cześć Marcin. Jakież konkrety?
- Tak. Spotkanie u notariusza 23 marca w południe.
- Super. Będę. Do zobaczenia.
- No, na razie.

Rozmowa przebiegła jak konwersacja przy pomocy telegrafu, zakończona niemym „bez odbioru”. Po co pieprzyć o bzdurach? Jeszcze będzie ku temu niejedna okazja...

Wiosna tego roku nie była tak łaskawa. W sporej ilości miejsc zalegał jeszcze śnieg, a w nocy łapały przymrozki. Dni były szare i nudne, a ludzie wałęsali się po łódzkich ulicach zdołowani i poirytowani. Marcin czuł się w tym otoczeniu jak bohater reklamy z witaminami – jedyny kolorowy i wesoły pośród tłumu czarno-białych klonów. Z szerokim uśmiechem na ustach, pogwizdując ostentacyjnie, bardzo powoli zmierzał ku siedzibie swojej firmy.

Skromny, dwuizbowy lokal znajdował się w biurowcu Textilimpeksu, tuż obok dworca Fabrycznego. Marcin początkowo nie przepadał za tym miejscem, ale z czasem docenił jego senną atmosferę. I zjawiskowy widok zza okna. To było idealne miejsce dla ludzi jego pokroju. Działających po cichu, nie lubiących, kiedy ktoś wściubia nos w ich sprawy, trzymających swoje tajemnice w niepozornych szufladach. W tej oazie spokoju, zamkniętej w ramach ze szkła i betonu, drobne firemki przepoczwarzały się jak motyle – z niezbyt urokliwych gąsienic w śliczne, dorodne imago, cieszące swoim widokiem pańskie oko.

To właśnie tam, przy podłużnym, prostokątnym stole w kolorze ziarna kakaowca zasiadło pięciu dżentelmenów. W środku miejsce zajął Marcin, po jego prawicy – Andrzej, naprzeciwko – notariusz, a pozostałe miejsca zajęli przedstawiciele komandytariuszy. Prawnik zweryfikował tożsamość wszystkich i upewnił się, że każdy ma pełne prawo przebywać w tym gronie i podejmować decyzje. Kiedy ceremoniał został dopełniony, nastąpił kolejny. Tym razem na przygotowane wcześniej konto przelane zostały pieniądze, mające stanowić wkład komandytariuszy. Marcin kiwał głową z aprobatą, słysząc, o jakich sumach jest mowa. Wiedział już, na co będzie chciał przeznaczyć kapitał. Szlak już dawno miał wyrysowany w głowie, a dziś malował jego pierwsze oznaczenie w terenie.

Po tym nastąpił czas oczekiwania na weryfikację przelewów, podczas którego panowie oddali się niezobowiązującej konwersacji przy znakomitej kawie w nowoczesnych porcelanowych filiżankach. Marcin tryskał humorem, Andrzej także, więc przerwa przyniosła zdecydowanie rozluźniający efekt. Kiedy dotarły potwierdzenia, nastąpił kulminacyjny moment. Dopiero wtedy Marcin poczuł zdenerwowanie... chociaż nie. Bardziej było to podniecenie.

Do głowy przyszło mu durne porównanie, że czuje się tak, jakby odpinał stanik kobiecie. Niby robił to już wiele razy, ale za każdym razem wiązało się to

z pewną dozą przyjemnej niepewności. Przez ułamek sekundy ujrzał obraz Julii w bieliźnie, ale równie szybko wyrzucił tę myśl daleko za siebie. Mimo to serce wciąż dudniło jak oszalałe.

Notariusz poinformował zgromadzonych ogólnie, jakie informacje zawarte są w akcie notarialnym, a kiedy skończył, wreszcie podsunął Marcinowi dokument do podpisu. Prostym w konstrukcji, ale przez to diabelnie eleganckim piórem wykonał zamaszysty podpis, nie pozostawiając wątpliwości, że to ON jest tu najważniejszy. Z uśmiechem przesunął akt w stronę Skoniecznego, a ten szybko i, zdawałoby się, niedbale umieścił swoją sygnaturę. Marcin nie mógł powstrzymać się przed zerknięciem na podpis współnika.

Mimo iż napisany został w ułamku sekundy, wyróżniał się wyjątkową elegancją. Widać było, że właściciel tego osobistego znaku jest bardzo pewny siebie i życiowo stabilny. Podpis Skoniecznego nie zawierał żadnych niepotrzebnych zaciągnięć, napisany był jednym pociągnięciem ręki, prostym i czytelnym charakterem pisma. Marcin nie mógł nie podziwiać tego małego arcydzieła. Cieszył się, że to właśnie jego dokument zdobić będzie ten podpis.

Komandytariusze podpisali akt bez specjalnych ceregieli, tak jakby wpisywali się na listę obecności. Obowiązek, który trzeba wykonać i tyle. Notariusz zerknął na akt i pokiwał głową, potwierdzając, iż od teraz dokument jest ważny. Marcin wstał i uściśnął dłonie wszystkich zebranych, kwitując to słowami „Witam na pokładzie” i szerokim, ciepłym uśmiechem.

– Przypominam, że spółka rozpocznie swoją działalność dopiero w momencie zarejestrowania jej w KRS. Z mojej strony to wszystko. Dziękuję i życzę powodzenia – podsumował i zamknął spotkanie od strony formalnej notariusz. Tuż po nim pożegnali się sucho i wyszli komandytariusze.

Marcin został sam na sam z Andrzejem. Zajrzał współnikowi głęboko w oczy, ale nie zobaczył nic nadzwyczajnego.

– Znajdziesz chwilę, żeby udać się ze mną do sądu, żeby załatwić KRS i mieć za sobą formalności? Później zapraszam na lunch, jestem ci go winny – zaproponował Marcin, czując, jak powoli schodzą z niego wszelkie emocje. Nie przejmował się już tym, że Andrzej może czytać z niego jak z otwartej książki. Kości zostały rzucone.

Skonieczny uśmiechnął się lekko.

– Pewnie, spodziewałem się, że to zaproponujesz. Nakarmmy do końca biurokrację, a później chodźmy zaspokoić swój głód! – zawołał wesoło, co niespecjalnie zaskoczyło Marcina. Skonieczny musiał uchodzić za wiecznego optymistę.

Wychodząc, pocałowali w dłoń cierpliwie trwającą na posterunku asystentkę, która, swoją drogą, marzyła w końcu o chwili spokoju i wolnego po szaleństwie ostatnich tygodni.

– Wreszcie kończy się ten koszmar! – mruknęła ostentacyjnie, równie rozluźniona zamknięciem sprawy, co Marcin. Ten w ogóle nie zareagował, nieco podnosząc ciśnienie kobiecie. Otworzył drzwi i wskazał dłonią Skoniecznemu, żeby szedł pierwszy. Andrzej skinął głową w podziękowaniu i opuścił pomieszczenie. Marcin, zdawało się, poszedł w jego ślady, ale nagle stanął i błyskawicznie odwrócił się na pięcie w kierunku asystentki. Sparaliżowało ją ze strachu.

– Pani Izo, prawie byłbym zapomniał! Przecież mam tu coś dla pani! – zawołał, teatralnie klepiąc się dłonią w czoło. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął bilety lotnicze. – Kiedyś pozwoliłem sobie podsłuchać pani rozmowę z kimś, w której mówiła pani, jak bardzo chciałaby skoczyć do Francji, kiedy ten dozorca niewolników da pani w końcu wolne. Mam nadzieję, że to zadośćuczyni temu, co wycierpiała pani przeze mnie przez te parę tygodni! – powiedział. Kobieta zaczerwieniła się jak maki na polu i wybełkotała pod nosem podziękowanie. Marcin z satysfakcją położył przed nią bilety do Paryża, puścił oko i wyszedł z biura. „Może i jest ekscentrycznym tyranem, ale nawet go lubię” – pomyślała, zerkając na przystojnych dżentelmenów czekających na windę za szklanymi drzwiami. Już czuła zapach paryskich uliczek i widziała tysiące świateł nad Sekwaną. W tamtej chwili życzyła naj, naj, najlepiej jak się da swojemu chlebodawcy.

Panowie udali się do sądu, gdzie, nie ukrywając poczucia triumfu, Marcin złożył popisy na wszystkich niezbędnych formularzach i istnienie spółki stało się faktem. Miał teraz w ręku wszystkie karty, których brakowało mu do wygrania najważniejszej partii pokera w życiu. Kapitał, bezpieczeństwo, ładnie brzmiący w nazwie człon „spółka”. Ze swoimi pomysłami, popartymi wsparciem Skoniecznego, mógł w końcu grać o najwyższe stawki. Grać, rzecz jasna, va banque.

Udali się na lunch do restauracji w dobrze znanym Marcinowi hotelu. Czuł się tutaj jak w domu. Chociaż nie. W zasadzie spędzał tu więcej czasu niż w domu...

Cholera jasna! Przypomniawszy sobie, że obiecał zadzwonić do Julii, jak tylko załatwi wszystkie formalności. Nie wypadało mu teraz wyciągać telefonu i wydzwaniać do znajomych, kimkolwiek by nie byli. Delikatnie wystukał na telefonie „wszystko ok” i wysłał partnerce SMS. Musiało jej to wystarczyć.

Zjedli wyjątkowy obiad i wzniesli toast szampanem. Obu dopisywał humor, chociaż w przypadku Skoniecznego można było odnieść wrażenie, że nigdy nie bywa niezadowolony. W końcu mogli otwarcie i bez skrępowania porozmawiać. Wyspowiadali się nawzajem ze swoich dotychczasowych doświadczeń, raz po raz zadziwiając siebie nawzajem. Skonieczny przyznał Marcinowi, że podziwia go za wytrwałość i za to, że cele osiąga bez kombinacji, tylko dzięki ciężkiej pracy

i umiejętnościom. Wyjątkowo mocno polechtało to ego Pieniązka.

Zapytany o plany na rozwój firmy, poczuł się jak młody rumak wypuszczony ze stajni, mogący wreszcie się wyszaleć.

– Strumień okazał się strzałem w dyszkę – zaczął mówić, nadymając się z dumy. – Gdyby tak nie było, nie myślałbym po dwóch miesiącach o zawiązywaniu spółki. Samorządy i prywaciarze ześwirowali po zapoznaniu się z moją ofertą. Po minimalnych w porównaniu do innych opcji kosztach mogli załatwić sobie produkcję zielonej energii. Nie muszę mówić, jak lokalni kacykowie rozplýwali się nad możliwościami wykorzystania prądu ze Strumienia do starań o reelekcję. Eko, bio, green i w ogóle natural sprzedaje się wszędzie jak świeże bułeczki! – gadał jak nakręcony, zacierając ręce niczym żydowski handlarz dobijający udanego targu. Skonieczny obserwował Marcina, uśmiechając się szeroko i pogodnie.

– Fama rozeszła się szybko, ale tylko po okolicy. Panowie szlachta jorgnęli się, że jak ich tajemnicę poznają wszyscy, to nie będzie efektu wow. Dla nich może i lepiej, dla mnie niekoniecznie. Musiałem więc jeździć jak akwizytor od domu do domu i oferować swoje cudenka. Nie muszę mówić, że to zajebiście efektywna forma marketingu... – skwitował, popijając wino z pełną pogardy miną.

– Nie no, wiadomo. Albo poważny biznes, albo zabawa w handel obwoźny – skomentował Skonieczny, kiwając wyrozumiale głową.

– Sam widzisz – kontynuował Marcin – bałem się, że Strumień okaże się jak zapalka. Szybko i efektownie rozbłyśnie, trochę się potli i zgaśnie, strawiony przez marazm i brak perspektyw. Nie mogłem się na to zgodzić. Szybko policzyłem, że z bieżących umów dam radę utrzymać firmę na równym poziomie i spłacić Wanergy, więc mogłem sobie pozwolić na ogarnięcie tematu spółki. Potrzebowałem kapitału głównie na marketing. Sam nie byłbym w stanie udźwignąć wszystkiego, finansowo i organizacyjnie.

Tym bardziej zmotywowały mnie badania, które, rzecz jasna, też przeprowadziłem sam. Okazało się, że w Łódzkiem kojarzyło mnie jakieś dziewięćdziesiąt procent respondentów, a w reszcie województw – nie więcej niż dwa! – zawołał zbulwersowany. Skonieczny kręcił głową z niedowierzaniem.

– Przecież to jakaś katastrofa! Nie dziwię się twojej decyzji. Kto by się chciał bawić w jakieś lokalne spółdzielnie? Strumień to nie Społem... – skomentował.

– Nic dodać, nic ująć, Andrzej. Fakt faktem, Łódź była prościzną. Zresztą dlatego chciałem tu wystartować. Jakie tu są alternatywy? Węgiel w Belchatowie, czyli gówno, nie energia. Prawdziwe wyzwanie i prawdziwa kasa są gdzie indziej. Wielkopolska, Kujawy, Pomorze. Tam ludzie mają pieniądze i chętnie kupią sobie zieloną energię, której nie widać. Wiatrówki rządzą, ale mają coraz gorszy PR. Po co się narażać Zielonym?

– Z nimi nie wygrasz, szkoda zachodu. I jaki masz plan na tę polską północ?
– spytał Skonieczny.

– Krok po kroczku wgrzać się w każde województwo, jak w łódzkie. Tu się sprawdziło, to sprawdzi się i tam. A im będzie mnie... nas więcej, tym bardziej Strumień będzie przypominał rwący potok, a kasa będzie spływać na konta niczym woda z Niagary. Wystarczy, że zamiast jednego Marcina z ofertą Strumienia jeździć po kraju będzie cała armia naganiaczy wynajętych za kasę spółki – podsumował z satysfakcją. Andrzej zaczął ostentacyjnie klaskać, zwracając uwagę całej sali. Obaj biznesmeni roześmiali się głośno, udając, że nie wiedzą, skąd takie zamieszanie.

– Dobry plan, wspólniku – powiedział Skonieczny, a jego twarz nabrała nieco bardziej rzeczowego, choć wciąż pogodnego wyrazu. – Chociaż ja jestem zdania, żeby nie dziubać się w każde województwo osobno, tylko zaatakować kilka od razu. Może lepiej zabawić się dźwignią, na zasadzie – skoro oni to mają, to dlaczego my nie? O, i jeszcze tamci, i tamci! Bierzemy! – Marcin pokiwał głową i zakreślił kilka okręgów dłonią, sugerując Skoniecznemu, żeby kontynuował.

– Do tego kupimy kilka artykułów w ogólnopolskiej prasie, kreując się na zbawców polskiej energii i sami stworzymy modę na siebie. Skoro mówisz, że Łódź łyknęła temat przy minimalnych środkach, to czemu nie zaryzykować pierdolnięcia bombą w resztę kraju? Popyt jest, tylko uśpiony. Nie budźmy go szeptaniem w uszko, tylko syreną alarmową! – Marcin pokiwał głową z uznaniem. Przyznał rację rozmówcy, zgłaszając jednak kilka swoich wątpliwości. Czy zaatakowanie całego kraju nie spowoduje, że zatracimy opinię przedsiębiorstwa przyjaznego lokalsom?

– Plan trzeba będzie tak obmyślić, żebyśmy nie uchodzili za parszywych drapieźników, tylko sympatycznych dżentelmenów, pochylających się nad problemami maluczkich. – Tym razem to Andrzej potakiwał wspólnikowi.

I tak, krok po kroku, ich rozmowa zaczęła dotyczyć coraz drobniejszych detali, a przyszłość firmy, chociaż powstawała w burzliwej atmosferze, stawała się coraz klarowniejsza. Pierwszy krok jest zawsze najtrudniejszy i bezdyskusyjnie najważniejszy. Obaj nie zamierzali spieprzyć czegokolwiek już na tym etapie. Jeśli mieli ruszać dalej, to z przejrzystą, wspólnie wypracowaną wizją.

Ostatecznie, wyczerpani intensywną dyskusją, doszli do porozumienia i postanowili udać się na zasłużony odpoczynek. Wychodzili już z hotelu, kiedy Marcin kątem oka zobaczył przy barze Arka. Zatrzymał się nagle i złapał Andrzeja za ramię. Tamten odwrócił się zaskoczony.

– Czekaj – powiedział Marcin z błyskiem w oku. – Może dasz się namówić na kolejkę doskonałego alkoholu? Stawiam. Wypadałoby wypić bruderszafta, wspólniku...

– Cóż, w zasadzie... – Andrzej nie wyglądał na specjalnie zadowolonego

z tej propozycji. Zerknął szybko na bar, później na zegarek, wreszcie na Marcina. Popatrzył na niego chwilę, jakby coś miarkując. W końcu rozchmurzył się. – W zasadzie, to... czemu nie? Dużą okazję warto uczcić dużym szaleństwem!

Marcin, ciesząc się jak dziecko, pognął do baru, nie zwracając uwagi, że Skonieczny jest daleko z tyłu. Rzucił się na Arka przez ladę, ściskając go mocno.

– Udało się, brachu, udało się! W końcu założyłem spółkę! – W międzyczasie do baru dotarł zdziwiony i nieco zniesmaczony Andrzej. Marcin nie zwracał już uwagi na nastrój współnika. – Andrzej, to jest Arek, tutejszy najlepszy barman i mój bardzo dobry przyjaciel. – Podali sobie ręce, Andrzej raczej niechętnie, tym bardziej czując przeszywające, oceniające spojrzenie Arka. Marcin ignorował wszelkie sygnały otoczenia. Czekał już tylko na przyjemne palenie alkoholu w gardle.

– Arek, nalej nam tego, co masz najlepsze, i mam nadzieję, że masz tego duży zapas! – zawołał, szczęśliwy jak nigdy. Barman wykonał swoją powinność i po chwili Andrzej z Marcinem spleli się ramionami i wychylili szybko zawartość kieliszków.

– Marcin.

– Andrzej.

Powiedzieli to niemal równocześnie, ledwo co przełknąwszy alkohol. Żaden nie chciał pokazać chociaż odrobiny słabości.

Dwie godziny później wychodzili, opierając się o siebie, znacznie mniej biznesowi niż kiedykolwiek. Andrzejowi przeszły wszelkie fochy, tym bardziej że Arek okazał się całkiem niezłym partnerem do rozmów, a wódka, którą polewał, wyjątkowa. Śmiali się głośno i komentowali mijające ich, patrzące z pogardą kobiety.

– Wszystkie się tak patrzą! Wszystkie! Ale prawda jest taka i wiemy to doskonale, że czekają tylko na to, żeby ktoś taki jak my dobrał się do ich tyłków! – zawołał Marcin. Andrzej pokiwał znacząco głową.

– Masz całkowitą rację! Powiem ci, że właśnie nabrałem na nie apetytu. Może skoczmy gdzieś dziabnąć sobie jakieś? – zapytał. Marcin zatrzymał się nagle, przez co Andrzej przez chwilę miał problem z odnalezieniem się w sytuacji i złapaniem równowagi. Popatrzył na Pieniązka, zadając nieme pytanie: „O co chodzi?”.

Marcin pomyślał o Julii. Zrobiło mu się przez kilka sekund przykro, że siedzi sama w domu, nie wiedząc, co w zasadzie dzieje się z partnerem, a tymczasem on bawi się w najlepsze. Machnął ręką, odganiając te myśli jak natrętnego owada. Andrzej przyglądał się temu z rozbawieniem. Marcin to spostrzegł i zmarszczył brwi.

– Nie śmieć się ze mnie! – Pogroził partnerowi palcem. Wpatrywali się w siebie kilka sekund, po czym wybuchnęli śmiechem. – Pewnie, że idziemy! Mam

smaka na jakąś młodziutką blondyneczkę. I założę się, że znajdę sobie jakąś prędeż, niż ty zdążysz dopić drinka! – Andrzej pokręcił głową.

– No to zakład. O co? – Marcin spojrział buńczucznie na współnika.

– O co? O sto kawałków, kolego. To jest dopiero stawka! – Wyciągnął rękę do Andrzeja. Ten oparł ręce na bokach, przyglądając się z podziwem współnikowi.

– No to do dzieła! – wykrzyknął, ściskając mocno dłoń Marcina. – Duża stawka, duża zabawa! – Marcin pokiwał głową. Skonieczny złapał go za barki i zajrzał w jego pijane oczy.

– Wczoraj nie mieliśmy nic! Nic, rozumiesz? A dziś? Dziś miasto jest nasze! A jutro nasz będzie cały świat! – krzyknął i poszli w stronę Piotrkowskiej, potężni jak golemy wykute z diamentu. Marcinowi wydawało się, że przypominają bohaterów jakiejś książki czy filmu, z którymi miał styczność w szkole. Jednak za diabła nie mógł przypomnieć sobie, co to było.

*

Piotrek wpatrywał się w bezkresną przestrzeń Wielkopolski, nad którą parę chwil temu zaszło Słońce. Różowo-granatowe niebo wyglądało trochę jak z surrealistycznego obrazu. Chociaż w aucie jechało ich czterech, żaden nie odzywał się choćby słowem. Wszyscy zamknęli się w świecie swoich myśli, wsłuchując się w optymistyczny bit „Wszystko wporzo” Molesty. Leniwy głos Pelsona doskonale pasował do tego sielankowego krajobrazu.

Byli okrutnie zmęczeni, ale było to przyjemne zmęczenie, które dopada człowieka po dobrze wykonanej, satysfakcjonującej robocie. Niedziela chyliła się ku końcowi, dla wielu kończyły się dwa dni laby, ale nie dla Piotrka i Mińskiego. Zagrali trzy koncerty w trzy dni. W piątek w Gnieźnie, w sobotę w Gorzowie, a dzisiaj na festiwalu w Poznaniu. Robili niemałe zamieszanie na scenie. Okazało się, że ludziom jednak brakuje energetycznego, przesączonego klasycznymi samplami rapu, z tekstami „do pomyślenia”. Takiego, jaki królował, zanim zaczęła pojawiać się syntetyczna łupanka bez treści, wyskakująca na scenie jak pryszcz na twarzy amerykańskiego nastolatka.

Nie mogli co prawda równać się z mainstreamowymi artystami, ale jeśli chodzi o podziemie, byli czołówką, jak kiedyś Smark i Tetris. Chętnie zapraszano ich do mniejszych miast, bo gwarantowali pełną salę, a nie żądali kokosów za występ. Chociaż w Poznaniu byli jedynie supportem, to publika bawiła się nie gorzej niż na gwiazdach z facjatami z plakatów. W ciągu roku wdrapali się, szczebelek po szczebelku, do zaplecza ekstraklasy. Błyskotliwie, jak kiedyś Korona Kielce, tylko bez kupowania sędziów.

Piotrek westchnął głęboko i zmiarkował, że w puszcze, którą trzymał w rękę, skończyło się piwo. Johnny wyszczerzył do niego zęby i bez słowa wyjął mu kolejną z termicznej torby. Pucha momentalnie pokryła się apetyczną wilgocią,

zachęcając do wydudnienia zawartości na raz. Bezdomny zsalutował Johnny'emu, dziękując za spełnienie obywatelskiego obowiązku wobec współtowarzysza rapowej braci.

Miński odwrócił się z zainteresowaniem, słysząc szelest torby. Johnny westchnął.

– Nie gadaj, że ty też... Co wy, myślicie, że mnie to samo tu rośnie? – Miński tylko wyciągnął rękę.

– Synek, nie marudź! – powiedział. – Widziałem na stacji, ile tego wyniosłeś. Jakby Tede zadzwonił do ciebie, że chce nakręcić klip do „Drin za drinem” razem z dwudziestoosobową ekipą, to i tak by ci nie zabrakło.

Johnny pokręcił głową, udając rozdrażnienie, po czym wyjął dwie kolejne puszki z bezdennej torby, podając jedną Mińskiemu, drugą zostawiając sobie.

– No to co, Piotruś, dużo toastów żeśmy wypili w ten weekend, ale jednego jeszcze nie. Ty dobrze wiesz, za co się teraz napijemy – zagadnął Michał. Johnny zaśmiał się histerycznie, niczym Joker z „Batmana”.

– Ooooooooo! O co chodzi? Piotruś, gadaj no szybko, bo mi się pić chce! – wyskrzecztał.

Iwan spojrzał na obu spode łba.

– Miński, ty to jak się na coś uweźmiesz, to nie przepuścisz? – Pokręcił głową. Michał nawet się nie odwrócił, ale z kilometra było widać, że szczerzy się z dziką satysfakcją. Johnny zaczął ostentacyjnie bębnić palcami w puszkę.

– Taaa... To za moją płytę. – Piotrek uniósł nieco puszkę i wziął mały łyk. Miński z Johnnym nie żalowali sobie trunku i, prawdę powiedziawszy, nawet nie zauważyli, że Piotrek nie wygląda na szczęśliwego z takiego toastu.

Ostatnio wszystko układało się jak w bajce. Płyta Mińskiego rozchodziła się jak świeże bułeczki, a ich wspólny banger był wisienką na torcie. Klip do „Otwieraj!” szalał po internecie, bo dzięki koneksjom Michała trafili na reżysera z prawdziwego zdarzenia i nagrali zjawiskowy teledysk. Plany koncertowe były nawet nieco zbyt obfite, jak na przykład w ten weekend.

Trzaskali niezłą kasę na tym neverending tour. Na tyle niezłą, że Piotrek coraz bardziej rozważał wyprowadzkę do jakiegoś swojego kwadratu. Matka, jakkolwiek zadowolona z każdego grosza, jaki tylko Iwan przyniósł do domu, powoli miała dosyć jego powrotów nad ranem, budzenia młodego i wyżerania zawartości lodówki na gastrofazie. Piotrek miał jednak świadomość, że ta sielanka nie będzie trwać wiecznie. „Otwieraj!” w końcu przestanie otwierać drzwi całego kraju, a publiczność, zacznie domagać się czegoś świeżego. Poza tym nie zamierzał być wiecznie „tym drugim”. Trzeba było w końcu zabrać się za produkcję swojego materiału. Albo większego – wspólnego, chociaż na to Miński nie był zbyt chętny.

Czasem Iwan myślał sobie, że właśnie poszło mu zbyt gładko. Miał już jakiś

fejm, masę znajomości, beatmakera, studio, doświadczenie, wszystko. Nawet pomysłów mu nie brakowało. Jednak kiedy przychodziło co do czego, kiedy siadał nad kartką, żeby chociaż naszkicować plan na płytę, miał pustą głowę. Wszystko zlewało się w bezkształtną masę, z której ciężko było wyłowić cokolwiek wartościowego. Tym bardziej irytowały go naciski ze strony Mińskiego, żeby w końcu wziął się do roboty. Czuł, że potrzebuje przede wszystkim spokoju, którego ostatnio mu zwyczajnie brakowało. Jeździł po całej Polsce z koncertami, przygotowywał się do Wielkiej Bitwy Warszawskiej, bardzo dużo czasu poświęcał Ance, dziewczynie poznanej w Rawie. Chwil, kiedy mógł spokojnie usiąść nad kartką i zastanowić się, co chce stworzyć, miał jak na lekarstwo, a czas wtedy uciekał chyba osiem razy szybciej niż normalnie...

Dotarli do Łodzi późnym wieczorem. Johnny błyskawicznie ulotnił się, uciekając zapewne na miasto. W końcu weekend kończył się w zasadzie dopiero w poniedziałek rano. Chociaż nie... Dla Johnny'ego nie kończył się nigdy. Krawiec pognął do sklepu po czteropak, mając w końcu wolne od bycia kierowcą tej szalonej zgrai. Piotrek postanowił wykorzystać tę okazję na rozmowę w cztery oczy z Mińskim.

– Michał, potrzebuję pogadać, da radę? – zapytał poważnie. Miński, jak to miał w zwyczaju, błyskawicznie zmienił nastawienie. Od razu zakumał, że kumpel jest w potrzebie.

– Jasne, może skoczmy do parku? Gadka będzie się lepiej kleić. – Piotrek uwielbiał tę cechę u Michała. Choćby go obudzić o trzeciej nad ranem, to momentalnie reagował na prośbę, pod jednym warunkiem – musiał być jego przyjacielem.

Niczym cienie przeszli spod pomarańczowego światła latarni w mroczny zakamarek parku Staszica. Stasiek rozkminiał sobie parę metrów dalej, odwrócony od nich plecami, więc nie musieli się przejmować, że ktokolwiek ich podsłuchuje. Rozsiedli się wygodnie na ławce i przez chwilę cieszyli się ciszą niedzielного wieczoru w mieście. Powietrze pachniało przyjemnym chłodem i wilgocią, jakże cennymi po upalnym dniu. W końcu Miński zagadnął ojcowskim tonem:

– Co się dzieje, brachu? Przez weekend wydawało się być wszystko OK, chyba teraz coś cię dziabnęło, hm? Koniec tygodnia działa dołująco, nie od dziś to wiadomo. – W cieniu nie było widać jego mimiki, ale po tonie głosu Piotrek domyślił się rozmarzonego uśmiechu spełniającego się człowieka.

– Brakuje mi czasu, Michał. Jestem megaszczęśliwy, robię w życiu to, na co mam ochotę, mam ze sobą wspaniałych ludzi, ale brakuje mi czasu dla siebie samego. Dlatego, nie obraż się, działasz mi na nerwy, gadając cały czas o mojej płycie.

Miński zachichotał.

– Tak myślałem, że o to chodzi. To znaczy, że chodzi o płytę. Z czym masz

problem w takim razie?

Piotrek pomyślał, że ten człowiek będzie wspaniałym ojcem. Albo byłby świetnym nauczycielem. Wyrozumiałym, cierpliwym, pełnym troski i zainteresowania.

– Ze spokojem mam problem. Ze spokojem, a w zasadzie jego brakiem. Non stop coś się dzieje wokół mnie. Co weekend jestem w innym miejscu. Co noc śpię pod innym sufitem, codziennie spotykam nowych ludzi, a nie będę ukrywał, że za moimi spotkaniami z Anką kryją się większe emocje. I przy każdej z tych rzeczy mam miliony pomysłów na płyty, kawałki, wersy. Jaram się życiem, chcę to wykrzyczeć całemu światu, przekazać tę energię jak publiczności na koncercie. Kipiąc energią, siadam nad kartką, biorę do ręki długopis i... pustka. – Rozłożył ramiona w geście bezradności.

– Cały ten kipisz staje się bezkształtną paćką, z której nie jestem w stanie wyłowić chociaż jednego sensownego słowa. Kiedy już usiądę do pisania, to ślęcę nad pustym zeszytem, po czym wściekły kładę się spać, będąc w tym samym miejscu co kilka chwil wcześniej. I tak w kółko. Frustracja narasta. Jeszcze te naciski z twojej strony, chłopaków, fanów... – Urwał na chwilę, zaciskając zęby.

Miński cierpliwie czekał na kontynuację. Nie chciał przerywać, póki Piotrek nie zakończy tematu.

– Brakuje mi moich spacerów, wojaży tramwajami. Ciągle gdzieś się spieszę, non stop mam coś w planach. Najgorsze jest to, że tak w zasadzie to nie przeszkadza mi to. Chcę dokończyć to, co zacząłem, i dopiero wziąć się za kolejne tematy. Po swojemu. Bez nacisków, całej tej presji. Nie chcę też wydać byle czego, byle było. Mam ochotę wysmażyć najgorętszy towar sezonu! Wiesz, o co mi chodzi?

Michał kiwał wolno głową, przytakując. W końcu zdecydował się skomentować.

– Może i nie jesteś dużo młodszy ode mnie, ale doświadczenia ci trochę brakuje – mówił powoli, wyraźnie, jakby chciał, żeby Piotrek dosłyszał i zrozumiał każdą głoskę. – Dlatego jednak ludzie nie są z reguły samotnikami, ponieważ potrafią dzielić się ze sobą wiedzą. We dwoje zawsze łatwiej dojść do konstruktywnych konkluzji. – Piotrek spojrzał z ukosa w stronę skrytego w cieniu kumpla. Miński zmarszczył brwi.

– Dobra, już dobra, przecież wiesz, że żartuję! Nie będę nawijał dyrdymałów. Z tobą da się tylko konkretnie, prościuchu ty. Pewnie zresztą masz rację, bo każda sprawa jest zawsze prosta, tylko głupie człowieki je sobie komplikują – zapauzował na kilka sekund.

– Koniec tych wstępów. Wiem, o co ci chodzi i, co najważniejsze, wiem, co na to można zaradzić. Nawaliłeś sobie, chłopcze, do głowy własnych urojeń i uznajesz je za fakty. – Piotrek coraz mocniej przechylał głowę w zdziwieniu. –

Nie patrz się tak na mnie! – zawołał Michał. – Wydaje ci się pewnie, że złapałeś wymarzonego królika i zacieszasz się jak licealista z jointa, prawda?

– Prawda – po chwilowym zastanowieniu się niechętnie odpowiedział Piotrek.

– No właśnie. Adrenalina ci szaleje po organizmie. Skacze ci w środku kolonia lemingów i bardziej niż rozumem kierujesz się instynktem. – Spojrzał na Piotrka, miarkując. – Nie potwierdzaj już, wiem, że mam rację. To jedno. Drugie to to, że faktycznie złapałeś tego biednego króliczka. Nawet wiesz mniej więcej, jak go wypatroszyć i przygotować do obiadku, ale wokół ciebie biegają ludzie i zagląдают ci przez ramię. Ostatnio ugotowałeś przepyszny kurczaka, więc każdy czeka, jak poradzisz sobie z tym ambitnym zadaniem. Niektórzy coś skomentują, inni pomrukują, a jeszcze inni obserwują w milczeniu – nawijał Miński, jakby naoglądał się ostatnio Master Chefa, ale to, co mówił, zdawało się mieć sens.

– I ty, biedak, siedzisz w środku i nie wiesz co począć. Wydaje ci się, że gdzieś z tego otoczenia możesz wyłapać inspirację. Nawet w króliczku próbujesz szukać odpowiedzi. Tylko nie pamiętasz o tym, że kurczak ci wyszedł, bo zrobiłeś go sam, po swojemu. Jakkolwiek to nie zabrzmi – wyszło to prosto z ciebie. Nie latałeś za podszeptami, nie pytałeś się „a co mam teraz robić?”, a przede wszystkim – zajmowałeś się wtedy TYLKO kurczakiem.

Piotrek roześmiał się w głos, kolejny raz słysząc o jakimś tajemniczym drobiu.

– Doooobra, jak zwykle popłynąłem. Dość tych durnych kulinarnych metafor. Weź się, chłopie, sam zastanów, co chcesz teraz robić. Przecież jak mi powiesz: „Miński, wal się z koncertami na miesiąc, bo nie mam kiedy porządnie się konstruktywnie poopieradalać”, to nie każę ci spadać do Łęczycy prosić Borutę o pomoc... Jak dla mnie to nawet nic nie musisz mówić, zamknij się gdzieś w jakiejś norze i popustelnikuj sobie tyle, ile będzie trzeba – powiedział, opierając mimochodem ramię o bark Piotrka.

– Trzymam kciuki za ciebie i twoją płytę, bo uważam, że masz nieprzeciętny talent, na pewno większy od mojego. Nie będę ukrywał, że najchętniej już bym posłuchał, co tam masz do zaproponowania, ale to TY decydujesz. Idź dziś do domu, walnij się w łóżku, zerknij sobie w gwiazdy czy w co tam wolisz i ułóż sobie priorytety. Później będziesz się ich podświadomie trzymał. Uwierz mi, nikt nie będzie miał ci tego za złe, a sam zobaczysz, że nawet jak będziesz nadal robił to samo, to będzie ci lżej i przyjemniej. Tyle ode mnie.

Wykład Mińskiego zakończył się długim wydechem obu kumpli. Wpatrywali się przed siebie przez kilka minut, rozważając wypowiedziane przed chwilą słowa. W końcu Piotrek zsunął się niezdarne z ławki i wyciągnął dłoń do Michała. Bez słowa. Ten zbił piątkę, nie pytając, co Iwan o tym wszystkim sądzi i jednocześnie wstając, objęli się.

– Dzięki, bracie. Chyba masz rację. Ja sam nie wiem, czego chcę. Rzucam rzutkami na oślep, mając pretensje, że nie trafiam do tarczy. Kiedyś odwdzięczę ci się za tę radę, ale teraz pozwól, że ucieknę do siebie, żeby to przetrwać – powiedział. W jego głosie brzmiała przeszczera wdzięczność.

Miński uśmiechał się po ojcowsku, jak to miał w zwyczaju. Nie dziwiło go to, że Piotrek uciekał od razu. Ten typ tak miał. Wszystko na gorąco, póki świeże i nieskalane wątpliwością. Co wcale nie znaczyło, że szybko i po łebkach. Za to go cenił. Sam był trochę zbyt zdystansowany i zbyt często zastanawiał się o jeden raz za dużo.

– Leć, szczyłu. Jeśli mam być szczery, to przyciśnij temat mieszkania, dobrze ci zrobią własne cztery kąty. Zresztą... zrobisz, jak uważasz. Trzym się.

Jeszcze raz uściśnęli dłonie i odeszli, każdy w swoją stronę, nie oglądając się za siebie. Piotrek pognął do Jaracza i dalej do siebie. Marzył, żeby jak najszybciej znaleźć się w łóżku i z wyciągniętymi nogami, w domowym komforcie przemyśleć to wszystko, co zasugerował mu Miński. Miał ochotę na rozpoznanie, wyselekcjonowanie, skatalogowanie i poukładanie w szufladach każdej, nawet najdrobniejszej myśli, jaką tylko udałoby mu się znaleźć. Przyszła pora wziąć szcztotę i pozamiatać w tej równie często używanej, co zapomnianej bani.

Droga do domu zleciała mu tak szybko, że nie pamiętał, którądy właściwie szedł. Skacząc co drugi stopień, wleciał po skrzypiących schodach na swoje piętro i wśliznął się bezgłośnie do domu. Rozebrał się cichaczem, nalał sobie szklankę wody i zaległ z poczuciem ulgi na łóżku. Wreszcie miał chwilę oddechu, więc zaczerpnął głęboko powietrza i wgapił się w gwiazdy na czystym niebie późnego sierpnia. Podobno wtedy wyglądają najpiękniej...

I tak jak gwiazdy tworzą na niebie mapę, tak Piotrek zaczął tworzyć w głowie mapę myśli. Zaczął od znalezienia tych najważniejszych. Priorytetem numer jeden był rap, on był punktem wyjścia do pozostałych kwestii. Na dzień dzisiejszy kluczowe było WBW, zbliżające się wielkimi krokami.

Iwan był już rozpoznawalną postacią i chociaż nie był traktowany jako faworyt, sporo osób uważało go za czarnego konia imprezy. On sam zamierzał potraktować tę imprezę jako ciekawe doświadczenie, wynik zostawiając na drugim miejscu. Zaprezentowanie ponadprzeciętnych umiejętności będzie celem samym w sobie, a jeżeli nie uda się wygrać choćby jednej bitwy – nie będzie robić tragedii.

W związku z tym dobrze byłoby ograniczyć koncertowanie z Mińskim. Trzeba mieć czas na treningi. Z płytą trzeba by wstrzymać się do czasu po bitwie. Nie uważał, żeby był w stanie zająć się przez ten czas chociaż koncepcją albumu, a co dopiero jego wykonaniem.

Zresztą z wykonaniem będzie łatwiej, kiedy wyprowadzi się w końcu do swojego mieszkania. We własnych czterech kątach będzie mógł znacznie swobodniej operować wolnym czasem. No i nikt nie będzie mu łaził nad głową.

Nikt poza Anką...

Właśnie – Anka. W zasadzie nie byli oficjalnie razem, chociaż szaleli za sobą i wiedzieli, że chcą spędzić razem resztę życia. Od tego trzeba było zacząć – ostatecznego ustalenia, że są parą. Dobrze, że Piotrkowi wpadło dużo kaski po weekendzie, mógł troszkę przyinvestować w swoją kobietę. Spacer po parku, później wizyta w restauracji – to była prostsza część planu. Po wszystkim Iwan wymyślił wynajęcie pokoju w jakimś klimatycznym miejscu i, hm... potwierdzenie swoich uczuć. Zastanawiał się, co powie Miński, jak usłyszy jego koncepcję. Pewnie złapie się za głowę i zacznie skakać jak małpiszon, drąc się, że ma zryty łeb, ale pomysły nieprzeciętne.

Także... Gdy już uda się zaplanowany wieczór, Piotrek zamierzał zaproponować Ance wspólne mieszkanie. Będzie im łatwiej we dwojkę, a i życie na swoim staje się jakby... przyjemniejsze.

Zamknął oczy, wizualizując wszystkie dotychczas przemyślane koncepcje. To był fundament. Dopóki nie uda się osiągnąć tych celów (lub polec, próbując), nie było mowy o ruszaniu z czymkolwiek więcej. Pomału zaczął robić się senny, więc zaczął skupiać się na mniej istotnych (na tę chwilę) kwestiach. Rozmyślał trochę o Mińskim, trochę o rodzicach, trochę o innych ludziach, których ostatnio poznał masę. Zamierzał w jakimś stopniu odciąć się od nich wszystkich, żeby poczuć niezależność i stanąć na własnych nogach. Ci, którym się to nie spodoba, odejdą, najważniejsi jednak na pewno zostaną.

Na koniec zaczął myśleć o Ance i o tym, jak będzie wyglądać ich, oby udana, pierwsza oficjalna randka. Rozmarzył się, przypominając sobie śliczne oczyska dziewczyny, wyobrażając sobie ją leżącą w czystej pościeli hotelu, czekającą na to, jak położy się wreszcie obok niej. Z szerokim uśmiechem na ustach usnął twardym, dającym solidny odpoczynek snem.

Od momentu kiedy Piotrek poukładał sobie koncepcje na najbliższe miesiące, wszystko stało się jakby łatwiejsze. Nie miał już poczucia, że brakuje mu czasu i robi coś innego, niż w danej chwili powinien. Chociaż lato zmieniło się zbyt szybko w brzydką jesień, to Piotrek miał wrażenie, że właśnie zaczęła się wiosna. Latał po mieście jak nakręcony, zarażając wszystkich dookoła pozytywną energią.

Wieczór z Anką okazał się doskonały, dowiedzieli się, że dogadują się nie tylko w kwestiach rapu, ale także w kwestiach... cielesności. Zdecydowali jak najszybciej poszukać mieszkania i znaleźli je dosłownie w tydzień. Trafiła im się skromna, ale nowocześnie wykończona i przytulna kawalerka na Bałutach, w okolicach Starego Miasta. Piotrek nie miał daleko do rodziców, więc zaglądał do nich w każdej wolnej chwili. Okazało się, że radzą sobie bez niego nie gorzej niż do tej pory, a przynajmniej młody mógł w końcu cieszyć się własnym pokojem.

Mama przyznała, że chociaż przyszło jej to z trudem, to dojrzała do myśli, że to najlepsze, co Piotrek mógł zrobić.

Z Mińskim umówili się na wspólne koncertowanie co drugi weekend i w sumie ucieszyli się z tego, bo zaczęli mieć siebie pomału dosyć. Piotrek martwił się nieco, że brak koncertów zbytnio pogorszy jego sytuację finansową, ale Michał zaskoczył go totalnie, mówiąc, że jako członek ekipy będzie nadal dostawał swoją część. Miał chłopak jaja.

Wszystko to wprawiało Piotrka w doskonały nastrój. Budził się rano, w swoim mieszkaniu, obok kobiety, która może i była skromna i cicha, ale potrafiła bezwarunkowo dzielić się troską i miłością, a tego właśnie potrzebował w tamtym czasie Iwan. Chociaż, swoją drogą, nieraz już łapał się, że cieszy się sam do siebie, tkwiąc na przystanku, bo przypominało mu się, jakim ta niepozorna dziewczusia staje się diabłem, kiedy, jak w piosence, zrzuca z siebie codzienność...

Dobry humor zawsze przekłada się na większy luz, a większy luz – na osiągnięcie sukcesów. Bez spinania się łatwiej o zwycięstwo, bo nie powstają sztuczne blokady, a przede wszystkim – nie pojawia się paralizujący strach. Dlatego eliminacje WBW okazały się czymś nawet mniej niż formalnością. Piotrek po wszystkim uznał, że aż mu nieco wstyd, że spuścił reszcie takie manto, jakby był na jamie pod blokiem, a nie na eliminacjach igrzysk olimpijskich polskiego freestyle'u...

W samochodzie wlokącym się w korku przed Warszawą Piotrek był duszą towarzystwa. Prowadzący, jak zazwyczaj, Krawiec musiał kilkakrotnie zatrzymywać się na poboczu, bo nie mógł wytrzymać ze śmiechu, przy freestyle'owych karykaturach wystawianych przez Iwana. Główny zainteresowany na przemian rymował i chichotał z własnych dowcipów. Anka puszczała porozumiewawcze spojrzenia Mińskiemu. Nie tak, zdaje się, powinien wyglądać ktoś, kto właśnie jedzie na mistrzostwa Polski w swojej dyscyplinie. Zero tremy, zero nerwowości. Piotrek kipiał pewnością siebie i świadomością swoich umiejętności.

Nie trzeba chyba wspominać, że warszawski klub wypchany był kilkakrotnie większą publicznością niż te w Łodzi i Rawie. A od tamtej pory battle'ował się na poważnie raptem ze dwa razy. Różnica skali była gigantyczna, ale zdawała się nie dotyczyć wszystkich Bezdomnych.

Piotrek nie znał nikogo po wejściu, ale tuż przed rozpoczęciem batalii gaworzył wesoło z konkurentami, kilku trafnie wytykając, że „czego się tak stresujesz, nikt cię tu nie pogryzie... co najwyżej połknie w całości”. Po tym klepał spiętego biedaka po plecach i luźnym krokiem odchodził dalej.

Przed pierwszą bitwą obawiano się go niemiłosiernie. Zawsze najwięcej strachu budzi nie ten, który wygląda najgroźniej, a ten, który sam najmniej się boi. Jego przeciwnik „zdefil” już na samym wejściu, gubiąc i rym, i rytm, chyba na sam

widok szerokiego uśmiechu Piotrka. Ten, absolutnie wyluzowany, dość łagodnie potraktował rywala w pierwszym wejściu, w drugim wdeptując go w ziemię. Prowadzący całą imprezę Zagmadfany porównał Iwana do Adama Małysza, który pierwszym skokiem zawsze zostawiał odrobinę nadziei Niemcowi, z którym aktualnie rywalizował, w drugim bijąc rekordy skoczni, świata i galaktyki, niszcząc konkurencję dokumentnie.

Kolejne bitwy w grupie były nieco bardziej zacięte, ale jury nie miało wątpliwości, kto wyszedł z nich zwycięsko. Problem pojawił się w półfinale. Już w przerwie po fazie grupowej słyszano się szepty, że Front, faworyt organizatorów i dobry ziomek całego jury, ma po prostu wygrać, niezależnie od okoliczności. Niestety, traf chciał, że losowanie skojarzyło go w parze z tym kotem z Łodzi i pojawiły się obawy, że zostanie przez Bezdomnego zdemolowany. Szczególnie, że forma Frontowi niespecjalnie dopisywała... Nie bardzo zdziwiło więc ani Piotrka, ani publiczność, że bitwa miała przedziwny przebieg. Przewidywanej demolki nie było. Front ewidentnie spał się na ten pojedynek, jednak zdawało się, że szala zwycięstwa była po stronie Piotrka. Tymczasem jury zarządziło, oczywiście po bardzo długim namyśle, dogrywkę. Tam Iwan, rozsierdzony rozwojem sytuacji, dokopał Frontowi, już bez wątpliwości. Publiczność krzyczała jego ksywkę, szczęśliwa, że znany jest już pierwszy finalista. Tymczasem kiedy dwa głosy były za Piotrkiem, dwóch kolejnych jurorów wymieniło szybkie spojrzenia i zagłosowali na Fronta.

Iwan kręcił głową z niedowierzaniem, przedreptywał scenę w tę i z powrotem, ale nie chciał zaognić sytuacji, więc odpuścił kłócenie się z sędziami. W przeciwieństwie do Mińskiego, który wpadł na scenę i zaczął się awanturować... Dopiero po kilku chwilach uspokojony przez Iwana dał się ściągnąć z powrotem do publiczności. Atmosfera zrobiła się gęsta, chociaż Front uśmiechał się szeroko, zadowolony z rozwoju sytuacji. Odzyskiwał panowanie. Chaos zawsze panował na froncie, więc chaos był domeną Fronta.

W ostatnim wejściu wspiął się na wyżyny umiejętności i Piotrek wiedział, że musi zaliczyć najlepsze wejście w życiu, żeby to wygrać. Spojrzał na mającą podejrzenie spokojne spojrzenie Ankę i wiedział, że nie może odpaść, skoro zaszedł tak daleko. Pierwsze cztery linijki zarymował przeciętnie, za to w kolejnych nakręcał się tak bardzo, że pod koniec publiczność wrzała, nawet jeden z sędziów podskakiwał z radości, nie wierząc własnym uszom. Po ostatnich wersach „i chociaż wiem, że to zaboli, ale chyba mi pozwolisz, jury cię wypierdoli, mogłeś nie rozkręcać Calciopoli!” nastąpiła eksplozja euforii, a Piotrek, ignorując wyciągającego w jego stronę rękę Fronta, wbił wzrok w dwóch „lewych” sędziów. Widać było, że zagotowali się pod taką presją i tym razem jednogłośnie zwycięzcą został Iwan.

Finał był już tylko formalnością, z Piotrka już całkowicie zeszło ciśnienie,

publiczność miał po swojej stronie, sędziowie stracili ochotę na kombinacje, a przeciwnik – KrzyżTorf od początku był pogodzony z porażką. I tak jak niejednokrotnie bywało w futbolu – półfinał okazał się o wiele ciekawszy od końcowej rozgrywki. Gole padały do jednej bramki i po dosłownie kilku minutach Piotrek dzierżył w dłoni mistrzowski pas.

Parę tygodni później, leżąc samemu w łóżku, Piotrek znów zastanawiał się, czy to wszystko, co osiągnął do tej pory, nie przyszło mu zbyt łatwo. Momentami kompletnie się nie wysilał, a kasa i popularność same wpadały mu do kieszeni. Pączek w maśle... Z rozmyślań wyrwał go dzwonek telefonu. Bez zerkania kto to, odebrał.

– Siema Iwan, masz jakieś plany na wieczór? – po głosie Piotrek poznał, że dzwonił jeden z jego nowych znajomych, Olek. Zakumał się z nim i jego paczką nie wiadomo gdzie i nie wiadomo kiedy. Jakoś po WBW. Od razu zaczęli się dogadywać, ale czemu się dziwić, skoro połowa rozmowy to było propozowanie umiejętności Iwana, a druga połowa to propozycje postawienia mu kolejki. Piotrek lubił to towarzystwo, bo nowi kumple zawsze mieli dla niego czas, a że znali się od niedawna, to mógł unikać „poważniejszych” tematów, których ostatnio miał dosyć.

W ogóle po WBW aż nadto wyluzował i trochę się rozleniwił. Nie miał ochoty na branie się za pracę nad płytą, z Anką spędzał coraz mniej czasu poza domem (szczególnie, że pracowała na etacie i czasem w domu tylko sypiała), z Mińskim widywał się w zasadzie tylko na koncertach. Swoją drogą dawno się z nim nie widział. Od czasu kiedy grali ostatnio, upłynął już chyba z miesiąc... Ale ten czas leci!

– Halo... jesteś tam?! – Olek wydarł się do słuchawki.

– Taaaaa... – odpowiedział Piotrek rozleniwionym głosem. – Myślałem, czy by nie pójść do Blak, nie widziałem się dawno z Mińskim, a co?

– To się dobrze składa, bo zbieram ekipę na miasto. Co powiesz na mały biforek w jakiejś shotowni, a potem pójdziemy do Blak pobawić się nieco?

– Dobry pomysł, tak myślę. O której ustawka?

– O dwudziestej ustawimy się pod Siódemkami, żeby wszyscy wiedzieli gdzie, a potem poleziemy tam, gdzie nam będzie pasować. Trzym się i do zoba.

No to będzie co robić wieczorem. Piotrek zastanawiał się, czy zadzwonić do Mińskiego, ale stwierdził, że zrobi mu niespodziankę. Zresztą musiałby się tłumaczyć, czemu nie przyjdzie od razu do Blak, tylko będzie szlajał się z „tamtymi głębami”, jak zwykł nazywać ekipę Olka Miński. Piotrek skrobął Ance esa, że nie będzie go wieczorem, co dziewczyna zaakceptowała z właściwą sobie tolerancją, i lenił się przez resztę dnia. Bifor, jak to bifor, przedłużył się nieco i w Blak byli dopiero o północy, będąc rzecz jasna już dość mocno zrobieni. Po wejściu do dobrze znanego klubu Piotrek poleciał prosto do Michałowej kanciapy. Miński

siedział sam, ogarniając jakieś papiery. Aż podskoczył, kiedy zobaczył Piotrka.

– No w końcu! Już myślałem, że nie żyjesz! Nie chciałem ci truć dupy, myślałem, że coś tam z Anką robicie albo matce pomagasz! – Zbili piątki i objęli się.

– Aaa, bo wiesz, jak to jest, tu to, tu tamto i miesiąc ucieka nie wiadomo kiedy! Co robisz? – zapytał ze szczerym zaciekawieniem. Miński machnął ręką z pogardą.

– Daj spokój! Muszę poukładać te papiery, zanim przestanę się w nich ogarniać... – Spojrzał zrezygnowany na stertę kartek walającą się w zasadzie po całej kanciapie i wzruszył ramionami.

– To może ci pomogę? – zaoferował się Piotrek.

– Daj spokój, ziomeczku, więcej zamieszania niż pożytku. I tak chcę mieć to poogarniane po swojemu, żeby wiedział, gdzie co jest w razie czego. Zresztą w tym stanie to już średnio nadajesz się do roboty. Sam jesteś czy z Anką? – Miński wbił wzrok w Piotrka, jakby chcąc go zmusić, żeby prawidłowo odpowiedział.

Piotrek zmieszał się i wymamrotał, uśmiechając się nerwowo:

– Z głębami.

Miński westchnął.

– Liczyłem na inną odpowiedź... ale trudno. Leć do nich, zajmij się trochę. Jak dokończę, pewnie za jakieś pół godzinki, to do ciebie dołączę i spróbuję cię dogonić, jeśli chodzi o fazę. – Puścił do Piotrka oko i wygonił go z kanciapy.

Nieco ponad pół godziny później Miński wygramolił się ze swojej pieczary. Przeciągnął się z satysfakcją po dobrze wykonanej robocie i rozejrzał po sali. Większość głów kłębiła się na parkiecie, przy barze stało stosunkowo mało osób. Jest jeszcze szansa dla tego narodu...

Miński podszedł do długiej lady i kątem oka zauważył większą grupkę. Stali kilka metrów od niego, bujając się drętwo, każdy z kolorowym drinkiem w ręku. „Żeby tylko ciebie tam nie było...” – pomyślał Michał, po czym zagryzł zęby, widząc, że w tym kółeczku stoi Piotrek. Oczy grupy zwrócone były tylko na niego, wydawał się być dla nich guru. Miński kiwnął barmance, żeby naląła mu piwa i z pełnym pokalem podreptał niechętnie w stronę kumpla. Zamierzał go wyciągnąć stamtąd i wkręcić w porządną zabawę.

– Siema... – powitał dość sucho towarzystwo. Odwrócili głowy w jego stronę, ale nikt nie odpowiedział na powitanie.

– Widzę, że nieźle się bawicie, to cieszy. – Wiedział, że tylko Piotrek zrozumie ironię. Ten, swoją drogą, tępo przyglądał się Mińskiemu, jakby nie do końca wiedział kto zacz. Był już zdrowo nawalony. Przydałaby mu się odrobinka ruchu na parkiecie albo haust świeżego powietrza na otrzeźwienie...

– Czego chcesz? – Zza Piotrka wychylił się Olek i spojrzał ostro na

Mińskiego. – Nasza zabawa to nasza sprawa, chuj ci do tego... – Pretensjonalność tonu tego z wyglądu dość zniewieściałego, ale nad wyraz buńczucznego chłopca rozbawiła Michała.

– Chciałem zabrać Iwana na kilka słów pogawędki. Tyle mi do tego, synku.

Olek nastroszył się jak paw.

– Synkiem twoim nie jestem, cwaniaczku. Zresztą nie chce mi się z tobą gadać. Szkoda śliny. Wiara, zbieramy się! – zawołał i, ku zdumieniu Michała, wszyscy posłusznie odstawili drinki i odwrócili się w stronę wyjścia. Łącznie z Piotrkim. Co to, kurwa, pokaz umiejętności pasterskich?

– Ej, kolego, a ty gdzieś się wybierasz? Mieliśmy pogadać. – Miński starał się powściągać i jak najlepiej ukryć rozgoryczenie. – Tyle czasu się nie widzieliśmy... – Piotrek odwrócił się, ledwo trzymając pion i przez kilka sekund wpatrywał się swoimi wodnistymi oczami w Mińskiego.

– O kuźwa, zapomniałem... – wybełkotał. – Michał, sorry, ale już im obiecałem, że skoczmy gdzieś na szamę... Wpadnę przy okazji, obiecuję. Trzymaj się. – Machnął niedbale ręką, obrócił się na pięcie, jakimś cudem nie przewracając się i udał w kierunku wyjścia.

Miński stał oszołomiony. Nie wiedział, jak ma zareagować, ale narastający gniew przejmował stery. W końcu wkurw osiągnął masę krytyczną i Miński pobiegł, przepychając się w tłumie, za Piotrkim. Dopadł go tuż przed szatnią i złapał za kaptur bluzy. Kipiał wściekłością.

– Nie przepuszczę ci tego, idziemy pogadać – wysyczał krótko i zaczął ciągnąć za sobą zdezorientowanego Iwana. Olek błyskawicznie zorientował się w sytuacji i podbiegł do Mińskiego.

– Zostaw go w spokoju! Idzie z nami! Kim ty, kurwa, jesteś, żeby go za sobą ciągnąć? – pisał jak nastolatka, ale napompował się do granic możliwości. Rzecz jasna bał się podejść bliżej Michała. Wokół szybko zgromadził się tłumek gapiów.

– Nikt mnie nie będzie pouczał, a już na pewno nie w tym klubie. Masz minutę na wypierdolenie z lokalu i nie licz, że ktokolwiek cię tu jeszcze kiedyś wpuści! – Miński stał pewnie i wpatrywał się ostro w Olka. Nieświadomie puścił Piotrka, czego tamten nawet nie zauważył. Zaczął powoli, wymownie strzelać palcami. Olek nerwowo rozejrzał się po otoczeniu. Widział wokół siebie tylko szydercze twarze gapiów znajdujących Michała od dawna. Stał na skraju skarpy, przygwożdżony przez spragnioną krwi gawieź. Krok w każdą ze stron był równy klęsce.

– Nie mów mi, co mam robić! – zakwicział i starając się wyglądać groźnie, zrobił krok w stronę Mińskiego. Ten nie potrzebował więcej sygnałów. Zrobił dwa gwałtowne susy i znalazł się twarzą kilka centymetrów od twarzy Olka. Tłum zawrzał. Miński zaglądał dzieciakowi głęboko w oczy i obserwował, jak tamten kurczy się pod jego naciskiem.

– Wyjdiesz stąd czy mam cię wykopać? Nie zgrywaj chojraka, bo wiesz, że jaja mam tu tylko ja. – Nastąpiła chwila pełnej napięcia ciszy. Olek zaczął trząść się, ale nie odstąpił na krok. Miński nagle prychnął, dmuchając mocno w twarz oponenta. Chłopak aż podskoczył ze strachu, momentalnie stał się purpurowy i przy akompaniamencie śmiechu niemałego już tłumu uciekł z lokalu.

Miński nie zastanawiał się nawet sekundy. Odwrócił się do Piotrka, który zdawał się rozumować niewiele więcej niż warzywo i syknął mu do ucha: – Do kanciapy.

Iwan posłusznie udał się do dobrze znanego mu „biura”. W środku klapnął na kanapie i wpatrywał się w Mińskiego, który w tym czasie upewniał się, że drzwi są zamknięte. Kiedy uznał, że może już mówić, przerwał mu cichy głos Piotrka.

– Zjebałeś mi wieczór i towarzystwo...

Miński otworzył szeroko oczy, nie wierząc w to co słyszy.

– COOO?! – wydarł się. – Chyba sobie jaja robisz w tym momencie? Błagam, powiedz, że mnie wkręcasz...

Piotrek spoważniał.

– Nie. Miałem fajny wieczór i niezłe plany na później. To musiałeś się wtrynić i mi to wszystko spierdolić. – Mówił z trudem i powoli, ale niestety całkowicie zrozumiałe dla Mińskiego.

– Gościu... – Michał zaczął wpadać w furję. – Przypomnę ci, że to ja jestem twoim przyjacielem, nie ten goguś Oluś. To dzięki mnie jesteś tu, gdzie jesteś, i masz fejm, dzięki któremu te bananowe dzieci w ogóle na ciebie patrzą. Nie pamiętasz już, co było jeszcze rok temu? Wstydzilibyś się tutaj wejść, a dzisiaj co? Rządzisz i dzielisz? Sodówa odjechała? – Miński wydierał się niemiłosiernie, ale na Piotrka zdawało się to nie działać. Cały czas patrzył na przyjaciela tym samym, pustym, beznamietnym wzrokiem.

– Taki z ciebie kumpel, tak? – przerwał tyradę Michała. – Będziesz mi teraz wypominał moją biedę, tak? Ja pierdolę taką przyjaźń. – Wziął głęboki wdech. – Wiesz co, ja doskonale wiem, co ci chodzi po głowie. Zazdrość ci chodzi. Chciałbyś mieć taką ekipę. Bujać się w takim towarzystwie. Kogo masz poza mną? Krawca, Johnny’ego? Poza tym nic, zero. Zazdrośnik – powiedział i splunął na podłogę.

Miński nie mógł już znieść patrzenia na degrengoladę Piotrka. Wiedział, że tamten tak nie myśli, wiedział, że przejedzie się na tym, jak on sam, wtedy we Wrocławiu. Chciał jakoś uchronić przyjaciela przed klęską, ale nie wiedział, jak to zrobić. Cała wściekłość uciekła, ustąpiła miejsca bóleści.

– Boże kochany, Iwan, obudź się! Nie wiesz, o czym mówisz i do kogo. Wytrzeźwiej. Przemyśl to wszystko. Tę rozmowę, tę znajomość, swoje życie. Jak będzie ci ciężko, poproś Olusia o radę, ale wątpię, że teraz odbierze od ciebie telefon. Mnie zostaw w spokoju. Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego. Miałem cię

za kogoś lepszego, ale jesteś taki sam jak wszyscy. Pazerny na kasę i popularność. Wyjdź stąd, zanim zrobię ci krzywdę. – Odwrócił wzrok, zaczął gapić się w niedawno poukładane papiery. Piotrek patrzył jakąś minutę w niewzruszonego Michała, po czym bez słowa wstał i wyszedł z kanciapy, trzaskając drzwiami...

Piotrek otworzył oczy i jego czaszka eksplodowała. A przynajmniej tak mu się wydawało. Kac gigant przeszywał jego głowę jak pociski beretty albo okruchy potłuczonego szkła. Pogoda tamtego dnia była fatalna, non stop lało i potężnie wiało. Piotrek miał ochotę od razu wyjść z domu, ale przy najmniejszym drgnieniu ból rozdzierał go od czoła po potylicę. Anka spojrzała na prawie przezroczystego Piotrka i zaczęła cmokać.

– No, mój drogi! Ładnie żeś wczoraj poszalał. Kto cię tak rozkręcił – Olo czy Miński? – Iwan aż wzdrygnął się, słysząc obie ksywki. Nie chciał pamiętać nic z tamtej nocy. Po wyjściu z kanciapy wlał w siebie chyba z litr czystego alkoholu, ale jak na złość przypominał sobie każdy szczegół tamtego wieczora. Na przemian targaly nim fale wstydu, złości i nienawiści. Milczał, zaciskając zęby.

– Hej, skarbie, co się dzieje? Wszystko w porządku? Wyglądasz fatalnie... Zaparzę ci herbaty. – Zwinnym krokiem Anka zsunęła się z krzesła i podeszła do czajnika.

Chwilę później Piotrek trzymał w rękach kubek gorącego earl greya. Ciepło herbaty dodało mu chyba otuchy, bo w końcu podniósł wzrok i spojrzał w błyszczące, błękitne oczy Anki. Po chwili zamknął powieki i wtulił się w szyję dziewczyny. Objęła go delikatnie dłonią.

– Wydaje mi się, że nie od samego alkoholu masz takiego kaca, co? – zagadnęła uspokajającym głosem. Piotrek pokręcił głową.

– Popieprzyło się wszystko... – zaczął powoli. Głos miał słaby, jakby nie był pewny tego, co mówi. – Ani na Olka, ani na Michała już nie mam co liczyć... – Anka zrobiła wielkie oczy.

– Jak to? Mów szybko, co się stało...

– Daj spokój. – Pokiwał głową, nie chcąc mówić o niczym. Troskliwe spojrzenie Anki skruszyło jednak jego niechęć. – Ustawiłem się z Olem i ekipą. Popiliśmy trochę na mieście i poszliśmy do Blak. Sam chciałem tam iść, żeby zobaczyć się z Mińskim. Był akurat w kanciapie i robił jakieś papiery. Chciałem mu pomóc, to mnie wygonił. Już tym mnie wnerwił. Mówię sobie – dobra, luzik, napij się piwka, pobujaj się i zleci raz dwa to sobie pogadacie.

Ta, zleciało... czekałem na niego chyba z godzinę... Nie zamierzałem czekać wieczności, tym bardziej że było strasznie zwałowo. Ludzi zero, muzyka średnia, wiesz, jak to jest? – mówił markotnym tonem. Anka nie do końca wierzyła w to ostatnie zdanie. Wiedziała, że Piotrek uwielbia ten klub i jego klimat, że mógłby się tam bawić sam, byle muzyka grała. Coś jej mówiło, że to podszepty otoczenia kazały mu tak myśleć. Nie odzywała się jednak, czekając na koniec opowieści.

– No i jak w końcu panicz przylazł, to my już ustaliliśmy, że się zwijamy. Pożegnałem się z nim i idę do wyjścia, a ten mnie łapie za bluzę i ciągnie do siebie.

Nie wiedziałem, co jest pięć! Olo podleciał mnie ratować, to Miński zaczął na niego warczeć. Pospinali się chwilę i pogonił Olka. Nie dziwię się, bo miał za sobą cały Blak, wielki kozak...

Później kazał mi iść do kanciapy i wali mi jakieś farmazony, że wszystko mam dzięki niemu, że mam znajomych dzięki sławie i że go olewam. Pojebany! To mu powiedziałem, że zwyczajnie zazdrości i tyle. On na to, że w takim razie ma mnie gdzieś i mam się do niego nie odzywać. Taki to właśnie przyjaciel z niego. – Piotrek pod koniec był już czerwony z wściekłości. Anka kręciła głową, zaniepokojona takim rozwojem sprawy.

– Misiek, nie wściekaj się. Szkoda zdrowia. Dajcie sobie kilka dni luzu, zadzwoń do niego i się dogadajcie. Nie wierzę, że chciał ci popsuć wieczór, to raz, a dwa – że nie chce cię teraz znać.

Piotrek przez chwilę ważył słowa partnerki w milczeniu.

– Bez jaj! Nie będę dzwonił do tego zazdrośnika. Niech go zżera od środka. Co on ma beze mnie? To ja mu nakręcam koncerty, to kawałek ze mną jest jego hitem! Skoro chce sobie radzić sam, to niech sobie radzi, mądrała. Koniec tematu – powiedział i zamilkł.

Anka nie chciała zaognić sytuacji, tym bardziej że zamierzała jeszcze poznać zdanie drugiej strony. Może Piotrek sam dojdzie do tego, że nie ma racji w tym sporze? Miński miał prawo poczuć się olany i zareagować w taki sposób. Może zbyt ostro, ale taki ma charakter, trzeba mu to wybaczyć...

W związku z tym zadzwoniła do Mińskiego jeszcze tego samego dnia, idąc do pracy. Michał potwierdził, niestety, jej obawy, że Piotrek jest na niego cięty, bo Olek go zdrowo na ten temat nakręcił. Próbowwała go nakłonić, żeby wyciągnął pierwszy rękę i wybaczył Iwanowi to zagubienie. Miński stwierdził, że w ten sposób Piotrek nigdy nie zrozumie problemu i nie wyciągnie jakichkolwiek wniosków, mając poczucie triumfu.

– Sorry, Aniu, wiem, że chcesz dla niego dobrze. Ja też. Pewnie nawet bardziej niż ty. Dlatego właśnie dam mu możliwość zdobycia doświadczenia. Trzymaj się, skarbie. Obym miał rację – powiedział i rozłączył się, nie czekając na odpowiedź. Od tej pory jego telefon zamilkł.

Jedynym plusem tej całej afery był fakt, że od tej pory Anka z Piotrkim mieli więcej czasu dla siebie. Dziewczyna starała się okazywać jak najwięcej wsparcia chłopakowi. Nie wierzyła, że Piotrek ma rację, ale uważała za swój obowiązek bycie po jego stronie. Lojalność stoi ponad osobistą racją.

Terapia zdawała się przynosić skutek. Ba! Parę razy widziała nawet Piotrka piszącego tekst, a to oznaczało, że może nie jest mu lekko, ale przynajmniej nie dołuje się niepotrzebnie. Pracował, a praca zawsze przynosi efekty.

Zaczął też w końcu wychodzić na spacer, czego nie robił od bardzo dawna.

Czas płynął wolniej, pogoda była coraz brzydsza, ale jesienna chandra zdawała się nie zbliżać do Piotrka. Może ten jeden jedyny raz udało się, że wiatr nie wiał biednemu w oczy, tylko pod stopy?

Właśnie podczas jednej z wędrówek minął w Helenowie znajomą twarz. Na ławce siedział wygodnie, mimo nienajlepszej aury, młody, luźno ubrany mężczyzna. Piotrek, idąc dalej, zastanawiał się, skąd kojarzy tego człowieka, kiedy aż podskoczył ze strachu, gdy ktoś złapał go za bark i pociągnął w swoją stronę. Dopiero z bliska rozpoznał, kto to jest. W ostatniej chwili, bo miał ochotę wyciągnąć pięści i wyjaśniać niejasności niewerbalnie.

– Mateusz! Ha, ha, ale żeś mnie wystraszył! Co u ciebie? – Uścisnęli mocno dłonie. Mateusz nie mógł ukryć szerokiego uśmiechu i, zdaje się, ogromnej pogody ducha.

– No witaj, kolego. U mnie wszystko jak trzeba, a u ciebie? Widziałem, że trochę pozamiatałeś w Wawce! Na koncertach też niezły ogień, byłem na dwóch, ale nie chciałem zawracać gitary, bo byłeś z ekipą. – Niebieskie oczy lśniły chęcią do życia. Piotrek nie mógł uwierzyć, że to ta sama osoba, którą spotkał wtedy pod hotelem.

– U mnie... no cóż. Bywało lepiej. Rapowo w jak najlepszym porządku, ale ostatnio popieprzyło mi się kilka ważnych relacji... Sam nie wiem, co mam o tym myśleć. Aaaa, jebać to. – Nie był w stanie ukrywać rozgoryczenia, nawet nie próbował się uśmiechać. W przeciwieństwie do Mateusza, który wesoło szczyrzył zęby niezależnie od okoliczności.

– No co ty! Kiepska sprawa... Głowa do góry! – zawołał i poklepał Piotrka po ramieniu. – Wszystko się ułoży, ale najpierw musisz faktycznie zdecydować, co sam o tym myślisz... – mówił to tak pewnym tonem, że Piotrek czuł, jak poprawia mu się humor. Tak jakby spotkał dobrego ducha i poddawał się jego czarom.

– Widzisz, u mnie ostatnio rewelacja – kontynuował Mateusz. – Rzuciłem tamtą pracę w cholerę, zająłem się tym, co mnie najbardziej kręci. Oprowadzam wycieczki po Łodzi, uczę się języków, planuję kilka ciekawych podróży.

Nawet nie wiesz, jak dużo się zmieniło od czasu naszego spotkania. Nawet w relacjach z bliskimi jest zupełnie inaczej. Mam poczucie, jakby świat otworzył się w moją stronę, ale wydaje mi się, że to działa na odwrót. Nie wiedziałem, że tak wiele rzeczy mnie ograniczało, chociaż istniały tylko w mojej głowie. Nie wiedziałem, że tak wiele rzeczy istnieje poza moją głową i nic o nich nie wiem.

Piotrek zaczął się irytować w ułamku sekundy. Przyglądał się Mateuszowi z lekko kpiącym wyrazem twarzy. Nie wierzył, że role mogły się aż tak bardzo odwrócić. Nie wierzył w cuda. Coś w tym wszystkim musiało być nie tak. Dobry duch niósł nieprzyjemnie rozedrgane fale. Iwan chciał już iść i zostać sam ze sobą. Mateusz zauważył, że rozmówca go nie słucha i jest zdenerwowany.

– No, nie zatrzymuję cię już. Leć w swoją stronę. Gdybyś kiedyś

potrzebował pogadać, to znajdź mnie w internecie, muszę się reklamować, więc łatwo mnie znaleźć. – Puścił oko Piotrkowi i wyciągnął w jego stronę dłoń.

Iwan niedbale odwzajemnił uścisk i tylko wycedził przez zęby:

– Dzięki, trzym się.

Wnerwiło go to spotkanie. Cały czas przypominał sobie doprowadzający go do szału uśmiezek Mateusza. Co on sobie w ogóle myślał? Co mnie to obchodzi, czym się teraz zajmuje. Skoro mu lepiej, to niech się skupi na sobie, a nie zawraca gitarę innym...

Nie mógł pozbyć się tej natarczywej myśli. Wyszedł szybko z parku, chcąc wrócić do domu i mieć chwilę świętego spokoju. W oddali zobaczył świecący się na czerwono neon sklepu monopolowego. Poczł ogromną ochotę napicia się piwa. Skoro spacer mu nie pomógł, to może to pomoże?

Kupił dwie puszki i usiadł na pobliskim murku, skrytym za obrzydliwą, stojącą samotnie kamienicą. Pierwsze piwo wypił duszkiem. Drugie wolniej, ale i tak bardzo szybko. Po jakichś dwudziestu minutach wyrzucał aluminium na zdeptany trawnik.

Nie poczuł się lepiej, ale przynajmniej zapomniał o niedawnym spotkaniu i to przyniosło mu ulgę. W końcu był sam ze sobą i ze swoimi myślami. Wrócił się do sklepu, wziął dwa kolejne piwa i chwiejnym krokiem poczłapał do domu.

*

„Nobody’s perfect but a team can be”. Gdyby ktoś zażyczył sobie znaleźć doskonały przykład realizacji tego cytatu, powinien zaznajomić się z działalnością Strumienia. Pieniązek i Skonieczny stali się ideałem, stapiając w jedno swoje atuty i niwelując wady niczym kwas neutralizujący zasadę. Firma dostała gigantycznego kopa po przekształceniu w spółkę i to jeszcze nie tak dawno małe przedsiębiorstwo zaczynało zmieniać swój status na średnie, a w zasadzie to... od razu na duże.

Marcin grał główną rolę, jeśli chodziło o racjonalizowanie działań spółki. Nie było mowy o przeholowywaniu z kosztami, wydatkami czy zatrudnieniem. Cały czas trzymał rękę na pulsie, więc firma nawet wtedy gdy inwestowała ogromne sumy w marketing albo rozwój, wychodziła na plus.

Skonieczny natomiast dodawał pierwiastek szaleństwa do tego biznesowego koktajlu. Proponował ryzykowne kroki, sugerował większe, niż wydawały się potrzebne inwestycje i ogromną wagę przywiązywał do drapieżnego marketingu. Dzięki temu firma nie dość, że zaistniała na rynku, stawiając ogromną pieczęć nowoczesnego wizerunku, to jeszcze zdobywała rynek szybko, jak fala tsunami wżerająca się w ląd. Najciekawsze było to, że konkurencja ZAWSZE była krok za nimi, czasem niektóre posunięcia różniło kilkanaście godzin, ale to Strumień stawał na pierwszym stopniu podium.

Oczywiście im bardziej rosła firma, tym bardziej rosło zapotrzebowanie na czas i uwagę jej sterników. Zatrudniane setki (!) pracowników zarządzane były przez najlepszą kadrę kierowniczą dostępną na rynku, ale o to dbali osobiście Skonieczny z Pieniążkiem. Chwilami z menedżerów stawali się kimś w rodzaju piłkarskich scoutów, wyszukując talenty w miejscach, gdzie inni nawet nie myśleli zaglądać. Złote samorodki nie leżą na chodnikach i nie krzyczą: „Jestem tutaj, znajdź mnie!”. Trzeba przekopać ogrom ziemi, żeby znaleźć te najwartościowsze okazy.

Marcin w kółko powtarzał, że pańskie oko konia tuczy, kiedy wsiadał w swoją wymarzoną 911 i gnał z Gorzowa Wielkopolskiego pod Białystok, żeby tylko upewnić się, czy jego zarządzenia realizowane są zgodnie z jego wolą. Skonieczny nie był gorszy, czasem nawet zakładali się, który z nich wyjeździ więcej kilometrów danego tygodnia, a stawką bywały i setki tysięcy złotych. Oczywiście zanim któryś z nich zdołał odebrać nagrodę, trafiał się kolejny zakład i bilans wychodził na zero.

Zaprzysiężni się, chociaż byli pewni, że to się tak skończy już w momencie, kiedy wymienili pierwsze kilka zdań przez telefon. Często wychodzili razem na miasto, odwiedzali luksusowe knajpy, zasiadali w łóżach najlepszych teatrów Polski i Europy. Smakowali życie, długo dyskutując na ten temat niemal co wieczór, tak jakby chcieli przedłużyć te chwile wysmakowanej przyjemności.

Śmiali się ostentacyjnie, słysząc pogłoski, jakoby byli gejami. Sami wiedzieli najlepiej, jakie kobiety odwiedzały ich łóżka podczas całonocnych seansów przyjemności. I ilu z hejterów zasypiało, mając pod powiekami obrazy właśnie tych pośladków i biustów.

Okazjonalnie Marcin przypominał sobie o Julii, do której cały czas czuł wyjątkowy sentyment, ale jakoś nie potrafił jej tego zakomunikować ani tym bardziej okazać. Ich wspólnie spędzany czas to były najczęściej bankiety, podczas których po prostu wypadało pojawić się w towarzystwie partnerki. Bawili się długo, łądownali w łóżku nad ranem, usypiali w moment, bez pamięci, a następnego dnia Marcin uciekał w biznesowych sprawach na drugi koniec świata. Nic więcej, nic mniej...

Lato było tamtego roku wyjątkowo łaskawe. Nie szczędziło słońca. Chowало chmury gdzieś indziej, ale temperatura nie przekraczała trzydziestu stopni. Nikt nie chodził w tamtym czasie niezadowolony. Szczęście wydawało się wstawać z każdym porankiem, a w zasadzie to nigdy nie usypiać. Pogoda dla bogaczy, zakładając, że każdy jest bogaczem. Ot, za sam fakt, że żyje.

Jednego z takich dni Marcin zaprosił Julię na jazzowy koncert i kolację. Zapytany przez Skoniecznego, co go w zasadzie podkusiło, żeby umawiać się z nią akurat wtedy, nie potrafił udzielić odpowiedzi. Miał ochotę zabrać ją ze sobą i tyle.

Kiedy masz ochotę na czerwone półwytrawne, nie zastanawiasz się dlaczego, tylko kupujesz i odkorkowujesz butelkę.

Od samego początku nic nie szło po myśli Marcina. Spóźnił się po Julię, więc wysłał po nią taksówkę, która – jak się później okazało – nie przyjechała. Zdenerwowany zabrał ją swoim autem, wiedząc, że jeśli koncert się nie opóźni, to zdążą może na końcówkę. Dodatkową szpilką, jaka wbiła się Pieniążkowi głęboko w skórę, był nastrój Julii. Wsiadła do auta całkowicie nieobecna, jakby wyrwał ją prosto ze snu. Mieli się bawić razem, a ona nawet nie zamierzała udawać, że jest w jakikolwiek sposób podniecona dzisiejszym eventem.

Liczył, że Julia ubierze się zjawiskowo, a włożyła na siebie tę samą sukienkę, jaką miała na sobie setki razy, zawsze gdy nie chciało jej się kupować czegoś ambitniejszego. W przeciwieństwie do Marcina, który zainwestował w garnitur na ten wieczór prawie pięć tysięcy. Euro.

Nieważne. Zdecydował nie zwracać na to uwagi. Postanowił być cierpliwym i dopieścić swoją śpiącą królową tak, że obudzi się ze swojego tajemniczego letargu.

Niestety, zgodnie z pesymistycznymi przewidywaniami, zdążyli tylko na ostatni, znakomity swoją drogą utwór, a po owacji na stojąco mogli wywnioskować, że wcześniejsze były równie wyśmienite. „Nic to – kolacja zrekompensuje tę stratę” – myślał, zaciskając zęby z frustracji. Julka wydawała się niespecjalnie przejęta faktem, że gównem zobaczyli, co doprowadzało go do szału.

Na szczęście kuchnia nie zawiodła. Posiłek był wyjątkowo pyszny, a wino dobrane doskonale do każdej potrawy. Obsługa napracowała się tego dnia, bo Marcin nie zamierzał żałować sobie podczas zamawiania, ale odpłacił to nieprzyzwoicie ogromnym napiwkami. Julia zadziwiała Marcina swoją osobą, bo była tamtego dnia wyjątkowo cicha i tajemnicza, przez co musiał się nieźle nagimnastykować, żeby wywołać u niej chociaż delikatny uśmiech. Tym bardziej cieszył się z każdego uniesienia kącika ust i wyraźniejszego błysku w oku. Szybko docenił detale, jak linoskoczek między wieżami w NY.

Po kolacji już wyciągał telefon, aby zamówić taksówkę, kiedy Julia złapała go delikatnie, ale bardzo stanowczo za rękę, uśmiechnęła się i wyszeptła mu do ucha:

– Zabierz mnie na spacer... – Potężna fala adrenaliny wpompowała się w krwioobieg Marcina, aż poczuł zawroty głowy. Pomysł wydawał mu się tak absolutnie niedorzeczny i nie w ich stylu, że stał się przez to fascynujący i ogromnie podniecający. Miała dziewczucha łeb do budowania takich cudów.

Julia złapała go pod rękę i szli powoli, w milczeniu, co tylko dodawało smaku tej niespodziewanej wędrówce. Marcin myślał, czy nie zabrać partnerki do parku, położyć się na trawie i pogapić się w gwiazdy, a później postawić kropkę nad „i” tego wieczoru, pośród zieleni w środku miasta. Wtedy ciszę przełamał

seksownie chrypliwy głos Julii. Od dawna Marcin podejrzewał, że jego partnerka pali, ale w tamtej chwili uzyskał stuprocentową pewność.

– Marcin, chciałabym zadać ci pytanie... – powiedziała. Ciarki przebiegły po jego plecach.

Szybko obrócił głowę w jej stronę, ogromnie zaintrygowany, co chce mu powiedzieć. Serce waliło mu jak młot, bo nie miał pojęcia, czego ma się spodziewać. Chciała dzieci, małżeństwa, domu nad Atlantykiem? Nie chcąc, żeby poznała po jego głosie, jak bardzo się denerwuje, odpowiedział szeptem:

– Słucham, skarbie. – Nastąpiła zbyt długa chwila ciszy, która nawet wprawiła Marcina w lekkie poirytowanie.

– Słucham – dodał sucho i z naciskiem.

Nie zwróciła na to uwagi. Milczała jeszcze przez kilka sekund, w końcu beznamytnym głosem, wpatrując się przed siebie zapytała:

– Po co mnie tu dziś zabrałeś?

– Nie rozumiem... – Marcin poczuł się zdezorientowany i nie umiał już czegokolwiek udać. Spodziewał się czegoś zupełnie innego.

– Po prostu odpowiedz mi na to pytanie. Nie zastanawiaj się i nie analizuj. Ten jeden jedyny raz w życiu. – Nie patrzyła na niego, więc nie mógł odczytać jej intencji. Próbował doszukać się w jej tonie choć odrobiny pretensji, żeby móc w jakiś sposób odbić piłeczkę. Nie znalazł nic takiego, musiał zmierzyć się z tym nagim pytaniem.

– Julia... – wykwękał, jakby licząc, że nagle odwoła swoje słowa. Nie zrobiła tego.

– Nie wiem, skąd to się wzięło, ale niech ci będzie. – Był zły, bo czuł, jak magiczny nastrój tego tajemniczego wieczoru ulatnia się i z paryskiego klimatu wracają na brudną łódzką ulicę. Nie zamierzał tego ukrywać.

– Po prostu pomyślałem sobie ostatnio, że dawno się nie widzieliśmy, tak na spokojnie, we dwoje. Chciałem spędzić z tobą bajeczny wieczór, tak jak to zawsze mieliśmy w zwyczaju. Myślałem, że zrobimy coś szalonego, coś, co będziemy wspominać przez lata... Stęskniłem się za tobą.

To ostatnie zdanie przyszło mu z ogromnym trudem. W zasadzie dopiero po chwili dotarło do niego jego znaczenie. Nie podejrzewał samego siebie o takie uczucia. Zalała go fala wściekłości wobec własnej słabości. Niepotrzebnie mówił to na głos. Nawet jeśli tak myśli, powinien zachować to dla siebie. Teraz będzie mogła to wykorzystać. Stawał w opozycji, chociaż starał się udawać, że wciąż idą ramię w ramię.

– Naprawdę tak uważasz? – ton głosu Julii stał się słodki, nieco głupkowaty. Kruszył każdy lód. Marcin nie rozumiał już kompletnie nic.

– Tak, skarbie, naprawdę tak uważam. – Postanowił zaryzykować i trzymać się tego, co już raz mu się wymyśliło. Może takiej odpowiedzi oczekiwała

i skończy już tę durną i niepotrzebną paplaninę?

W końcu spojrzała się na niego i szeroko uśmiechnęła. Boże, jaki to był piękny uśmiech! Przez tę krótką chwilę wyglądała niczym anioł. Promieniała energią, pewnością siebie, seksapilem. Tylko najbardziej zjawiskowe, wyjątkowe, unikatowe, niepowtarzalne kobiety potrafią czarować uśmiechem w taki sposób. Jest w tym coś metafizycznego, jakby uwalniały tajemniczą energię, która zniewala mężczyzn, jakby były syrenami wabiącymi załogę zbłąkanego okrętu. Marcin aż stracił dech na kilka sekund. Przemknęła mu w głowie myśl, że już chyba nigdy nie zobaczy czegoś równie pięknego.

– Jeja, jak wspaniale to słyszeć! – Julia mówiła, jakby usłyszała najśłodszy komplement i rozpląwała się w przyjemności.

– Nie spodziewałam się, że kiedykolwiek zdobędziesz się na takie wyznanie... szkoda, że, kurwa, tak późno! – nagle wrzasnęła ostro, brutalnie rozrywając leniwą atmosferę wieczoru. Jej oczy zapłonęły furją. Anioł ustąpił miejsca demonowi.

Marcin odskoczył od Julii, wystraszony nagłym atakiem. Ciarki przeszły mu po plecach, czuł jak włosy stroszą mu się na całym ciele.

– Teraz się obudziłeś, księżulku zasrany? Teraz, kiedy ja już wyzbyłam się wszelkich złudzeń co do twojej osoby i naszej przyszłości, ty zabierasz mnie na tysięczną, identyczną kolację i słodziutko mi mówisz, że się za mną stęskniłeś? – krzyczała chrapliwie.

Marcin nic nie rozumiał, ale nagły atak spowodował, że myślał już tylko o jego skontrowaniu, bez względu na koszty i konsekwencje.

– O co ci chodzi?! Co ci się stało? – sam zaczął wrzeszczeć. – Znów ci się coś nie podoba, jak zawsze zresztą, co? Wiecznie niezadowolona, zawsze coś nie tak! Tak źle ci ze mną? Jak tak, to wynoś się, WYNOŚ SIĘ SPRZED MOICH OCZU! – darł się, wymachując rękami i wbijając wzrok w Julię. Furia opanowała go całkowicie.

Julia wzięła głęboki oddech i wyszeptała:

– Zamknij się na chwilę. – Marcin momentalnie zamilkł. Jej spokój uderzył w niego jeszcze mocniej niż pierwszy krzyk.

– Zaraz to zrobię, mój drogi, ale najpierw powiem ci kilka słów – dodała, a jej głos był znów aksamitny i beznamiętny. – Nie liczę, że mnie zrozumiesz, ani że przyznasz mi rację. Jednak jestem pewna, że kiedyś nie będziesz mógł zasnąć, bo będzie cię zżerała prawda, jaką ode mnie usłyszysz.

Marcin tkwił przed Julią z rozdziawionymi ustami. Zaczął brać wdech, żeby się odezwać, ale Julia szybko wybiła mu to z głowy. – Teraz będę mówić ja. – Wyglądała, jakby wygłaszała tysiąc razy powtarzane przemówienie. Zawsze przy tej samej okazji.

– Kiedy spotkałam cię pierwszy raz, zwariowałam na twoim punkcie i wiem,

że ty poczułeś to samo. Ten bal, ten seks, te długie rozmowy na początku. Czulałam się jak w bajce. Pierwszy raz w życiu miałam wrażenie, że spotkałam kogoś, z kim się rozumiem, a nie tylko czuję fizyczny pociąg... ale... – Przerwała na moment.

– Ale później... oddałeś się pracy nad Strumieniem. Staralam się być cierpliwa, wiedziałam, jakie to dla ciebie ważne. Pewnie mogłabym tak wytrzymać do końca świata, czując, że nie mam ciebie tyle, ile bym chciała, ale przynajmniej poświęcasz relację ze mną czemuś, co jest sensem twojego życia. Tak, mój drogi, wybaczyłabym ci wszystko. Nawet to ciągłe picie i zapominanie o tym, co mi obiecałeś. Tak byłeś dla mnie ważny. Byłeś, bo pewnego dnia zwąchałeś się z tą kanalią, Skoniecznym.

Skrzywiła się i splunęła na chodnik.

– Nie wiem, czy bardziej nienawidzę jego, że sprowadził cię na taką drogę, czy ciebie, że dałeś się w to wplątać. Wódkę jestem w stanie zrozumieć. Biznes jestem w stanie zrozumieć. Nie rozumiem za to tych stad prostytutek i pustych idiotek, które przeleciałeś. Nie rozumiem tego, że z tym psycholem mogłeś pójść do restauracji, do opery, a mnie co najwyżej zabierałeś na jakieś podrzędne bankiety. Zresztą wiesz, co o was mówią w branży? Zastanawiają się, czy ty się wypinasz jemu, czy on tobie. Tego chciałeś? – Spojrzała Marcinowi głęboko w oczy, wiedząc, że i tak nie odpowie. – Nie hejterzy z komentarzy na forach. Żywi ludzie. Prezesi, dyrektorzy, menedżerowie. Wszyscy! Tego chciałeś?! Odpowiedz! – Uśmiechnęła się w duchu, widząc w Marcinie strach przykryty tępą nienawiścią.

Milczał. Był słaby, tak jak myślała, i cieszyła się, że potwierdzają się jej przypuszczenia.

– Tak myślałam – odpowiedziała sama sobie, parszkając z drwiną. – Jesteś pusty, wąty. Wydaje ci się, że budując siebie, budujesz wielką katedrę, ale wiesz co? Zapomniałeś podeprzeć ściany i strop. W końcu to wszystko zawali ci się na głowę, ale ja nie chcę na to patrzeć. Żegnaj. – Ironicznie pocałowała swoją dłoń i dmuchnęła w jego stronę. Odwróciła się na szpilce i bajecznie kręcąc biodrami, zaczęła się oddalać. Kobieta nabiera najwięcej klasy, kiedy udowadnia mężczyźnie, że nie jest wart nawet spojrzenia na jej tyłek.

Marcin nie zamierzał jej gonić. Nie chciał jej nigdy więcej widzieć. Zniszczyła wszystko to, co budowali, przez taki czas! W pierwszej chwili chciał puścić ją wolno bez komentarza, ale nie wytrzymał i zaczął się drzeć, idąc za nią...

– Pewnie! Uciekaj! Wynoś się! Wypierdalaj! Znajdź sobie miejsce, gdzie ci będzie lepiej! – jęczał jak paranoik. – Tylko nie wracaj później z płaczem, że nic takiego nie znalazłaś! Do opery chciałaś chodzić? Na kolacje? Po co? I tak miałem cię tylko po to, żeby pobzykać czasami, bo nawet niezła jesteś w te klocki! Na fajnych cychach, dupie i słodziutkich oczach kończą się twoje atuty! Ładnie wychodziłaś na zdjęciach z bankietów! Tak CIEBIE widzą w branży! Każdy to

widział! Twój szef też! Lalka do dmuchania! – Dopiero po kilku chwilach zorientował się, że już dawno jej nie widzi. Zniknęła za rogiem albo w taksówce. Nawet się nie odwróciła, blaza!

Zagotowało się w nim. Czuł, jak krew pulsuje mu w skroni, jak oczy nabierają czerwonego blasku nienawiści. Miał ochotę zniszczyć coś, rzucić czymś ciężkim. Mimochodem rozejrzał się po okolicy. Zobaczył, że tuż obok jest knajpa.

Knajpa... Speluna raczej. Nie zważał na to. Wszedł szybko do środka i zamówił kolejkę. Wypił. Skrzywił się, czując, jakie dostał paskudztwo, i od razu poprosił trzy następne. Wypił natychmiast, zostawił stówę na blacie i wyszedł ze środka. Nawet nie zdążyło mu się jeszcze zakręcić w głowie, kiedy zdecydował się pójść po butelkę belvedera, wziąć pokój w hotelu i nawalić się do nieprzytomności. Postanowił pójść tam, gdzie zawsze, na Ogrodową.

Modlił się tylko, żeby nie spotkać Arka. Nie miał ochoty rozmawiać z nikim. Ulżyło mu, kiedy zobaczył, że za barem stoi ktoś inny. Alkohol uderzył mu już do głowy, więc do recepcji podszedł, zataczając się. Był tak wściekły, że nie zauważył nawet grymasu obrzydzenia i pogardy recepcjonistki, kiedy mówił jej, jaki pokój chce wynająć.

Odebrał kartę wejściową do swojego apartamentu i doczłapał się do baru.

– Butelkę belvedera. Całą. I kieliszek – zawołał obcesowo. Barman nawet nie spojrzął na klienta, tylko podał flaszkę i wymamrotał: „Dwieście pięćdziesiąt”. Marcina doprowadziło to do szału. Jak mógł go tak ostentacyjnie olać?! Wyjął dokładnie dwieście pięćdziesiąt złotych, złapał alkohol i nie odzywając się słowem, odszedł od lady.

Wsiadł do windy. Poczuł dziwne ukłucie w sercu, kiedy wysiadał na tym samym piętrze, na którym pierwszy raz spotkał Julię. Miał ochotę splunąć na dywan, ale w ostatniej chwili się powstrzymał. Wszedł do pokoju, rzucił się na kanapę, stawiając na szafce wódkę i kieliszek. Zdjął banderolę. Odkręcił i przyłożył nos do szyjki butelki. Pachniała doskonale. Zachęcała do wypicia całej naraz. Bynajmniej! Marcin zamierzał delektować się nią do białego rana. Zaczął się śmiać. Czuł wolność i szczęście. W końcu nie musiał trzymać z tyłu głowy myśli o tej idiotce.

Rozchichotany, nalał pełny kieliszek i uniósł wysoko do góry.

– Twoje zdrowie, Juleczko! – zawołał i przelał swoją ambrozję do gardła.

Taaaaak, właśnie tego potrzebował. Czuł, jak rozluźniają się jego mięśnie, jak umysł staje się swobodniejszy. Zamknął oczy. Widział swoją firmę, kwitnącą i osiagającą sukcesy. Swoje auta, mieszkania, kobiety. Siebie w doskonale skrojonym garniturze na jakiejś biznesowej gali. To było życie! Sam sobie na to wszystko zapracował i to doprowadzało go do ekstazy. Nie było tam miejsca na ścierę pokroju Julii.

Wesoły, wlał kolejny kieliszek, wypił bardzo powoli i włączył telewizor.

Znalazł jakiś koncert operowy i rozpląnął się w błogiej, beztroskiej przyjemności. Butelkę opróżnił powoli. Nie spieszył się kompletnie nigdzie. Subtelnie dozował sobie alkoholowe odrętwienie. Kiedy skończył, zadzwonił po room service, żeby przynieśli mu drugą. Było już późno w nocy, gdzieś koło trzeciej. Kelner z zaspanymi oczami szybko zostawił zamówienie i błyskawicznie ulotnił się, ciesząc się z sowitego napiwku.

Marcin, mimo że pił bardzo powoli, czuł się coraz bardziej pijany. Nie powinno tak być, ale trudno.

– Ci ludzie niczego nie rozumieją... – zaczął mówić do siebie, gapiąc się w gęsty płyn wewnątrz butelki. – Nie wiedzą, że na wszystko trzeba sobie zapracować. Nic nie przychodzi za darmo. Juleczka myślała, że zaświeci mi cyckami i dupskiem i wszystko jej się będzie należeć. Idiotka! – krzyknął i zaczął się histerycznie śmiać. Przez chwilę przeszła mu myśl, żeby zadzwonić do niej i ją zwymyślać, ale uznał, że nie będzie psuć sobie humoru. Nalał sobie kolejny kieliszek, rozlewając wódkę po stole. Uniósł go wysoko i, oblewając się, wrzasnął: – ZA ZWYCIEZCÓW!

Kiedy zadzwonił telefon, Marcin był pewien, że tuż nad jego głową wybuchł granat. Otepiający gwizd w uszach, przeszywający ból pod czaszką, brakowało tylko strugi krwi, której mimochodem wypatrywał. Dopiero po kilku sekundach zorientował się, że przyczyną jego cierpienia jest wrzeszcząca komórka.

Dźwięk dzwonka rytmicznie przeszywał całe jego ciało. Ślepy jak kret, po tym nagłym przebudzeniu, wymacał telefon gdzieś na podłodze.

– Ja pierdolę... – wyszeptał, widząc, że dzwoni Skonieczny. Odebrał i chrypliwym, wyczerpanym głosem powiedział:

– Halo...

Z drugiej strony przywitała go cisza. Dopiero po chwili Andrzej odezwał się.

– Cześć. Jeśli cię obudziłem, to lepiej zbij dupę w troki i przyjeżdżaj do siedziby. O dwunastej jest zebranie zarządu. Nie spóźnij się.

Głos Skoniecznego był stanowczy i oficjalny. Marcin nie zdążył się odezwać, a telefon zamilkł. Nie do końca wiedział, co się dzieje. Z trudem zrozumiał wiadomość współnika.

Zerknął na zegarek. Dziesiąta. Miał, na szczęście, trochę czasu na ogarnięcie się. Rozejrzał się tępo po pokoju. Śmierdziało w nim wódką, ale nic dziwnego, bo jedna z butelek leżała w wielkiej kałuży alkoholu. Musiał ją przewrócić i rozlać zawartość, ale jak i kiedy – nie pamiętał. W ogóle nie pamiętał ani tego, o której zasnął, ani co robił. Szybko zerknął na telefon. Ufff. Nie dzwonił i nie pisał do nikogo. Całe szczęście.

Z ogromnym trudem zwał się z łóżka, na którym spędził noc. Doczłapał do łazienki i zerknął w lustro. Wyglądał jak wrak i tak też się czuł. Po co tyle chlął?

Przez jakiegoś babsztyla? Bez sensu.

Przemył twarz wodą i rozebrał się. Wskoczył pod prysznic i pomimo że powodowało to ogromny ból, umył się pod najzimniejszą wodą. Wyszedł po kilku minutach. Wciąż czuł się pijany, ale chociaż obudził się nieco. Na śniadanie w hotelu było już za późno, więc musiał zjeść na mieście. Zadzwoił do recepcji i poprosił o taksówkę. Musiał zajrzeć do domu i założyć coś świeżego.

Udając, że nie widzi zażenowanych spojrzeń, zapłacił za pokój i wsiadł do taksówki. Czuł coraz większą kluchę w gardle, im bardziej zbliżali się do domu. Nie zależało mu na Julii i jej opinii, ale w jakiś dziwny sposób cały czas myślał, że nie chce, aby widziała go w takim stanie. Wbiegł do mieszkania i szybko się rozejrzał. Wszystkie rzeczy Julii zniknęły. Ulżyło mu.

Ubrał się w pierwszy outfit, jaki wpadł mu w ręce. Tego dnia żadna szata nie miała szansy, żeby go ozdobić. Zdyszał się przez pośpiech, więc usiadł na kilka chwil na kanapie i zadzwonił po kolejną taryfę.

Taksiarz podwiózł go na Piotrkowską, gdzie musiał coś szybko zjeść. Na samą myśl o jedzeniu czegokolwiek zemdliło go. Bez zastanowienia wszedł do cukierni, zamówił kawę i szarlotkę i klapnął ciężko na plastikowym krzesełku. Po chwili chleptał chciwie kawę, szukając na próżno pobudzenia i odświeżenia. Zmęczył szarlotkę i wybiegł na ulicę, wiedząc, że zaczyna brakować mu czasu.

Nie było sensu brać już taksówki. Do siedziby miał zaledwie kilkaset metrów. Pognał Narutowicza, oddychając z trudem. W moment zrobiło mu się gorąco i zaczął się pocić. Będzie wyglądać jak jakiś śmierdzący menel. Szlag by trafił tego Skoniecznego! Czemu akurat dziś?

Idąc w kierunku biurowca, Marcin zaczął zastanawiać się, po co w ogóle to zebranie. Przecież wszystko było w najlepszym porządku. Nie miały miejsca żadne poważne komplikacje, nie planowali jakichś gigantycznych inwestycji...

Zaczęło kręcić mu się w głowie. Kac robił swoje, kawa również. Serce łomotało jak oszalałe. Pociły mu się dłonie i wciąż przyspieszał oddech. W życiu nie czuł większego stresu. On! Perfekcjonista! Zimny, wyrachowany gracz! Absolutny władca własnego życia, emocji i uczuć!

Było fatalnie. Na miejsce dotarł za pięć dwunasta. Wypadł z windy, wbiegł do biura i... stanął jak wryty. Na fotelach siedzieli już dwaj komandytariusze. Nie. Nie ich przedstawiciele. Stawili się osobiście. Ludzie, których sam na oczy widział raz, przyjechali na to spotkanie. Coś grubego musiało wisieć w powietrzu.

Marcin poczuł, że ktoś się w niego wpatruje. Obrócił głowę w lewo i zobaczył ostre spojrzenie sekretarki.

– Witam – odezwała się sucho. – Strasznie pan wygląda. Co, wczoraj się popiło? – Marcin był zaskoczony zuchwałością kobiety.

– Dzień dobry – powiedział pretensjonalnie. – Nie pani interes. Będę musiał się zastanowić, czy zostawić panią na stanowisku. Co za bezczelność... – rzucił

oschle.

– To się okaże – usłyszał i zagotowała się w nim wściekłość. Bezczelne babsko! Kolejne! Już zaczął otwierać usta, żeby jej odpowiedzieć, gdy ktoś złapał go za barki.

– Dobrze, że jesteś w porę. Zaczynamy – usłyszał głos Skoniecznego.

Marcin obrócił się, ale Andrzej nawet na niego nie spojrział. Tylko otworzył drzwi do salki konferencyjnej i przepuścił go. Marcin przywitał się, starając się wypaść jak najlepiej, ale był tak zdenerwowany, że nie dało się tego ukryć. Komandytariusze spojrzeli się na niego, unieśli brwi i pokręcili głowami, zerkając po sobie. Żaden nie odpowiedział na przywitanie, jedynie podali mu rękę. Nie było dobrze.

Marcin usiadł, jak zazwyczaj, obok Andrzeja. Ten ostentacyjnie odsunął się od niego o kilka centymetrów. Co za festiwal chamstwa! Co tu się, do cholery, wyprawia? Myśli kotłowały się w głowie Marcina, tworząc bezkształtną masę. „Zaraz im pokażę! Niech tylko skończą te swoje dyrdymały! Od czego zacząć?”

Jego zamyślenie przerwał głos Skoniecznego.

– Szanowni Państwo. Otwieram zebranie spółki komandytowej Strumień. Program zebrania jest dziś krótki. Zajmiemy się jedynie sprawą odsprzedaży udziałów obecnego tu pana Marcina Pieniążka firmie Wanergy. Jeśli do sprzedaży dojdzie, zwołane zostanie kolejne zebranie, na którym podjęty zostanie temat przekształcenia spółki Strumień w spółkę akcyjną – mówił spokojnie, jak spiker wieczornych wiadomości, klepiący tysięczny raz tę samą nudną formułkę.

– SŁUCHAM?! – wydarł się Marcin i zerwał z krzesła. – Jakiej, przepraszam, sprzedaży? Nie zamierzam sprzedać nawet najmniejszego kawałeczka tej firmy nikomu, a już na pewno nie tym hienom z Wanergy! Co tu się wyprawia, Andrzej?! Możesz mi to wytłumaczyć?! – krzyczał głośno i histerycznie. Komandytariusze patrzyli na niego zażenowani jego reakcją. Andrzej nawet nie kiwnął głową w stronę Marcina. Zaczął spokojnie mówić, jakby wszystko miał wcześniej zaplanowane.

– Po pierwsze, panie Marcinie, proszę zachowywać się kulturalniej. Nie jest pan na stadionie, żeby krzyczeć. W przeciwnym wypadku będę zmuszony pana stąd wyprosić. – Marcina zamurowało. Gapił się w niewzruszoną facjatę współnika i nie wierzył w to, co słyszy. – Po drugie, pojawiła się oferta sprzedaży, ze strony Wanergy. Uważamy, że jest ona wyjątkowo korzystna i pozwoli naszej firmie rozwijać się jeszcze intensywniej. Proszę zapoznać się ze szczegółami. – Podsunął Marcinowi kartkę z masą cyferek.

Pieniążek zerknął szybko na zestawienie. Liczby były oszałamiające. Proponowali mu pięćdziesiąt milionów złotych za jego udziały i gwarantowali wkład w spółkę w wysokości stu milionów. Nic dziwnego, że te głąby ucieszyły się na ten pomysł.

– Piękne cyferki, Andrzejku, ale nigdy się na to nie zgodzę, nawet za taką cenę. Zresztą... nawet jeśli, to chciałbym zobaczyć, czy nie pojawią się inne, ciekawsze oferty. Skonieczny zaśmiał się głośno. Szybko wyjął z teczki kolejny dokument. Marcinowi zakręciło się w głowie. Od razu wiedział, co to jest. To ta zaszracona umowa! Wydarł Skoniecznemu kartkę z ręki. Widniał na niej zamaszty podpis Marcina. Nie do podrobienia.

– Skąd to masz? – warknął.

– Pan Andrzej Sulima dostarczył mi to wraz z propozycją odkupienia pańskich udziałów. – Uśmiechał się, mówiąc te słowa, co doprowadzało Marcina do szaleństwa. Nagle obrócił głowę w stronę Pieniązka i z tym samym, szyderczym uśmiechem kontynuował:

– Swoją drogą zdecydowałeś się na bardzo ciekawy układ. Kompletnie nie w twoim stylu. Zamiast zostać niezależnym, wolałeś żyć taniej z wyrokiem, o którym, swoją drogą, zapomniałeś. – Andrzej w oczach miał diaboliczną pasję. Wyglądał, jakby największą przyjemnością było dla niego deptanie po wspólniku.

– Myślałeś, że Sulima nie będzie chciał nigdy odkupić od ciebie Strumienia, wiedząc, co jest w umowie? – kontynuował. – I że ot tak odda ci swoją technologię, nie żądając nic w zamian?

– Mogę się nie zgodzić, dobrze o tym wiesz – przerwał mu Marcin. – Zresztą, co ja gadam... Po prostu nie zgadzam się. Nie i już. Pod żadnym pozorem! – zripostował Marcin. Andrzej roześmiał się, komandytariusze też zdawali się być rozbawieni. Tak jakby wiedzieli, co się w każdej chwili wydarzy. Jakby oglądali ten film wcześniej i czekali na ten najlepszy, najzabawniejszy moment.

– Świetnie. Słyszeli panowie? – zapytał Skonieczny. Tamci kiwnęli głowami. – W takim razie drobna korekta planu zebrania. Zajmijmy się wnioskiem o usunięcie ze spółki pana Marcina Pieniązka ze względu na działanie na szkodę firmy.

Marcin aż podskoczył z zaskoczenia i złapał się za głowę.

– Jak... usunąć?! Co?! Jaka szkoda firmy? – wrzeszczał. – Przecież ja to wszystko stworzyłem! To dzięki mnie jesteśmy tu, gdzie jesteśmy! Jakim prawem, skurwysyny?! – krzyczał, w ostatniej chwili powstrzymując się od rozbicia szklanego stołu. Andrzej wyciągnął kolejną kartkę z teczki, za nic mając histerię wspólnika.

– Panie Marcinie, proszę po raz ostatni, niech się pan uspokoi! – powiedział obojętnie. – Przeczytam panu teraz argumentację wniosku, a pan sam oceni, kto ma słuszność. I wybaczy, że pominę te wszystkie grzecznościowe wstępy. – Odchrząknął ostentacyjnie i zaczął powoli i wyraźnie czytać:

– Punkt pierwszy. Pan Marcin Pieniążek swoimi zachowawczymi decyzjami blokuje rozwój firmy. Jako przykład może posłużyć wchodzenie na rynek województwa wielkopolskiego. Pan Marcin upierał się przy zastosowaniu bardzo

powolnej i kosztownej metody, to jest wyłącznie przez działania marketingowe. Liczył, że dzięki odpowiedniemu nagłośnieniu działalności Strumienia klienci państwowi i publiczni zaczną sami zgłaszać się do korzystania z usług firmy.

Dużo czasu zajęło przekonanie pana Marcina, aby zastosować agresywniejsze rozwiązanie, to jest budowanie elektrowni na własny koszt, a następnie sprzedawanie jej zainteresowanym podmiotom. Skutkiem tego weszliśmy na tamten rynek aż trzy miesiące później, niż było to pierwotnie planowane, co oczywiście miało odzwierciedlenie w mniejszych przychodach. Należy także nadmienić, że agresywna strategia okazała się strzałem w dziesiątkę, przynosząc dużo większe korzyści niż kosztowna i ryzykowna kampania marketingowa.

Punkt drugi. Pan Marcin Pieniążek posiada niestety zaburzenia osobowości, powodujące fakt, że jest całkowicie niezdolny do oceniania siebie i swoich działań w negatywny sposób. Mówiąc kolokwialnie, pan Marcin uważa, że zawsze ma rację. Skutkiem tego naraża spółkę na niebezpieczeństwo popełnienia kosztownego, indywidualnego błędu.

W większości spornych kwestii upiera się przy swoim zdaniu do samego końca, niepotrzebnie wydłużając procesy podejmowania decyzji. Nie potrafi pójść na kompromis, nie godzi się na rozwiązania częściowe. W obecnych czasach priorytetem jest szybkość i elastyczność, a tych dwóch elementów pan Marcin zapewnić nie jest w stanie.

Punkt trzeci. Pan Marcin może być zagrożeniem dla wizerunku firmy ze względu na silne skłonności do nadmiernego spożywania alkoholu.

Skonieczny uniósł wymownie brwi i, zerkając na komandytariuszy, delikatnie skinął głową w stronę siedzącego jak skazaniec Marcina, chcąc jakby powiedzieć: „Sami, panowie, widzicie...”. Kontynuował:

– Skutkiem tego istnieje ryzyko, iż pan Marcin będzie, na przykład, podejmował decyzje pod wpływem alkoholu lub doprowadzi do wybuchu skandalu, dajmy na to spowodowanego prowadzeniem auta na tak zwanym „podwójnym gazie”. Nasza firma musi mieć wizerunek godnej zaufania i etycznie czystej, aby móc budować zaufanie w relacjach z klientami w tak wrażliwej branży jak energetyczna. – Skonieczny uśmiechnął się blado, odkładając kartkę. – Zdanie komandytariuszy już znam, uważają podobnie jak ja. A co na to wszystko pan, panie Marcinie? – powiedział i uśmiechnął się przymilnie.

Pieniążek patrzył z nienawiścią na trzech mężczyzn siedzących przy stole. Wiedział, że nawet jeśli nie mają racji, to jego argumentacja w tej chwili jest bez znaczenia. Skonieczny zaczarował ich już po swojemu. Westchnął głęboko i miał już zacząć mówić, kiedy poczuł falę wściekłości, wywołanej bezsilnością. Uderzył pięścią w stół i wstał, odrzucając z potężnym hukiem krzesło do tyłu.

– Hieny! – krzyknął. – Sprzedajne kurewki! Sępy zaplute! Ile ci dali,

Skonieczny, co? Od początku byłeś pieskiem u Sulimy czy dobrał się do ciebie później? – Nachylił się nad w zasadzie dawnym już współnikiem i zajrzał mu głęboko w oczy. Jak zwykle były irytująco puste i nie zdradzały nawet najmniejszego śladu innego uczucia poza obojętnością.

– Frajer, kurwa i dupodajka jesteś, hieno. Żyjesz z żerowania na tym, co tworzą inni. – Rozejrzał się szybko po sali. – Życzę panom udanych interesów z tą gniadą. – Wrócił wzrokiem na Skoniecznego. – Sprzedam te udziały, skurwysynu. Nie oddam za darmo czegoś, na co pracowałem całe życie. Zabierasz mi sens mojego życia, dobrze o tym wiesz. Moją jebaną krwawicę! Mam nadzieję, że jak będziesz w końcu zdychał, to zanim wezmą cię diabli, zeżrą cię od środka wyrzuty sumienia. Oj tak! Tak mocno będą gryźć, że odczujesz fizyczny ból. I sześniesz w gównie – ostatnie zdanie wysyczał, po czym napluł na stół i wyszedł, łupiąc drzwiami. Nie widział już, jak Skonieczny z szerokim uśmiechem ściska dłoń komandytariuszy, przepraszając za całe zamieszanie i gratulując sukcesu.

Wychodząc, Marcin podszedł do asystentki, która nawet nie podniosła głowy znad komputera. Oparł się obiema rękami na biurku i nachylił w jej stronę.

– Jeszcze dziś twój mąż dowie się, że puszczałaś się ze Skoniecznym – szepnęła, po czym wyszedł z siedziby, ignorując jej wrzaski i błagania, żeby tego nie robił. Znalazł się na ulicy. Było obrzydliwie duszno, a Marcin najbardziej w tej chwili marzył o kuble zimnej wody, żeby się uspokoić. Wziął wdech i splunął jeszcze raz, tym razem przy wejściu do biurowca. Rozejrzał się po okolicy. Nigdy tu nie bywał bez auta. Zobaczył skwerek. Niewielki, brudny miejski skwerek. Mizerną enklawę zieleni pośród betonu i spalin. Poszedł tam szybkim krokiem i usiadł ciężko na ławce. Przykrył twarz dłońmi.

Nie wierzył w to, co się stało. Czuł się, jakby cały czas się nie obudził. Jakby śnił mu się jakiś fatalny koszmar, wywołany nadmiarem wódki. Był niewiarygodnie wściekły. Miał ochotę coś zniszczyć. Oddychał ciężko. Pot spływał mu, nomen omen, strumieniami po plecach. Spojrzał w lewo i w oddali zobaczył kamienicę, w której mieściło się biuro Wanergy. Zapomniał, że to tak blisko od jego własnej siedziby.

Przez myśl przemknął mu pomysł, aby pójść tam i podpalić to miejsce albo chociaż zrobić porządną rozróbę. Rąbnął pięścią w ławkę, jakimś cudem nie łamiąc ani jej, ani dłoni. Przecież to bez sensu, nie będzie się teraz zachowywać jak gówniarz!

Nienawidził całego świata. Julii, Skoniecznego, asystentki, wszystkich ludzi, którzy go mijali, a w szczególności nienawidził Sulimy. Sulimy! Szybko sięgnął po telefon. Znalazł prywatny numer do tego skurwysyna i zaczął dzwonić.

– Dzień dobry, panie Marcinie. Czemu zawdzięczam ten telefon? – odebrał spokojny i jak zawsze „ojcowski” Sulima.

– Słuchaj no, łachudro. Co to za numery, co? – Marcin zaczął wrzeszczeć. –

Po co było to wszystko, ten teatrzyk? Nie mogłeś zadzwonić normalnie i porozmawiać ze mną, tylko jakieś teatrzyki ze Skoniecznym sobie wymyśliłeś? Nie dość, że pozbawiłeś mnie dorobku całego życia, to jeszcze ośmieszyles w oczach inwestorów. Tyle czasu walczyłem o ich zaufanie, a ty zrobiłeś ze mnie jakąś kukielkę! Gnido! Po co ci to wszystko? Żeby mi dopiec? – krzyczał z furją, jakby chcąc tymi słowami sprawić fizyczny ból rozmówcy. Tymczasem Sulima milczał.

– JESTEŚ TAM, PEDALE? – zawył Marcin, nie wytrzymując już nerwowo.

– Tak, panie Marcinie, jestem. I proszę mnie nie obrażać. – Spokojny ton Sulimy, był jeszcze bardziej irytujący niż cisza przed momentem. – Ja panu nic nie zrobiłem. Przecież wszystko jest zgodnie z umową. Wołałem najpierw dogadać się z pozostałymi, żeby mieć pewność, że uda mi się namówić do sprzedaży również pana, bo, jak rozumiem, zgodził się pan. Prawda? – zapytał.

– Tak, zgodziłem się, a co miałem zrobić? Nie zostawili mi wyboru! Nie zostawiliście, hieny! – głos łamał mu się coraz bardziej, przeciążony od ciągłych wrzasków.

– Nie, panie Marcinie, tu się pan myli. Nie zostawił pan wyboru sam sobie. Czyż nie uważa pan, że każda decyzja ma skutki w przyszłości? To chyba pan mi sam kiedyś tak mówił, że każdy decyduje o sobie i swoim losie. Nikt inny. I tylko do siebie można mieć pretensje, kiedy coś pójdzie nie tak...

Marcinowi kręciło się w głowie od wściekłości. Ten stary przyk jeszcze go pouczał!

– Tak się dzieje, Sulima. Pod warunkiem, że nie trafia się na hieny, które marzą tylko o tym, żeby cię oszukać! – krzyknął do słuchawki, którą miał ochotę rzucić o ziemię i podeptać.

– Cóż... To albo ma pan jakieś swoje zdanie, albo dostosowuje poglądy do sytuacji. Trzeba coś wybrać. Radzę panu zdecydować się na to pierwsze. Będzie trudniej, ale będzie pan miał na czym się oprzeć w przyszłości.

– Wielkie dzięki za radę – warknął Marcin. – Nie odpowiedziałeś mi na pytanie – po co mi to zrobiliście, co? Słucham...?

– Panie Marcinie. Nikt panu nic nie zrobił. – Sulima zdawał się być pomału znudzony konwersacją. – Nie jest pan ani pierwszym, ani nie ostatnim, który odsprzedaje udziały w firmie, którą sam stworzył. Proszę się nie martwić, dostanie pan za to odpowiednią kwotę.

– Nie zależy mi na pieniądzach, tylko na firmie... – wycedził przez zęby Marcin. Sulima zaśmiał się.

– To czemu ją pan tak łatwo oddał już na samym starcie? – ton Sulimy stał się nagle ostry i agresywny. – Myślał pan, że jak dostanie naszą technologię za darmo, to nie będziemy chcieli odzyskać tego, co włożyliśmy? Od pierwszego spotkania wiedziałem, że jest pan tak zdeterminowany, by założyć tę działalność,

że zgodzi się pan na wszystko. Nawet na to, żeby rozkręcić nam biznes własnymi rękami. Nie myliłem się. Podobnie jak później, podsyłając panu Skoniecznego. Przecież sam pan go nie znalazł... – Sulima przerwał na chwilę, czekając chyba na komentarz Marcina, ale ten nie był w stanie wydusić z siebie choć słowa. Był w szoku, słysząc te wszystkie rewelacje. – Wpuścił pan tego lisa do własnego kurnika, chociaż każdy inny na pana miejscu zacząłby coś podejrzewać. Czemu zjawiał się tak nagle i to akurat w momencie, kiedy był pan już najbardziej zdesperowany? Czemu godził się na wszystko? Nie miał nic do powiedzenia do momentu założenia spółki? Czemu starał się później z panem zaprzyjaźnić? – Sulima wypluwał kolejne pytania jak kobra truciznę.

– Tu mnie pan rozczarował. Liczyłem, że po pierwsze – odpuści pan sobie szukanie kogoś więcej do współpracy, a po drugie – jeśli już pan kogoś weźmie, to nie będzie to taka menda jak Skonieczny. Każdy w Polsce wie, że to człowiek bez skrupułów, nastawiony tylko na zysk, idący do celu po trupach. Każdy poza panem. Bo pan masz klapki na oczach i leziesz przed siebie z poczuciem, żeś jest idealny i nieomylny. Nikt nie jest. – Znow krótką przerwa, wciąż bez reakcji Marcina. Tymczasem Sulima znow stał się spokojny i jakby troskliwy.

– Widzisz... jeśli czujesz się silną jednostką, to nie pakuj się we współpracę z kimkolwiek. Jak robisz coś po swojemu, to rób to od początku do końca samemu. Nie kupuj licencji od innych, tylko wymyśl swoją technologię. Nie obkładaj się doradcami, bo tylko otepiasz swoje własne myśli. Nie wiń nikogo wokół, a jedynie siebie. Analizuj każdy, KAŻDY krok na chłodno i bez emocji. Odetnij się od ego. I przede wszystkim – żyj czymś więcej niż pracą, bo pracuje się dla pieniędzy, a kiedy będziesz miał już ich tyle, że nie będziesz musiał pracować, to zostanie ci w rękach i głowie pustka. Powodzenia, Marcin, nie poddawaj się.

Pieniążek jęknął przeraźliwie, kiedy zorientował się, że Sulima się rozłączył. Próbował dzwonić jeszcze dziesięć razy, ale już nikt nie odbierał. Marcin krzyczał do milczącego telefonu:

– Nienawidzę cię, nienawidzę, nienawidzę, NIENAWIDZĘ! W końcu z furią rzucił aparat o chodnik i złapał się za głowę.

„Co ja takiego robię? Co jest nie tak? Przecież wszystko było idealne, od samego początku. Tak jak miało być, a nawet lepiej”. Wciąż był o krok dalej, niż planował być. Gdyby nie te hieny, miałby wszystko! Już niedługo! Pewnie sam by w końcu kupił Wanergy, bo wiedział, że któregoś dnia ich prześcignie i to używając ich własnej broni!

Nagle poczuł się straszliwie słaby. Adrenalina zaczęła odpuszczać, ciśnienie coraz bardziej spadać, skwar wciąż doskwierał, a przecież wciąż nie jadł prawie nic... od samego rana! Wstał z ławki i bardzo powoli poszedł na poszukiwanie jakiejś knajpy. Nie zależało mu na niczym, więc wszedł do pierwszego lepszego baru mlecznego, jaki napotkał, i zamówił danie dnia.

Chociaż jedzenie było obrzydliwe, to pochłonął je w moment. Nawet twardy kotlet i niedogotowane ziemniaki nie robiły mu już różnicy. Czuł, jak dopada go drętwo. Nie miał siły ruszyć choćby małym palcem i nie była to bynajmniej kwestia braku energii. Nie widział sensu robienia czegokolwiek. Otaczała go wszechobecna, beznadziejna pustka.

Wyszedł z knajpy w beznadziejnym nastroju. Nagle zrobiło się ciemno, prawie jak w nocy i zaczęło okrutnie lać. Ludzie uciekali, żeby schować się do bram i przeczekać to oberwanie chmury. Marcinowi było wszystko jedno. Wlókł się przed siebie. W moment przemokły mu buty. Ubrania nasiąkały mu aż do bielizny, obrzydliwie oblepiając ciało. Nie dbał o to. Szedł przez miasto, wyglądając jak ponury duch. Nie podnosił wzroku z chodnika. Przypominał skazańca w drodze na wykonanie wyroku śmierci.

Idąc przez spływające deszczem miasto, myślał o tym, jak dużo racji miał Sulima. Dopiero teraz docierało do niego, jak wiele popełnił błędów, jak często szedł na łatwiznę. Zapomniał, że postanowił sobie osiągnąć wszystko ciężką pracą, ale kiedy tylko mógł, to tej harówki unikał. Nie wiedział czy z lenistwa, czy ze strachu, czy dla świętego spokoju. Fakt był taki, że sam wplątał się w ten syf.

W końcu dowłókł się do domu. Wszedł do mieszkania i pierwszy raz w życiu uderzyła go pustka. Zawsze cieszył go święty spokój w czterech kątach, ale teraz... Marzył, żeby gdzieś leżały zostawione brudne naczynia, żeby ciuchy z wczoraj wisiały na krześle. Najbardziej pragnął jednak tego, żeby w tym mieszkaniu ktoś oprócz niego był.

Jednak nie było nikogo i dobrze wiedział czemu. Do wczoraj myślał, że to on rządził w tym związku, ale właśnie zrozumiał, że nie miał wpływu na nic. Na co miał mieć, skoro był wiecznie nieobecny?

Rozebrał się do naga i dopiero wtedy przeszło go cholernie przenikliwe zimno. Błyskawicznie wszedł pod kołdrę i owinął się szczelnie, ale wolałby rozgrzać się ciepłem ciała drugiej osoby. Zadzwoiłby do Julii, może nawet by wróciła, ale roztrzaskał telefon i nawet nie miał jak zatelefonować. Był całkowicie sam, on jeden jedyny na całym świecie. Znów poczuł, jak narasta w nim wściekłość. Leżał na łóżku i wyobrażał sobie, jak pluje na twarze wszystkich, którzy go skrzywdzili. Nienawidził ich, tylko to zajmowało jego myśli.

Mimo że było dopiero popołudnie, ciemne chmury szczelnie zasłaniały słońce, dając wrażenie, jakby był już wieczór. I choć było dopiero popołudnie, Marcin próbował zasnąć. Chciał uciec od dręczących go myśli. Wciąż się w nim gotowało, więc długo miotał się na łóżku, zanim udało mu się choć odrobinę uspokoić. W końcu usnął...

*

Wydawało się, że czas stanął w miejscu. Nie... było gorzej. Czas wciąż

ciągnął się do przodu, ginął bezpowrotnie, ale nic nie posuwało się we właściwym kierunku. Zwykło się mawiać, że kto nie idzie do przodu, ten się cofa. Tak właśnie było z Piotrkim. Wcześniej ciężko mu było napisać choćby wers na płytę, ale miał jakieś pomysły. Dzisiaj nie miał nic. W głowie miał pustkę, jakby ciemną materię, która swoim ciężarem ściągała go coraz niżej w dół i w dół.

Twórcza indolencja wprawiała go w gigantyczną frustrację. Wściekał się na siebie, Ankę, hałas za oknem, a za chwilę na kłującą w uszy ciszę. Wychodził na spacer, czasem po kilka razy dziennie, starając się złowić choćby strzępki weny. Czasem nawet wydawało mu się, że już ma jakąś koncepcję, po czym siadał nad kartką i... znów nic. Postanowił zmienić strategię. Chciał poprosić Krawca o kilka bitów i spróbować napisać coś pod nie. Nie musiałyby to być nic konkretnego – ot, cokolwiek na rozkręcenie.

Zadzwoił do niego kilka razy, ale za każdym razem nikt nie odpowiadał. Napisał kilka SMS-ów, ale też pozostały bez odpowiedzi. Piotrek nie zwykł odpuszczać w takich sytuacjach, więc postanowił przejść się z osobistą wizytą do beatmakera.

Nie do końca pewny swego stanął przed dobrze znanymi mu drzwiami mieszkania Krawca i Mińskiego i zapukał. Długo czekał na otworzenie drzwi, chociaż słyszał, że ktoś kręci się po drugiej stronie. W końcu zamek zastukał głośno i pytające spojrzenie Piotrka napotkało obojętne oczy Krawca.

– A to ty... czego chcesz? – przywitał go sucho DJ. Nie wróżyło to najlepiej.

– Chciałem się zapytać... czy... czy podrzuciłbyś mi jakieś bity? Potrzebowałbym kilka do pracy nad płytą... – drżącym i niepewnym głosem wydukał Piotrek. Oczy Krawca powędrowały do góry, jakby zastanawiał się nad odpowiedzią. Zapłonęła iskierka nadziei, tym bardziej, że na twarzy DJ zaczął pojawiać się blady uśmiech. W końcu wyszczerzył zęby i bez słowa, obcesowo zatrzasnął drzwi tuż przed nosem Piotrka. Ten nie miał już siły się wściekać. Nawet nie poczuł się urażony. Ciężka pustka znów opanowała cały jego umysł, wlewając się szczelnie w każdy zakamarek. Niosąc na plecach kilkutonowy ciężar beznadziei, zszedł po schodach, obracając w myślach tylko jedno zdanie – nie masz już czego tu szukać. Tu i wszędzie, gdzie drzwi otwierała znajomość z Mińskim. Nie było szans na bity, na studio, na okładkę, na promocję, na koncerty. Nie było złudzeń – bez Mińskiego nie było szans na płytę. To oznaczało koniec marzeń, planów, koniec całej tej żmudnej wspinaczki, a przede wszystkim – powrót do rzeczywistości, w której nic nie jest pewne, a żaden wybór nie jest słuszny.

Piotrek machinalnie wszedł do sklepu i zaopatrzył się w czteropak. Zrobił to tak beznamiętnie, że zaskoczył tym sam siebie. Nawet przez sekundę nie zastanowił się, czy to ma sens, czy to mu w jakiś sposób pomoże. Po prostu kupił alkohol i skierował się do domu, żeby w końcu przykryć swoje problemy płaszczkiem pijackiej obojętności.

Wszedł do domu i dziękował Bogu, że Anka jest w pracy. Nic by go teraz nie rozsierdziło tak bardzo jak pytanie „Co się stało, skarbie?”. Usiadł na skraju łóżka, postawił piwo na stoliku obok i zaczęła w nim narastać wściekłość. Dlaczego tak się stało? Dlaczego stracił możliwość realizowania swoich marzeń? Uświadomił sobie, jak bardzo był zależny od Michała. Powinien wszystko robić po swojemu, a nie stawiać wszystko na tę jedną, niepewną kartę. Przy pierwszej okazji został najpierw wykorzystany, a później pozostawiony sam sobie. Takim właśnie przyjacielem był Miński...

Przez chwilę, wracając do domu, Piotrek miał ochotę zadzwonić do Michała, dogadać się z nim, nawet przyznać mu rację, byle tylko móc realizować swoje rapowe marzenia. Teraz nie wyobrażał sobie, żeby wymienili jeszcze kiedykolwiek chociaż dwa zdania. Nie, nie i jeszcze raz nie. Nigdy. Będzie niezależny, stanie na nogi po swojemu, a tamten będzie jeszcze kiedyś go błagał o przebaczenie.

Uśmiechnął się szeroko i wyszarpał puszkę z foliowego opakowania. Z gigantyczną satysfakcją strzelił kluczykiem i sarkastycznie uniósł piwo wysoko w górę.

– Twoje zdrowie, łazęgo! – powiedział i wydudnił połowę zawartości puszki naraz. Poczul się błogo. Położył się na łóżku, wyciągnął wygodnie nogi, po czym zaczął planować swoją nową, lepszą przyszłość.

Na początku zamierzał potwierdzić swoje umiejętności na dwóch najbliższych bitwach, w Wawce i Białymstoku. Wcześniej zaczął od freesu i się opłaciło, to czemu nie zrobić tak jeszcze raz? Miał ten luksus, że był teraz bardzo mile widzianym gościem, zapraszany jako jedna z gwiazd, więc mógł wymagać darmowego noclegu czy przejazdu. Zwycięstwo w tych battle'ach to był czysty zysk, który mógł zainwestować w przyszłości w studio czy inne pierdoły związane z płytą. Musiał sobie rozpisać, co będzie potrzebować do jej wydania, a przede wszystkim – zaplanować, co na niej nagra.

Marzyła mu się energetyczna bomba. Petarda, pełna bangerów, które dają megapozytywnego kopa, sprawiają, że ludzie przy tych kawałkach skaczą po pokojach, roznoszeni przez adrenalinę. Oczywiście, przydałoby się kilka kawałków nieco bardziej refleksyjnych i dosłownie jeden czy dwa luźne, chilloutowe. Kiedy tak sobie to rozplanował, zaraz wpadło mu do głowy kilka pomysłów, które od razu, skrupulatnie zapisał. Zresztą – postanowił od teraz zapisywać wszystko, żeby nie zapomnieć o niczym i żeby nic mu się nie pomieszało przy nawale koncepcji i obowiązków.

Nawet nie zauważył, kiedy wytrąbił trzy piwa i poczul się wcięty. Przez chwilę miał wyrzuty, że znów kiedy do domu wróci Anka, będzie podchmielony, ale kiedy usłyszy, co wymyślił, to na bank mu wybaczy. Nie mylił się. Gniewała się może przez piętnaście sekund, zanim zobaczyła nabazgraną kartkę zatytułowaną „KONCEPCJA PŁYTY” i szeroki uśmiech Piotrka. Dawno nie

widziała go w takim humorze, więc nawet nie przeszło jej przez myśl, żeby prawić mu morały o nadużywaniu alkoholu.

Piotrek od razu wyciągnął ją na długi spacer, podczas którego nie przestawał mówić o tym, jakie ma plany i pomysły. Zdawało się, że był w stanie zarazić swoim entuzjazmem cały świat. Gdyby udało mu się tylko przelać to na płytę, wyszłaby z tego doskonała pozycja. Diament błyszczący pośród przeciętności. Wrócili do domu i zjedli pyszny makaron na kolację – w całości przygotowany przez Piotrką. Anka nie wierzyła, że w końcu wrócił do niej „jej dawny, zwariowany Iwan z czasów, kiedy go poznawała”.

Radość udzieliła im się tak bardzo, że kochali się przez dwie godziny, czując się tak doskonale jak nigdy. Najgorsze zdawało się być daleko za nimi, szczególnie za Piotrką. Wszystko ruszyło się na nowo i czas jakby zwolnił bieg, dając więcej szans na smakowanie życia...

Poranek w dniu bitwy przywitał go tak samo jak zazwyczaj ostatnio – bólem głowy i suchością w ustach. Trudno powiedzieć kiedy cztery piwa dziennie stały się wieczornym rytuałem, a kace – tradycją poranka, niczym pianie koguta o świcie.

Anka specjalnie wzięła wolne na ten dzień, żeby dopingować ukochanego. Wstała dużo wcześniej od Piotrka, naszykowała mu śniadanie, kanapki na drogę, nawet kupiła mu piwo na rozgrzewkę i sprawdziła wszelkie możliwe połączenia.

Iwan ostatnio nie miał głowy do organizacyjnych pierdół. Sporo pisał – trochę tekstów, a trochę prozy – ot, dla siebie, w ramach doskonalenia pióra i utrwalania przemyśleń. Wychodził o dziwnych porach, wracał czasem po dziesięciu minutach, a czasem następnego dnia. Bez przerwy chodził uśmiechnięty, zgadzał się na wszystko, nie przestawał mówić o „pozytywnym nastawieniu” i „afirmacji życia”.

Anka czuła się dziwnie w tym wszystkim, bo zaczynało brakować jej równowagi. Początkowo cieszyła się z poprawy nastroju Piotrka, ale z czasem zauważyła, że nie rozmawiają na tematy bardziej przyziemne niż kluczowa rola energii jako determinanty wszelkiego życia, a także sensu istnienia humanitaryzmu wobec doboru naturalnego. Lubiła czasem odpłynąć i pogadać o czymś ambitniejszym, ale faktem było to, że wszystkie przyziemne kwestie Piotrek zrzucił sobie z pleców. W związku z tym z potężnym hukiem spadły one na głowę Anki.

Nie miała ochoty psuć tego stanu, więc się nie odzywała. Trzymała swoje zdanie ukryte głęboko pod płaszczem opiekuńczości i zwyczajnej zaradności. Chciała artystę w domu, to miała go, wraz z całym dobrodziejstwem inwentarza. Może takie właśnie życie było jej pisane?

Piotrek zjadł ledwo pół jajecznicy i kawałek bułki, po czym wymamrotał, że to już mu wystarczy. Zniknął w łazience na kilkanaście minut, po czym wyszedł,

wyglądając, jakby przez ten czas tylko stał przed lustrem i gapił się we własne odbicie. W gruncie rzeczy tak właśnie było. Miał totalnego doła. Chwile euforii wywołane przez alkohol i endorfiny wydzielające się po seksie powodowały, że ciemna chmura na chwilę oddalała się od jego głowy. Gdyby nie Anka i spisana na kartce obietnica wobec samego siebie, najprawdopodobniej leżałby w łóżku, zerował kolejne puszki piwa i poza tym nie robił kompletnie nic.

Tego dnia dotarło do niego, jak niewiele działo się wokół. Mijały dni, a on nie robił nic poza skrobaniem tekstów. Gdyby to były jeszcze jakieś rewelacyjne zwroty, jak „Otwieraj!”... Niestety! Pisał może i dużo, ale po napisaniu dziewięćdziesiąt procent z nich miał ochotę wyrzucić do rzeki albo spalić, co zresztą z częścią tekstów potajemnie robił. Stroił się w piękną fasadę, nie chcąc dać po sobie poznać, że czuje się roztrzaskany w drzazgi. Płyta nie była ani o krok bliżej, mimo buńczucznych postanowień.

– Skarbie, zbieraj się, mamy mało czasu do autobusu! – zajęczała Anka. Była od dawna gotowa do wyjścia, zresztą Piotrek też, dzięki jej pomocy. Musiał się tylko ubrać, wyjść z domu i podążać za nią aż do celu. Jak pies na smyczy.

– Już idę, przecież jestem praktycznie gotowy... – wymamrotał. Nie miał najmniejszej ochoty wystawiać choćby czubka nosa za drzwi, tym bardziej że paskudna, szara zima szalała za oknem. W ślimaczym tempie wyciągnął z szafy pierwsze lepsze łachy, jakie udało mu się wygrzebać i wyjątkowo powoli zaczął wiązać buty, przygotowane zresztą już dużo wcześniej przez Ankę. Ta nerwowo tupiała nogą, czując upływający czas. W końcu nie wytrzymała.

– No rusz się wreszcie, niemoto! – krzyknęła. – Jedziesz na bitwę jako gwiazda, zwycięzca! Mam ci zawiązać sznurówki jak przedszkolakowi? Wyglądasz jak ostatnia pierdoła! Jak się jeszcze do tego spóźnisz, to już w ogóle wyjdiesz na idiotę, a nie rapera. – Spojrzała na niego ostro, po czym wyszła, ostentacyjnie zerkając na zegarek, kiedy tylko minęła próg. Piotrek poczuł, jak zaczyna się wściekać. Zarzucił szybko kurtkę i pobiegł za Anką, trzaskając po drodze najpierw drzwiami, a później starymi zamkami, w których ledwo dawało się obrócić klucze. Nie było komu wlać odrobinki oliwy, żeby posłużyły choć jeszcze kilka chwil...

Wyszedł przed kamienicę i zobaczył, że Anka przeszła już spory kawałek. Pobiegł za nią, mamrocząc pod nosem przekleństwa. Kiedy ją dopadł, chciał złapać ją za ramię, ale dziewczyna ostentacyjnie się odsunęła. Piotrek zagotował się. Stanął.

– O co ci właściwie chodzi, co? Chcesz mi pomagać czy mnie dobijać, co?! – krzyknął. Anka obejrzała się, unosząc wysoko brwi.

– Rusz tyłek, bo nie zdążymy na tramwaj – powiedziała i po chwili skrzyła w lewo, w stronę przystanku. Do Piotrka dotarło, że to nie jest moment na takie rozmowy. Postanowił wrócić do tematu, kiedy wsiądą do pociągu.

Cudem zdążyli na tramwaj, ale kiedy wsiedli do środka, całe napięcie jakby gdzieś zniknęło. Przytulili się do siebie bez słowa, co poprawiło Piotrkowi humor.

– Będiesz trzymać za mnie kciuki? – zapytał. – Nie czuję się dziś najlepiej, boję się, że dam ciała...

Anka uśmiechnęła się uspokajająco.

– Weź w ogóle wyluzuj, człowieku! Trzymasz poziom, tak samo jak i wcześniej. Jak debiutowałeś w Blak, to miałeś takie rozkminy? Czy wychodziłeś na scenę i po prostu rapowałeś? Jak zwykle dasz ogień, a nawet jak nie wygrasz całej bitwy, to dla mnie i tak będziesz najlepszy! – spróbowała dodać mu otuchy, co nawet dało efekt na trochę.

W znacznie spokojniejszej atmosferze, choć prawie bez słów, dostali się w końcu na dworzec na Chojnach. Mieli mało czasu na przesiadkę, więc Piotrek chciał pobiec i kupić bilety, ale Anka zatrzymała go w porę, machając mu przed oczami kwitkiem z logo PKP. Piotrek pokręcił głową z niedowierzaniem.

– O wszystkim pomyślałaś... Ja za to jestem bezużyteczny ostatnio, z tego, co widzę! – roześmiał się głośno, znów będąc dziwnie „nazbyt rozluźnionym”. Anka pomyślała, że bez niej pewnie by zapomniał o tym, że w ogóle zajmuje się freestylem, ale zachowała tę uwagę dla siebie.

– Taki gwiazdor jak ty musi mieć porządnego menedżera, żeby nie zaprzętać sobie głowy pierdołami! – odpowiedziała mu pół żartem pół serio, ale Piotrek potraktował to jako przedni dowcip. Podrygując wesoło odprowadził swoją menedżerkę życia na peron. Stanęli przy torowisku równocześnie z długim i opustoszałym składem. Udało się. Dobry znak.

W pociągu działo się niewiele. Nie dość, że był prawie pusty, to przez zaparowane szyby nic nie było widać. Piotrek nie odzywał się prawie wcale, znów w ułamku sekundy zmieniwszy nastawienie, a Anka nie chciała mu przeszkadzać, zakładając, że pewnie zbiera myśli przed bitwą.

Do Warszawy dotarli dużo przed czasem. Piotrek pomyślał, że za czasów Mińskiego pewnie skoczyliby do knajpy na jedzonko i piwko, ale teraz musieli mocno zaciskać pasa. Przeszli się więc spacerkiem z Centralnego pod klub. Przed wejściem kłębił się spory tłum. Może nie tak duży jak na WBW, ale dość gęsty. Piotrek przyzwyczał się już, że wchodzi do klubów w asyście komentarzy typu: „Patrz, to ten, jak mu tam, Iwan!”, ale dzisiaj drażniły go bardziej niż zwykle. W ogóle nie miał ochoty na towarzystwo kogokolwiek, nawet Anki. Zamówił sobie piwo, ale po kilku łykach zachciało mu się wymiotować. Trudno powiedzieć czy ze stresu, czy z innego powodu, ale świat zawirował Piotrkowi w głowie. Odstawił szklankę i zaczął modlić się, żeby Anka nie widziała jego stanu.

Na szczęście akurat stała odwrócona. Kiedy spojrzała na niego, uśmiechał się głupkowato, co uznała za normalny objaw, przynajmniej podług ostatnich standardów.

– Jak się czujesz? – zapytała. Kobięca intuicja.

– Średnio. – Nie zamierzał mówić całej prawdy, ale też owijać w bawełnę. – Chcę mieć to już za sobą...

– Dasz radę, głowa do góry. Rozbujajże się w końcu! – zawołała, puściła mu oczko i pociągnęła za rękę. Ani się obejrzał, a gibał się niemrawo na pustym parkiecie.

Zjeżdżający się pomału konkurenci mijali go ze zdziwionymi minami, co doprowadzało go do szału. Czuł się zażenowany, ale nie miał serca powiedzieć Ance „stop”.

W końcu znudziła się sama i zaczęła wyganiać go na back-stage.

– Idź już, porozgrzewaj się trochę, pogadaj z chłopakami, dobrze ci to zrobi. Ja jestem cały czas pod sceną, zresztą ty wiesz najlepiej, gdzie mnie szukać w trudnych chwilach. – Uśmiechnęła się słodko i dała mu buziaka w policzek.

Piotrek niechętnie poczłapał na back. Poprzybijał piątki z tymi, z którymi się znał, z tymi, których nie znał, zamienił może po pół zdania, to z jednym, to z drugim wymienił po cztery wersy, po czym usiadł w kącie i zaczął zbierać myśli.

Czuł się słabo i czuł, że jest słaby. Nie był w stanie sklecić dwóch sensownych wersów, kiedy próbował coś przewinąć sam do siebie. Zawroty głowy nie zamierzały ustąpić. Serce waliło mu jak oszalałe, zaczęły mrowić mu ręce. „Byłe wejść na scenę” – pomyślał. „Trema odpuści i jakoś pójdzie...”

W końcu spiker wywołał całą ekipę na scenę. Szybko rozlosował grupy, przedstawił zasady, takie same jak wszędzie, co sam podkreślił, i poprosił pierwszą parę na ring. Piotrek nie miał szczęścia i wychodził do walki jako ostatni... Wypatrzył Ankę w tłumie, ta wesoło mu pomachała i pokazała, że trzyma kciuki. Machnął jej ręką i zwiął na backstage.

Starał się nie słuchać, w jakiej formie są pozostali zawodnicy, ale nie dało się wygrać z klubowym nagłośnieniem. Każdy wers wbijał mu się w głowę, a im był lepszy, tym bardziej Piotrek czuł, jak coś kłuje go pod żebrami. Nie było dobrze. Wszyscy byli gotowi do rozpierduchy, a na niego, mistrza WBW, na bank będą spinać się podwójnie...

W końcu przyszła jego kolej. Szczęście w nieszczęściu, trafił najpierw na Hultaja z Poznania, debiutanta na scenie, który wyglądał na nieźle spiętego. Pierwszy przewijał on, więc Piotrek miał bardziej komfortową sytuację. Poznaniak przewinął dość słabo i chyba sam to wyczył, bo zawiesił się pod koniec, co bezlitośnie wyśmiała publiczność. Chłopak miał ochotę zapaść się pod ziemię.

– No, no, no, czyżby łakomy kąsek dla Iwana? Smacznego Bezdomny, jedziesz! – zawołał spiker, bit zadudnił o ściany, Piotrek przełknął nerwowo ślinę i... znów spłynęła na niego ta przekłeta czarna chmura...

Nie pomogły przekleństwa. Nie pomogły rozmowy z Anką po każdej bitwie.

Nie pomógł nawet buch maryśki, wciągnięty w akcie desperacji przed ostatnim pojedynkiem. Piotrek został zdemolowany. Przegrał z kretesem wszystkie trzy walki. Wpadł żenująco słabo. Publiczność go wygwizdała, całkiem zasłużenie. Nawet gdyby był to jego debiut w Blak w Łodzi, to i tak byłoby to maksymalnie słabe. Z takim poziomem wstyd otwierać gębę przed kolegami na osiedlu, a co dopiero na bitwie, do tego będąc mistrzem kilku innych, w tym WBW.

Obracał w głowie te myśli przez całą, cholernie długą podróż. Wracał z Białegostoku i nie wiedział, co ma myśleć. Przerznął w identycznym stylu obie bitwy, które miały być jego trampoliną do rozpoczęcia pracy nad płytą. Miał ochotę zniknąć. Znaleźć jakąś pelerynę niewidkę i zdjąć ją dopiero kilka tysięcy kilometrów z dala od Łodzi.

Cały autorytet, na jaki sobie zapracował umiejętnościami... TYLKO umiejętnościami!, legł w gruzach. Piotrek pokazał, że nie posiada ich za grosz. Błyskawicznie rozeszły się plotki, że wcześniej wygrywał dzięki pisankom, a Miński nie chce go znać, bo wydało się, że przy „Otwieraj!” korzystał z usług ghostwritera. Dwa najgorsze oskarżenia, jakie może usłyszeć raper.

Można by pomyśleć, że Iwan wylądował tam, gdzie był na starcie, ale nie... teraz leżał znacznie niżej. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek się z tego wykopie.

Anka nie odzywała się do niego w zasadzie od wyjścia z klubu. Przy każdej próbie pocieszenia, przytulenia chociaż, kazał jej spadać i zostawić go w spokoju, więc w końcu odpuściła. Gotowało się w niej, ale wiedziała, że wybuchem frustracji niewiele zmieni. Przynajmniej nie teraz. Bo że wstrząs na długą metę Iwanowi był potrzebny, nie ulegało wątpliwości.

Po podróży, która wydawała się wiecznością, wylądowali na zimnym i pustym dworcu Łódź Chojny. Bez słowa przeszli wolno wzdłuż pomarańczowych świateł latarni, minęli torowisko i Anka skręciła w stronę krańcówki tramwajowej.

– Czekaj, Anka – przełamał milczenie Piotrek, zatrzymując się. Obejrzała się zaskoczona. Miała najgorsze przecucia.

– Co jest, słońce? – zapytała troskliwie. Nie potrafiła się nie martwić o tego człowieka, który gapił się teraz na nią pustymi, wilgotnymi oczami.

– Jedź do domu sama. Potrzebuję się przejść. Nie wiem, kiedy wrócę – powiedział. Opuściła głowę. Przecucia sprawdzały się, niestety.

– Jesteś pewien, że to dobry pomysł? – spytała. Zmarszczył brwi.

– Tak – warknął. – Ja mam same dobre pomysły. Na razie – powiedział, wyraźnie rozdrażniony.

Anka wzruszyła ramionami i pokręciła głową. Wiedziała, że nic nie pomoże, ani awanturowanie się, ani błaganie. Piotrek podjął decyzję i robi to, co sobie postanowił, cokolwiek to będzie. Popatrzyła na jego sylwetkę, malejącą z każdą chwilą. Odetchnęła ciężko. Źle skończy ten chłopak, ale nie jej o tym decydować. Wsiadła do tramwaju i powlokła się przez pustą i smutną jak ona sama Łódź.

Piotrek, gdy tylko zobaczył, że udało mu się pozbyć Anki, pognął do najbliższego sklepu. Zdążył w ostatniej chwili, co zresztą głośno skwitowała sprzedawczyni.

– Decyduj się pan szybko, niedziela dziś, każdy chce już w domu być! – Zignorował jej uwagę, choć było mu trochę głupio, że zawraca jej gitarę o tej porze. Szybko kupił sześć piw. Najtańszych, bo tylko na takie miał jeszcze grosz. Wrzucił je do plecaka, wziął głęboki wdech ciężkiego, zimnego i wilgotnego powietrza i zaczął mozolną wędrówkę do domu. Jeszcze w Białymstoku zdecydował, że pójdzie do domu pieszo i po drodze zwyczajnie upodli się piwkiem.

Dźwięk otwieranej puszki poniósł się głośnym echem po opustoszałym osiedlu. Piotrek poczuł się przytłoczony. Miał wrażenie, że jest obserwowany ze wszystkich okien. Z ulgą wyszedł z osiedla na duże rondo. Przemknął szybko przez pasy i chowając puszkę w kieszeni, ruszył prosto Kilińskiego. Przyjemnie szło się fragmentem tej ulicy, gdzie nie ma niczego poza starą zajezdnią. Nie było ryzyka, że ktoś go wypatrzy.

Kiedy zauważył, że zawartość puszki zaczyna się kończyć już przy Dąbrowskiego, owładnęły nim wyrzuty sumienia. Zaczął zastanawiać się, po co to w ogóle robi. Przecież tyle przeszedł w życiu i nigdy nie potrzebował wspomagać się alkoholem ani żadnymi innymi używkami. Cisnął niedopitą puszką do kosza na śmieci przy przystanku. Po co mu to wszystko? Przecież sam w sobie jest wartością, nie potrzebuje dopalaczy.

Na krótką chwilę rozchmurzył się. Zerknął, niby przypadkiem, na rozkład jazdy tramwaju. Rzecz jasna odjechał dwie minuty temu. Piotrek nawet nie zauważył mijającej go jedynek. Znów przygniótł go niewidzialny ciężar. Uświadomił sobie, jak daleko ma jeszcze do domu, a jeszcze dalej – do szczęścia. Zrezygnowany ruszył dalej.

Szybko zaczęły nękać go myśli o ostatnich bitwach. Poczuł wstyd, chyba nawet się zaczerwienił. Jak mógł pokazać się w takiej formie przed jakąkolwiek publicznością? Przecież to jakaś masakra! Jak mógł myśleć, że bez ćwiczenia, bez nawet śladu formy, zdoła pokazać cokolwiek więcej?

– KURWA MAĆ! – wrzasnął głośno, a jego głos odbił się echem po okolicznych pustostanach.

Zajrzał w puste oczy ledwo stojącej kamienicy. Wpatrywał się w czerń, a im dłużej to robił, tym bardziej czerń rozlewała się po jego umyśle. Z trudem oderwał wzrok, ale kawałek dalej zobaczył kolejną ruderę i następną. Nie mógł przestać się na nie gapić. Miał wrażenie, że są takie same jak on. Bez okien, lokatorów, z zamurowanym wejściem nie stanowiły niczego więcej niż kupy cegieł. Tak samo on, bez swojej twórczości, bez sukcesów, bez przyjaciół był tylko organizmem,

zbitkiem wątlých, obrzydliwych tkanek.

Kiedy mijal ciemną bramę, doszedł go znajomy zapach. Wilgoć, stęchlizna i mocz, zapach wszystkich łódzkich kamienic. Znal go dobrze, bo dokładnie tak samo pachniało na Ogrodowej, kiedy wchodziło się najpierw w bramę, a później na klatkę schodową. Przypomniał sobie o domu i rodzinie. Kompletnie zerwał z nimi kontakt w tym samym momencie, kiedy przestał utrzymywać relację z Mińskim.

Gdzieś na piętrze zaszczękały sztuce na talerzach. Ktoś zamieszał herbatę w szklance. Głośny śmiech podpitych dorosłych i rozochoconych wolnym dniem dzieci. Bajeczna polska niedziela o smaku tataru, kiszzonego ogórka, wódki, drożdżowego placka i słodkiej jak syrop herbaty. Piotrek aż zacisnął zęby. Jakże daleko był od tego obrazka! Nie miałby teraz odwagi spojrzeć w oczy matce, zastanawiał się, czy w ogóle wracać do Anki. Został całkiem sam, jak Kuba od Hłaski, z jedynym przyjacielem – alkoholem.

Otworzył drugą puszkę. Minał dwóch meneli, podobnie jak on przemykających po ulicy niczym cienie. Przeraziło go podobieństwo, jakie wykazywali. Co się z nim działo?!

Dotarł do Przybyszewskiego. Przeszedł przez ulicę po kostce, która musiała chyba pamiętać wydarzenia sprzed stu lat. Kilka kroków dalej spojrzal na kamienicę pod numerem 206. Boże, jaka była obrzydliwa. Wyglądała jak chora na jakieś spaczenie. Tynk odpadał w kilku miejscach, a cegła wystająca spod spodu wyglądała jak przerośnięty ropień. Paskudne miejsce. Równie zepsute jak on.

Dalej majaczyła już fasada Nowej Tkalni. Jedynie fasada, bo za nią kryła się niewyobrażalna ruina. Dokładnie taka sama jak życie Piotrka, skryte za uśmiechem i udawaną wesołością. Iwan zaśmiał się głośno, widząc banner przypominający o wizycie Jana Pawła II w tym miejscu.

– Tyle zostało z pokolenia JP II – powiedział do siebie i splunął na chodnik. Wszyscy święci już nie balują w niebie. Poumierali, każdy jeden, bo dziś kompletnie nikt o nich już nie pamięta.

Piotrek cisnął dopitą puszkę przed siebie i już miał sięgać po kolejną, kiedy uznał, że chwilę musi się wstrzymać. Najpierw musi się wysikać. Przeszedł kawałek i skręcił w jedno z najbardziej paskudnych miejsc, jakie kiedykolwiek widział. Pasaż Abramowskiego. Pseudopark wzdłuż rzędów upiornych kamienic i piwnic, które przypominały opuszczony okop.

Miejsce nadające się tylko do tego, żeby się na nie wyszczać, co zresztą Piotrek skwapliwie uczynił. Zerknął w lewo i zobaczył drewnianą bramkę na wydeptanym boisku. Całość wyglądała jak spacerniak w obozie koncentracyjnym. Brakowało tylko zwłok wiszących na poprzeczkach. Kiedyś wzdrygnąłby się na takie skojarzenie, teraz go to nawet rozbawiło.

Nieco później Piotrek otwierał trzecią puszkę. Zaśmiał się, widząc kolorową kamienicę wieńczącą ten zacy przybytek. Co za ironia losu – pastelowe kolorki na

końcu najbardziej ponurego miejsca na świecie. Nikt nigdy nie zrozumie tego zaszczanego miasta. Tak samo jak nikt nie rozumie tego, co robi Piotrek.

Nikt nie zauważa tego, jaką drogę musiał przejść. Nikt nie widzi, z jakiej społecznej doliny musiał się wspinać. Nikt nie wie, jak ciężko jest cokolwiek zrobić, kiedy zastanawiasz się, czy będzie co zjeść pod koniec miesiąca. On przewyciężył to wszystko. Wspiął się tak wysoko, jak to było możliwe. Był krok ponad resztą, ale i tak inni pozwalali sobie na to, by deptać jego i jego godność. Wygwizdali go, banda bananowych dzieci i społecznych nieużytków...

Piotrek zbliżał się do serca miasta. Zadarł głowę, żeby zerknąć na ostatnie piętra wieżowców łódzkiej podróbki Manhattanu. Zimne monumenty socrealistycznej myśli mieszkaniowej budziły w nim strach i poczucie niepokoju. Odwrócił głowę i szybko przemknął w wielkowiejską Sienkiewicza. Równie zresztą obcą jego sercu co Manhattan.

Zrobiło mu się niedobrze. Musiał chociaż na chwilę przystanąć i złapać oddech. Miasto w swojej najbardziej pretensjonalnej i wyniosłej części przyprawiało o zawroty głowy. Tyle okien, w których mogło sterczeć tyle głów gapiących się na jego kroki. Nieznośna świadomość. Trzeba było jak najszybciej zwiewać z tego piekielnego labiryntu ulic i pięt.

– Gapcie się na kogoś innego – mruknął ze złością Piotrek, mijając wizerunki znakomitości, które uczęszczały do dzisiejszej „Trójki”. Wszedł do parku Sienkiewicza. Trzeba przyznać, że ten zieleniec doskonale wkomponowywał się w otaczającą zabudowę. Zalany asfaltem i betonem, chłodny, nie miał w sobie nic z przyjemnej kameralności pozostałych łódzkich parków, nawet tych największych. Może na wiosnę zyskiwał nieco na wartości, ale i tak Piotrek nigdy nie zamierzał jak Tuwim przesiadywać akurat tutaj i oglądać się za pannami z pobliskiej szkoły.

Usiadł na mokrej i zimnej ławce, schowanej między dwoma drzewami, odsuniętej od przebiegającej obok alei. Co jakiś czas jakaś mizernie wyglądająca sylwetka przemykała tamtędy, z jednej bramy do drugiej. Piotrek wyprostował się wygodnie, ostentacyjnie sącząc czwarte piwo. Ostro wbijał wzrok w każdego przechodnia i z wielkim rozbawieniem obserwował, jak uciekali spojrzeniem i przyspieszali kroku. Słabeusze. Wystarczy być odrobinę bardziej odważnym niż te przeciętniaki, a już zaczynają się bać. Zrobiliby teraz wszystko, co by im kazał. Tak by podpowiadał im instynkt, obezwładniony przez strach.

Chciało mu się śmiać z każdego z tych tchórzy. Biedactwa z pustymi życiorysami. Co oni w ogóle wiedzą o życiu? Czy choć jeden raz zrobili to, co chcą, a nie to, czego się od nich oczekuje? Pewnie tylko biegali od punkciku do punkciku, zaliczając kolejne etapy „naturalnej kolejności życia”. Tylko co to było za życie?

Życie to ma on, mistrz WBW, Iwan Bezdomny! To on ma prawdziwą

wolność w garści. Chce iść, to idzie. Chce pić, to pije. Chce być najlepszy, to jest. Zależy tylko i wyłącznie od siebie! Jest Bezdomny, bo nie potrzebuje domu. Nie da zamknąć się w czterech ścianach jak w szufladce!

Uśmiechnięty, napompowany przeświadczeniem o własnej wielkości ruszył z ławki. Zachwiał się nieco, stawiając krok i szturchnął dzieciaka, który akurat przechodził aleją.

– Przepraszam pana... – wyszeptał przestraszony chłopak.

– Uważaj jak leziesz, łajzo! – wrzasnął na niego Piotrek i ruszył dalej, chichocząc pod nosem z ogromną satysfakcją. Tylko gdzieś z tyłu głowy zaświtała mu myśl, że kiedyś słyszał już podobne słowa. Skierowane były bezpośrednio do niego i nie czuł się z tym najlepiej...

– Bzdura... – wybełkotał i odpalił piątą puszkę. Oblał się przy pierwszym łyku i zaklął głośno. Wycierając z pasją kurtkę, zorientował się, że jest niedaleko mieszkania Mińskiego i Krawca. Ciekawe, co robią teraz dwa pedałki?

Przyspieszył kroku, chcąc jak najszybciej znaleźć się pod kamienicą chłopaków. Z każdym krokiem nakręcał się coraz bardziej na nich obu.

No bo co? Myślą, że pozjadali wszystkie rozumy, ale prawda była taka, że gdyby nie JEGO zwrotka, to o płycie Mińskiego nikt by nie pamiętał. Dał im poziom, jakiego nie znali, dał im fejm, rozkręcił kilkadziesiąt koncertów. Zaczęli mu zazdrościć, kiedy okazało się, że to on spija całą śmietankę, a nie oni. Ciekawe, jak sobie teraz poradzą bez niego?

Przebiegł przez kolejny miejski skwer, stanął pod wążutką kamienicą pod numerem 52 i... wszystko odpuściło. Dotarło do niego poczucie beznadziei i bezsensu całej tej sytuacji. Kim on się w ogóle przejmuje? Jakimiś żenującymi dzieciakami. Niech sobie zjedzą te swoje płyty i kasę. To jest dla nich najwyraźniej ważniejsze od prawdziwej przyjaźni. Jeszcze im udowodni, a wtedy pozdychają z zazdrości.

Pognał dalej i nawet nie obejrzał się, kiedy (bo, prawdę mówiąc, coraz słabiej ogarniał to, co się działo wokół niego) wylądował w Helenowie. To już blisko domu. Z satysfakcją zmiarkował, że został mu jeszcze jeden browar. Wystarczy akurat na ostatnie metry. Chłapnie je sobie już gdzieś na Bałutach, bo nie miał ochoty znów tkwić w parku.

Przedreptał przez Helenów, przeszedł przez Źródłową i ze zdziwieniem przyjrzał się parterowemu budynkom po lewej stronie, nad kanałem dumnie zwanym rzeką Łódką. Wyglądały jak żywcem wyjęte ze wsi gdzieś na Kresach. Jeszcze ten leniwie wylewający się z komina dym. Swojska miejscówka. Szkoda, że położona w tak parszywym mieście jak Łódź.

Tak samo zresztą jak Park Ocalałych, kawałeczek dalej. Piotrek wypiął dumnie pierś i wypuścił wolno powietrze, patrząc na pomnik Sprawiedliwych. Wiedział, że tu w życiu nie przyszedłby na piwo. Miał swoje zasady i nie dałby się

skurwić bezczeszczeniem tego miejsca.

Śmignął dalej i zaśmiał się głośno. Rozbawił go napis na ścianie kamienicy. Głosił: „Wish you were beer”. O tak, miał smaka na jeszcze jedno piweczko, w sam raz na koniec tego szalonego marszu. Swoją drogą, ciekawe, co na to wszystko powiedziałby Waters?

Piotrek przeszedł jeszcze kawałek Wojska Polskiego, szukając odpowiedniego miejsca na wytrąbienie ostatniego piwa. W końcu wypatrzył idealne. Usiadł na pniaku pod murem okalającym podwórko kamienicy, gdzie zazwyczaj siedzą okoliczne żule, ale dziś nawet oni pochowali się po swoich melinach i kryjówkach. Jedyne, co po nich zostało, to odór fekaliiów. Piotrkowi nie przeszkadzał ani odrobinę. Był dziś panem ulic i tego zaszczonego miasta!

Ciekawe, co na to Anusia? Przypomniał sobie o niej dopiero teraz. Pewnie jak wróci do domu, to ta zacznie mu prawić morały, że znów pije i że kiedyś tak nie robił. Że powinien się zastanowić, czemu przegrał i co się z nim dzieje. Ostatnio tak właśnie gadała. Po Warszawie. Mądrała. Sama zapierdalała na etacie, a będzie go uczyć, co ma robić. Jego! Rapera z krwi i kości!

No i na bank mu powie, żeby zadzwonił do Mińskiego. Po co? Przecież podjął decyzję, woli bawić się z Krawcem niż dzielić prawdziwą przyjaźń z Piotrkim. Ile jeszcze będzie go do tego namawiać? Skoro jej tak na Michale zależy, to niech spada do niego.

Zresztą, po czyjej ona jest stronie? Podła myśl zaświtała mu w głowie, a sześć wypitych piw sprawiło, że ten pomysł wydał mu się genialny. Przecież to wszystko jej wina! Z Michałem można było pogadać o ciężkich tematach, a jak nie było ochoty na gadanie, to zawsze zostawał relaksujący freestyle. A z nią? Pogadać się nie da, bo od razu prawi idiotyczne morały. Jest gorsza niż matka! Po co mu ktoś taki? O wspólnym rapowaniu nie ma co nawet wspominać, bo to przecież baba. Nadaje się tylko do gotowania, prania, prasowania, dawania dupy i zrządzenia.

Artysta powinien być sam. Ewentualnie wśród kilku wiernych przyjaciół – mężczyzn. Wtedy nic nie będzie zawracać mu głowy. Ile razy zwiewał z domu, bo zamiast popracować na spokojnie, musiał rozmawiać o jakiś dyrdymałach?

Później się zastanawiał, czemu mu nic nie idzie. Teksty albo nie chciały powstawać wcale, albo powstawały gówniane tak bardzo, że nadawały się jedynie do spuszczenia w kiblu. Wszystko przez nią! Rozpraszała go! „Otwieraj!” napisał sam, w spokoju i dlatego był to taki banger.

Koniec tego. Nie będzie mu więcej zatruwać życia. Niech się wynosi, a jak nie ma dokąd, to niech poprosi o pomoc Michałka, jej najlepszego koleżkę. Wyzerował szybko puszkę, rzucił ją za siebie i ruszył prosto do domu. Był już tak nawalony, że potykał się o własne nogi. Tym bardziej rosła w nim wściekłość i nienawiść do Anki.

Z trudem wczłapał się na pierwsze piętro i przeraźliwie ciężko dysząc, wpadł do mieszkania, niemalże rozwalając żałośnie skrzypiące drzwi. Anka podskoczyła i pisnęła z zaskoczenia. Siedziała przy stole, ale gdy zobaczyła Piotrka, odrzuciła krzesło do tyłu i ruszyła w jego kierunku. Po plecach przeszedł jej dreszcz przerażenia, kiedy poczuła potężny smród alkoholu i zobaczyła nieobecne, rozbiegane oczy Piotrka. Miała złe przeczucia już od samego rana, a teraz wiedziała, że intuicja jej nie zawiodła. Niestety, złe miało dopiero nadejść.

– Jesteś wreszcie! Martwiłam się o ciebie, skarbie... – wyszeptwała. Głos załamywał się jej. Wyciągnęła dłoń, chcąc go objąć, ale Iwan agresywnie odepchnął jej rękę.

– Nie wątpię – skwitował. Mówił niewyraźnie, cedził słowa przez zęby, jego twarz co chwilę przeszywał grymas wściekłości. – Szkoda, że jeszcze bardziej martwisz się o Michałka, co?

Anka zeszywniała z zaskoczenia.

– O co ci chodzi? – jęknęła. – Piotrek! Co jest z tobą? – Już miała łzy w oczach. Słowa ledwo przechodziły jej przez gardło. Wydawała się kurczyć, a gdyby mogła, najchętniej by zniknęła.

– O co mi chodzi? Ty dobrze wiesz o co! – Piotrek zaczął krzyczeć tonem napakowanym testosteronem. – O to, że bronisz Mińskiego, a nie mnie. Nie jesteś po mojej stronie. Nie pomagasz mi. Potrafisz tylko mnie dołować i niszczyć. Ile można słuchać, że za dużo piję, że w ten sposób nic nie osiągnę i żebym w końcu pogodził się z Mińskim, co? – Wziął głęboki wdech. Przeształ kontrolować siebie i to, co mówi. Jakby był w malignie.

– Nie chcę cię znać! – wydarł się, opluwając ją. – To przez ciebie się stoczyłem i przegrałem te dwie bitwy! Mam cię dosyć! Ciebie i twoich mądrości. Tak samo jak Mińskiego i w ogóle was wszystkich! Zazdrościcie mi sukcesu! Chcecie tylko mnie zniszczyć!

Anka z każdym słowem nie mogła uwierzyć w to, co słyszy. Początkowy strach zaczynał zmieniać się we wściekłość. Rosła w niej potrzeba wygarnięcia mu wszystkiego, o czym już od dawna chciała mu powiedzieć. Piotrek nie przestawał wrzeszczeć, chociaż powtarzał wciąż te same słowa. W końcu Anka zebrała się w sobie i krzyknęła:

– ZAMKNIJ SIĘ, IDOTO! – Usłyszała ją chyba cała Łódź. – Co ty w ogóle wygadujesz? Alkohol tak ci zamrocył mózg czy ego już ci tak urosło, że brakuje miejsca na rozum?

Piotrek zaniemówił, zaskoczony tak agresywnym kontr-atakiem.

– Spójrz na siebie, jak ty wyglądasz? Co się z tobą stało? Ubierasz się w szmaty, pijesz jak najgorsza menda i potrafisz tylko gadać. Kiedyś byłeś pełen energii, działałeś, teraz tylko gadasz. Myślisz, że jesteś świetny? Byłeś! Teraz

jesteś zerem! Umiesz tylko przerzucać winę na innych, a sam uciekasz od odpowiedzialności. Może raz byś pomyślał, co TY robisz nie tak? – wrzeszczała z furią. Dawała upust dawno nie okazywanym emocjom. Teraz to Piotrek malał, z każdym słowem Anki.

– Dlatego cię wygwizdali! Dlatego twoje teksty to dno! Nie skupiasz się na sobie, tylko na wszystkich dookoła. Trwonisz energię na szukanie winnych, a nie na to, żeby pracować nad sobą. Sam tworzysz presję, która wgniata cię w ziemię! Taka jest cała prawda o tobie. – Anka wypluwała słowa jak karabin, a każde z nich głęboko wbijało się w Piotrka tak mocno, że wydawało mu się, że czuje fizyczny ból.

– To jest właśnie twoje wsparcie – przerwał jej tyradę. Jego ton nie stał się ani odrobinę mniej oskarżycielski. – Nie chcesz mi pomóc, to nie. Bez łaski. Poradzę sobie sam, bez ciebie, bez Mińskiego, bez kogokolwiek. – Wziął głęboki oddech, z trudem wypuszczając powietrze. Wydawało się, że serce zaraz wyskoczy z jego klatki piersiowej.

– Masz się stąd wynieść, natychmiast. Wynoś się i nie wracaj. I nie błagaj mnie, żebym pozwolił ci wrócić. – Spojrzał Ance w oczy, ale zamiast oczekiwanego strachu zobaczył zawziętość i furię. Sam już wcześniej zaczął czuć przerażenie. Wydawało mu się, że wie, czego chce, ale teraz tracił grunt pod nogami. Mimo to nie chciał zmieniać wcześniej zaplanowanej strategii.

– Skoro tego chcesz, to proszę bardzo – wyszczała i minęła go bez słowa czy choćby spojrzenia. Ubrała się w moment i wyszła, nie zamykając za sobą drzwi. Piotrek stał jak wmurowany. Nie spodziewał się, że tak szybko to wszystko się potoczy. Stał kilka minut otumaniony, gapiąc się w otwarte drzwi. W końcu zamknął je, rozebrał się, zgasił światło i padł na łóżko, obezwładniony poczuciem beznadziei.

Potrzebował błyskawicznie to wszystko przemyśleć. Rozum zaczynał wracać na swoje miejsce. Adrenalina wypychała trujący alkohol z krwi. Piotrek nie do końca wiedział, co się stało, nawet nie potrafił sobie dokładnie przypomnieć, co mówił. Moc, jaką miał jeszcze pół godziny temu, wyparowała. Z ciemnych okien przeciwległej kamienicy zaglądał mu w oczy bezczelny, przesadnie pewny siebie strach.

Co będzie teraz? Co robić? Może powinien szybko zadzwonić? Może jeszcze nie wszystko stracone? Przecież nie chciał pozbyć się jej na amen... Czemu tak gwałtownie wyszła? Zamknął oczy, chcąc lepiej skupić się na swoich myślach... Wygonić z głowy tę potworną czerń okien z naprzeciwna i z obrzydliwego nieba...

Kiedy otworzył oczy, było już jasno. Potworny ból głowy zdawał się rozsadać mu czaszkę.

– Aniaaaa, podasz mi wodę? – wyjęczał, ale nie usłyszał odpowiedzi. Nerwowo rozejrzał się po mieszkaniu. Był w nim sam. Dopiero wtedy zaświtało mu mgliste wspomnienie poprzedniego wieczora...

Strach ma wielkie oczy, ale widmo, które zdawało się patrzeć na Piotrka, było monstrualnych rozmiarów. Depresyjne działanie alkoholu zazwyczaj objawia się właśnie w takich momentach. Kac potęguje poczucie beznadziei, zmęczone pić serce z trudem pompuje zatrutą krew, co zawsze wywołuje niepokój. Piotrek gwałtownie wstał i sekundę później padł znów na łóżko.

Ból głowy przyprawił go o zawroty... a może było na odwrót? Nieważne. Fakt był taki, że leżał nieruchomo, bo każdy ruch tylko potęgował skutki wczorajszego spaceru. Chwilami czuł się nieco lepiej, ale za każdym razem, właśnie wtedy, przypominał sobie o tym, że stracił wczoraj Ankę, jedyną osobę, która przy nim jeszcze została.

Wtedy miał poczucie, jakby ziemia otwierała się pod nim, a on leciał w bezkresną przepaść. Nagle uderzał o wystającą skałę i aż poskakiwał na łóżku, wrzeszcząc z przerażenia. Nie miał pojęcia, o której się obudził, więc nie wiedział, ile trwał ten paskudny stan. Jedyne, co był w stanie policzyć, to te przekłete uderzenia, których zaliczył dokładnie sześć...

Piotrek później wielokrotnie wracał myślami do tego dnia, za każdym razem patrząc na niego z niesłabnącym przerażeniem. Wtedy zaczął się ostatni etap jego marszu na samo dno. Marszu, który być może byłby w stanie zatrzymać, gdyby nie powracające demony tej przekłetej wizji spadania.

Niejeden raz zdawało mu się, że w końcu mu się poprawia, kiedy tuż przed zaśnięciem, gdzieś bardzo niewyraźnie, ale równie przerażająco, stawała mu przed oczami wizja szalonego lotu, prosto na niewidoczne skały. Wtedy związał się w kłębek, chowając pod kołdrę nawet głowę i marzył, aby usnąć i choć trochę od tego odpocząć. Jednocześnie jednak tak bardzo bał się powrotu wizji, że nie był w stanie odważyć się, aby zmrużyć oczy.

Wtedy wygrzebywał się z łóżka i wyglądając jak upiór, człapał po butelkę wódki albo czteropak piwa, żeby chociaż w ten sposób oszukać i otumanić terroryzującą go psychikę.

Co ciekawe, wizja już nigdy nie wróciła, ale to tylko zwiększało podejrzliwość Piotrka. Bał się, że kiedy przestanie o niej myśleć, bronić się przed nią, ta znów zaatakuje i zniszczy go doszczętnie.

Był całkowicie sam i przez bardzo, bardzo długi czas nie mówił o swoim problemie kompletnie nikomu. Nie miał odwagi zadzwonić do Anki czy Mińskiego, bojąc się, że znów zostanie odtrącony, a to jeszcze bardziej pograży go w otchłani beznadziei. Matki nawet nie brał pod uwagę, podświadomie wymazując ją ze swojego życia.

Co jakiś czas wychodził z domu, instynktownie szukając kontaktu z innymi ludźmi. Szlajał się po knajpach, sam nie wiedząc, skąd w ogóle ma na to wszystko jeszcze pieniądze (później odkrył, że po koncertach z Michałem miał odłożone dużo więcej, niż mu się wydawało).

Zapijaczony próbował nawiązywać znajomości, ale jedynymi osobami, które rzeczywiście chciały go wysłuchać, byli tylko podobni jemu, staczający się na dno, pogrążeni we własnym strachu pijacy. Dobijało go to, bo marzył o rozmowie z kimś normalnym. Z kimś, kto wesprze go na duchu i otworzy oczy mądrą radą, jak to kiedyś robili Miński z Anką.

Tym większa była jego radość, kiedy w tłumie w jednej z knajp wypatrzył Zeusa. Nie zważając na to, co tamten sobie pomyśli, pognął do niego, wydzierając się z daleka (choć w stanie Piotrka był to raczej bełkot). Raper momentalnie zorientował się w sytuacji, szybko przeprosił swoje towarzystwo i wyszedł rozradowanemu Piotrkowi na spotkanie. Iwan poczuł się zaszczycony faktem, że taki fejm sam wychodzi mu na spotkanie. Tym bardziej zabolął go w serducho ostry ton głosu Zeusa:

– Czego chcesz? – syknął z niezadowoleniem raper. – Za kogo ty się uważasz? Kurwa, nie widzisz, że jestem w towarzystwie?

Piotrek stanął jak wryty. Chciał jakoś się odezwać, ale udało mu się tylko tępo rozdziawić usta. Zeus przeszył go wnikliwym, trzeźwym spojrzeniem. Piotrek zapomniał już, jak wyglądają takie żywe, pełne energii oczy. Spuścił wzrok. Zeusowi najwyraźniej skończyła się cierpliwość.

– Co, zabrakło ci języka w gębie? Widzę, że ładnie się stoczyłeś. Wyglądasz jak menel, masakra. – Kręcił głową z niedowierzaniem. – Słyszałem co nieco tu i ówdzie na twój temat. Że odpłynąłeś, wysrałeś się na bliskich i zapijasz się tanim piwkiem, myśląc, że to zaprowadzi cię z powrotem na szczyt. Liczyłem, że to tylko plotki, ale widzę, że myliłem się. – Splunął pogardliwie.

– Nie tędy droga. Żal mi na ciebie patrzeć, bo masz megawielki talent. Tylko że takich jak ty były miliony. Pogrzebani przez własną pychę, a później używki.

Piotrek słuchał tego monologu i zdawał się kurczyć z każdym słowem. Zeus nie zamierzał chyba okazywać mu oczekiwanego wsparcia i współczucia. Ostatni bastion szybko padał.

– Choć nie. Nawet mi nie żal takich jak wy. Sukces to nie jest jedna czy dwie wygrane bitwy i udana szesnastka na płycie kolegi. To całokształt. To jest to coś, co pozwala ci odważnie spojrzeć za siebie i nie zamykać oczu w obawie przed zobaczeniem tego, czego nie chcielibyśmy widzieć. Wynoś się stąd. Szkoda powietrza dla takich płotek jak ty – spointował Zeus, odwrócił się i wrócił do swojej ekipy.

Piotrek jeszcze długo stał w miejscu, gapiąc się w swoje sznurówki. To nie tak miało być. On nie miał być najgorszym, jednym z wielu, tylko najlepszym

i wyjątkowym. Co zrobił nie tak? Gdzie popełnił błąd? Przecież zawsze słuchał głosu swojego serca, działał zgodnie ze swoimi zasadami. To nie miało prawa nie wypalić...

Powoli zaczął człapać w stronę domu. Nie wiedział, czy to bezduszny deszcz, od tygodnia niezamierzający skończyć padać, czy jego łzy sprawiały, że nie widział drogi przed sobą. Co chwila wpadał na coś albo na kogoś, boleśnie się objając. Jednak w tamtej chwili nie czuł fizycznego bólu. Zresztą chyba w ogóle nie czuł nic. Stał się odrętwiały i jałowy. Stracił energię na cokolwiek. W końcu przestał mieć siłę, żeby w ogóle iść. Zobaczył mglisty obraz bramy po swojej prawej stronie. Wszedł do środka i usiadł na zimnym i mokrym betonie, opierając się plecami o brudną ścianę.

Zamknął oczy i zaczął próbować znaleźć jakąś myśl. Jakąkolwiek, byleby się jej chociaż na chwilę uczeplić. Niestety. Był pusty. Tak zrezygnowany i rozgoryczony, że nie był w stanie sformułować chociaż jednej, sensownej, zasranej myśli! Wściekł się. Uderzył mocno pięścią w chodnik, na którym siedział.

Zobaczył krew. Minęło kilka minut, zanim zorientował się, że to jego dłoń krwawi. Obrócił rękę i odkrył, że wbił sobie wielki kawałek szkła. Ktoś musiał potłuc tutaj butelkę. Spodziewał się, że sprawca będzie nadal w pobliżu. Miał ochotę go rozszarpać.

Rozejrzał się tępo, ale nie zobaczył nikogo.

Pokręcił głową i zaśmiał się złowrogo. Jak mógł wpaść na tak idiotyczny pomysł? Co się z nim stało? Co się w ogóle działo? Gdzie w zasadzie był? Zamknął oczy, chcąc szybko zebrać myśli.

Kiedy je otworzył, bramy już nie było...

Leżał w białej pościeli w pomalowanym na biało pokoju. Szybko uniósł rękę, bojąc się, że pobrudzi swoją kwią te pięknie pachnące poszewki. Ze zdumieniem odkrył, że dłoń ma opatrzoną. Nawet nie bolała go za bardzo.

W ogóle nic go nie bolało. Nie pamiętał, kiedy po raz ostatni czuł się taki... czysty. Nauczył się żyć z bólem tak bardzo, że kiedy go nie było, miał wrażenie, że coś jest nie tak.

Nagle przeszył go dreszcz przerażenia. Błyskawicznie podniósł się z łóżka i usiadł na jego brzegu. Rozejrzał się. Był w małym, nieskazitelnie białym pokoiku. Mieściło się w nim tylko to łóżko, szafka nocna i niewielki stolik ze szklanką wody na środku. Do pokoju światło wpadało przez dość spore okno, ale za oknem nie było widać totalnie nic. Wszechobecna biel wręcz kłuła w oczy.

Piotrek odetchnął nerwowo. „A więc to tak wygląda śmierć...” – pomyślał i padł bez nadziei na łóżko. Nie wiedział, co ma myśleć. Z jednej strony żał mu było całego życia, jakie miał jeszcze przed sobą, z drugiej... może nie było tu tak źle? Może to nawet lepiej, że już ma to za sobą? Chociaż oszczędzi sobie trochę

nerwów...

Uspokojony myślą, że już jest po wszystkim, a na dodatek ma przed sobą całą wieczność, rozłożył się wygodnie na łóżku. Zamknął oczy, zamierzając zasnąć (dziwił się, że zmarli też śpią, ale nie zamierzał polemizować), gdy nagle z impetem otworzyły się drzwi, w których stanęła znajoma postać.

Piotrek aż podskoczył ze strachu, nie spodziewając się spotkać tu kogokolwiek. Szybko wbił wzrok w jego gościa i wrzasnął zaskoczony.

– NO BEZ JAJ! – Osoba zrobiła zdziwioną minę, po czym zaczęła śmiać się, szczerze i głośno.

– Co bez jaj? – odpowiedziała doskonale znanym Piotrkowi głosem. Ten starał się opanować, ale nie mógł powstrzymać drżenia głosu.

– Wydawałeś mi się dziwny, kiedy się pierwszy raz spotkaliśmy, ale w życiu bym nie powiedział, że jesteś istotą spoza Ziemi! – palnął, wiedząc, że i tak nie ma nic do stracenia.

Rozmówca uniósł brwi tak wysoko, jak tylko mógł, będąc kompletnie zaskoczonym słowami Piotrka. Niczego nie rozumiał.

– Co? – zapytał zdezorientowany. – O co ci chodzi? Masz prawo źle się czuć, no ale bez przesady... – w jego głosie dało się usłyszeć odrobinę rozczarowania.

– No jak to o co? Nawet teraz się nie chcesz zdradzić! Kim tak dokładnie jesteś? Aniołem? Diabełem? Bogiem? Bo przecież jesteśmy już w innym świecie, prawda? – Piotrek zdawał się być tak pewny tego, co mówi, że mężczyzna poczuł się doszczętnie przerażony.

– Hej, Iwan, co ty wygadujesz? – zawołał gość ze strachem. Już miał zacząć mówić coś więcej, kiedy nagle jakby zatrzymał się, pomyślał chwilkę i zaczął się histerycznie śmiać. Teraz to Piotrek poczuł się dziwnie. „Znaczy się – diabeł...” – pomyślał i zaczął ze zrezygnowaniem kiwać głową. Rozmówca w końcu jako tako się opanował i zaczął wykrztuszać z siebie zdania:

– Iwan... nie wierzę! Ty to jesteś niezły! Wkręciłeś sobie, że nie żyjesz, co? No tak... ten pokój, ta mgła... mogło ci się to wydać dziwne. Nie pomyślałem o tym... – Piotrek odniósł wrażenie, że traci grunt pod nogami. Jeśli nie umarł, to co tutaj robi? I gdzie jest to tutaj?

– Pamiętasz mnie? To ja, Mateusz. Jakimś cudem, nie wiem jakim, znalazłem cię ledwo żywego w bramie mojej kamienicy na Piotrkowskiej. Rozwaliłeś sobie rękę o butelkę i byłeś nawalony jak kłoda. Odwiozłem cię na pogotowie, ogarnęli cię trochę i wziąłem cię do siebie, żeby mieć na ciebie oko. Spałeś, chłopie, trzy dni!

Piotrek z trudem przełknął ślinę.

– Poważnie...? – zapytał niepewnie. – Aż tak było ze mną źle?

– Źle? Tragicznie. Jakbym cię nie znalazł, to albo byś się wykrwawił, albo

byś złapał jakieś zapalenie płuc czy inne paskudztwo. Albo ktoś by ci sprzedał takie wpiery, że do końca życia byś był warzywkiem... – głos Mateusza był smutny. Piotrek wiedział, że nie chciałby nikogo widzieć w takim stanie, a co dopiero siebie. Siebie, który wcześniej pomagał Mateuszowi wyjść z podobnego doła.

– Daj spokój... Nie mogę w to wszystko uwierzyć... ale... ale przypominam sobie to wszystko. Jeśli to rzeczywiście prawda, to nie wiem, jak ci mam dziękować... – powiedział zmieszany.

– Weź wyluzuj. Karma wraca. Ty mnie uratowałeś raz i teraz ja ciebie. Jesteśmy kwita. – Mateusz uśmiechnął się ciepło i wyciągnął rękę. Piotrek ją uściskał, zgadzając się na warunki wybawcy. – No, a teraz chodź, bo śniadanie stygnie. Musisz w końcu zjeść cokolwiek, bo poza wodą mineralną to za wiele nie konsumowałeś ostatnio – powiedział i wyszedł z pokoju.

Piotrek wstał z trudem i poczuł się faktycznie bezsilny. Opierając się o łóżko, doczłapał się do okna. Dopiero kiedy wyciągnął wzrok, zobaczył, że istotnie – na zewnątrz unosi się potężna, gęsta jak mleko mgła. A za nią, ledwo widoczna, rysowała się Piotrkowska. Pokręcił głową, nie wierząc w pułapki własnego umysłu.

Ledwo dokuśtykał do dużego pokoju. Z przyjemnością ujrzał inne kolory niż białe – pomieszczenie pomalowane było na kasztanowo, a meble były we wszystkich kolorach tęczy. Zapach jajecznicy i świeżo zaparzonej kawy dodał mu energii. Przy dużym stole krzątał się Mateusz, starając się, żeby wszystko było przygotowane i pod ręką. Gestem zachęcił Piotrka do zajęcia miejsca. Ten z satysfakcją usiadł i zaczął powoli jeść. Przez cały posiłek nic się nie odzywali, chociaż oboje wiedzieli, że mają później do pogadania...

Piotrek nie zjadł zbyt wiele, ale czuł się, jakby skończył właśnie największą biesiadę swojego życia. Organizm potrzebował czasu, żeby dojść do siebie. Z drugiej strony – taki kilkudniowy, hm, detoks był nawet przyjemny. Mimo że był słaby, czuł się świeżo. Tak jakby potrzebował wyjałowienia, wyzerowania, zniwelowania wszystkich dołków i gór. Ogarnęły go już dawno zapomniane uczucia – spokój i wewnętrzny balans.

Mateusz bystro przyglądał się swojemu niespodziewanemu gościowi. Piotrek dopiero po paru chwilach zorientował się, że jest pod obserwacją. Wystraszył się nieco przenikliwego spojrzenia, na jakie się natknął, po czym zachichotał, chcąc zakryć zakłopotanie. Mateusz nie mógł już więcej wytrzymać w milczeniu. Wesołym głosem zagadnął.

– I co, kolego? Role nam się odwróciły? Co się z tobą działo? Wszystkiego bym się spodziewał, ale znaleźć ciebie w takim stanie – nigdy... – Piotrek poczuł, jak się czerwieni. Powoli do niego docierało, jak musiał wyglądać ostatnimi czasy w oczach innych.

– Miałem... mam... cięższy okres – zaczął mówić zmęczonym, nerwowym

tonem. Chciałby móc odłożyć tę spowiedź na kiedy indziej, ale wiedział, że Mateusz mu nie odpuści. Poza tym był mu winny chociaż tych kilka szczerych zdań. – Wszystko mi się posypało na głowę... Pamiętasz ten dzień, kiedy spotkaliśmy się w parku?

Mateusz kiwnął głową.

– Pamiętam. Już wtedy nie byłeś, zdaje się, w najlepszej formie – skwitował.

– Oj, nie byłem. Wiesz pewnie, że dość mocno współpracowałem z Mińskim. Kilka dni przed tamtym spotkaniem pocięliśmy się, bo był zazdrosny o to, że kumam się z innym towarzystwem...

Piotrek zaczął opowiadać całą swoją historię, poczynawszy od wizyty u Krawca, przez plany płyty, po bitwy i rozstanie z Anką. Mateusz słuchał uważnie, ale nie wtrącał nawet najmniejszego komentarza. Widać było, że waży każde słowo. Piotrek opowiadał, ale każde zdanie przychodziło mu z trudem. Wspomnienia ewidentnie sprawiały mu ból. W końcu dotarł do ostatniego wieczora. Był cały rozdygotany, trudno powiedzieć, czy bardziej wściekły, czy zawstydzony.

– ...nawaliłem się jak świnia, nie wiedziałem, co się dzieje. Nagle poczułem, że nie mam siły i usiadłem w bramie, jak się okazało, twojej. Uderzyłem pięścią z wściekłości... resztę znasz – zakończył Piotrek, z widoczną ulgą, ale też ogromnym smutkiem w głosie i spojrzeniu.

Mateusz przez całą historię nie dał po sobie poznać, co o tym wszystkim sądzi, więc Piotrek nie miał pojęcia, czego się po nim spodziewać. Było, nie było – chociaż wiedzieli o sobie tak wiele, to zbyt dobrze się nie znali.

– Nie wiem czemu, ale miałem przeczucie, że coś z tobą jest nie tak – zaczął w końcu Mateusz, ale ton głosu miał neutralny. – Miasto jest małe. Wiele razy widziałem cię, jak szlajasz się po mieście. Prawie zawsze pijany. Przestałem cię widywać w Blak i na innych imprezach. Zastanawiałem się, co się dzieje. Teraz już wiem. – Uśmiechnął się, co Piotrkowi wydało się... dziwne. Z czego tu się cieszyć? Zachował jednak tę uwagę dla siebie, ciekawy, co rozmówca ma mu jeszcze do powiedzenia.

– Nie będę ci robił wykładów, co o tym sądzę. Sam się tego domyślasz. Mam tylko pewną propozycję dla ciebie. – Piotrek zmarszczył brwi. Nie miał kompletnie pojęcia, o co chodzi. – Wyjedź na jakiś czas. Odetnij się od tego wszystkiego. Znam ciekawe miejsce na Podlasiu. Pobądź w innym otoczeniu, z ludźmi, którzy inaczej patrzą na świat i życie. Co ty na to?

Piotrek spojrział na Mateusza jak na wariata.

– Co, co ja na to? – wyjąkał. – Nawet gdybym chciał, to... przecież mnie nie stać. Wydaję teraz swoje ostatnie oszczędności z koncertów. I tak myślałem, że mam tego dużo, dużo mniej. Bez Anki i bez rapu nie mam szans na bieżące utrzymanie się, a ty mi proponujesz wyjazd? Wybacz, ale odmówię.

Piotrek wstał od stołu, odrzucając energicznie krzesło. Poczł się obrażony. Po co to wszystko? Żeby go dobić? Liczył na jakąś sensową radę, a nie idiotyczne „wyjedź sobie”. Tak mu właśnie odplaca się człowiek, któremu on sam uratował życie...

Mateusz zaśmiał się głośno, co jeszcze bardziej rozjuszyło Piotrka. Ten spojrział z nienawiścią na gospodarza i... zaczął łagodnieć. Spokój i ciepło, jakie biły z oczu Mateusza, były tak niespodziewane, że wbiły się w Piotrka niemal z fizycznym bólem.

– Siadaj... – wykrztusił Mateusz, wciąż się śmiejąc. – Weź się uspokój, co tyś taki nerwowy? Ładnie to tak do gospodarza?

Piotrek momentalnie spokorniał i poczuł wstyd. Skąd w nim ostatnio tyle agresji i nienawiści? Usiadł na brzeżku krzesła i spuścił wzrok na podłogę.

– Chłopie, weź wyluzuj, bo wrzodów się nabawisz i już cię nikt nie odratuje, nawet ja! Słuchaj, domyślam się, że nie masz kasy, ale przecież nie proponowałbym ci niczego niemożliwego do zrealizowania. Pożyczę ci na ten wyjazd.

Piotrek pokiwał głową i wykrzywił twarz w zdziwieniu.

– Jak – pożyczysz? – zapytał, czując się coraz mniej pewnie z każdą minutą tego szalonego poranka.

– Po prostu. Ile będziesz potrzebował, tysiąc, dwa, nie ma problemu. Mój dług wobec ciebie to znacznie więcej niż jakieś marne parę złotych.

– A jeśli ci nie oddam? – to było pierwsze pytanie, jakie Piotrkowi wpadło do głowy. Później uznał, że to jedno z najgłupszych, jakie w życiu zadał. Mateusz roześmiał się.

– To już z góry zakładasz, że nie oddasz? Słuchaj, ja nie mam nic do stracenia. Jeśli pojedziesz, wrócisz i uznasz, że masz to gdzieś i nie oddajesz, to ja będę miał chociaż czyste sumienie, że dałem ci tę szansę i choć trochę się odwdzieczyłem. Ja i tak zarabiam więcej, niż mi jest to potrzebne – powiedział rozkładając ręce. – Chociaż i tak jestem pewien, że oddasz. – Poklepał Piotrka po ramieniu.

– To jak, zgadzasz się? – dodał szybko. – Wyjedź jak najszybciej, może nie dziś, bo jesteś jeszcze słaby, ale jutro... pojutrze najpóźniej. Nic cię tu nie trzyma, a ja wykonam jeden telefon i masz załatwione spanie i odbiór z dworca w Białymstoku.

Piotrek zaśmiał się gorzko na myśl o powrocie do tego miasta. Pokręcił głową, nie dowierzając w to, co się wydarzyło. Z miejsca, które przeklinał, miał wyczarować miejsce życiowej przemiany? Zwariowany pomysł.

– Nie dajesz mi wyboru, co? – zapytał, ale nieufność topniała w nim z każdą sekundą. – Niech ci będzie... Zobaczymy, jak to wszystko się skończy... – powiedział zrezygnowany, spuszczając wzrok.

Mateusz klasnął z zadowolenia i wstał, żeby objąć swojego gościa.

– No i to mi się podoba! – zawołał. – Nie pożałujesz, zobaczysz. Przyroda, spokojni, sympatyczni ludzie, klimatyczne cerkiewki, pomoże ci to. A na pewno lepiej zrobi niż czteropak i włóczęga po tym niezbyt miłym mieście, jakim jest Łódź – podsumował i błyskawicznie wygonił Piotrka do siebie, podając mu swój numer telefonu. Szczegóły miał podać za godzinę, kiedy ogarnie wszystkie niezbędne tematy.

Piotrek nie mógł uwierzyć w to, co się działo, ale nie miał zbyt wiele czasu na zastanawianie się. Musiał przygotować się do wyjazdu, który w sumie nie wiadomo ile miał trwać. Mateusz kazał mu zostać tak długo, jak tylko będzie potrzebował. Zatracił się więc w pakowaniu i przygotowaniach i ani się obejrzał, a stał już na dworcu, tym samym co ostatnio, czekając na pociąg, który jeszcze parę dni temu przeklinał. Dziwne jest to życie. Dziwne i niezrozumiałe. Nigdy nie wiadomo, czego się w zasadzie spodziewać.

Piotrek był zdziwiony tym, że Mateusz nie odprowadził go na pociąg. Zostawił mu tylko pieniądze (u kasjerki, jakim cudem go rozpoznała, do dziś nie wiadomo) i potrzebne na miejscu numery telefonów i informacje. Iwan zajął miejsce w połowicznie wypełnionym przedziale. Nie miał pojęcia, co się z nim dzieje i co go czeka. Czuł nieco strachu i podniecenia. Serce waliło mu jak oszalałe, kiedy pociąg powoli zaczął ruszać. Tuż za budynkiem dworca Piotrek wypatrzył znajomą postać. Chciał machnąć na pożegnanie, ale nie zdążył zareagować.

Usiadł i pokręcił głową. „Więc jednak przyszedł... Dziwny gość, ale lubię go” – pomyślał i zaśmiał się głośno. Współpasażerowie spojrzeli na niego zaskoczeni. Wyszczrzył zęby i odwrócił wzrok w stronę okna. Znów czuł się sobą. I niech każdy martwi się o siebie!

*

Ilu dałoby się pokroić za takie życie? Na kontach kilkadziesiąt milionów złotych (kiedy ostatni raz sprawdzał, było ich czterdzieści pięć, nie licząc sownie oprocentowanych lokat). Żadnych, ale to żadnych obowiązków. Mieszkania i domy w całym kraju. Ostatnio zafundował sobie nawet astona martina. Kobiety przyklejały się do niego jeszcze bardziej niż do tej pory. Gdyby chciał zebrać zdjęcia i krótkie opisy wszystkich, to musiałby zrobić z tego kilkutomową minicyklopedię. Kiedy miał ochotę na wódkę, kupował butelkę za kwotę, która wielu wystarczy na cały rok picia (a przecież w tym kraju pije się, oj, pije).

Tak wyglądało życie Marcina Pieniązka. Odkąd sprzedał swoje udziały w Strumieniu, nie miał kompletnie nic konkretnego do roboty, za to masę pieniędzy do wydania. Nie chciało mu się rozkręcać nowej działalności (bo i po

co? Swoje już osiągnął, a przede wszystkim zarobił), ale pokusa konsumpcji była niemożliwa do odparcia. W związku z tym wszystkim nowym życiowym zajęciem Marcina stało się wydawanie kasy.

Zapewne gdyby turystyka zakupowa stała się dyscypliną olimpijską, Marcin byłby polską nadzieją medalową numer jeden. Aby choć trochę urozmaić sobie codzienność, jeździł z jednego końca Polski na drugi, odwiedzając luksusowe sklepy, renomowane restauracje, salony samochodów topowych marek, śpiąc w najlepszych hotelach i zapraszając najlepsze prostytutki. Nie było w tym żadnego głębszego celu ani sensu.

Wszystko odbywało się według prostego schematu. Po kilku dniach beczynnego tkwienia w zbyt dużym mieszkaniu w Łodzi Marcin wsiadał w swoją 911 (bo akurat to auto trzymał tutaj) o najdziwniejszych porach. Następnie, pognawszy kilka godzin bez przerwy, lądował w innym mieście. Wynajmował pokój w hotelu, ponieważ mimo że posiadał wille i mieszkania w całej Polsce, nie lubił w nich mieszkać. Wybierał się na zakupy dla siebie. Kiedy zaspokoił swój głód, odwiedzał restauracje i kluby, gdzie zawsze poznawał jakąś atrakcyjną kobietę. Rozpieszczał ją zakupami, a ona odwdzięczała mu się swoim ciałem. Po kilku dniach, kiedy zaczynał czuć się znużony, po prostu wsiadał w auto i wracał do Łodzi. Oczywiście ku rozpaczy rozczarowanych kobiet.

Jednak w Łodzi korzystał wyłącznie z usług prostytutek. Znał już prawdopodobnie wszystkie, a one wszystkie znały jego. Płacił zawsze sownie, więc nigdy nie spotykał się z odmową, nawet w najbardziej... oblegane wieczory. Zdawałoby się – idylla.

Rzadko widać jednak, że kiedy jedna strona medalu błyszczy cudownym złotem, to druga jest zżerana przez rdzę. Alkohol już od dawna wypalał Marcinowi mózg. Od kiedy zmienił interes życia w górę pieniędzy, czuł w sobie bezkresną pustkę. Miał wrażenie, jakby był ogromną, bezdenną studnią, w której widać tylko najczarniejszą czeluść. Potrzebował wypełnić tę przestrzeń czymś, czymkolwiek. Cóż lepiej nadaje się do wypełniania pustych naczyń, jeśli nie hektolitry płynów?

Toteż Marcin nie tylko zasypywał ową dziurę stertami luksusowych dóbr, ale też zalewał ją. Nie tylko wódką, whisky, winem i obrzydliwie musującym szampanem. Zalewał ją moczem, fekaliami, wymiocinami, a czasem nawet krwią. Wiele razy budził się we własnej wannie, zalany swoimi płynami ustrojowymi. Spłukanie tego brudu dawało ulgę na krótko, bo już niedługo przychodził kolejny taki dzień, kolejny i kolejny. A im częściej się zdarzał, tym bardziej studnia stawała się głębsza i czarniejsza.

Jesień coraz bardziej ustępowała zimie. Po liściach na drzewach zostało tylko smutne wspomnienie w postaci zagrabionych stert gnijących śmieci. Noc przychodziła za wcześnie, a dzień zaczynał się zbyt późno. Jak na złość, deszcz lał bez przerwy, zalewając wszelką nadzieję, jaką mogły dać jakże cenne o tej porze

roku promienie cudownego słońca.

W jeden z tych smutnych dni przez autostradę z Poznania do Łodzi pędziło czerwone porsche. Mroczne drum'n'bass wstrząsało co chwilę szybami pojazdu. Marcin wbijał swój wzrok w gęstwinę mgły i tego przekłętego deszczu, marząc o tym, żeby już być w domu, wziąć prysznic i zaprosić swoją ulubioną dziewczynę na perwersyjną zabawę.

To była kolejna rzecz, którą odkrył w sobie już po wywaleniu go ze Strumienia. Był diabelnie zafiksowany na punkcie obrzydliwie chorego seksu. Przestały mu wystarczać konwencjonalne zabawy. Gdyby wziąć listę istniejących na świecie dewiacji, najprawdopodobniej tylko kilku jeszcze nie próbował. W gruncie rzeczy o ile bliskie mu prostytutki nie odmawiały mu nigdy swoich usług, o tyle przeklinały każdy dzień, kiedy na ich telefonach wyświetlał się numer Marcina.

Jego faworytą była młoda brunetka, która, jak twierdziła, miała dwadzieścia lat i na imię Ines. Nie wierzył w żadne jej słowo, ale uwielbiał jej usługi, bo marudziła jakby mniej niż inne, a w oczach miała jeszcze odrobinę żywiołowości, a nie tylko pusty profesjonalizm, jak jej koleżanki. Poza tym lubił z nią rozmawiać, jakkolwiek to nie brzmi. Cenił jej bezpośredniość i brutalność, z jaką wyrażała się na temat życia. Tym większą radość sprawiało mu, kiedy mógł utwierdzić ją w jej przekonaniach, traktując ją z wyjątkowym okrucieństwem.

Dudniące muzyką 911 zajechało pod luksusowo wyremontowaną kamienicę około godziny osiemnastej. Marcin spojrział z rozczarowaniem na zegarek. Liczył, że dotrze nieco później. Na wizytę Ines mógł liczyć dopiero po dwudziestej drugiej. Plan na spożytkowanie czasu miał prosty. Został mu w domu prawie litr Dalmore'a, więc zamierzał rozochocić się smakiem whisky przed przyjściem swojej ulubienicy.

Czas płynął szybko, kolejne szklanki stawały się znów puste i puste. Marcin czuł to odprężenie, które tak bardzo uwielbiał. Mimo szarości dnia widział, jakby złote refleksy wyborczego trunku w cudowny sposób rozświetlały całe pomieszczenie. Zgodnie ze swoim dawnym zwyczajem, pod whisky słuchał klasyki. Na przemian delikatne i mocniejsze uderzenia fortepianu, zmysłowo zawodzące skrzypce, boskie dźwięki harf i cichutkie muśnięcia cymbałków masowały jego umysł, rozluźniając każdy centymetr jego ciała. Zadzwoił do Ines, obiecała mu przyjść jak najwcześniej po dwudziestej drugiej. Poprosił ją, żeby weszła jak zwykle, bez pytania i od razu przystąpiła do działania. Uśmiechnął się. Lubiał być na pierwszym miejscu...

Stukot obcasów niósł się najpierw po klatce schodowej opustoszałej kamienicy, a później po pustym mieszkaniu. Muzyka nie grała, co nieco zdziwiło Ines. Marcin rzadko kiedy witał ją ciszą. Uznała jednak, że teraz może mieć taki

kaprys, szczególnie że dawno się nie widzieli. Zrzuciła z siebie wszystkie niepotrzebne ubrania, zostając jedynie w seksownej bieliźnie i butach na przesadnie wysokich szpilkach. Rozejrzała się nerwowo, wzięła głęboki wdech i znów postukując, zaczęła iść w stronę salonu.

Tam zawsze na nią czekał. Nie lubiła tego momentu, bo nigdy nie wiedziała, czego może się po tym psychopacie spodziewać. Ona i jej koleżanki wracały stąd niejednokrotnie posiniaczone, obolałe i pachnące brudem, nawet pomimo wzięcia prysznic. Z drugiej strony, mogły dochodzić do siebie kilka dni, bo płacił kilku, a czasem kilkunastokrotność normalnej, i tak już wysokiej, stawki.

Weszła powoli do ciemnego salonu i ku swojemu zdziwieniu nie zobaczyła nikogo. Serce podeszło jej do gardła. Co on może kombinować?

– Marcin? Marcin? – zawołała cicho jego imię, raz i drugi, ale nie odezwał się. Wyszedł? Nie, to niemożliwe. Nigdy nie przekładał i nie odmawiał spotkania. Może jest w łazience?

Stuk... stuk... stuk... Każdy krok Ines czynił przeszywający hałas niczym wybuch granatu. Uchyliła drzwi do łazienki. Spodziewała się wszystkiego, więc błyskawicznie rozejrzała się po pomieszczeniu. Chciała mieć to za sobą. Musiał zadzwonić dzisiaj akurat po nią? W łazience Marcina nie było.

Zdezorientowana zaczęła zastanawiać się, gdzie jeszcze może być jej klient. Zostały tylko kuchnia i sypialnia. Postanowiła sprawdzić najpierw tę drugą ewentualność. Tak szybko, jak tylko mogła, przeszła pod kolejne drzwi. Szybko je uchyliła i zobaczyła Marcina siedzącego luźno, opartego o ogromne łóżko. Poczowała ulgę. To tu mieli się dzisiaj bawić.

– Czeeeść – wyszeptała, zmieniając cały swój strach w seksapil. – Jestem do twoich usług, na co masz dziś ochotę? – Zbliżyła się do niego powoli, kręcąc ponętnie biodrami. Marcin nawet nie podniósł głowy.

Zbliżyła się do niego i nachyliła. Odór alkoholu był paskudny, ale ona już dawno przyzwyczała się znosić ten zapach. Zauważyła, że ma zamknięte oczy. Nachyliła swoje usta do jego ucha i...

– Śpisz, kotku? – wymruczała.

Ani drgnął. Zaczęła się denerwować. To nie tak miało być. Nie będzie go teraz niańczyć albo czekać godzinami, aż się obudzi. Cofnęła się do drzwi i zapaliła światło. Marcin momentalnie podniósł głowę i spróbował unieść powieki, ale szybko je zamknął z grymasem bólu.

– Co się, kurwa, dzieje? – wybełkotał. Udało mu się lekko otworzyć oczy. Zmierzył Ines od stóp do głów. Zaśmiał się. – Dobre pytanie zadałem. Powiedziałem „kurwa”, a przede mną kurwa stoi. – Wyszczrzył zęby w głupekowatym uśmiechu. Ines poczuła się zmieszana.

– Nie poznajesz mnie? To ja, Ines – wyszeptała z odrobiną przerażenia w głosie.

– Ines, Ines, Ines... – Marcin obracał w ustach imię prostytutki jak, nomen omen, pieniądze w dłoni. – A, to ty! Najbardziej kurewska z wszystkich dziwek w Łodzi! – zawołał z wyraźną dumą w głosie. Ines uśmiechnęła się gorzko. Z zawodowego punktu widzenia właśnie otrzymała pokaźny komplement...

– Tak, to ja. Mam się brać do roboty czy będziemy rozmawiać? – zapytała z typową dla siebie bezpośredniością.

– Tak i tak będziemy pierdolić – skwitował Marcin, rechocząc z satysfakcją. – Chodź tu do mnie, później pogadamy. I zgaś to pieprzone światło albo zlej ci dziś dupsko do krwi. Chociaż pewnie i tak to zrobię.

Ines posłusznie wyłączyła światło i zaczęła zbliżać się do próbującego wstać Marcina. Wyciągnęła dłoń, żeby mu pomóc, ale on ją z impetem odtrącił.

– Żadna kurwa nie będzie mi pomagać! – zawołał i opierając się o łóżko, z trudem stanął do pionu. Spojrzał tępym wzrokiem na prostytutkę, na początku szczerząc się obrzydliwie. Zaczął wyciągać dłoń w kierunku jej piersi, kiedy nagle zaczął wymiotować. Ines w ostatniej chwili odskoczyła, unikając pochłapania. Marcin upadł na kolana i rzygał wciąż i wciąż, charcząc, jakby podrzynano mu gardło. Ines nie wiedziała, jak ma zareagować, więc przyglądała się sytuacji z obrzydzeniem, ale też odrobiną satysfakcji. Przecież nie będzie mu pomagać – jako kurwa...

Marcin z każdym spazmem wyraźnie tracił siły, ostatecznie upadając prosto w kałużę własnych wymiocin. Ines odwróciła wzrok z obrzydzeniem i zaczęła wychodzić z pokoju. Mijając już próg, usłyszała przerażający skowyt.

– INEEEEES! – Marcin wołał, jakby był właśnie torturowany. – INEEEEES, wróć tu, błagam. prostytutka zatrzymała się. Chociaż rozum nakazywał jej uciekać, gdzieś w sercu czuła, że powinna mu pomóc. Wróciła się.

Marcin leżał na boku, gapiąc się na nią. Z oczu zaczęły lecieć mu łzy. Wyglądał żałośnie.

– Czego chcesz? – zapytała sucho. Nie miała ochoty na bzdurne pogaduszki z obrzyganym pijakiem. Było, nie było – nie po to tutaj przyszła.

Patrzył na nią tępo przez kilkanaście sekund, wydawało się, że zapomniał, po co ją wołał. Dopiero kiedy ostentacyjnie odwróciła głowę za siebie, gwałtownie oprzytomniał.

– Ines... nie... nie odchodź. Zaczekaj – mówił słabo. Był ewidentnie wyczerpany. Trudno powiedzieć, czy takie spustoszenie spowodowane było bardziej nadmiarem alkoholu, czy stanem jego zdruzgotanej psychiki. Ines przechyliła głowę na bok i tupnęła kilkukrotnie obcasem, zniecierpliwiona całą tą groteskową sytuacją.

– Słuchaj, skarbie... – kontynuował, z trudem artykułując każdy wyraz. – Powiedz mi, jak to jest. Tyle pracy, tyle zdrowia, tyle energii, wszystko poszło w pizdu, bo jakiś stary pierd zabrał mi wszystko, co miałem. WSZYSTKO! –

wrzasnął rozpaczliwie. – Dlaczego?! Dlaczego tak jest? Dlaczego nie myślę teraz o tym, co jutro zrobię dla firmy, tylko którą dziwkę będę pieprzył? Co ja komu takiego zrobiłem, że te hieny zabrały mi wszystko, co? – Wyraźnie się ożywił. Chociaż nadal bełkotał, to mówił coraz bardziej zdecydowanie. Nienawiść dodawała mu energii...

Ines pogardliwie parsknęła śmiechem i pokręciła głową.

– I co, dziwkę pytasz o zdanie? Jeszcze parę chwil temu mówiłeś, że żadna kurwa nie będzie ci pomagać. – Wbiła w niego wzrok i patrzyła, jak coraz bardziej się kurczy. Tracił ostatnie resztki pewności siebie.

– Ines, Ines, Ines... – szeptał pod nosem jej fikcyjne imię, jakby to było zaklęcie. W końcu zebrał się na odwagę.

– Tak. Pomóż mi. Błagam, pomóż mi, bo jeśli ty tego nie zrobisz, to już nikt. Ines, dlaczego tak jest? Dlaczego tak się dzieje? Dlaczego?! – Zaczynał zachowywać się jak dziecko. Płakał, jęczał, gdyby miał siłę, to pewnie zaczęłby ciągnąć ją za rękę, tak jakby miało to ją zachęcić do pomocy. Ines miała dosyć, chciała już skończyć to przedstawienie.

– Wiesz dlaczego? Skoro tak bardzo tego pragniesz, to proszę bardzo. Pomogę ci – powiedziała. Marcin rozpromienił się momentalnie. Otworzył szeroko oczy i usta, jakby czekał na pokarm, który miałby ugasić jego trwający zbyt długo głód. – Widzisz... chociaż nie, ty tego nie widzisz. Nazywałeś mnie kurwą, ale nie rozumiesz pewnej różnicy. Ja jestem prostytutką. Kurwą z nas dwojga jesteś ty. Ja może i daję dupy każdemu, kto zapłaci, ale w środku pozostaję sobą. Kiedy jestem z klientem, wyłączam się, traktuję to wszystko machinalnie. Gdybym tylko mogła, to przestałabym to robić z dnia na dzień i zajęłabym się czymś innym. Mnie jednak trzymają tu pewne kwestie, których ty nigdy nie pojmiesz. Tak czy siak – będąc prostytutką, pozostaję człowiekiem.

Marcin przestawał pojmować, do czego dąży Ines. Gapił się idiotycznie, czekając na jakąś zrozumiałą dla niego konkluzję.

– Ty jesteś kurwą, mój drogi. Dla sukcesu, dla zaspokojenia swojej chorej ambicji zrobisz wszystko. Ty nie robisz tego dla kasy, jak ja. Ty to robisz, żeby pokazać światu „patrzcie na mnie, jestem najlepszy, najmądrzejszy, mam największą firmę, największe zabawki i największe ego!” – mówiła, a do Marcina docierało, że ta rozmowa nie biegnie w kierunku, którego od niej oczekiwał.

– Masz kasę i co? Przepierdalasz wszystko na alkohol i dziwki. Nie ma ciebie. Nie istniejesz. Nie robisz nic, nie zmieniasz nic, nie dajesz nic od siebie. Potrafisz tylko brać, a później płaczesz zarzygany, że wszystko ci zabrali. Nie ma nic za darmo. – Tego było zbyt wiele. Zaczął zbierać się na siłach, żeby wstać i oklepać mordę tej pyskatej kurewce.

– Brzydę się tobą, wszyscy się brzydzą – mówiła wciąż, z coraz większą satysfakcją. – Wydaje ci się, że za pieniądze i twój śliczny, durny uśmieszek

dostaniesz wszystko. Dostałeś to, na co zasłużyłeś. – Zbliżyła się do niego i nachyliła nad jego uchem.

– Czyli nic, kurewko – wyszeptła, po czym, wyszła z sypialni, nie oglądając się za siebie. Szybko ubrała się i już miała wychodzić, ale zatrzymała się w drzwiach wejściowych. Cofnęła się do salonu i wyjęła z portfela Marcina plik stuzłotówek.

– Żebyś nie przeklinał, że cię okradłam – zawołała. – Biorę dziś ekstra, bo nie każdemu zdarza się dostać radę od prostytutki. Chciałeś prawdę, to masz prawdę, tylko nie marudź, że cię teraz kurewsko boli. – Schowała pieniądze do torebki i wyszła, trzaskając drzwiami.

Marcin siedział oparty o łóżko, tak samo jak w chwili, kiedy przyszła do niego Ines. Nie spodziewał się, że ten wieczór tak się zakończy. Czuł, jak nagle trzeźwieje. Miał wrażenie, jakby po raz pierwszy w życiu otworzył oczy. On śmieciem? Kurwą? Ludzie się nim brzydzą? Przecież to niemożliwe. Zawsze był lubiany i szanowany. Skoro było inaczej, to czemu nikt mu tego wcześniej nie powiedział?

Zaczął się zastanawiać nad sensem słów prostytutki. Cały czas nie do końca rozumiał, co chciała mu dokładnie powiedzieć. Przecież dawał tak wiele od siebie. Tyle pracy, zaangażowania, czasu – to tak mało?

Im dłużej o tym myślał, tym mniej rozumiał.

Zaczęła nużyć go senność. Za dużo atrakcji na jeden wieczór. Jebać Ines i jej wyciągnięte z dupy mądrości. Trzeba się przespać i ogarnąć. I nigdy więcej nie dzwonić do tej lafiryndy.

Zdjął z siebie ubranie i rzucił na zarzyganą podłogę. Rozejrzał się po sypialni. Nawet w półmroku wyglądała strasznie. Brudna podłoga, walające się butelki po whisky i wódce, a w tym wszystkim on – też w beznadziejnej kondycji. Obraz nędzy i rozpacz.

Ostrożnie wyszedł z pokoju i zamknął go, nie chcąc o nim pamiętać. Wszedł pod prysznic, starając się splukać z siebie cały ten brud, jaki go oblepiał nie tylko fizycznie. Niestety, poczuł się tylko minimalnie lepiej. Dygocząc z zimna, przebiegł do salonu, zawinął się w koc i położył na kanapie. Nie chciał już o niczym myśleć i pamiętać. Całe szczęście – sen przyszedł błyskawicznie.

Kiedy się obudził, było już grubo po dwunastej. Czuł się wyjątkowo paskudnie. Mimo że spał twardo, miał wrażenie, jakby nawet na sekundę nie zmrużył oka. W ustach czuł palącą suchość, a głowa zdawała się być gotowa do eksplozji przy najdrobniejszym ruchu. Z trudem doczłapał się do lodówki i bez specjalnego zdziwienia odkrył, że jest kompletnie pusta, podobnie zresztą jak jego żołądek.

Miał to szczęście, że nie musiał się zastanawiać, czy w takim razie zjeść

śniadanie poza domem, czy biec na szybkie zakupy. Po prostu ubrał się w luźne ciuchy i skierował się na poszukiwanie jakiejś knajpki. Nie chciało mu się szukać czegoś wyrafinowanego, a tym bardziej łązić godzinami. Jedyne wysiłki, na jakie było go stać, to doczłapanie się do Piotrkowskiej. Tam wypatrzył szyld jakiejś włoskiej restauracji, do której wszedł bez zastanawiania się.

Zamówił jakiś makaron, chyba z bakłażanem – niespecjalnie o to dbał. Kelnerka zaproponowała do obiadu wino, ale Marcin odmówił. W pierwszej chwili. Zawołał dziewczynę i poprosił o kieliszek czerwonego półwytrawnego. Uznał, że wino zrobi mu dobrze i na samopoczucie, i na trawienie.

Zjadł bez pośpiechu. Od pewnego czasu nie znał tego uczucia. Nic go nie ograniczało, nikt na niego nie czekał, więc gdzie miałby się spieszyć? Makaron okazał się zaskakująco smaczny. Jak widać nie tylko w najdroższych knajpach dobrze gotują. Popił jedzenie winem, zapłacił rachunek, zostawiając kolosalny napiwek i wyszedł na opustoszałą Piotrkowską.

Wreszcie przestało padać, ale nadal było pochmurno i zimno. Nikt nie miał ochoty łązić po mieście w taką pogodę. Rozejrzał się wokół, zastanawiając się, co mógłby dzisiaj porobić. Tysięczny taki sam dzień stał przed nim otworem. Wino poprawiło mu humor, więc uznał, że zrobi sobie krótki spacer.

Był całkowicie wyprany z myśli. Tępo rozglądał się po kamienicach, bezrefleksyjnie stawiając kolejne kroki. Kac robił swoje, a poza tym – o czym tu myśleć? O bzdurach wygadywanych w nocy przez jakąś dziwkę? Pewnie była sfrustrowana, bo liczyła, że się pobzykają, a nic z tego nie wyszło. Jej problem.

Marcin uśmiechnął się. Tak samo, jak zawsze, kiedy zostawiał kolejną kobietę, a ona błagała go, żeby nie wyjeżdżał. Piękne uczucie! I to błagalne spojrzenie! Czego one tak histeryzowały? Chodziło im o seks, błyskotki czy pieniądze? Pewnie o wszystko naraz, dlatego nie dostawały niczego.

Niczego... Tak jak Marcin od Sulimy. Dał od siebie, a został z niczym. Rozejrzał się. Zbliżał się do Narutowicza. Przecież stąd tylko kawałek do łódzkiego biura tego starego pierda! To był dopiero pomysł! Pójść do zaskoczonego dupka i wygarnąć mu wszystko, zapytać się, po co to zrobił, a na końcu napluć mu na biurko i wyjść. Rewelacyjny plan!

Skręcił w prawo i przyspieszył kroku. Nie mógł się doczekać zobaczenia tej przeklętej mordy. Kilka chwil później wskakiwał po schodach, aż w końcu stanął przed drzwiami z tabliczką „Wanergy”. Nie pukając, wszedł do środka i zobaczył zaskoczoną sekretarkę. Wyszczrzył zęby.

– Jest Sulima? – zapytał, nie udając grzecznego.

– Pan prezes jest w biurze, ale jest zajęty. Był pan umówiony? – odpowiedziała kobieta, starając się zachować profesjonalizm. Wiedziała, co się święci. Marcin już nie zważał na to, co mówiła, tylko wpadł do dobrze mu znanego pokoiku.

– Dzień dobry! – zawołał, wlepiając oczy w Sulimę. Ten nawet nie podniósł głowy znad papierów.

– Witaj Marcin. Pani Joasiu, proszę przejść się przewietrzyć – głos biznesmena był jak zwykle zaskakująco spokojny. Wyglądał, jakby od dawna wiedział, że coś takiego się wydarzy. Sekretarka wyszła, obrzucając Marcina pogardliwym spojrzeniem. Ten, sam nie wiedząc czemu, pokazał jej język.

– Co cię do mnie sprowadza? – Sulima w końcu spojrzał na Marcina. Jego oczy były niezmiennie zimne i obojętne. Chyba nic nie było w stanie go zaskoczyć. Wciągnął powietrze nosem. – Nie wyglądasz i nie... pachniesz najlepiej. – Marcin nawet nie westchnął na uwagę tego starucha.

– Słuchaj, nie jestem tutaj po to, żebyś mi prawił morały o tym, jak wyglądam, jak pachnę i co robię. Przychodzę pogadać. – Sulima pokręcił głową.

– Domyślam się, że pogadać. Zastanawiam się tylko, gdzie się podział ten grzeczny chłopak, który jeszcze niedawno temu dzwonił do mojej sekretarki i ładnie prosił o spotkanie w Łodzi. Zmieniłeś się, Marcin, tylko nie wiem, czy aby na pewno na lepsze... – Sulima znów mówił swoim ojcowskim tonem. Marcin był pod wrażeniem, za każdym razem, kiedy się spotykali. Nawet dzisiaj, kiedy miał ochotę roztrzaskać mu głowę o krawężnik, nie mógł się pozbyć szacunku do tego starszego pana.

– Usiądź, przyjacielu, z mojej strony zawsze możesz liczyć na rozmowę. Zaparzę nam kawy, może to przywróci trochę rumieńców twojej twarzy. – Sulima wstał i najpierw odsunął Marcinowi krzesło, po czym podreptał do ekspresu i przygotował dwie kawy. Pieniążek, oszołomiony, klapnął ciężko na skórzanym siedzeniu i z podziwem przyglądał się krzątaniu pana Pawła.

Marcin czuł, jak przez skórę razem z toksynami pozostałymi po rozkładzie alkoholu wyparowuje z niego nienawiść do tego człowieka. Spodziewał się gorzkiego przyjęcia i wielu ostrych słów, a był goszczony, jakby był najchętniej widywanym w tym ciasnym biurze obywatelem. Dopiero w tej chwili uświadomił sobie, jak traktowali go inni ludzie. Kiedy otrzymał od Sulimy tę odrobinę gościnności i empatii, zauważył, że nawet tam, gdzie zostawiał gigantyczne napiwki do kolosalnych rachunków, mógł liczyć co najwyżej na chłodny, wyrachowany profesjonalizm. W najlepszym wypadku, bo najczęściej dotykała go pogarda i całkowity brak szacunku.

– Masz sporo szczęścia, że mnie tu dziś spotykasz. W sumie to kompletny przypadek, bo akurat przejeżdżałem przez Łódź i miałem tu nie zostawać, ale zgłodniałem i uznałem, że jak już zaglądam na jedzenie, to zostanę na noc i zajrzę do biura. – Sulima opowiadał to w tak swobodny sposób, że Marcin poczuł się, jakby odwiedzał swojego wujka, a nie prezesa gigantycznej firmy.

Aromat kawy unosił się leniwie w powietrzu, zmieniając w tajemniczy sposób zwykle, zawalone papierami biuro w przyjemny, gościnny kącik.

– ...ale to nie ja jestem tutaj od gadania, tylko ty – ciągnął Sulima. – Co cię do mnie sprowadza? O czym chcesz porozmawiać? Jestem otwarty na wszelkie tematy. – Uśmiechnął się ciepło i wyciągnął wygodnie w swoim fotelu. Marcin, początkowo buńczuczny, zaczynał się denerwować. Upił łyk kawy i wciągnął głęboko powietrze. Spodziewał się znaleźć w zupełnie innej sytuacji.

– Paweł, zostawiłeś mnie z niczym – zaczął mówić z trudem. – Zabrałeś mi dzieło mojego życia. Firmę, dla której rzuciłem wszystko, co miałem do tej pory. Moim dzieckiem zajmuje się teraz jakiś twój przydupas, chociaż i tak wszyscy wiedzą, że to ty pociągasz za sznurki. Ty się bawisz, a ja nie mam nic. Zastanawiam się tylko – dlaczego? Dlaczego mi to zrobiłeś? Masz z tego jakąś dziką satysfakcję? Jesteś zadowolony? – Marcin nakręcał się z każdym słowem. Znowu napływała do niego złość i pusta frustracja. Sulima musiał to zauważyć.

– Marcin, Marcin, ochłoń. Po co te nerwy? – papa Paweł znowu uspokajał tonem swojego głosu. – Rozumiem, że jesteś zdenerwowany. W pewnym momencie straciłeś kontrolę nad sytuacją, którą wydawało ci się, że rządzisz w stu procentach. Jeśli chcesz, opowiem ci, jak to wyglądało z mojej perspektywy. Może to otworzy ci oczy na niektóre aspekty, których możesz teraz nie zauważać – zaproponował, nawet z odrobiną radości w głosie.

Marcin wciągnął ciężko powietrze, przewracając oczami i kręcąc głową. Następny, który mu będzie tłumaczył, jaki to nie jest zły? Czemu go traktują, jakby był ślepy i nie wiedział, co się dzieje wokół? Toczył ze sobą walkę, bo miał ochotę wyjść stąd, trzaskając drzwiami, a jednocześnie ciekawiło go, co tak odkrywczego ma mu do powiedzenia Sulima. W końcu wydusił z siebie tylko jedno słowo:

– Mów – syknął, założył ręce i wbił wzrok w rozmówcę niczym juror czekający na występ, który ma ocenić.

Sulima ani drgnął.

– Zmieniłeś się... chociaż... może się mylę – zaczął swoją opowieść. – Może właśnie taki byłeś od początku, tylko chowałeś się pod maską wyuczonej kultury i estymy. Kiedy napisałeś do Wanergy pierwszego maila, zaciekawiłeś mnie swoją propozycją. Miałeś świetną, ambitną wizję. Nie miałeś problemu z poproszeniem o pomoc kogoś... większego od ciebie, od samego początku byłem przekonany, że ci się uda.

Oczywiście od razu zacząłem zlecać moim ludziom wykonywanie researchów na twój temat. Chciałem wiedzieć o tobie wszystko, zresztą podobnie jak ty na temat Wanergy. Uchodziłeś za osobę chorobliwie ambitną, perfekcjonistyczną, niesłuchanie pracowitą. Wydawało się, że jesteś materiałem na idealnego pracownika, a każdy biznes, za jaki się weźmiesz, będzie strzałem w dziesiątkę – mówił, to rozglądając się po pokoju, to patrząc bystrzymi oczami na Marcina.

– W swoich poszukiwaniach dotarłem nawet do twoich znajomych ze

studiów. Przyznam szczerze – szukałem twojego słabego punktu. Nie ma nikogo bez skazy i zastanawiałem się, w którym miejscu ten twój pancerz kryje choć odrobinę gorzej. Udało się, chociaż sporo musiałem wydedukować samemu – powiedział, kiwając z aprobatą głową, jakby potwierdzając znój, jakim było rozgryzanie Marcina.

– Otóż twoi przyjaciele podrzucili mi informację, że na studiach byłeś najlepszy we wszystkim – od przygotowania prezentacji, przez niewykrywalne ściągi, aż po podrywanie najtrudniejszych do zdobycia studentek. Jednak przez to wszystko brakowało ci czasu na odrobinę studenckiego luzu i lenistwa. Rzadko kiedy dawałeś się wyciągnąć na wagary albo spontaniczne piwo po zajęciach. Kiedy szedłeś na imprezę, wściekałeś się, że dostajesz informację tego samego dnia. Wściekałeś się, bo wiedziałeś, że zabraknie ci czasu na przygotowania.

Marcin nie odzywał się, ale co chwilę wzdychał i przewracał oczami. Po co mu to wszystko wypominał? Sulima nie zwracał na jego reakcje najmniejszej uwagi.

– Zrozumiałem, że jeśli czegoś ci brakuje, to dwóch rzeczy – dystansu do siebie i elastyczności. Przed naszym pierwszym spotkaniem postanowiłem wymyśleć coś, co zweryfikuje tę teorię. Chciałem postawić cię pod ścianą i sprawdzić twoją determinację – kontynuował, a w jego oczach zaczynały tańczyć wesołe chochliki.

– Widzisz, wyglądam na spokojnego i ułożonego staruszka, ale nie da się niczego osiągnąć bez odrobiny fantazji. Lubię czasem zrobić coś wbrew regułom i czekać na reakcję otoczenia. Liczę się oczywiście z tym, że czasami ktoś mi powie, że jestem nienormalny i nie da się z kimś takim współpracować. Bez ryzyka nie ma zabawy. – Uśmiechnął się z satysfakcją, jakby w jednej chwili przypomniały mu się najlepsze momenty życia.

– Przyznam ci się, że liczyłem na to, że po naszym... numerze, zadzwonisz i zwymyślasz mnie i Bolimowskiego. Jesteś zbyt dobry, żeby prosić kogoś innego o pomoc, nawet jeśli jest to taki potentat jak Wanergy. Każda umowa z nami, KAŻDA – nawet uczciwa, zabierała ci niezależność. Tutaj nie ma półśrodków. Albo jesteś wolny, albo jesteś niewolnikiem, kropka – stwierdził, pukając dłonią w stół.

– Ty wybrałeś niewolę. Po tym, jak przełknąłeś bez słowa ten policzek z naszej strony, bo tak to trzeba nazywać, wiedziałem, że zrobisz wszystko, byle osiągnąć swój cel. Gdyby było nim rozkręcenie swojego biznesiku, który przynosi jakieś tam przyzwoite zyski, darowałbym sobie pomysł wygryzania cię z tej branży. Niespecjalnie jednak ukrywałeś, że zamierzasz najpierw rozszerzyć działalność na północy, a później wygryźć nas z reszty kraju. Myślisz, że jako prezes mógłbym na coś takiego pozwolić?

Marcin uśmiechnął się z satysfakcją, pierwszy raz od wejścia do biura.

– Przynajmniej wiem teraz, że się mnie bałeś. – Skomentował. Sulima pokręcił głową z niesmakiem.

– Cały ty. Byle się ciebie bać, byle cię szanować i mieć do ciebie należyty respekt. Tak po prostu, z urzędu. Jak dziecko. Marcinowi uśmiech na powrót zniknął z twarzy.

– A ty co, mój tatuś jesteś? – syknął.

– Marcin, ochłoń w końcu – warknął Sulima. – Wiesz, dlaczego wykorzystałem do swojego planu Skoniecznego? Wcale nie dlatego, że ma łeb na karku! Podobnych jemu mam pod ręką na pęczki. Jednak nikt tak jak on nie potrafi grać ludziom na emocjach.

Wiedziałem, że jedyną metodą na to, żeby cię pokonać, jest rozhuśtanie twoich uczuć, które tak starałeś się ukrywać. Julce się nie udało, chociaż po imprezie jej firmy byłem przekonany, że to ją będę mógł wykorzystać do mojego planu.

Marcin aż wstał, zszokowany informacją o Julii.

– Byłeś tam? Wynająłeś ją? To wszystko było nagrane? – krzyknął zdezorientowany. Sulima pokazał mu gestem, żeby usiadł.

– Słyszałem, że nie zależy ci już na niej, więc skąd takie zainteresowanie? – ostro skwitował prezes. Marcin zaczerwienił się i spuścił wzrok. – Widzę, że właśnie burzę twoją fasadę, którą tak misternie budowałeś przez kilkanaście lat, co? Masz... miałaś szczęście. Tylko że zza muru ciężko dojrzeć to, co jest poza nim. Julka kochała cię naprawdę. Dostała ode mnie sowitą propozycję, ale kazała mi się wynosić. Kiedy dowiedziała się o pojawieniu się Skoniecznego, zadzwoniła do mnie i wyzwała od skurwieli. Wiedziała, że to moja sprawka i że znalazłem inny sposób, żeby cię załatwić.

Marcin zjechał nisko na fotelu i złapał się za głowę. Zbladł.

– Chcesz mi powiedzieć, że wszystko to, w co wierzyłem i czemu ufałem, to była ułuda? – zapytał słabym głosem, jakby bał się wypowiadać te słowa.

– Tak. Skonieczny robił na tobie tak ogromne wrażenie, że skoczyłybyś za nim w ogień, prawda? – Marcin kiwnął niechętnie głową. – No właśnie. Tak mocno zaplątałeś się w labiryncie swoich udawanych przyzwyczajzeń, że przestałeś rozróżniać prawdę od fałszu. Zatraciłeś umiejętność racjonalnej oceny. Seks, alkohol, sukces i pieniądze tylko pogłębiały twoją degrengoladę. Kiedy zauważyliśmy, że jesteś blisko dna, zaatakowaliśmy – powiedział Sulima bez krzty satysfakcji.

– Najlepsze jest to, że ani chwili się nie broniłeś. Nie próbowałeś klócić się, procesować, nic. Wtedy zrozumiałeś, że uderzyliśmy w twój najsłabszy punkt i nie masz żadnych szans.

Marcin nerwowo zabębnił palcami w biurko. Rozejrzał się niespokojnie po biurze i westchnął.

– Skąd ty to wszystko wiesz? Kim ty w ogóle jesteś? Diabłem?

Prezes roześmiał się szczerze, wyraźnie rozbawiony ostatnim pytaniem.

– Kim? Paweł Sulima, miło mi. Wydaje mi się, że już się poznaliśmy. – Z uśmiechem na twarzy podał zdezorientowanemu Marciniowi dłoń. – Jestem po prostu sobą – kontynuował. – Widzisz we mnie szatana, ale ja tylko dbam o swój interes. Wiesz, jak mówią do mnie w firmie? Ojcie.

Marcin uniósł wysoko brwi.

– Że jak, przepraszam?

– Ojcie. Taki jestem na co dzień. Kocham moją firmę i moją rodzinę. Taki mam charakter. Mogę dogadać się z każdym, ale kiedy jakiś wilk zbliża się do mojego stada, to strzelam bez pytania. Ty byłeś wilkiem... chociaż nie. Ty byłeś owcą przebraną za wilka. Przykro mi.

Sulima nagle zawiesił głos. Marcin odniósł wrażenie, jakby autentycznie posmutniał. Prezes przetarł oczy i uśmiechnął się... po ojcowsku. Pieniążek dopiero teraz zrozumiał, skąd wziął się pseudonim.

– Mniejsza z tym. Przegrałeś firmę, ale wygrałeś kasę i święty spokój. Nie zostałeś z niczym, a tak też mogło być. Chociaż chyba nie miałbym serca, żeby cię zniszczyć do cna... Czym ty się teraz w ogóle zajmujesz?

Marcin spieszył się.

– Jeżdżę po kraju, to tu, to tam. Wydaję twoje pieniądze... – Uśmiechnął się nerwowo.

– Czyli nie robisz nic. – Prezes westchnął, ewidentnie rozczarowany. – Bałem się, że tak będzie, ale nie zamierzam cię niańczyć. – Sulima nagle nachylił się nad biurkiem i wbił wzrok z Marcina.

– Pijesz? – zapytał szorstko.

Pieniążek poczuł, jak momentalnie czerwienieje. Nie spodziewał się takiego pytania, chociaż nie powinien być zaskoczony. Zrobiło mu się słabo. Nagle zamarzył o wyjściu na świeże powietrze. Sulima niecierpliwie stuknął palcem w biurko. Marcin podniósł wzrok i momentalnie opuścił głowę.

– No mówże! – zawołał prezes. – Tylko nie owijaj w bawełnę, ja i tak się dowiem.

– Kurwa, Paweł... Piję. Codziennie i za dużo. – Sulima ciężko klapnął na oparciu fotela. Pokręcił głową.

– Rzuć to w cholerę. Znajdź sobie coś do roboty. Nie wiem, może wróc do Julki, jeśli jeszcze jest to możliwe. Życie jest piękne, nie zniszcz go sobie. Nagle wstał i podszedł do Marcina. Ten, zaskoczony, również podniósł się z fotela. Sulima wyciągnął dłoń.

– Idź już i nie wracaj tu więcej. Za długo to trwało, ta rozmowa. Zapomnij o tym wszystkim, co się działo między nami. Zaczynaj od nowa. Dasz radę. Powodzenia. – Marcin był nieco zaskoczony, ale poczuł ulgę, że to spotkanie

dobiega końca. Spodziewał się czegoś zupełnie innego, a, zdaje się, wkroczyli na tematy, na które obaj nie chcieli nigdy rozmawiać.

Podał dłoń Sulimie i bez słowa udał się do wyjścia. Miał wrażenie, jakby dostał czymś ciężkim w głowę. Schodził po schodach i wydawało mu się, jakby lewitował. Cały czas kręciło mu się w głowie. Wpadł na ulicę i odetchnął z ulgą. Chciał obejrzeć się i zerknąć w okno biura Sulimy, ale wystraszył go dźwięk samochodowego klaksonu. Aż podskoczył z zaskoczenia i dopiero zorientował się, że stoi na środku jezdni. Machnął przepaszająco ręką i uciekł skulony na chodnik.

Marzył o tym, żeby znaleźć się jak najszybciej w domu, a najchętniej w ramionach Julii. Ze wszystkich tych niezbyt przyjemnych rewelacji, jakich dowiedział się o sobie od Sulimy, zaboląła go ta o uczuciach tej kobiety do niego. Tyle czasu zmarnował na pracę i Skoniecznego! Dopiero uświadomił sobie, jak wiele wytrzymała i pewnie dałaby radę jeszcze dłużej, gdyby jej nie wygnał ze swojego życia.

Wyjął telefon i wybrał numer do Julii. Tyle czasu się nie kontaktowali, że nie wierzył, że odbierze, ale pragnął tego jak niczego w życiu. Kolejne sygnały odbijały się echem w słuchawce. W końcu połączenie zostało odrzucone przez sieć.

Rozejrzał się. Był już na Piotrkowskiej. Skręcił w prawo, w tę samą stronę, w którą szli podczas ostatniego wspólnego spaceru. Zadzwoił ponownie. Raz. Dwa. Trzy. Cztery. Pięć. Sześć. Siedem. Każda sekunda zdawała się trwać godzinę.

– Użytkownik prowadzi rozmowę lub jest poza zasięgiem – powiedział głos w słuchawce. Marcin nie był ani odrobinę zaskoczony, ani odrobinę zniechęcony.

Próbował na Piotrkowskiej, próbował na placu Wolności, próbował na Nowomiejskiej. Cały czas głuchy telefon. Zaśmiał się szyderczo na skrzyżowaniu z Północną. Z telefonem przy uchu wszedł do Staromiejskiego. Rozejrzał się. Zobaczył wolną ławkę po prawej stronie. Widział z niej Stary Rynek i imitację stawu nieopodał.

Znów zarechotał. Nauczył się tego pieprzonego miasta. Nauczył się ulic, parków, knajp i dziwek. Nie cierpiał tego miejsca, a jednocześnie kochał je, bo znał je jak żadne inne. Nigdzie indziej nie przeżył tak wiele jak w tym betonowo-asfaltowym dziwactwie.

Rozsiadł się wygodnie, czując się jak pan i władca całego świata. Nadal kręciło mu się w głowie, ale tym razem ze szczęścia. Zrozumiał wszystkie swoje błędy, zrozumiał, w jakim miejscu się znajduje. Wystarczyło wyprostować to, co zepsuł, a resztę puścić w niepamięć.

Zawadiacko pokazał język w stronę telefonu, jakby wiedział, że w końcu go przechytrzy, a to, co działo się do tej pory, to była jedynie dziecinna zabawa. Poczul się absolutnie zrelaksowany. Wcisnął zieloną słuchawkę i delikatnie przystawił słuchawkę do ucha.

– Halo? – mimo że ton głosu był ostry, ewidentnie zniechęcony, Marcin

poczuł się wniebowzięty. Usłyszał ją. W końcu mógł z nią porozmawiać, z kobietą swojego życia.

– Cześć Julka. Cieszę się, że cię słyszę – odpowiedział.

– Cześć Marcin. Mów szybko, czego chcesz, i daj mi spokój, jestem zajęta – próbowała go zbyć, ale on ani odrobinę nie stracił werwy.

– Julka, słuchaj. Sporo nawywijałem ostatnio. Popieprzyło mi się w głowie przez tę pracę, przez Skoniecznego, przez wszystko. Dużo zrozumiałem, wreszcie. Dopiero teraz zobaczyłem, jak wiele mnie ominęło, jak bardzo byłaś dla mnie ważna. Chcę to zmienić. Spotkajmy się jutro, zacznijmy od nowa... proszę – w głosie Marcina słychać było mnóstwo energii. Bezgranicznie wierzył w to, co mówił.

– Słucham? – warknęła Julia do słuchawki. Po chwili milczenia westchnęła ciężko. – Marcin, naprawdę tak uważasz? – W jego serce wierał się potężny, olśniewający promień nadziei.

– Tak, skarbie, naprawdę. Trochę to trwało, ale dziś już wiem, że jesteśmy sobie pisani. – Nie był w stanie ukryć euforii, jaka go opanowywała. Szczyrzył się do słuchawki i wiercił na ławce z podniecenia.

– Matko, bałam się, że już nigdy tego od ciebie nie usłyszę, wiesz? – wyszeptała drżącym głosem. Musiała być tak samo szczęśliwa jak on! Boże, jak dobrze, że zdecydował się zadzwonić! – Strasznie, ale to strasznie cieszę się, że chcesz się jutro spotkać, nawet nie wiesz jak bardzo! – Uśmiechała się do słuchawki, słyszał to wyraźnie po głosie. Nie wytrzymał, zerwał się z ławki i zaczął krążyć po trawniku.

– To spotkajmy się, jutro o dziesiątej, w naszym mieszkaniu. Weź swoje rzeczy, będę na ciebie czekał! – Chciało mu się płakać i krzyczeć ze szczęścia. Z trudem się powściągał.

– Marcin, to nie jest takie proste... – zaczęła mówić, ale nie dał jej dokończyć.

– Wszystko jest proste! – wrzasnął. – Wszystko jest proste, wszystko już zrozumiałem! Już wiem, czego chcę, wiem, jak mam żyć! Mogę po ciebie przyjechać, tylko powiedz, gdzie jesteś! – wołał bez opamiętania. Nie słyszał, że Julia próbuje dojść do głosu.

– MARCIN, ZAMKNIJ SIĘ WRESZCIE! – krzyknęła tak nagle, że Marcin prawie upuścił telefon. Oczywiście od razu przestał się odzywać.

– Wiesz, co stoi na przeszkodzie, żebyśmy się spotkali? – jej głos stał się ostry, ewidentnie zaczęła wpadać we wściekłość. – Jedna rzecz. Jedna jedyna.

– Jaka? – szepnął zdezorientowany Marcin.

– Taka, panie Pieniążek, że ja nie mam ochoty się z tobą widzieć. Ani jutro, ani kiedykolwiek. Nie chcę cię znać, nie chcę pamiętać o twoim istnieniu. Nikt mnie nie zranił i nigdy już nie zrani tak bardzo jak ty. Możesz szczyścić się mianem

największego skurwiela mojego życia. Gratuluje. – Przerwała na chwilę, ciężko łapiąc powietrze. – A poza tym, to nie zamierzam wiązać się z pijakiem, który próbuje kupić sobie miłość i szczęście. Idź się nawal z jakąś kurewką, a mnie zostaw w spokoju. Nara.

Telefon zamilkł. Po chwili wypadł Marcinowi z ręki. Podniósł go momentalnie z chodnika i wybrał numer jeszcze raz. Nie odebrała. Zadzwoił jeszcze dwa razy, kiedy zobaczył, że dostał SMS. Otworzył wiadomość.

„Jeszcze raz wybierzesz mój numer, a zgłoszę sprawę na policję”.

W ostatniej chwili powstrzymał się przed zrobieniem czegoś wbrew Julce. Zakręciło mu się w głowie. Usiadł. Wytrzymał kilka sekund. Musiał coś zrobić, gdzieś pójść. Był nabuzowany energią, której nie miał jak rozładować. Błyskawicznie ruszył w stronę domu. Początkowo szedł zwawym krokiem, aż w końcu zaczął biec. Po dosłownie kilku minutach znalazł się pod wejściem do kamienicy. Wbiegł po schodach i wpadł do salonu. Złapał butelkę, która leżała z brzegu, i nalał do pękatej szklanki. Wypił jednym haustem.

Zaraz. Po co to zrobił? Po co znów sięga po alkohol? Do czego mu to potrzebne? Przecież nie pomaga mu to w niczym, tylko powiększa pustkę w jego głowie. Poczul nagły atak wściekłości i rąbnął pięścią w antyramę wiszącą tuż obok. Strzaskane szkło poraniło mu palce. Zawył z bólu i przeklął siarczyście. Szybko nalał drugą szklankę, żeby ukoić ból. Wypił i padł na podłogę. Oparł się o meble i zapominając o krwawiącej dłoni, sięgnął po butelkę i szklankę.

Wypił dobrze ponad ćwierć litra, zanim względnie się uspokoił. Odstawił szkło i zaczął gapić się za okno. Malownicze chmury leniwie przesuwają się po niebie. Cudowny widok. Co za piękny świat. Co za piękne życie...

Zaczął przypominać sobie najlepsze momenty, jeszcze z czasów studiów. Kolegów, wśród których zawsze brylował wyglądem i pewnością siebie. Kobiety, które za nim szalały ze względu na jego bezkompromisowość i błyskotliwość. Wykładowców, których był pupilem – zawsze nienagannie ubrany, kulturalny, a przede wszystkim – solidnie nauczony.

Stał mu przed oczami moment odbierania tytułu magistra, z wyróżnieniem, więc w wąskim, elitarnym gronie, przy gromko oklaskującej ich publiczności. Pokręcił głową. Pamiętał ten cudowny dzień jak dziś – słońce świeciło, wspaniale poprawiając szampański nastrój, mimo że był to już październik. Chwilę po otrzymaniu dyplomu i przyjęciu gratulacji przed Marcinem stanął jego przyszły szef, proponując mu staż, a później pracę.

Przypomniał sobie kumpli z firmy, którzy zawsze wydawali mu się zabawnie zazdrośni, ale z drugiej strony – gdy było trzeba – stawali za nim murem, bo wiedzieli, że na nim też można polegać. I ten moment, kiedy ogłosił swoje odejście, a w firmie prawie zapanowała żaloba. Wiedzieli, że prędzej czy później ktoś taki jak Marcin ucieknie na swoje, ale i tak z trudem pogodzili się z tą decyzją.

W końcu dotarł wspomnieniami do ostatnich czasów. Spotkanie z Sulimą i Bolimowskim, czyli, jak się okazało, głupi numer, który miał go zniechęcić do współpracy, a jemu dał dodatkowy powód. Poznanie z Julią i Arkiem. Tyle serca dla niego zostawili, a on nigdy nie był w stanie odwdzińczyć się im tak, jak na to zasługiwali...

Przypomniał sobie nawet chłopaka, którego zrugął przed wejściem do hotelu. Bogu ducha winny dzieciak stał się ofiarą jego furii. Ciekawe, co u niego... Wyglądał, jakby mieszkał w tamtej okolicy, więc pewnie miał problem, żeby związać koniec z końcem...

Marcin znów spojrzął za okno i zaczął się śmiać. Rechotał jak dziecko, które cieszy się bez konkretnego powodu, ot, dlatego że ktoś zrobił głupią minę. Po paru chwilach po policzkach pociekły mu pierwsze łzy. Z każdą chwilą ogarniało go coraz większe wzruszenie, a śmiech szybko ustąpił miejsca histerycznemu płaczowi. Piękne, cudowne obrazy z jego życia nie chciały go opuścić, chociaż on sam wiedział, że nie mają już nic wspólnego z rzeczywistością. Nie zostało mu nic z tamtych dni, wszystko przepadło bez pamięci. Nalał sobie kolejną szklankę whisky i chlupnął szybko do gardła, jakby nie chcąc zauważyć, że w ogóle to zrobił.

Zerwał się nagle na równe nogi, przeszedł z trudem kilka kroków i nagle poczuł potężne ukłucie w brzuchu. Znów usiadł na podłodze, oddychając ciężko. Wszystkie poprzednie wizje ustąpiły i teraz widział tylko dwójkę dorosłych ludzi.

– Rodzice... – wyszeptał. – Boże, ile czasu nie rozmawialiśmy, chyba kilka lat.

Przypomniał sobie, że po raz ostatni widzieli się tuż przed jego pierwszym wyjazdem do Łodzi. Powiedział im o swoich planach, a oni... zrobili to co zawsze. Powiedzieli mu, że cieszą się ogromnie i są niezmiernie dumni, ale chcieliby, żeby nie zapomniał o tym, że w życiu potrzeba też miejsca na zabawę i pasję.

Nigdy go nie doceniali i nie rozumieli. Tłumili jego ambicję, ściągali go w dół. Sam musiał wykuwać swoją drogę, wiedząc, że oni ciągną go w zupełnie innym kierunku. Chcieli, żeby się bawił i korzystał z życia, kiedy jego pragnieniem było studiowanie, a później robienie kariery. Co to za rodzice? Przed czym go chcieli uchronić? Przed dorobieniem się? Ilu o tym marzy?

Chociaż zaraz... Może mieli rację? W końcu dorobił się tak jak chciał i co z tego? Co ma poza tym? Drogi alkohol, luksusowe auta i pazerne kobiety. Nie ma ani pasji, ani przyjaciół. Wdrapał się na szczyt, a nawet nie ma komu pochwalić się, jakie to uczucie. Był całkowicie sam...

Sam? Przecież jest jeszcze Arek! Z nim też nie widział się od czasu wyrzucenia go ze Strumienia. Musi się z nim zobaczyć, zanim będzie za późno! Wstał i wybiegł na klatkę schodową. Potężnymi skokami zbiegł na parter i wypadł na ulicę. Gnał ile sił w nogach, tak jakby każda sekunda, każdy jej ułamek, miała

ogromne znaczenie. Dwa razy potrącił przechodniów, ale nawet nie zdążył przeprosić, bo biegł dalej. Kiedy dopadł do hotelowego lobby, był cały mokry i zziębnięty. Oczywiście zwrócił na siebie uwagę wszystkich obecnych, ale nie zważał na to. Obrócił się w stronę baru.

Nie było go. Był ktoś inny. Trudno, poczeka. Weźmie numer i zadzwoni. Aż dziwne, że nie zrobił tego do tej pory. Mniejsza. Cokolwiek, byle się zobaczyć. Podbiegł do lady i oparł się ciężko. Barman odsunął się mimowolnie, czując alkoholowy odór.

– Słucham? – zapytał sucho, choć próbował udawać uśmiech.

– Jest Arek? – wysapał Marcin.

– Nie ma. Wyjechał. A o co chodzi? – syknął barman, zdenerwowany pytaniem.

– Na długo?

– Na trochę, nie wiem ile.

Marcin westchnął poirytowany.

– Jak, kurwa, nie wiesz na ile, skoro z nim pracujesz? Tydzień, dwa, miesiąc? Mów! – warknął. Barman rozejrzał się po sali. Ich rozmowę obserwowało całe lobby.

– Na trzy, cztery tygodnie. Pojechał przedwczoraj gdzieś za granicę, nie pamiętam dokładnie gdzie. Do Hiszpanii albo Portugalii, tak mi się wydaje. – Uznał, że to będzie jedyny sposób, żeby pozbyć się natręta. Miał słuszość.

– Kurwa jego mać! – wrzasnął Marcin i odwrócił się w stronę wyjścia. Po chwili zasunęły się za nim drzwi, a hotel wrócił do swojego obojętnego trybu życia. Przecież nic takiego się nie stało, żeby o tym pamiętać...

Tym razem Marcin już nigdzie się nie spieszył. Dreptał ospale, czując się całkowicie wyczerpany z resztek energii. Ostatni bastion upadł. Nadzieja umierała. Pozostawała tylko ciężka, ciemna samotność. Obezwładniająca beznadzieja. Poczucie absolutnego braku wpływu na przyszłość. Sumienie kąsało jeszcze dotkliwiej niż do tej pory. Nic już nie miało się zmienić. Każdy dzień do końca będzie wyglądać tak samo. Pytanie tylko – kiedy nastąpi ten koniec?

Nie pamiętał nic z drogi do domu. Nagle znalazł się w swoim mieszkaniu i odkrył, że ma w rękach butelkę, ale tym razem wódki. Spojrzał na zegarek. Musiało minąć kilka godzin od jego wizyty w hotelu. Tępo rozejrzał się po mieszkaniu. Nie widział sensu, żeby wstawać do toalety, więc wysikał się na podłogę obok siebie.

Zaśmiał się ponuro i przechylił butelkę alkoholu do gardła. Lał, lał, lał, aż poczuł, że wlał wszystko. Gwałtowne torsje targnęły nim kilka sekund później. Wymiotował przez kilkanaście minut, marząc o tym, żeby wreszcie się to skończyło. Pozbył się na pewno całej treści żołądkowej, ale nadal czuł piekielnie bolesne skurcze w brzuchu. Zaczął płakać. Przecież to nie ma sensu. Co mu po tych

pieprzonych pieniądzech, po samochodach, mieszkaniach, hotelach i kurwach? Ile można udawać, że tak powinno być?

Trzeba to skończyć, tu i teraz. Każdy kolejny dzień, każda kolejna doba będzie tylko beznadziejnym przedłużaniem agonii. Zobaczył pustą butelkę po whisky. Zaczął pełzać na czworaka w jej kierunku, co chwilę ślizgając się po swoich płynach ustrojowych. Czuł obrzydzenie. Nie chciał na to więcej patrzeć. W końcu złapał butelkę za szyjkę. Z trudem dostał się do blatu. Rąbnął potężnie butelką o kant, a ta rozprysła się na setki kawałków. Jakimś cudem nie poranił się żadnym z nich.

Wybrał sobie największy i wstał, opierając się o ścianę. Omiótł mieszkanie wzrokiem. Wyglądało żałośnie. Obszczone, obrzygane, śmierdzące przetrawionym alkoholem. Jakie to ma błahe znaczenie, te dębowe meble i podłogi? Co takiego wnoszą do życia, że ludzie tak chętnie się nimi otaczają? Kiedy są zarzygane, wszystkie wyglądają tak samo obrzydliwie.

Odwrócił wzrok. Pomagając sobie jedną ręką, żeby przypadkiem nie zgubić szkła, które miał w drugiej, doszedł do łazienki. Odłożył odłamek na brzeg wanny i zaczął się rozbierać. Ledwo spróbował, a upadł z hukiem na płytki. Nawet nie poczuł bólu. Leżąc, zerwał z siebie spodnie, koszulkę i bieliznę. Unikał lustra. Nie miał ochoty jeszcze kiedykolwiek widzieć samego siebie. Doczołgał się do wanny. Z trudem podnosząc nogi, dostał się do środka. Odkręcił wodę. Nie zwracał uwagi na temperaturę, więc zaczął napuszczać lodowato zimną.

Chłód przyjemnie rozchodził się po jego ciele. Woda, podobnie zresztą jak strach, zaczynała oblewać go z każdej strony. Sięgnął po odłamek szkła. Przyjrzał mu się uważnie, obserwując, z której strony jest najostrzejszy. Uśmiechnął się do niego, nabrał głęboko powietrza i zamknął oczy. Znów zobaczył rodziców, Julię, Arka, Sulimę, nawet chłopaka spod hotelu. Patrzyli na niego obojętnie, tak jakby musieli to robić, a nie chcieli. Wziął kolejny wdech. Długo i powoli wypuszczał powietrze z płuc.

Zrobił tak kilka razy, aż poczuł się całkowicie zrelaksowany. Spokój wyparł strach, niepokoje, wątpliwości, nawet – najgorsze z tego wszystkiego – poczucie beznadziei. Znów był wolny, szczęśliwy i zrelaksowany, jak małe dziecko przed snem...

*

Późna jesień na wschodzie Polski może wydawać się przytłaczająca. Wszechobecna wilgoć, snujące się tuż nad ziemią mgły i brązowobura paleta barw zachęcają do refleksji, która nie zawsze poprawia nastrój. Charakterystyczny, ciepły zapach butwiejących liści przypomina, że stare powoli odchodzi, a zanim nadejdzie nowe, czeka zawsze zbyt długi czas zimy. Paskudna pora dla miłujących słońce wesołków.

Piotrek tuż po przyjeździe nad Biebrzę, bo – jak się okazało – tam wysłał go Mateusz, złapał gigantycznego doła. Liczył na to, że znajdzie się w miejscu, które odświeży jego umysł i pozwoli nabrać energii na walkę o lepsze jutro. Tymczasem bagiennoy odór rzeki zalepiał mu głowę, spowalniał myślenie i zdawał się powoli zabijać, niczym pajęczyna, gęsto i sownie utkana, tylko czekająca na zbłąkaną ofiarę, aby ją usidlić.

Pierwsze cztery dni snuł się po okolicy niczym mgła nad zarośniętym rozlewiskiem. Irytowała go cisza i brak jakichkolwiek atrakcji. Mózg przyzwyczajony do ciągłego karmienia go miejskimi bodźcami, na siłę doszukiwał się problemów. Piotrek nie mógł usiedzieć w miejscu, cały czas gdzieś się szlajał, ale nie przynosiło mu to ukojenia. Kiedy tylko na chwilę zwalniał, tysiące najróżniejszych, a najczęściej tych najczarniejszych myśli zalewały mu umysł. Wielokrotnie łapał się na tym, że nerwowo łapie dłoń o blat stołu w swoim pokoju, jakby czekał na ogłoszenie niekorzystnego wyroku.

Kiedy odrobinę przyzwyczał się do wszechogarniającego spokoju, zwrócił uwagę na ludzi. Przez krótki moment był zafascynowany faktem, że nie jest agresywnie obserwowany, za to często bywa zwyczajnie ignorowany. Ignorowany w ten przyjemny sposób, kiedy masz pewność, że ktoś po prostu nie zwraca na ciebie uwagi, a nie ostentacyjnie cię olewa. Do tego te wszechobecne uśmiechy i serdeczne powitania, kiedy na przykład zaglądał do sklepu...

Fascynacja jednak szybko ustąpiła miejsca irytacji. Piotrek nie mógł oprzeć się wrażeniu, że wszyscy robią to specjalnie. Odgrywają przedstawienie, żeby jemu zrobiło się miło. Tak bardzo było widać, że ma problemy? Niech zajmą się swoimi, pewnie nie mniejszymi. Przez chwilę uknuł nawet teorię, że to Mateusz dogadał się z mieszkańcami wsi, żeby traktowali go wyjątkowo i dzięki temu poprawiłby mu się humor. Po głębszym zastanowieniu uznał to jednak za idiotyczną koncepcję. Ostatecznie zdecydował (notabene całkiem słusznie), że ci ludzie po prostu tak mają i przestał zwracać na to uwagę.

Tym bardziej że, o dziwo, z każdym dniem napięcia zdawały się odpływać gdzieś w dal razem z leniwym prądem rzeki. Piotrek przestał zrywać się nerwowo z łóżka o siódmej rano i pozwalał sobie na coraz więcej lenistwa. Dawało mu to ogromną satysfakcję, jakby na nowo uczył się kierować swoim życiem. Tak mu się przynajmniej zdawało, zawsze do chwili, kiedy przypominał sobie o problemach, jakie zostawił w Łodzi. Mimo że odzyskiwał równowagę, ciągle nie potrafił sobie poradzić z odpowiedziami na najważniejsze pytania.

Co zrobić z Anką? Zostawić w cholerę i znaleźć inną czy powalczyć? Wiedział, że ją kocha i że jest tą jedyną, ale obawiał się, czy nie przeżyli zbyt dużo nieprzyjemności, żeby znów być szczęśliwymi. A Miński? To dopiero był twardy orzech do zgryzienia! Przecież jeśli wyciągnąłby do niego rękę, przyznałby się do tego, że to on zawinił, a nadal nie sądził, że tak właśnie było.

Ludzie ludźmi, ale co z karierą? Skompromitował się ostatnio i dużo czasu musiałoby upłynąć, żeby zostało mu to zapomniane. Szkoda byłoby przerywać działalność w takim momencie, ale może tak byłoby najlepiej? Swoje już zrobił, pora dać szansę innym, a samemu zająć się czymś wymagającym mniej... wysiłku. No nie! Przecież to bez sensu – tak się poddawać...

Po kilku dniach względnego spokoju Piotrek na nowo stał się nerwowy. Narastała w nim frustracja. Doprowadzająca do szaleństwa bezsilność wywoływała wściekłość i nienawiść do całego świata. Każde kolejne powtórzenie znanych już do porzygu pytań podkreślało tylko, już i tak zbyt wysoką, temperaturę. Piotrek znów stał się oschły, arogancki i agresywny, jak za najgorszych dni.

W połowie drugiego tygodnia pobytu miał już tak dosyć siebie i tej okolicy, że spakował rzeczy i zaczął planować powrót do Łodzi. Zmarnował tylko swój czas, który mógł spożytkować na coś pożyteczniejszego. Może po tym wypadku w bramie i rozmowie z Mateuszem dałby radę od razu ruszyć z rozwiązywaniem problemów? Działanie jest zawsze lepsze od bezczynności, jakie by nie było. Na tej cuchnącej zgnilizną wsi miał związane ręce i zdawało mu się, że kręci się w kółko, bez nadziei na znalezienie wyjścia...

Wściekły na Mateusza wyszedł z pokoju z zamiarem sprawdzenia jakiegoś autobusu w stronę cywilizacji, a docelowo – domu. Jak na złość, gdy tylko przekroczył próg kwatery, zaczęło znów padać. Przystanek był oczywiście na drugim końcu tej pieprzonej wsi, więc kiedy wreszcie dotarł do niego, był już doszczętnie przemoczony.

Ocierając brwi z wody, żeby cokolwiek dojrzeć, zaczął wgapić się w kompletnie nieczytelną tabliczkę. Początkowo wydawało mu się, że coś przeoczył, może pomylił przystanek albo gdzieś obok był jakiś inny rozkład. Rozejrzał się nerwowo, ale nie chciało być inaczej – autobus odjeżdżał stąd raz dziennie. Jeden jedyny, pieprzony raz, chwilę po szóstej, w stronę Białegostoku. Przecież to skandal!

Chciało mu się płakać. Był uwięziony na jakimś zadupiu, bez szans na szybki powrót. Zrezygnowany zaczął człapać w stronę kwatery. Było mu wszystko jedno – czy zostanie tu, czy wróci do Łodzi. Jeśli miał w sobie jakieś resztki nadziei i optymizmu, to właśnie wyparowały. Nawet na nerwy nie miał siły ani ochoty. Tak jakby deszcz wypłukał z niego całe pozostałe życie.

Zamknął oczy i westchnął ciężko. Przeszedł kilka kroków i nagle zaczepił nogą o wystający kawałek chodnika. Runął na mokry beton, boleśnie obijając sobie poranioną na Piotrkowskiej dłoń. Długo nie wstawał, po części z bólu, a po części dlatego, że zaczął płakać z frustracji. Otworzył mokre oczy i rozejrzał się. Wokoło nie było żywej duszy. Spojrzał w lewo i pierwszy raz zauważył stojącą kilkanaście metrów od drogi drewnianą świątynię. To dziwne, ale przechodził tędy wiele razy i ani razu nie zauważył tego budynku.

Podniósł się powoli i wiedziony jakąś przedziwną ciekawością powoli ruszył w stronę kościoła. Świątynia była malutka, pewnie wiosną nie widać jej zza liści drzew, jednak zdawało się być w niej coś fascynującego. Ciepłe światło leniwie sączące się z malutkich okienek zachęcało do zajrzenia – ot, choćby po to, żeby się ogrzać i nieco obeschnąć. Piotrek, chociaż nie zwykł zwiedzać kościołów, czuł, że po prostu musi tutaj zajrzeć. To było dziwne, ale nerwy i frustrację momentalnie zastąpił spokój. Tak jakby działa się dokładnie to, co wydarzyć się miało.

Piotrek minął niskie, drewniane ogrodzenie i podszedł do wejścia. Zerknął na również drewniane drzwi z ciężką, metalową klamką. Podniósł dłoń, ale tuż przed dotknięciem klamki zawahał się na chwilę. Rozejrzał się wokół. Nadal nie było nikogo, jakby cała wieś wymarła w czasie, kiedy szedł na przystanek. Poczul się nieswojo, serce waliło mu jak oszalałe. W końcu zebrał się na odwagę i nacisnął klamkę. Ciężki metal niechętnie, ale jednak ustąpił. Drzwi zaskrzypiały i Piotrek mógł uchylić je odrobinę.

Ze środka dobiegł do niego przyjemny, ciepły powiew powietrza. Zapachniało starym, wilgotnym drewnem. Dodało to Piotrkowi odwagi, żeby otworzyć drzwi szerzej. Włożył głowę do środka i rozejrzał się po oświetlonym na pomarańczowo wnętrzu. Za drewnianym przepierzeniem zobaczył dosłownie kilka ławek zwróconych w stronę niezbyt okazałego, choć miejscami pozłacanego ołtarza. Wychylił zmokniętą głowę ze środka i szybko omiół spojrzeniem placyk za sobą. Wciąż pusto. Zamknął oczy, zapał się i z trudem otworzył drzwi na tyle, żeby mógł precyzyjnie się do środka. Zwinnie jak kot (choć czuł się bardziej jak niechciany szpieg) przeskoczył wysoki próg i znów siłując się z ciężarem drewna i oporem metalu, zamknął za sobą wejście. Zrobił kilka kroków w kierunku ołtarza.

Zatrzymał się i rozejrzał wokół. Proste wnętrze ozdobione było kilkoma drewnianymi figurkami i niewielkimi obrazkami drogi krzyżowej. Jedne i drugie wątpliwej urody. Szare (jak cała okolica) światło ledwo wpadało do środka przez niewielkie, zabrudzone okna i gdyby nie żyrandol z żółto-pomarańczowymi żarówkami, w kościele panowałby mrok. Deszcz bębnił o drewniany sufit, wypełniając wnętrze świątyni regularnym, przytłumionym stukaniem.

Piotrek odniósł wrażenie, jakby przeniósł się do innego świata, poza czasem i przestrzenią, jaką znał na co dzień. Momentalnie się uspokoił. Wszystkie troski zostały na dworze, niewpuszczane do środka przez stare, wilgotne deski. Serce przestało bić jak oszalałe, uspokajając swój rytm, biorąc przykład z kropel deszczu, które z niespieszną monotonią pukały w dachówki. W powietrzu unosiło się niewidzialne sacrum wygłuszające każdy hałas, także ten w rozedrganej duszy.

Chociaż początkowo nie miał takiego zamiaru, Piotrek, postukując butami, podszedł do początku rzędu ławek i usiadł po lewej stronie ołtarza.

Ani przez sekundę nie przeszła mu przez głowę myśl, żeby zacząć się modlić, a pomimo to szybko popadł w zamyślenie. Może to po prostu kwestia

zmęczenia i przyjemnej temperatury wewnątrz świątyni, a może działania mocy Boga w jego kościele, ale Piotrek zaczął, hm, usypiać? Nie, lepiej brzmi – głęboko medytować.

Myśli zaczęły mu przyjemnie przepływać przez umysł, nie zostając na zbyt długo, odpływając w niebyt, jedna po drugiej. Uczucie trochę jak tuż przed zaśnięciem – nie wiadomo, czy to jeszcze jawa, czy już sen? Oczy miał wciąż otwarte, wpatrzone w drewniany krucyfiks nad ołtarzem, ale zewnętrzne bodźce przestawały do niego docierać.

Nagle przeszył go dreszcz, bo poczuł, jakby ktoś położył rękę na jego prawym barku. Powoli sięgnął lewą dłonią, żeby przekonać się, że tylko mu się tak wydaje...

– JEZUSIE KOCHANY! – wrzasnął i zerwał się na równe nogi, obracając się szybko. Ktoś NAPRAWDĘ trzymał dłoń na jego barku! Teraz stał naprzeciwko Piotrka – niewysoki mężczyzna z niesamowicie bujną i gęstą brodą, na oko czterdziestoletni, z trudem starający się nie wybuchnąć śmiechem.

– Do Jezusa mi jeszcze trochę brakuje, ale staram się jak mogę, więc traktuję twoje słowa jako komplement – powiedział i uśmiechnął się serdecznie i pobłażliwie. Dopiero wtedy Piotrek zauważył, że mężczyzna jest ubrany w sutannę.

– Ale mnie pan wystraszył! – wysapał, ciągle z trudem łapiąc oddech. – Byłem przekonany, że jestem tutaj sam.

– W domu Boga nigdy nie jesteś sam, przyjacielu. A poza tym – najwyraźniej nie przyjrzałeś się dokładnie, cały czas tutaj byłem, modliłem się, o tam, przy ścianie. – Wskazał palcem zaciemnione miejsce.

– Na to wychodzi – powiedział zmieszany Piotrek. – Przepraszam pana, może ja już pójdę, nie chcę przeszkadzać w modlitwie – dodał bez zastanowienia i zaczął iść w kierunku wyjścia. Ksiądz wystawił rękę, blokując przejście. Oczy zaświeciły mu złośliwym blaskiem.

– Dlaczego? Zmieścimy się tu obaj, spokojnie. Usiądź z powrotem. Może znajdziesz chwilę na rozmowę? – zaproponował i wychylił drugą rękę, wskazując ławkę, w której siedział Piotrek. Duchowny miał niewiarygodnie ciepłe, spokojne i żywotne spojrzenie. Jego niebieskie oczy zdawały się emanować dobroduszną energią na cały świat. Jakby nosił w sobie ten sam spokój, jakim była naznaczona ta świątynia. Piotrek uśmiechnął się nieśmiało, zaskoczony i chyba nieco zawstydzony propozycją księdza.

– Dziękuję – powiedział i zajął to samo miejsce co przed chwilą. Mężczyzna usiadł za nim, nieco po przekątnej i zawiadacko wychylił się w stronę Piotrka. Ten poczuł się nieswojo i zaczął nerwowo gapić się przed siebie, ale w końcu nie wytrzymał i odwrócił się w stronę wlepionych w niego oczu. Ksiądz jakby tylko na to czekał.

– Nie jesteś stąd. Co cię tu sprowadza? – zapytał natychmiast i oparł dłoń na brodzie, wyczekując odpowiedzi z niespotykaną ciekawością. Piotrek znów zmieszał się i opuścił wzrok. Obecność księdza wprawiała go z jednej strony w zakłopotanie, ale z drugiej zaczynała tlić się w nim fascynacja dziwną osobą.

– Sam nie wiem do końca... Ale do tej miejscowości czy do tego kościoła? – wydusił z siebie z trudem... powiedzmy, że odpowiedź. Ksiądz wybuchnął głośnym, melodyjnym śmiechem. Pokręcił głową, jakby usłyszał doskonały dowcip.

– Powiedzmy, że tu i tu, chociaż wydaje mi się, że odpowiedź i tak jest taka sama.

– Dobrze, w takim razie... – mówił z trudem Piotrek. Nie wiedział, jak ma się zachować, bo rozmawiał z pozytywnym, wyluzowanym facetem, ale mimo wszystko – z księdzem. Troszkę czasu musiało upłynąć, zanim przestał odczuwać ten dysonans. Stereotypy robią siano z mózgu nawet najtęższemu umysłom. – ...przyjechałem tutaj, żeby odpocząć od swoich problemów i nabrać energii na ich rozwiązanie. Przynajmniej tak radził mi mój przyjaciel, wysyłając mnie w to... miejsce – skwitował, nie ukrywając nuty pogardy w głosie.

– Widzę, że chyba nie do końca ci się to udaje? – zagadnął błyskawicznie duchowny. Piotrka zaskoczyła przenikliwość rozmówcy. Trochę go to zaczynało denerwować, ale fascynacja nie dawała za wygraną.

– No, niestety nie. Powiem szczerze, że szedłem właśnie na przystanek, żeby złapać jakiś autobus w stronę domu. – Ksiądz znów roześmiał się w głos.

– To żeś wymyślił! Prędzej byś zmontował w domu raketę kosmiczną, niż odjechał stąd autobusem! – zawołał, ciągle szeroko uśmiechnięty. – Przepraszam, przerwałem ci. Poszedłeś na przystanek i...?

Piotrek niechętnie kontynuował:

– I nic. Myślałem, że dostanę szau, jak zobaczyłem, że stąd nie da się wyjechać inaczej jak jednym, jedynym autobusem... Zacząłem więc wracać do swojej kwatery, kiedy zobaczyłem tę świątynię. Coś mnie podkusiło, żeby zajrzeć, to zajrzałem i tyle. – Skrócił swoje opowiadanie do minimum, tracił ochotę na dalszą rozmowę. Nie zamierzał się spowiadać, nawet tak otwartemu księdzu.

– Tak po prostu przechodziłeś i stwierdziłeś „O, kościół, zajrzę!”? Niespotykane w dzisiejszych czasach! – skomentował wciąż rozbawiony jak dziecko ksiądz. Piotrek odchylił głowę zniesmaczony. Co to w ogóle za gość? Czego on chce?

– Tak, tak właśnie było, to moja sprawa, co mną kierowało – warknął w odpowiedzi. Nagle ksiądz spoważniał i przysunął się w stronę Piotrka (jeśli dało się jeszcze bardziej).

– Wierzysz w Boga? – zapytał cicho.

– A co to pana obchodzi?! – krzyknął zdenerwowany Piotrek i zaczął wstawać. Ksiądz nie poruszył się ani odrobinę.

– Odpowiedz mi tylko na to pytanie, zgodnie ze swoim sumieniem, a później idź, zostań czy zrób co tam jeszcze chcesz – powiedział spokojnym, ale nieco surowym tonem. Piotrek, stojąc już w przejściu, zaczął się wahać. Zerkał to na księdza, to na sufit, to na drzwi wejściowe. W końcu westchnął zrezygnowany.

– Sam nie wiem. Chyba nie. Nie lubię się modlić i chodzić do kościoła. Chociaż czasem mam wrażenie, jakby mimo wszystko istniała jakaś tajemnicza moc, która tym wszystkim steruje – odpowiedział zrezygnowany i spojrzał na księdza. Ten rozpogodził się na powrót.

– Wiesz, co jest zabawne, przyjacielu? Że ja mam podobnie. Sam nie wiem. Jestem księdzem, a nie wiem, czy wierzę w Boga, rozumiesz? – Uśmiechał się znów, szeroko i szczerze. – Wiem za to, że masz problem. Zresztą każdy z nas jakiś ma. Wpadnij do mnie wieczorem, na kolację i naleweczkę, to spróbujemy coś temu zaradzić.

– Czemu miałbym to zrobić? – od razu odpowiedział Piotrek.

– Bo nie ma powodu, dla którego miałbyś tego nie robić. – Ksiądz wyszczerzył głupkowato zęby. – Chyba nie masz tu za wiele do roboty, skoro chciałeś wyjechać? – zapytał, a Piotrek wzruszył ramionami, bezradny wobec prostoty i trafności argumentów księdza.

– Poza tym, miejże litość! Daj mi tę przyjemność pogadania i napicia się nalewki z kimś, kogo nie widuję niemal codziennie od kilku dobrych lat! – Piotrek pokręcił głową. Co za typ! Kabareciarz bardziej niż ksiądz...

– Niech będzie, wpadnę... – wymamrotał. Duchowny klasnął w ręce z zadowoleniem. Wstał i podszedł do Piotrka.

– To bądź o dwudziestej, mieszkam w tym szarym domu, tu zaraz obok. Tym, obok którego potknąłeś się pół godzinki temu – powiedział i puścił do Piotrka oko, po czym zaczął odprowadzać zdezorientowanego chłopaka do drzwi. Wyprowadził go na zalane wodą podwórko, kiwnął ręką i zatrzasnął za sobą skrzypiące drzwi.

Zdezorientowany Piotrek stał w miejscu przez kilka chwil, po czym odwrócił się z wysoko uniesionymi brwiami w stronę kościoła i pokręcił głową z niedowierzaniem. O co tu w zasadzie chodziło? Kim był ten dziwak i o czym w zasadzie chciał z nim rozmawiać?

Wzruszył ramionami i powlókł się do kwatery. Miał przed sobą cały dzień, a tymczasem jedyna atrakcja (która mogła okazać się jakimś absurdalnym niewypałem, patrząc na temperament księżulka) czekała go dopiero o dwudziestej... Piotrek niespecjalnie miał koncepcję, czym zajmować się przez cały ten czas, w związku z czym modelowo go roztrwonił na leżeniu na łóżku i wgapieniu się w telewizor. Wskazówki zegara oczywiście nie spieszyły się do

wybicia chociaż tej cholernej dziewiętnastej, więc kiedy w końcu nadeszła pora wyjścia, Piotrek był solidnie wnerwiony i zblazowany całodzienną nudą.

Postanowił nie oczekiwać niczego po wieczornym spotkaniu. Nie zamierzał czarować się, że odbędą znakomite rendez-vous, ale zdecydował się spróbować wyciągnąć z rozmowy z dziwakiem tyle, ile się dało. Nigdy nie wiadomo – głupiec też ma swą opowieść.

Dopiero kiedy stanął u progu i zastukał nieśmiało w szare drzwi, uświadomił sobie, że mógł pomyśleć o jakimś upominku dla księdza, w zamian za zaproszenie. Przez głowę przebiegła mu myśl, żeby skoczyć do jakiegoś sklepu i kupić chociaż jakąś czekoladę albo coś równie żenującego. Chwilę po zastukaniu w drzwi rozległo się jednak inne stukanie – kłapek o drewnianą podłogę i plany o upominku trzeba było odłożyć na następne spotkanie.

Ksiądz otworzył drzwi i przywitał Piotrka szerokim uśmiechem. Już nie szczyrzył się tak głupkowato jak wcześniej, co podziałało na Iwana uspokajająco. Może nie będzie tak źle, a facet nie jest tak pieprznięty, jak by się mogło wydawać?

– Dobry wieczór, przyjacielu – powiedział ksiądz. – Cieszę się, że cię tu widzę. Wchodź, śmiało, czuj się jak u siebie. – W jego głosie słychać było autentyczną radość z wizyty gościa. Piotrek przywitał się i wszedł do chałupy, która w środku okazała się znacznie mniejsza, niż wydawała się z zewnątrz. Ot, wąski przedpokój, jeden mały pokój po prawej, za nim kuchnia, na końcu korytarza łazienka, a pozostałą przestrzeń po lewej stronie wypełniał salon.

Właśnie tam zaprowadził Piotrka ksiądz i zatrzymał się nagle na środku pokoju, obracając się zwinnie na pięcie. Dopiero wtedy Iwan zauważył, że duchowny, choć ubrany jak normalny człowiek z tych stron, ma na sobie kolorowe, surferskie japonki. Czyli jednak jest pieprznięty.

– Wybacz mi moje wcześniejsze roztrzepanie, ale zaprosiłem cię do siebie, a nawet nie dowiedziałeś się, jak mam na imię. Grzegorz – przedstawił się gospodarz i wyciągnął dłoń w kierunku Iwana. Ten odwzajemnił uścisk, uśmiechając się lekko, ale wciąż z dużą dozą nieśmiałości.

– Piotrek, bardzo mi miło. Jeszcze raz dziękuję panu za zaproszenie – odpowiedział. Ksiądz znów zadzwonił swoim charakterystycznym śmiechem.

– Chyba się nie zrozumieliśmy. Mów mi po imieniu. Grzegorz, Grzesiek, jak ci wygodnie. – Jakby na potwierdzenie tych słów sięgnął ze stolika po dwa kieliszki pełne czerwonego, gęstego płynu. – Malinóweczka, sam robiłem. – Puścił oko. – Za miłe spotkanie! – zawołał.

Piotrek złapał sporych rozmiarów kieliszek i wychylił jego zawartość. Oko mu błysnęło, kiedy poczuł delikatną kwaskowość malin, gorycz niemałej ilości alkoholu, a to wszystko idealnie łagodzone przez słodki cukier. Ksiądz zachichotał.

– Chyba ci pasuje. Dobrze, dobrze, mam jeszcze wiśniówkę, cytrynowkę i trochę lokalnego biberku. Wszystkiego skosztujesz, bez obaw. – Znów puścił

oko, a Piotrek uznał, że czuje coraz większą sympatię do tego człowieka. Koniec końców – nawet jeśli się nie dogadają, to sobie chociaż dobrze popije...

Ksiądz odsunął duży, materiałowy fotel, zapraszając Piotrka do zajęcia miejsca, sam usiadł naprzeciwko, na krześle. Dzielił ich stolik, cieszący oko licznymi flaszeczkami wypełnionymi kolorowymi płynami i słodkimi przekąskami.

– Rozsiądź się wygodnie i częstuj się, czym tylko będziesz chciał. Ciasta są lokalnego wyrobu, bo wiesz, jak to... Z racji pełnionej funkcji zasypują mnie takimi łakociami, a ja sam przecież tego nie przejem! – zawołał z radością Grzegorz. – A gdybyś chciał coś wytrawnego, to mów od razu, szybko coś wykombinujemy!

Piotrek był zachwycony gościnnością księdza, niespotykaną w innych stronach kraju. Może jednak da się przekonać do niego?

– No bo widzisz – nie przestawał trajkotać duchowny – ksiądz też człowiek, a wielu myśli, że ja to sobie rady nie dam, że gotować nie potrafię i trzeba mnie dokarmiać. Co zrobić, taki mamy klimat! – zawołał. Nadawał jak opętany! Wyraźnie potrzebował wygadać się komuś innemu niż starej babulince z domu po drugiej stronie wsi.

– Ja to jak zwykle, chwila moment i już rozgadany, jak jakaś przekupka – strofował sam siebie. – W sumie branża podobna, też muszę wciskać usługi mojego przełożonego. Stąd i gadulstwo.

Piotrek uśmiechał się błogo, rozbawiony gadaniną Grzegorza i rozluźniony procentami z nalewki. Mimowolnie spojrzał na jedną z flaszeczek. Ksiądz w moment to dostrzegł.

– No właśnie! Gdzie moje maniery! Na drugą nóżkę trzeba! – zawołał. – To co, teraz może wiśnióweczki? To już nie moja, sąsiad robił. Ma talent, ale czasem przesadza trochę z woltażem. Mówi, że woli tak, bo wtedy wypije dwa razy i mu wystarczy! – Nalał gęstego płynu po same brzegi kieliszków i wypili go bez słów, tylko się uśmiechając. Zresztą Piotrek niespecjalnie wiedział, o czym miałyby mówić.

Ksiądz zaczął opowiadać o tajnikach lokalnej produkcji alkoholu i tutejszej kuchni w ogóle, co zafascynowało Piotrka. W końcu znalazł punkt zaczepienia i włączył się do gadaniny. Zadawał masę pytań, bo zawsze miał ochotę pobawić się w coś takiego, ale jakoś nie było okazji. Grzegorz wydawał się, nomen omen, wniebowzięty, znalazłszy tak wartościowego odbiorcę swojej paplaniny. Przez godzinę Piotrek dowiedział się chyba wszystkiego, co się tylko dało, na ten temat i w głowie zaświtało mu inne pytanie.

– Grzesiek, powiedz mi, proszę, ty jesteś stąd? Bo opowiadasz tak, jakbyś uczył się tego od małego w tych stronach, ale coś mi nie do końca pasuje. Mówisz w inny sposób niż ludzie w tych stronach, nie zaciągasz i w ogóle. Jak to jest?

Ksiądz jakby zeszywniał. Nie odezwał się nic, tylko sięgnął po flaszeczkę

i napełnił kieliszki. Bez słowa uniósł swój i nie czekając na Piotrka, wychylił jego zawartość. – Nie, nie jestem stąd – powiedział z grymasem na twarzy. Alkohol piekł go w podniebienie. – Nie jestem stąd, jak i ty. Ale podobnie jak i ty miałem kiedyś problem i podobnie jak ty przyjechałem tutaj nie do końca z własnej woli. I mam nadzieję, że podobnie jak mnie uda ci się uporać z tym, co cię trapi – rzekł i uśmiechnął się delikatnie. Piotrek zawstydzził się. Nie spodziewał się, że poruszy jakiś drażliwy temat, a ewidentnie na coś takiego trafił. Nie zamierzał psuć humoru gospodarzowi.

– Wybacz, że spytałem, to chyba trudna sprawa dla ciebie? Nie będę jej drażnić, przepraszam – wyjąkał. Duchowny wychylił się w jego stronę i położył mu rękę na ramieniu.

– Bez obaw, przyjacielu. Prędzej czy później sam bym ci to powiedział. W końcu obiecałem zaradzić coś na twoje kłopoty, prawda? – Piotrek skinął głową. – No właśnie. A nie zrozumiesz nic z tego, co mówię, dopóki nie poznasz mojej historii.

Grzegorz oparł swoje łokcie na udach i splecionymi dłońmi podtrzymywał sobie brodę. Uleciała z niego cała wesołkowatość, jego oblicze nabrało surowego wyrazu. Z dobrodusznego księdza z prowincji zmienił się w pełnego władczej wyniosłości duchownego.

– Wstąpiłem do seminarium zaraz po maturze – zaczął mówić cichym, ale zdecydowanym głosem. Ani na sekundę nie odrywał wzroku od twarzy Piotrka. Kościół szkoli bardzo przyzwoitych mówców, nie ma co. – Nie widziałem sensu czekać z tym dłużej. Byłem pewien, że prędzej czy później tam wyląduję, więc nie chciałem oszukiwać siebie i bliskich. Głęboko wierzyłem w Boga, w nauki Jezusa, pragnąłem pogłębiać swoją wiedzę i dzielić się nią z całym światem.

Wychowałem się w dobrej rodzinie. W domu nie brakowało niczego, nawet radości, co nie zdarza się za często. Ja z moim młodszym o dwa lata bratem byliśmy stawiani jako wzór w każdej możliwej kategorii. Najlepsze rodzeństwo, najlepsi uczniowie, najlepsi na piłkarskim boisku, przyjaźniący się ze wszystkimi, uczciwi, nawet na dyskotekach rządzący niepodzielnie na parkiecie. Rodzice pękali z dumy, wiedząc, że cały trud, jaki włożyli w wychowanie, procentuje i procentować będzie.

Kiedy tylko okazało się, że zostanę duchownym, zwróciły na mnie uwagę najwspanialsze głowy polskiego, i nie tylko, episkopatu. Od początku planowano zrobić ze mnie wizytówkę Kościoła. Z czystą kartą i czystym umysłem nadawałem się idealnie na jakieś wysokie stanowisko, dzięki któremu mógłbym emanować swoim urokiem na całą katolicką owczarnię. Oczywiście nikt mnie o tych planach nie informował, ale przez kolejne szczebelki kościelnej kariery przemykałem zaskakująco łatwo.

Piotrek słuchał zafascynowany. Mimochodem zaczął podjadać słodkości ze

stołu, ale starał się nie uronić ani słowa z opowieści Grzegorza.

– Musieli dobrze wiedzieć, że zareaguję w ten sposób, bo chłonałem cały ten blichtr z nieskrywanym entuzjazmem. Wiecznie odnosząc sukcesy, uwierzyłem, że te po prostu mi się należą. Z urzędu. Zagłaskiwano mnie po pustej głowie i rozpieszczano na każdym kroku. Poznawałem coraz to potężniejsze osoby, świeckie i duchowne, wdrażałem się w delikatne niuanse dyplomacji, polityki i spraw największej wagi.

Nigdy nie wpadłoby mi do głowy, że jestem wodzony za nos, że ktoś specjalnie podsuwa mi pod nos łakome kąski, żebym nie zwracał uwagi na istotniejsze sprawy. Nie dostrzegałem tego, że bywam we wspaniałym towarzystwie, ale nigdy nie wolno mi się odzywać, poza tym co nakazywała etykieta. Nie zauważałem, że pewne sprawy specjalnie się przede mną ukrywa, tak że cały świat o nich wie, tylko nie ja. Żyłem jak pączek w maśle, rozleniwiony swoim dopieszczonym ego, pragnący po prostu być. Zupełnie nie jak Jezus, co? – powiedział i rozłożył ręce, jakby w geście bezradności.

– W końcu przyszedł ten piękny, najcudowniejszy w moim życiu dzień, jak mi wówczas mówiono. Miałem zostać biskupem. Przygotowania trwały pełną parą. Jako maskotka polskiego Kościoła miałem zostać awansowany z wyjątkową pompą. Chciano, żebym od tego momentu był nieskazitelnym wzorem, przykładem na to, że wśród kleru masa jest tego typu perełek – prymusów, którzy dzięki ciężkiej pracy dochodzą do najwyższych stanowisk. Bez skandali, kolesiostwa i włożenia po cudzych plecach.

Taka była retoryka.

Grzegorz uśmiechnął się niemal niezauważalnie, jakby przypomniało mu się coś wyjątkowo przyjemnego. Piotrek słuchał go jak w transie, nie spodziewał się poznać tego wieczora takiej historii. Rozsiadł się na fotelu i w napięciu wysłuchiwał każdego słowa, jakie padało z ust księdza.

– Te gnidy zapomniały, że dla Boga służą, a nie SA bogami. I to on tu pociąga za sznurki, a nie oni. Wszystko potrafili przewidzieć, poza tym, że jestem człowiekiem, jak każdy. Mimo że byłem towarzysko izolowany tak bardzo, jak to tylko możliwe, zostałem po jednym z nabożeństw zagadany przez kogoś, kto odstawał od całego świata, jaki znałem, tak znacznie, że zafascynował mnie sobą od pierwszej sekundy rozmowy.

Kuba ubrany był w luźne bojówki, wyciągniętą bluzę z kapturem, na nogach miał wiecznie zakurzone trampki i z uporem maniaka golił się na łyso, jakby wiecznie walczył z włosami, które koniecznie chcą zasiedlić jego szaloną głowę. Zagadał do mnie wprost – wiedział, że za dwa miesiące zostanę biskupem i w związku z tym zaprasza mnie na pielgrzymkę do Santiago de Compostella. W zasadzie nie dał mi wyboru, mówiąc, że ma już kupione bilety na samolot, ruszamy za trzy dni, a on bierze na siebie cały organizacyjny trud. – Grzegorz

klasnął z satysfakcją w dłonie, po czym nalał im obu malinówki.

– Nie muszę ci chyba mówić, że dla dużego dziecka, jakim byłem mimo tych czterdziestu kilku latek, jakie miałem wtedy na karku, było to dla mnie coś oszałamiającego. Zgodziłem się od razu, już wtedy gdzieś podświadomie czując, że to, co robiłem do tej pory, nie było tym, co istotnie CHCIAŁEM robić. Na wariata kupiłem niezbędny ekwipunek, spakowałem się z pomocą Kuby i ku osłupieniu moich przełożonych oświadczyłem, że wyjeżdżam.

Pewnie chcieliby mi zabronić i zatrzymać mnie siłą, ale jak mieliby mi zabronić pielgrzymki? Ze strwożonymi minami życzyli mi powodzenia i pobłogosławili na drogę. Ciekawe, czy już wtedy wiedzieli, że dwadzieścia kilka lat ich wysiłku poszło na marne? – powiedział, coraz bardziej uśmiechając się z, paradoksalnie, diaboliczną satysfakcją.

– Camino zmieniło mnie nie do poznania. Poznałem mnóstwo ludzi, ich życiorysów. Pierwszy raz zobaczyłem świat bezpośrednio, a nie zza szyby i zakochałem się w nim. Kuba i przyjaciele (bo okazało się, że zna tam chyba wszystkich, pielgrzymował już dwudziesty raz) nauczyli mnie medytacji po swojemu, rozumienia Boga i religii po swojemu, a przede wszystkim – zabawy po swojemu.

Wróciłem pełny nowej, nieznannej mi dotąd energii. Wszystko, czego mnie uczono, trafił szlag. Zaczęła mnie śmieszyć cała ta pompatyczna etykieta, te zabawne stroje, insygnia, pocałunki w pierścienie i pusta, ogłupiająca paplanina. Na miesiąc przed zagranem w jedynej roli, do jakiej naprawdę mnie przygotowywano, zmieniłem fryzurę, makijaż, kostium i każdą możliwą kwestię, jaką miałem wypowiedzieć. Leonardo di Caprio zmienił się w chłopca z kółka teatralnego. – Duchowny znów klasnął w dłonie i nalał malinówki. Piotrkowi zdawało się, jakby noga Grzesia podrygiwała wesoło w rytm jemu tylko słyszalnej muzyki.

– Napelnięny odwagą, wiarą w siebie i Boga i poczuciem słuszności, zacząłem głośno mówić o tym, co starano się uciszyć. Zdecydowałem się pokazywać to, co starano się ukryć, słuchać głosów, które zagłuszano bełkotliwym szumem. Autorytet, którym nieświadomie mnie obdarzyli, obróciłem przeciwko całej tej przebrzydłej zgrai kłamliwych przebierańców. Z premedytacją wytykałem palcem ich przewinienia, zepsucie, wycieranie sobie gęb Bogiem, Jezusem i Świętym Krzyżem.

Grzegorz mówił z uśmiechem na twarzy. Przestał gapić się na Piotrka, a zaczął wesoło rozglądać się po pokoju, wyglądać za okno, kilkakrotnie pstryknął palcami z satysfakcją.

– Jak możesz się domyślić, moje harce nie trwały długo. Odbyłem kilka krótkich, ale bardzo rzeczowych rozmów, które mógłbym ci nawet streścić. „Przestanieś, do cholery?” – pytali. „Nie, i niech ekscelencja nie przeklina, bo to

nie wypada” – odpowiadałem. Zagrozili mi ekskomuniką, kilkakrotnie grożono mi nawet śmiercią. Kiedy wiedziałem, że już więcej nie ugram, bo spiskujące z nimi media zaczęły wynajdywać tematy zastępcze, żeby tylko zamieść mój problem pod dywan, przedstawiłem oświadczenie, którym zbiłem ich doszczętnie z tropu.

Napisałem w nim, że głęboko wierzę w Boga i nie wyobrażam sobie NIE służyć ku Jego chwale, ale niestety, w skutek kilku drobnych przewinień, jakich dopuściłem się wobec moich przełożonych, poddaję się do ich szacownej dyspozycji. Uprzedziłem ich krok. Zaproponowano mi „zesłanie” w to miejsce, jakby tutaj ludzie byli gorsi, a Bóg tu nigdy nie zaglądał. Z uśmiechem na ustach zgodziłem się i wylądowałem w tym oto domku.

Grzegorz szeroko rozłożył ramiona, równie szeroko uśmiechając się... w zasadzie to do samego siebie. Piotrek zresztą też szczerzył się, oczarowany zwariowaną historią zwariowanego księdza, którego poznał przypadkiem, kilka godzin temu.

– Myślisz, że mi tu gorzej niż w wyłożonych marmurem pałacach? – zapytał Grzegorz. Piotrek pokręcił głową i sięgnął po flaszkę z wiśniówką.

– Ba! – zawołał duchowny i zamknięciem powiek dał znać, że to odpowiedni moment na kieliszek albo dwa, zanim będą kontynuować rozmowę.

Wypili i korzystając z chwili przerwy, obaj skoczyli do toalety. Po paru minutach znów siedzieli naprzeciw siebie.

– Wybacz mi to pytanie, Piotrek, ale co wiesz i myślisz o Bogu? – zaczął Grzegorz, błyskawicznie zmieniając temat. Nie zdziwiło to Iwana ani odrobinę.

– Nigdy nie zadałem sobie zbyt wiele trudu, żeby się nad tym zastanowić – odpowiedział. – Za małolata babcia nauczyła mnie klepać modlitwy, zaciągała do kościoła, później coraz częściej wymigiwałem się od tego obowiązku i, przyznam szczerze, zapomniałem o Jego istnieniu. Nie wydawał mi się zbyt potrzebny na co dzień, a pewnie więcej bym miał Mu do zarzucenia niż do podziękowania.

– I to jest najlepszy dowód na to, że Bóg, jeśli jest, to dobrze wie, co robi, i przede wszystkim dotrzymuje obietnic! – powiedział Grzegorz, uderzając się dłonią w udo. – Pamiętasz, jak powiedziałem ci dziś, że nie wiem, czy wierzę w Boga? – Piotrek skinął głową. – Pewnie zachodzisz w głowę, co ten klecha chciał ci przez to powiedzieć. Ano tyle, że staram się odczytać myślenia, że w Niego wierzę. Chciałbym to po prostu wiedzieć. Być absolutnie pewnym, nie potrzebować skodyfikowanej wiary ani błagania „ześlij mi jakiś dowód”. Pozwolić, żebym całym sobą, bezwarunkowo, czuł Jego istnienie – mówił, a oczy mu błyszczały jak natchnionemu.

– Chciałbym mieć taką pewność, jak wtedy, gdy ktoś prosi cię, żeby przechylić się do tyłu, aż stracisz równowagę – i ten ktoś cię wtedy łapie. Wzrok, rozum, logika podpowiadają, że to bez sensu, bo żadnym zmysłem nie można stwierdzić, czy te ręce, które obiecały uchronić cię przed upadkiem, rzeczywiście

są tam, gdzie być powinny. Mimo to wiesz, że para dłoni jest tuż za twoimi plecami, czeka zgodnie z obietnicą, a ty przechylasz się i... nie upadasz!

Piotrek pokręcił głową.

– Nie wpadłbym na to, żeby pomyśleć w ten sposób! – zawołał.

– To jeszcze nie wszystko! – odpowiedział Grzegorz, zacierając z satysfakcją dłoń. – Widzisz, moim zdaniem wiara jest w pewien sposób całkowitym zaprzeczeniem tego, czym powinna być religia. Zacznijmy od początku. Bóg tworzy człowieka. No dobrze, tworzy parę. Daje im świat i w tym momencie mówi: „Słuchajcie no, ja swoje zrobiłem, reguły gry są takie a takie, ale generalnie to róbcie, co chcecie!”. No i ten biedny, zagubiony człowiek robi, co mu tam tylko do głowy przyjdzie. A to zeżre jabłka, których mu nie wolno, a to założy miasto rozpusty, tu znowu zrobi wojnę i zmasakruje trzy czwarte bliźnich.

Generalnie knoci, a co coś sknoci, to leci do Boga i mówi: „O Wielki, o Wspaniały, pomóż mi to odkręcić, bo namieszałem i mi z tym źle!”. Miłosierny Bóg zgadza się i oznajmia, że wybacza, że daje kolejną szansę plus nowy zbiór zasad, jakby poprzednie były niezrozumiałe. I tak w kółko. – Grzegorz spojrzał na Piotrka jak profesor w trakcie wykładu.

– Gdzie leży błąd w tej całej logice? – zapytał, a zanim Piotrek zdążył cokolwiek powiedzieć, odpowiedział sam sobie: – Ten mizerny człowiek sam do końca nie wie, czego chce i co myśli. Raz wierzy w Boga, raz nie. Raz Go słucha, a po chwili już głuchnie. Raz by chciał pomocy, a raz ma pretensje, że Bóg się wtrąca. No halo! – krzyknął i rąbnął pięścią w stół. Piotrek zarechotał, myśląc sobie, że to niespotykana ekspresja.

– Właśnie dlatego „wierzenie” w Boga jest błędem. Jak ktoś ci coś obiecuje i ty mu wierzysz, to myślisz tak: „Chyba to robi, ale stu procent pewności nie mam”. Nie ufasz. Dla pewności kombinujesz coś po swojemu i koniec końców wychodzi wielka kłapa, bo jak robi, to myślisz „Ech, to po co ja to swoje dłuhałem?”. A jak NIE robi, to wyskakujesz i wrzeszczysz: „HA! Wiedziałem! Zawaliłeś! Dobrze, że się ubezpieczyłem!”. I tak źle, i tak niedobrze. – Znow rozłożył ręce, ale nie przestawał mówić:

– Co innego, jak masz pod ręką ktosia, o którym WIESZ, że zrobi to, czego oczekujesz. Jest pewniakiem. Polegasz na nim jak na Zawiszy. On robi swoje, ty tylko czekasz na efekt, potem przybijacie piątki, obaj szczęśliwi z rozwiązania. Dobrych majstrów się ceni i Bóg jest najlepszym z nich! – zawołał Grzegorz i nalał znow wiśniówki. Piotrek zmarszczył brwi, zerkając na rozmówcę.

– Nie do końca wiem, do czego zmierzasz. Mam nadzieję, że nie zgubisz wątku przez nalewkę! – burknął. Grzegorz zadzwonił śmiechem.

– O mnie się nie martw! – zakrzyknął. – Do czego zmierzam? Do tego, że zasady, jakie dostaliśmy od Boga, są najtrudniejszymi do przestrzegania. Dlaczego? Bo są najprostsze. To, o czym mówiłem wcześniej, tyczy się

najważniejszej z nich. Jest jeden Bóg i istnieje na pewno. Basta. Nie ma co tego roztrząsać czy szukać dowodów.

A dlaczego tak? Toż to wbrew nauce i logice! Otóż wręcz przeciwnie! Bóg dał ludziom wolną wolę. Niech sobie za życia robią, co chcą. Po śmierci okaże się, co z nimi dalej, ale teraz niech szaleją, na ile tylko wyobraźnia im pozwala! Czy w związku z tym gdyby Bóg chociaż w najmniejszym stopniu wtrącił się w czyjeś życie, tylko po to, żeby dać jakiś mały dowodzik na to, że istnieje, to nie byłoby pogwałcenie tej fundamentalnej reguły?

Piotrek żarliwie pokiwał głową, choć łapanie logiki Grzesia przychodziło mu z pewnym trudem. Póki co jeszcze nadażał.

– No właśnie! Niczego człowiek sobie nie ceni jak wolności i niczego nie pragnie tak bardzo jak tego, żeby Bóg odwalił za niego całą brudną robotę. Jedno gryzie się z drugim...

– Masz rację! – wyrwał się Piotrek, zadowolony, że wreszcie zatrybił. – Masz, cholera, rację. Chyba zaczynam rozumieć, co chcesz mi przekazać. Nie można oczekiwać, że zjawi się jakaś cudowna siła i rozwiąże nasze problemy, skoro podstawową wartością, jaką wyznajemy jest wolność. A za tym pojęciem kryje się, oprócz wszelkich dobrodziejstw, także masa bólu, cierpienia i ogrom tego, czego nikt nie lubi, a co jest domeną najlepszych – odpowiedzialności. Zgadza się? – Grzegorz z uznaniem kiwał głową, zaplótłszy ramiona na klatce piersiowej.

– Zgadza się. Szybko łapiesz. Podziwiam twoją inteligencję i przenikliwość. Szkoda, że tak trudno przełożyć to na własne życie, co? – Grzegorz wykrzywił twarz w złośliwym grymasie.

Piotrek spuścił wzrok, skarcony przez księdza.

– Kto tu jest przenikliwy? – skomentował gorzko. – Nigdy nie jest łatwo. Nikt nie obiecywał, że będzie łatwo.

– Ale też nikt nie mówił, że będzie tak trudno, jakby mogło się wydawać. To chyba pora, żebyś ty ty opowiedział mi swoją historię – skwitował Grzegorz i teraz to on rozsiadł się wygodnie na fotelu, zmieniając się w słuch.

Piotrek, z początku niechętnie, zaczął spowiadać się ze swojego życia. Zaczął od dnia, gdy wygrał bitwę w Łodzi, bo ten moment uznał i już do końca życia uznawał za kluczowy. Starał się nie pominąć niczego i nikogo. W miarę jak wypływał z siebie kolejne skrawki swojej pięknej historii ukoronowanej zwiędłym tulipanem, czekającym w bramie kamienicy Mateusza, czuł, jak doznaje oczyszczenia. W końcu wygadywał się, całkiem szczerze, tak jak można wygadać się tylko komuś obcemu, z dala od tematów, które się porusza. Psychologowie za przeniesienie w ten świat biorą grube pieniądze...

Kiedy skończył, był już całkowicie spokojny. Osiągnął wreszcie ten stan, po który, zdaje się, przyjechał w to miejsce. Wreszcie ukoił skołatane nerwy i zaczął

odczuwać przyjemny chłód dystansu. Demony z wielkimi oczami i zębami wychodziły z cienia w miarę opowiadania, okazując się być łatwymi do okiełznania chochlikami.

– Sam sobie narzucałeś kłód pod nogi, wiesz o tym? – podsumował Piotrka Grzegorz.

– Wiem. Teraz już wiem – odpowiedział bez żalu i pretensji w głosie. Pierwszy raz od bardzo dawna.

– Widzę, że już po tym, jak mi to opowiedziałeś, jest ci lepiej, prawda? – zapytał ksiądz. Piotrek skinął głową. – To dobrze. I dziękuję, że obdarzyłeś mnie na tyle dużym zaufaniem, żeby szczerze wypowiadać się z tego wszystkiego.

Teraz patrzyli sobie w oczy. Bez agresji, złościwości czy potrzeby znalezienia słabego punktu. Po prostu zerkali na siebie, żeby podtrzymać więź, którą udało im się stworzyć do tej pory.

– Nie mówiłem ci tego wszystkiego przez przypadek – kontynuował Grzegorz. – Spodziewałem się, że masz w sobie taką albo podobną historię. Widać to po tobie. Chociaż w gruncie rzeczy wszyscy jesteśmy tacy sami i mamy za sobą podobne przeżycia. Odkrywamy w sobie coś fajnego, rozwijamy to, aż nagle, całkiem nieświadomie, zaczynamy to niszczyć i komplikować. Pewnie to jest ten „obraz i podobieństwo” Boga, bo On potrafi tylko tworzyć, a my „jedynie” tworzyć i niszczyć. To jest ta nasza ułomność.

Ksiądz westchnął ciężko, wychylił się w stronę Piotrka i poklepał go po ramieniu, jakby chcąc dodać otuchy.

– Ja już mam to za sobą. Wygrałem ze swoją przeszłością, chociaż na początku było mi bardzo trudno. Wiedziałem jednak, że dam radę. Po prostu to wiedziałem. A im dłużej to trwało, im dłużej budowałem, tym więcej zyskiwałem sił.

Nastał moment długiej ciszy. Ich spojrzenia rozbiegły się w różnych kierunkach. Każdy potrzebował chwili na poukładanie tego wszystkiego w głowie, zanim będzie gotów do dalszej rozmowy. Spokój przerwał ciepły głos Grzegorza.

– Pamiętasz, jakie jest najważniejsze ze wszystkich przykazań? – zapytał.

– Nie mam pojęcia – odpowiedział Piotrek wzduszając ramionami.

– Przykazanie miłości. A dokładnie: „Będziesz miłował bliźniego jak siebie samego”. Wiesz, co ono nam mówi? Jediną słuszną prawdę, o której wiecznie zapominamy. Żeby pokochać kogokolwiek i cokolwiek, nawet Boga, trzeba NAJPIERW pokochać siebie. I nieważne, kim jesteś, w co wierzysz, co robisz i co wiesz. To wszystko nabiera znaczenia dopiero w momencie, kiedy nauczysz się kochać siebie. Narcystycznie, egoistycznie i, wydawałoby się, antyludzko i antybosko, prawda?

Piotrek pokiwał głową.

– Ale nie jest tak. Bóg po to stworzył ciebie, żebyś był szczęśliwy. Żebyś

czuł się ze sobą i swoim życiem dobrze. Po prostu lubił siebie. Wątpię, żeby kogokolwiek łącznie z Bogiem cieszył widok tysięcy umartwiających się, marudnych, cierpiących głów. Zresztą po to Jezus cierpiał za nas, żebyśmy my nie musieli.

Grzegorz uśmiechnął się dobrotliwie i napełnił kieliszki. Uniósł wysoko swój i puścił do Piotrka oko.

– Nie będę ci mówił, co masz zrobić, bo stałbym się największym hipokrytą świata. Dam ci jednak kilka rad... – Wychylił zawartość kieliszka i uśmiechnął się szeroko. – Ludzie boją się. Wszyscy. Boją się śmierci, odrzucenia, smutku, samotności. I z tego strachu zaczynają kombinować. Unikać tego, co ich przeraża. Omijać problemy. Chować się przed odpowiedzialnością. Rezygnować ze szczęścia kosztem świętego spokoju. Idą najtrudniejszym szlakiem. Zbyt długim i zbyt trudnym na ich umiejętności. Koniec końców – sami skazują siebie na zagładę.

Tymczasem najlepsza droga jest zawsze najprostsza. To właśnie ona nas najbardziej przeraża, bo wiemy, że w jej trakcie będziemy musieli zmierzyć się z tym, co uważamy za najgorsze. Mówiąc metaforycznie – to ona jest najciemniejszą ze wszystkich dróg. Ale nie ma innej metody. Żeby kogoś poznać – trzeba zagadać. Żeby napisać książkę – trzeba kupić zeszyt i postawić pierwszą literę. Żeby obieć kulę ziemską – trzeba ubrać buty i zacząć biec. Nawet jeśli boisz się rozmów, uważasz, że ktoś skrytykuje twoje dzieło, a na obiegnięcie Ziemi masz za słabą kondycję. To wszystko dopiero SIĘ OKAŻE. – Grzegorz kiwnął głową, wskazując nią na okno, za którym lśniły tysiące gwiazd. Niebo było tego wieczora jak z bajki.

– Nie ma co czekać, reguły się nie zmieniają. Póki świat będzie trwał i nie zgasną wszystkie gwiazdy, które tam świecą. Gdybym dziś rano zaczął cię pytać: „Czy może chcesz wpaść?”, to pewnie nigdy byś tu nie zajrzał. Najprostszym rozwiązaniem było powiedzieć ci, że masz przyjść. I już. I jesteś. Z premedytacją nie zostawiłem ci możliwości na dywagacje, a kiedy powiedziałeś „tak”, obaj wiedzieliśmy, że nie ma odwrotu. Że tak czy siak przyjdiesz.

A ty wiesz już, że musisz wrócić do Łodzi, zmierzyć się z Michałem, Anią i twoją twórczością. Nie uciekniesz od tego, nawet jeśli zamieszkas tu ze mną i do końca życia nie wystawisz nosa poza ten dom.

Piotrek uśmiechnął się, nie wiedząc, co ma odpowiedzieć. Poza tym – nie miał już ochoty na rozmowę. Chciał pograżyć się we własnych myślach, tym bardziej że dopiero teraz zorientował się, że jest już wcięty. Grzegorz zdawał się nie zwracać na to uwagi. Dużą przyjemność sprawiało mu mówienie do Piotrka, więc ten nie chciał odbierać księdzu radości.

I tak ukojony ciepłym, choć już mocno znużonym głosem Grzegorza Piotrek zaczął stawać się coraz bardziej senny. Znów spojrzął na okno. Poranna zorza

nieśmiało rozświetlała czyściutkie tego poranka niebo. Wstawał nowy, czysty dzień. Piotrek zamknął oczy i błyskawicznie odpłynął w krainę lekkich i przyjemnych snów.

*

Kilka starych jarzeniowych latarni z trudem rozświetlało perony rozpadającego się dworca. Dając nieprzyjemne, niebieskawe światło, wydawały się jeszcze pogłębiać przeszywający chłód, jaki wpełzł kilka dni wcześniej do Łodzi. Co prawda od kilku dni próżno było szukać na niebie choćby śladu chmury, a powietrze nabrało przejrzystości po zbyt długo lejącym deszczu, ale równie mocno pędzącym do domu podróżnym dawał w kość mróz.

Ciemna sylwetka postaci w grubym, przyzwoicie uszytym płaszczu z butelką rudego płynu w prawej dłoni zarysowała się na peronie chwilę po tym, jak z przeszywającym piskiem zaczął odjeżdżać z niego pospieszny do Warszawy. Człowiek zatrzymał się, pokręcił głową i, wpierszak zakręciwszy prawie pustą już flaszką, przełknął solidny łyk. Whisky przyjemnie rozgrzewała przełyk i żołądek, dając odpór zimie.

Usiadł na jedynej ławce, jaka znajdowała się na całej, kilkusetmetrowej długości peronu. Postawił butelkę obok i gapił się w oddalające się światła pociągu. Nawet gdyby chciał na niego zdążyć, to jak zwykle by mu się nie udało.

Dworce kolejowe wprawiają w specyficzny nastrój. Melancholia, nostalgia, tęsknota, czasem nawet smutek, zdają się leniwie kołysać się w powietrzu. Marcin, jakkolwiek był wypłukany z emocji do reszty, dał się nieco złapać tej atmosferze. Tym bardziej że od kilku dni odczuwał większą niż zazwyczaj potrzebę zerkania w przeszłość i analizowania jej.

Zaśmiał się i od razu sięgnął po butelkę. Łyknął odrobinę, widząc, że alkoholu zostało już bardzo niewiele, a chciał mieć jeszcze choć kropelkę w zapasie. Chwilę musiał pomyśleć, żeby przypomnieć sobie, z czego się śmiał. A, tak! Ze spóźniania się na pociąg.

Wiecznego spóźniania się na pociąg. Tak właśnie wyglądało jego życie. Biegł bez przerwy od przystanku do przystanku, robiąc wszystko, żeby zdążyć, i zawsze wpadał na dworzec akurat w momencie odjazdu. Jak w urzeczywistnieniu filmu „Nic śmiesznego”. Nieustannie krok za późno.

Skoniecznego rozgryźł dopiero, kiedy tamten wyłożył karty na stół. Przekręt Sulimy wywęszył po zrobieniu z samego siebie wała. Julię zaczął kochać, usłyszawszy w słuchawce telefonu, że ona wymazuje go ze swojego życia. Zrozumiał biznes, dając się mu wcześniej zjeść, strawić i wysrać. Jakaś jedna z ostatnich niezatrutych alkoholem synaps przywołała historię z mitologii greckiej, o równie tępym, co dziwacznym Minotaurze, mądrym dopiero w momencie śmierci.

Tragedia (choć nie grecka) Marcina polegała na tym, że spóźnił się nawet na swoją śmierć. Nadmiar alkoholu spowodował, że zasnął tuż przed popełnieniem samobójstwa. Absurd. Absurd.

– ABSURD! – wrzasnął i jego głos poniósł się złowieszczym echem po pustym dworcu. Dopił szybko resztkę whisky i z furią cisnął butelką o chodnik.

Wstał, wlokąc się ciężko. Wyglądał jak uosobienie nieszczęścia, jak zły omen. Błady, wyprany z resztek uczuć i emocji wałęsał się od tamtego pamiętnego dnia po ulicach Łodzi niczym upiór. Nie zamierzał drugi raz próbować odbierać sobie życia. Uznał to za równie bezsensowne, co dalsze życie, więc po co się w ogóle starać?

Zresztą, paradoksalnie, znalazł w tym jakąś odrobinę... może nie radości, ale satysfakcji. Przestał bać się śmierci, więc mógł pozwolić sobie na rzadki luksus życia w absolutnej wolności. Bez strachu i poczucia nadejścia niespodziewanego i nieubłaganego końca. Robił dokładnie to, na co miał ochotę, czyli chłał bez ustanku, dzień w dzień, uwolniony od kłopotliwych wyrzutów sumienia. W gruncie rzeczy nie miało znaczenia, którym pociągiem się jedzie i co się robi, czekając na niego, skoro wszystkie tory prowadzą w to samo „donikąd”.

Pokrzepiony tą myślą oddalił się od dworca. Od dworca, na który właśnie wjeżdżał jeden z ostatnich tego dnia pociągów. Marcin nie był, nie jest i nie będzie jedyny. Wszyscy zapominamy, że tory, które prowadzą „tam”, prowadzą też „z powrotem”.

Piotrek, gdyby mógł, to wyskoczyłby z tego pociągu, kiedy tylko minął granicę Łodzi. Rozpierała go energia i chęć do działania. Wyciągnąwszy masę pozytywnych wniosków z kilku owocnych dyskusji z Grzegorzem, pragnął natychmiast przekuć je w czyn.

Zrozumiał, że sam nie da rady osiągnąć kompletnie niczego. Jego problemy zaczęły się od rozbratu z Michałem i sam je sobie ściągnął na głowę. Od maleńkiej iskierki posypała się cała lawina niszczącego ognia. Rozsypał się jego rap, chwilę później freestyle, po tym związek z Anką, aż w końcu zmienił życie w bezdenną dziurę, w którą wlewał destrukcyjny alkohol.

A wystarczyło nie obrażać się na cały świat i nie obwiniać wszystkich wkoło, tylko schować dumę w kieszeń, posypać głowę popiołem i wziąć się do pracy, tak jak był przecież nauczony od małego...

Wyskoczył nagle z przedziału, zaskakując wszystkich współpasażerów i doskoczył do zaparowanego okna. Uporczywie tarł ciągle pokrywającą się mlekiem szybę, przykładając oko do „peryskopu”. Z rozczarowaniem stwierdził, że dopiero wtaczają się na Widzew. Skład włókł się niemiłosiernie.

– Kolej szybkich prędkości... – mruknął z rozczarowaniem i wrócił do przedziału, olewając karcące spojrzenia.

Zamierzał do jutrzejszego wieczora spotkać się z Anką i Mińskim. Chciał wiedzieć, na czym stoi, zanim wróci do pracy nad rapem. Czy się dogadają, czy nie, nie miało to znaczenia. Zostawiał prawo do decyzji swoim przyjaciółom, jednocześnie będąc całkowicie świadomym swojej. Nie będzie już przywiązywał wagi do kwestii, na które kompletnie nie ma wpływu.

Po absurdalnie długim postojem na widzewskim dworcu pociąg na nowo ruszył. Przydałoby się wymienić te tory i wyremontować te budynki. Obraz rozpadającej się kolei jest przytłaczający nawet dla największych pasjonatów. Może kiedyś się dowłoką na ten Fabryczny...

Piotrek postanowił nie czekać więcej w dusznym przedziale i wytaszczył z trudem swoje toboły, po raz kolejny pobudzając we współpasażerach polski gen zrzędzenia pod nosem. Zasuwał drzwi do przedziału i po dosłownie sekundzie usłyszał już głośnie:

– Co za cham...

– Gdzie mu się tak spieszy?

– Daj pan spokój, podeptał mnie i nawet nie przeprosił, burak!

Nie wytrzymał i w środku jednego ze zdań otworzył znów drzwi i wsadził głowę do środka.

– Do widzenia! – krzyknął i zwiął, nie zasunawszy drzwi.

W przedziale nastąpiła konsternacja i już nikt zamierzał niczego komentować.

Piotrek tymczasem doczłapał się do wyjścia i znów psychopatycznie ścierając nieugiętą parę z szyby, z triumfem stwierdził, że wjeżdżają na Fabryczny. Wreszcie! Stąd miał rzut beretem do mieszkania Mińskiego, co zamierzał wykorzystać. Mógł go oczywiście nie zastać, ale wtedy namierzałby go w inny sposób. Whatever. Przeczucie mówiło, że Miński byczy się teraz na kanapie.

Serce waliło jak oszalałe, kiedy pociąg z piskiem zatrzymywał się na najdziwniejszym dworcu świata. W tym miejscu kończyły się tory, a z nimi dalekie podróże i krótkie przejażdżki. Zaczynało się miasto, pełne nadziei, możliwości i wódek wypijanych w bramach. Właśnie! Wypadałoby kupić coś Michałowi „na zgodę”! Jeśli będzie chciał się dogadać, to wspólne piwko będzie jak znalazł do przybicia piątki. Piotrek spojrzął na zegarek. Dwudziesta pierwsza. Wypadałoby się pospieszyć, żeby nie przychodzić za późno.

Pociąg zatrzymał się dość gwałtownie i Piotrek, z trudem łapiąc równowagę, rzucił się na kłamkę. Otworzył z impetem drzwi i zeskoczył z wysokich schodków. Błyskawicznie chciał skręcić w prawo, w stronę wyjścia i przeważała go torba. Poleciał do przodu, stawiając komicznie długie kroki, jak klaun na arenie. W końcu udało mu się zatrzymać bez upadku, chociaż torba wyleciała mu z ręki. Tuż przed sobą, na środku chodnika, zobaczył potłuczoną butelkę po whisky.

Niewiele brakowało... Gdyby upadł, pewnie rozwaliłby sobie dłoń jak

ostatnio. Co za szczęście... No nic, nie ma się co spieszyć, tych kilka sekund już go nie zbawi. Podniósł torbę i już spokojnie poszedł w kierunku Narutowicza.

Co za idiota tłucze butelki na środku dworca i dlaczego nikt tego nie sprząta?

Marcin powoli szedł w stronę sklepu z alkoholem. Czuł się nieco niedopity i był to stan, który zdecydowanie trzeba było zaleczyć chociaż jeszcze jednym łyżkiem łychy. Najlepiej takim o pojemności pół litra.

Przeszedł przez wyjątkowo brzydki i wyjątkowo ciemny park, którego nazwy nawet nie znał, choć mijał go setki razy – kilkaset metrów dalej znajdowało się przecież biuro Strumienia. I tutaj dzwonił do Sulimy po wygnaniu go z firmy.

Minąwszy obrzydliwy skwer, stanął na Narutowicza, krótką chwilę wahając się, czy pójść już w stronę domu, czy jeszcze się poszłajać. Pora była już późna, wypadałoby wracać. Powoli morzył go sen i Pieniążek z ogromną przyjemnością łyknąłby sobie ostatni raz w łóżeczku, akurat do poduszki. Skręcił w lewo i zaczął rozglądać się za sklepem. To dość dziwne w tym mieście, ale najbliższy neon „Alkohole” znajdował się dopiero jakieś pół kilometra dalej. Fascynujące. A pomyśleć by można, że w tej wiecznie obrzydliwie pijanej Łodzi monopole rozmieszczane są zgodnie z planem zagospodarowania, równo co sto metrów.

Marcin zachichotał, w ten unikalny, idiotyczny sposób, właściwy tylko pijanym. Rzadko kiedy w tak umiejętny sposób udawało mu się przeklinać to najgorsze miasto świata, w którym przyszło mu udawać, że żyje, i później udać, że umarł.

Na szczęście jemu się nie spieszyło i z ogromną przyjemnością przeszedł tych kilkaset metrów. Dla kolejnej flaszeczki mógł śmiało iść nawet i kilometrami. Fajnie mieć w życiu konkretny, dający satysfakcję cel.

Uśmiechnięty od ucha do ucha, wpatrywał się w rozdzierający mrok neon, przyjemnie pulsujący i zapraszający do odwiedzenia reklamowanych przez siebie podwojów. Już wiedział, co kupi, nawet zaplanował sobie, ile wypije w domu! Po coś mu się w końcu przydały te studia i planowanie strategiczne!

Nagle powietrze przeszył przerażający jęk zwierzęcia. Kota, psa, trudno było stwierdzić. Marcin gwałtownie obrócił się w stronę, skąd dobiegł ten paskudny dźwięk. Zwierzęcia już dawno nie było, ale wzrok Pieniążka przykuł inny obraz. Kamienica stojąca tuż przy ulicy Wschodniej. Skąd on ją znał? Kurwa, alkohol wypłukuje pamięć. Marcin gapił się tak długo, aż przypomniał sobie, skąd zna to miejsce. Sulima i jego biuro.

Pokręcił głową i cofnął się kilka kroków, żeby przysiąść na ceglanym murku. Zaczął liczyć okna i od razu zgadł, w którym mieściła się łódzka siedziba tej kanalii. Dużo myślał o nim. O jego słowach i czynach. Brał pod uwagę bezczelność i cyniczność jego działań, nie zapominając o ciepłe jego mądrych słów. Koniec końców, rozebrawszy sprawę do najmniejszych drobinek, uznał swojego dawnego

partnera za zwykłego chuja.

Pomogło mu to oswoić się z myślą, że ktoś taki chodzi z nim po jednym świecie i zrobienie mu krzywdy w żaden sposób nie pomoże, a kto wie, może tej gnidzie jeszcze to na dobre wyjdzie?

W oknie zapaliło się światło. Staruch był u siebie. Ciekawe, czym się teraz zajmował? Może właśnie skończył mówić komuś o swojej firmie i rodzinie, a teraz dobierał się do tyłka swojej sekretarki? A może, beznadziejny w swoim zaślepieniu, poświęcał każdą minutę życia na pracę i nawet teraz przeglądał papiery, statystyki i pisał notatki z samymi trafnymi wnioskami? To by oznaczało, że jest równie fatalny jak Marcin, tylko po prostu miał w swoim pustym życiu nieco więcej szczęścia?

Z zamyślenia wyrwał Pieniążka szelest tobołów taszczonych przez jakiegoś młodego lojtkę w zbyt szerokich spodniach i ze zbyt szerokim uśmiechem na twarzy. Kiedyś pewnie zechciałby wybić takiemu gówniarzowi ząbki, ale teraz uznawał takie rzeczy za całkowicie bezsensowne. Whisky była sensowna.

Wstał z murku, nawet nie zerkając więcej na kamienicę Sulimy, i ruszył do sklepu-apteki. Po lekarstwo. Na Sulimę, gówniarzy i inne powikłania choroby zwanej życiem.

Piotrek przeklinał swoje pomysły, kiedy spocony od dźwiganego bagażu doczłapywał się do alkoholowego. Mógł już sobie odpuścić to piwo, teraz musi się cofać z tą cholerną torbą prawie do miejsca, z którego przyszedł. Wpadł do sklepu, jednego z tych, w których zawsze jest kolejka. Odstał swoje, wpakował trzy butelki w ostatnie wolne miejsce w plecaku i torbie i wyszedł z powrotem na ulicę.

Nie zauważył, że z lewej strony szedł jakiś równie dobrze ubrany, co nawalony typ. Gruchnął w niego torbą, tamten z łomotem wpadł na ścianę kamienicy. Nie miał ochoty na przeproszanie, tym bardziej kogoś tak zniszczonego, jak tamten. Rzucił zdawkowe „sorry” i poszedł przed siebie. Tak by pewnie dziś wyglądał, gdyby nie ogarnął się w porę...

Nie zamierzał się tym już przejmować. Było, minęło. Teraz musiał zapłacić cenę za tamte błędy. To znaczy w zasadzie już płacił, uginając się pod ciężarem doładowanych piwem tobołów. Wreszcie dopełził do znanej mu już dobrze kamienicy i z satysfakcją wciągnął nosem mroźne powietrze. Drzwi do klatki były jak zwykle otwarte, więc mógł wstrzymać się z niespodzianką do samych drzwi.

Serce biło mu jak oszalałe, pewność siebie jakby trochę wyparowała, w miarę jak zbliżał się do celu. Ostatnie pół piętra pokonał z trudem i nawet pewną niechęcią. Kiedy stanął pod drzwiami, ugięły się pod nim nogi. Chciał zapukać od razu, z marszu, ale ręka nie posłuchała, wciąż wisząc nieruchomo wzdłuż tułowia.

Westchnął ciężko. Odłożył torbę i zdjął plecak. Zawsze łatwiej myśli się, niż robi. Stwierdził, że wyjmie piwa z bagażu. To, że będzie trzymał w rękach prezent,

z pewnością doda mu otuchy. Trzymając już butelki w lewej dłoni, prawą bez zastanowienia stuknął kilka razy w drzwi.

Cisza trwała nazbyt długo, a z każdą sekundą Piotrek miał ochotę zwać z tego miejsca, zanim będzie za późno. Kiedy już prawie zdecydował, że odpuszcza, zwiewa do domu, piwa wypije sam, a z Mińskim rozmówi się innym razem, zaszczękały zasuwki zamka. Drzwi otworzyły się i pojawił się w nich Krawiec.

– O, witam – powiedział, jednocześnie miarkując wzrokiem Piotrka i jego bagaże. – Z wojska wracasz? – zapytał z typową dla siebie ironią.

– Daj spokój – odpowiedział Piotrek. – Jest Miński?

– Może i jest. A po co ci on? – Krawiec zmarszczył brwi.

– Chciałem pogadać. Zawołasz go? – DJ ponownie omiół wzrokiem, najpierw toboły, a potem Piotrka.

– Zobaczę, co da się zrobić – rzucił i zatrzasnął drzwi.

Piotrek czuł, jak po czole zaczyna spływać mu pot. Każda sekunda wlokła się jak pieprzona wieczność. Problem był taki, że teraz nie miał już odwrotu, choćby musiał siedzieć w tym miejscu do białego rana.

Na szczęście nie musiał tyle czekać. W końcu ktoś nacisnął klamkę i energicznie pociągnął drzwi do siebie. W progu stał Miński, dumny i pełen swojej unikalnej wyniosłości. Lekki uśmiech, jaki rysował się na jego twarzy, zdawał się jednocześnie wyrażać radość i drwinę.

– Czego chcesz, łajzo? – zapytał, zakładając ręce na piersi. Piotrek uśmiechnął się.

– Już raz tak do mnie powiedziałeś i skończyło się to dobrze dla nas obu. – Podniósł butelki ku górze. – Pogadamy?

Miński, jakby dogadali się z Krawcem, zaczął również obmierzać wzrokiem Piotrka i jego bagaże. Chyba przez lata wspólnej pracy stali się bardziej jak bracia, niż mogło im się wydawać. Miński pokręcił głową.

– Kurwa, rzeczywiście wróciłeś z wojska – powiedział i odwrócił się w stronę przedpokoju, zostawiając za sobą otwarte drzwi. Piotrek znał go wystarczająco dobrze, żeby odpowiednio zrozumieć odpowiedź.

– Pogadamy, ale musisz się postarać, żeby znów było jak kiedyś. Łajzo.

Poranek był cudowny tego dnia. Chyba ostatni taki Marcin widział, kiedy był po pierwszej rozmowie z Sulimą. Dużo whisky temu. Z radością stwierdził, że ma kaca na przyzwoitym poziomie. Nie na tyle dużego, żeby zdychać cały pieprzony dzień w łóżku, ale dostatecznego, żeby pozwolić sobie na piwo albo kieliszek porto do śniadania. Duży kieliszek porto.

Słońce cudownie błyszczało na czystym niebie, obiecując ciepło mimo zbliżającej się zimy. Marcin mimo wszystko wolał otworzyć okno i sprawdzić, jak

jest naprawdę. Naprawdę to było damsko-męsko. Piździało w chuj. I dobrze. W zimowej kurtce łatwiej nosić flaszki. I w mróz mniej ślepych gówniarzy szlaja się po ulicach.

Roztarł z grymasem prawy bok. Zdrowo wczoraj przydzwonił o ścianę przez tego idiotę z torbami. Tego samego, który mijał go wcześniej. Trzeba było wybić mu jednak te wyszczerzone ząbki. Rzadko kiedy się to zdarza, ale z wściekłości Marcinowi aż odechciało się pić. Tamten potraktował go jak jakiegoś menela. Odepchnął, a potem nawet nie przeprosił. Kurwa, mógł chociaż przeprosić!

Pokręcił głową. Nie miało to już znaczenia. Głód zaczynał dawać o sobie znać. Marcin ubrał się elegancko, w koszulę i marynarkę z Pierre Cardin i spodnie od Hilfigera. Lubił wyglądać ładnie, kiedy kupował pierwszy alkohol danego dnia. A co, miał swoje zasady.

Powoli schodząc po schodach, zastanawiał się, gdzie pójdzie zjeść i co oraz gdzie będzie pił później. Uznał, że zajrzy sobie do Manufaktury i śniadanko zafunduje w polskiej knajpie. Bywał tam czasami, kiedy miał już dosyć zagranicznych wynalazków i wołał pożywić się wynalazkami lokalnymi.

W restauracji zajął oczywiście miejsce od okna. Lubił obserwować spiętych biznesmenów i nad wyraz elastyczne seksualnie kobiety sukcesu. Złożył zamówienie u znudzonego życiem kelnera i poprosił o kieliszek porto na przystawkę.

– Nie mamy porto, proszę pana – odpowiedział obojętnie kelner, nie kwapiąc się do zapytania, czy gość życzy sobie coś innego. Marcin leniwie obrócił głowę w jego stronę.

– To idź i kup – powiedział i uśmiechnął się szeroko, po czym odwrócił wzrok.

– Ale... nie mamy takiej możliwości... – wybełkotał kelner, ewidentnie zaskoczony, chyba pierwszy raz w jego obrzydliwie nudnym życiu.

Marcin znów przechylił się w prawo, ale tym razem tylko pokazując wysoko uniesione brwi. Kiedy w oczach kelnera zobaczył, że ten rozumie, że nie ma wyboru, wrócił do oglądania zabieganych przechodniów.

Śniadanie smakowało przyzwoicie, porto udało się kupić również nie najgorsze, ogólnie kelner wyszedł na tym na plus, bo Marcin zostawił mu ponad stówkę napiwku. Niech się uczy, że warto robić dla innych dobre uczynki.

Porto przyjemnie rozluźniło Marcina i postanowił przejść się do parku, zanim znajdzie sobie kolejny lokal, gdzie zje obiad i wypije więcej niż dwa kieliszki porto. Dawno tam nie był, a w ciągu dnia chyba nigdy, więc kompletnie nie mógł skojarzyć, skąd zna tutejsze ławki i drzewa. Usadowił się wygodnie na jednej z nich i wyciągnął z satysfakcją nogi. To był ten moment dnia, który lubił najbardziej. Tyle dobroci na niego czekało, tyle knajpek i gatunków whisky. Nie przypominał sobie, kiedy ostatnio miał tak dobry humor! To chyba przez to porto.

Przyjemna odmiana od łychy! Trzeba kupić więcej!

Kilka minut później na ławce obok Marcina usiadła para. Ładna, choć zwyczajna dziewczyna i luźno ubrany chłopak. Wyglądali na strasznie rozemocjonowanych, z jednej strony spiętych całą sytuacją, ale z drugiej – szczęśliwych jak nigdy. Usiedli na ławce okrakiem, na wprost siebie i zaczęli głośno rozmawiać.

Marcin mimochodem podsłuchiwał ich słów. On mówił o jakimś księdzu, o tym, że przemyślał życie i że wszystko już będzie dobrze. Ona wyglądała, jakby oczarowywały ją te dyrdymały, i piała z zachwytem, co chwilę wołając, że wiedziała, że im się ułoży i że teraz będą już wiecznie szczęśliwi. Głupcy. Marcin z każdym zdaniem denerwował się coraz bardziej. Przystawało mu się to podobać. Ta para, ich rozmowa i coraz bardziej to miejsce. Podobnie jak wczoraj pod kamienicą Sulimy, tak dzisiaj wydawało mu się, że coś już w tym miejscu robił.

Para ostatecznie objęła się i na zmianę zaczęła przytulać i namiętnie całować. Marcin zeszywniał.

Julka. Tutaj przecież rozmawiał z nią ostatni raz. Tutaj stracił ją ostatecznie. Chyba nawet przy tamtej ławce, przy której siedzą tamci.

Zerwał się na równe nogi i zaczął niemalże biec. Nie patrzył już na parę ani na park. Marzył tylko, żeby znaleźć jakiś sklep i kupić alkohol. Z każdym krokiem rosła w nim frustracja, a przed oczu nie mógł pozbyć się obrazu Julii. Zaczął się bać.

Bał się, że żaden alkohol nie pomoże mu wymazać z siebie wspomnienia tej kobiety. Będzie ją wiecznie pamiętał, wiecznie widział, jednocześnie cierpiąc z bezczynności. Błyskawicznie postanowił, że tego dnia wypije jeszcze więcej niż do tej pory. Będzie pił dziś, jutro, tak długo, jak to będzie konieczne, żeby pozbyć się tej cholernej Julki ze swoich wspomnień.

Wpadł do sklepu i kupił od razu trzy litry whisky i wódki. Może jak pomiesza, będzie mu łatwiej usunąć ten tatuaż spod powiek?

Musi ją wypalić, zanim ona wypali jego.

Piotrek wracał luźnym krokiem wzdłuż Ogrodowej. Dawno nie widział się z mamą i postanowił odwiedzić ją, kiedy już wyprostował wszystkie pozostałe problemy. Postąpił z nią bardzo nie fair, na długi czas w ogóle urywając kontakt, ale wołał jej nie martwić. Nie mógł wyjść z podziwu, że ani razu nie próbowała mu zawracać głowy, jakby szanując jego niezależność. Był pewien, że czuła to, że jej syn po prostu potrzebuje czasu tylko dla siebie.

Niesamowite, jak potężnymi istotami są kobiety, jak wiele potrafią znieść i jak wiele potrafią zrozumieć. Ania też go rozumiała. Mimo że początkowo nie chciała z nim rozmawiać, im dłużej słuchała, co ma jej do powiedzenia, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że ani przez chwilę nie przestała go kochać.

Podobnie jak Miński nie przestał być jego przyjacielem. Dogadali się szybko. W prostych żołnierskich słowach, bez ceregieli wyjaśnili sobie wszystkie niesnaski, jakie zrodziły się między nimi, i uznali temat za zamknięty. Tak po prostu.

Piotrek odniósł wrażenie, że Michał potrzebował go równie mocno, co on Michała. Czasem tak bywa, że chociaż dwie jednostki są silne, to dopiero pracując razem, potrafią wykorzystać maksimum swoich umiejętności.

Dlatego zdecydowali się wydać wspólny legal. Z Krawcem na bitach, jako zespół. Jak za dawnych czasów Drim Tim czy Familia HP. Znów rozszarpać scenę na kawałeczki. OTWIERAĆ!

Zaśmiał się głośno do siebie. Z satysfakcją pstryknął palcami. Ciekawe, co na to wszystko powie Zeus? To się dopiero zdziwi! No i koniecznie trzeba odwiedzić Mateusza, żeby się dowiedział, że powinien starać się o uznanie go za cudotwórcę! Tyle dobrego zrobił, całkiem bezinteresownie. Wspaniały gość...

Piotrek właśnie zbliżał się do hotelu, którego nadal szczerze nie cierpiał, kiedy dojrzał przedziwną scenę. Ubrany w bardzo przyzwoity strój mężczyzna zataczał się po chodniku, bełkocząc coś pod nosem i z trudem łapiąc oddech. Nagle mężczyzna zatrzymał się i wrzasnął przeraźliwie. Piotrek przyspieszył kroku, a zewsząd zaczęli zbiegać się gapie.

Mężczyzna po krótkiej chwili upadł i zaczął cały dygotać.

– Pomocy! Pomocy! – zaczęły krzyczeć jakieś kobiety, ale nikt nie kwapił się do ratowania tego człowieka.

Kiedy Piotrek w końcu doszedł do miejsca zdarzenia, mężczyznę otaczał już niemały krąg obserwatorów. Wcisnął swoją głowę i sam zaczął przyglądać się dramatycznej scenie.

Mężczyzna z bliska wyglądał fatalnie. Był cały blady, a jego ubrania zdawały się nosić ślady wymiocin i moczu. Do tego śmierdział niemiłosiernie alkoholem. Jak można doprowadzić się do takiego stanu?

Piotrek już miał odchodzić z miejsca, w którym nie chciał się znaleźć, kiedy przypomniało mu się pewne wydarzenie. Kiedyś jakiś gość wpadł na niego, tu w tym miejscu i zelżył go od najgorszych. Teraz dopiero skojarzył, że to ten sam człowiek.

Boże kochany, tak dobrze wtedy wyglądał, mimo wszystko. Co on ze sobą zrobił? Nie do pomyślenia.

Nagle z hotelu wybiegł jakiś mężczyzna. Zaczął wrzeszczeć, żeby zadzwonić po pogotowie. Rzucił się do pijanego i zaczęli o czymś ze sobą rozmawiać. Jeden i drugi mieli w oczach łzy. Nagle tamten stracił przytomność. Jakaś kobieta w końcu wykonała jego polecenie i zadzwoniła po karetkę. Ktoś zbliżył się do mężczyzny i zaczął, zdaje się, pomagać.

Piotrek uznał, że nic tu po nim i oddalił się od miejsca tego paskudnego

zdarzenia. Szedł z pewnym poczuciem zadowolenia, że są jeszcze na świecie ludzie, którzy są gotowi pomóc innym. Trochę drapało go sumienie, że sam nie zareagował. Zastanawiał się nawet, czy gdyby mógł tam podejść jeszcze raz, to czy coś by zrobił.

Wszedł do znajomej bramy i na znajomą, wiecznie taką samą klatkę schodową. Zapukał do drzwi i kiedy tylko zobaczył w nich matkę, wtulił się w nią, jakby robił to jednocześnie po raz pierwszy i ostatni w życiu. Nie spodziewał się, że tak bardzo stęsknił się za tą kobietą. I jak bardzo dawała mu energię do życia. Podobnie zresztą jak brat, tata i babcia. Nie ma to jak rodzina!

Gadali przez kilka godzin, opowiedział im, co się z nim działo i czemu się nie odzywał. Na szczęście nie mieli do niego o to żadnych pretensji. Dobrze jest mieć wokół siebie ludzi, którzy cię po prostu rozumieją.

Kiedy usypiał po tym, jak już się nagadali i zdecydował się zostać na noc, zapatrzył się w rozgwieżdżone niebo. Słyszając miarowy oddech brata, znów myślał o tamtym mężczyźnie, zupełnie jak tamtego marca.

Dużo się zmieniło. Dziś już nie martwił się, czemu tamten potraktował go jak kogoś gorszego. Martwił się, co się z tym człowiekiem stało. Bo, na szczęście, wszelkie pozostałe zmartwienia oddalił od siebie tak daleko, jak to było możliwe.

A co, jeśli ten mężczyzna zmarł? Może po to spotkali się wtedy, aby Piotrek mógł mu dziś pomóc? A może wręcz przeciwnie – te dwa spotkania miały być dla niego przestrogą, żeby szedł inną ścieżką niż ten mężczyzna?

Nie umiejąc odpowiedzieć sobie na żadne z tych pytań, odpłynął w twarde, ale nieprzyjemny sen.

Chwiał się. Nie wypił jeszcze w życiu tak wiele, jak tego dnia. Chwiał się. Przewracał. Potykał. Przeklinał. Wrzeszczał. Wymiotował. Klął na Julię, Sulimę, Skoniecznego i każdego, o kim mu się tylko przypomniało.

Przypomniał sobie o Arku. Ruszył. Musiał go zobaczyć. Musiał mu pomóc. Tylko on był ratunkiem.

Szedł. Miasto rozmywało się przed jego oczami. Słyszał krzyki ludzi i klaksony samochodów. Szedł.

Sam nie wiedząc kiedy, znalazł się pod hotelem. Chciał wejść do środka, ale poczuł, jakby ktoś wbił mu nóż w klatkę piersiową. Krzyknął. Upadł. Nie mógł oddychać. Wokół stali ludzie. Chciał zawołać o pomoc, ale nie mógł wydusić z siebie choćby jednej sensownej głoski. Rozglądał się po twarzach. Wszystkie identyczne. Tak samo beznadziejne i obojętne, jak on sam.

Ból nasilał się. Oddech uciekał. Coraz trudniej, coraz trudniej. Znów krzyknął. Spróbował, bo tym razem żaden dźwięk nie wydobył się z jego krtani. To był koniec. Tutaj miał skończyć ten kabaret. Tu, gdzie sam ten kabaret rozpoczął.

Zobaczył Julię. Nie stała tu, ale widział ją. Pamiętał. Na nic to wszystko.

Teraz będzie ją pamiętał wiecznie i wiecznie będzie cierpiał. Uśmiechnęła się do niego. Splunął jej w twarz.

Usłyszał krzyk. Ktoś zbiegał po schodach. Jakiś mężczyzna. Wpadł w tłum i zaczął wydzierać się na ludzi. Jednemu kazał gdzieś dzwonić. Sam położył dłonie na głowie Marcina. Coś wykrzykiwał, ale Marcin już niczego nie rozumiał. Chciał tylko przypomnieć sobie, kim jest ten człowiek.

Arek. Arek. AREK! To był on! Ucieszył się. Może nawet uśmiechnął. Tamten też się śmiał i płakał jednocześnie. Cały czas coś mówił. W końcu Marcin mu przerwał.

– Arek, Areczku, przyjacielu – wyszeptał z trudem. Barman zamilkł. – Przyjacielu. Powiesz Julce, że ją kocham? – Tamten zaszlochał ciężko, ale spróbował się uśmiechnąć.

– Sam jej to powiesz – odpowiedział.

– Oj, Arek, Arek. Nie rozumiesz nic. Powiesz jej? – Barman kiwnął głową, zalewając się łzami. Marcin uśmiechnął się, czując, jak rozluźnia się coraz bardziej.

– Przyjacielu – wyszeptał. – Znowu ratujesz mi życie...

Dwie świątynie

Wydanie pierwsze, ISBN 978-83-8083-439-2

© Mateusz Bajas i Wydawnictwo Novae Res 2016

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

REDAKCJA: Szymon Błaszowski/zredaguj.pl

KOREKTA: Paulina Orczykowska

OKŁADKA: Artur Rostocki

KONWERSJA DO EPUB/MOBI: *InkPad.pl*

WYDAWNICTWO NOVAE RES

al. Zwycięstwa 96 / 98, 81-451 Gdynia

tel.: 58 698 21 61, e-mail: *sekretariat@novaeres.pl*, *http://novaeres.pl*

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej *zaczytani.pl*.

Wydawnictwo Novae Res jest partnerem

Pomorskiego Parku Naukowo-Technologicznego w Gdyni.



PPNT Gdynia

